



KATARZYNA RYGIEL

EKSPEDYTOR KOLITZ

KATARZYNA RYGIEL

EKSPEDYCA KOLITZ

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Prolog

Dzień pierwszy.

Dzień drugi

Dziennik Ottona Kleista

Dzień trzeci

Dzień czwarty.

Dzień piąty.

Dzień szósty.

Dzień siódmy.

Dzień ósmy.

Dzień dziewiąty.

Dzień dziesiąty.

Dzień jedenasty.

Dzień czternasty.

Dzień piętnasty.

Epilog

Prolog

Było już ciemno, gdy Otto Kleist dotarł do Kollitz. Rozejrzał się, wchodząc między pierwsze domy, ale nie zobaczył nic, co mogłoby go zaniepokoić. We wsi było bardzo cicho. Przystanął na chwilę między drzewami, postawił niewielki bagaż na trawie i kilka razy głęboko odetchnął. Po upalnym dniu powietrze było gorące i suche. Łapał je z trudem otwartymi ustami. Pod jego stopami zaszeleściła spalona słońcem trawa, w mroku dostrzegał szare, jakby wyprane z czerni, rachityczne źdźbła.

Zmęczyła go droga powrotna, a do klasztoru było jeszcze prawie dwa kilometry. Najchętniej spędziłby noc we wsi, ale wiedział, że to nie najlepszy pomysł. Kilkanaście godzin wcześniej wszyscy mieszkańcy widzieli, jak bryczką odjeżdżał do Stettin razem z innymi członkami ekipy ratującej przez ostatnie tygodnie stary cysterski klasztor przed zupełną ruiną. Tam pożegnał się, tłumacząc, że chce odwiedzić rodzinę. Pomyślał, że to dobra wymówka, więc przywrócił do życia siostrę matki, którą ostatni raz widział w dzieciństwie. Nie zastanawiał się, czy mu uwierzyli, miał na to zbyt mało czasu. Wsiadł w pierwszy powóz, który zobaczył na dworcu i kazał się wieźć z powrotem, był jednak ostrożny i wysiadł z niego kilka kilometrów przed wsią. Nikt nie powinien się dowiedzieć, że wrócił, nikt nie powinien pytać po co, stwierdził w duchu, wręczając woźnicy zapłatę.

Nagły błysk rozciął niebo i Otto instynktownie przyłgnał do najbliższego pnia. Przez kilka sekund nasłuchiwał. Wydało mu się, że słyszy szmer ściszonych ludzkich głosów, ale w tym momencie nad ziemią rozległ się daleki grzmot, w którym utonęły inne, prawdziwe czy urojone dźwięki. W ciszy, która zapadła, Otto słyszał już tylko przyspieszone bicie swojego serca. Oderwał się od drzewa i ruszył przed siebie drogą przez wieś. Wiatr, który zerwał się nie wiadomo kiedy, szar-

pał na nim koszulę i utrudniał marsz. Pył wciskał się mu do oczu i ust, zgrzytał w zaciśniętych zębach. Otto pochylił głowę i próbował przyspieszyć kroku, gdy nagły podmuch kazał mu się odwrócić.

Burza zbliżała się szybko. Grzmoty stały się bardziej donośne, a błyskawice częstsze. W błysku jednej z nich na skraju drogi Otto zobaczył dwie postacie i zamarł w cieniu rosnących nad rowem krzaków. To niemożliwe, uznał, to tylko przywidzenie. Jak tylko zakończę poszukiwania, należy mi się solidny wypoczynek. Wyobraźnia znowu płata mi figle. Jego optymizm był jednak zupełnie nieuzasadniony. Gdyby poczekał na następny błysk, mógłby dostrzec, że jego śladem podąża dwóch mężczyzn i prawdopodobnie by ich rozpoznał.

On jednak nie odwrócił się po raz drugi. Klasztor za wsią, cel jego wędrówki, był już naprawdę niedaleko. Wiatr zawył przeciągle w konarach drzew, gdy minął ostatnie zabudowania, i Kleist poczuł, jak w jego żołądku kiełkuje nieprzyjemny, irracjonalny, dobrze znany niepokój. Zaklął pod nosem, chcąc osłabić jego znaczenie i dodać sobie odwagi. Nie ma się czego bać, powiedział do siebie, jestem sam, nic mi nie grozi. To wszystko tylko omamy słuchowe i przywidzenia, tłumaczył sobie, gdy usłużna pamięć podsunęła mu obraz sprzed kilku minut i dwa cienie na drodze przybrały naraz bardzo realny kształt. Nikt mnie nie śledzi, uspokajał się Otto bez przekonania, bo nikt o niczym nie wie.

Otto Kleist nie był nerwowy ani szczególnie strachliwy. Spokojny i zrównoważony, zawsze starał się myśleć rozsądnie i trzeźwo. Do Koltitz przyjechał pięć tygodni temu. Stare opactwo cysterskie okres świetności miało już dawno za sobą, ale Kleist, z wykształcenia mediewista, uległ nastrojowi, jaki panował w opuszczonych murach. Przez kilka dni po jego przyjeździe nic się nie działo. Prace konserwatorskie posuwały się szybko, remont dachu kościoła klasztornego przebiegał według planu. Ludzie, z którymi Otto miał do czynienia, zarówno przyjezdni członkowie ekipy, jak i miejscowi, którzy zatrudnili się do prac budowlanych, byli życzliwi i przyjaźnie nastawieni. Mimo to mniej

więcej w połowie pierwszego tygodnia pobytu Otto odniósł wrażenie, że jest obserwowany.

Uczucie było przykre i niepokojące, tym bardziej że wśród otaczających go osób nie umiał rozpoznać prześladowcy. Lub prześladowców. Liczba mnoga niezmiennie wywoływała u niego atak paniki, bo Otto był wprawdzie nieźle zbudowany, ale na osiłka nie wyglądał. Zresztą *nec Hercules contra plures*, myślał w przypiływie lepszego nastroju. Z biegiem czasu jego niepokój zmienił się jednak w uczucie zagrożenia. Zaczął źle sypiać i budził się w nocy z powodu byle szelestu. Słyszał dźwięki, które wydawały się wytworem jego umysłu, kilkakrotnie miał wrażenie, że jest śledzony, gdy w wędrówkach po opactwie zapędzał się między filary w połowie zawalonych naw i do dawnego skrzydła konwersów. Parę razy przyczajał się, by sprawdzić, kto za nim idzie. Nigdy jednak nie udało mu się nikogo przyłapać. Kimkolwiek był jego przeciwnik, jeśli w ogóle istniał, musiał być bardzo przebiegły.

Kleist nie widział nawet jego cienia, uznał więc nasilające się stany lękowe i nocne ataki strachu za urojone. Przyjechał do klasztoru w określonym celu. Prace konserwatorskie były jedynie pretekstem, przykrywką dla prywatnych badań, którym zamierzał się oddawać w chwilach wolnych od pracy. Tymczasem trudny do wytłumaczenia lęk paraliżował go i utrudniał mu działanie. Zrozumiał, że musi poczekać na zakończenie prac i wyjazd wszystkich pracowników, jeśli chce doprowadzić rzecz do końca.

Powrót był trudniejszy, niż przypuszczał. Ulga, którą poczuł, zostawiając za sobą dworzec w Stettin, była krótkotrwała. Na drodze do klasztoru znowu dopadły go dawne upiory, a burza jeszcze potęgowała niepokój. Kleist pożałował nagle, że jest sam, ale nie zamierzał się wycofać. Był zdecydowanie zbyt blisko klasztornych murów.

Zobaczył je w świetle kolejnej błyskawicy, ciemniejące na stoku niezbyt wysokiego wzgórza łagodnie opadającego ku rzece, której nazwy Otto nie mógł sobie teraz przypomnieć. Ziemię tę zwano kiedyś *Mera Vallis* — Czysta Dolina. Nad całym założeniem dominował szczyt

kościół. Pod dachem świątyni zamierzał poszukać schronienia.
Najwyższy czas, pomyślał, czując na twarzy pierwsze krople.

Dzień pierwszy

Padło. Krople ciepłego letniego deszczu uderzały o blaszany parapet i dźwięk ten brzmiał jak najpiękniejsza kołysanka. Robert otworzył oczy. W pomieszczeniu panował półmrok ociekającego wodą poranka. Majaczyły w nim rozłożone na podłodze posłania kolegów, plecaki, leżące w nieładzie ubrania, rozrzucone jakkolwiek buty i puste puszkę po piwie. Sala wyglądała jak po przejściu tornada. Jak zwykle.

Robert odwrócił się na drugi bok i ułożył wygodniej na twardej karimacie. Zasypiał już, gdy drzwi pokoju otworzyły się i stanął w nich rozczochrany kierownik ekspedycji. Powiódł wzrokiem po leżących i ziewnął rozdzierająco. Był wysoki, barczysty i wyraźnie niewyspany.

— Pobudka — powiedział do Roberta, który, wyrwany z drzemki, przyglądał mu się z niesmakiem. — Obudź resztę.

— Pada — zaoponował Robert lakonicznie i uciekł spojrzeniem w kierunku mokrego okna.

— Inwentaryzacja — odpowiedział równie lakonicznie kierownik, znowu ziewnął i wycofał się z sali. Robert westchnął z rezygnacją. Co za pomysł! Wpisywanie zabytków na długie listy, nadawanie im numerów, skrupulatne liczenie mogło trwać nawet kilka godzin. Tego zajęcia nie mógł lubić nikt przy zdrowych zmysłach, a już tym bardziej młody, aktywny i żądny nowych odkryć archeolog in spe.

— No to się nie wyśpimy, próżne nadzieje — mruknął do siebie Robert i przeciągnął się z błogim uśmiechem. Mimo wszystko czuł się wypoczęty. Dwa tygodnie pracy na świeżym powietrzu miały zbawienny wpływ na jego kondycję fizyczną. Czuł się silny i zadowolony ze swego ciała. A co będzie pod koniec sezonu, pomyślał i napiął mięśnie. Dla zabawy i po to, by poczuć sprawność swojego dwudziestosześcioletniego ciała. Wstał w końcu i zaczął się ubierać, błędząc wzrokiem po sali. —

Chłopaki! — zawołał niezbyt głośno do śpiących. — Wstawać, do roboty! — Usłyszał przekleństwa i pomruki niezadowolenia. Chłopcy budzili się powoli i niechętnie, naciągali na głowy śpiwory i ostentacyjnie chrapali.

— Odczep się. Leje — usłyszał z kilku stron. — Nigdzie nie idziemy.

— Piotr ma dla nas propozycję nie do odrzucenia. Inwentaryzacja — powiedział nad głowami półprzytomnych kolegów.

— To cudnie — odezwał się zirytowanym głosem Marcin, wysoki, zbyt szczupły blondyn o bardzo jasnych oczach. — Która godzina?

— Wpół do ósmej.

— Zaczynicie bez nas, a my do was dołączymy koło południa — zaproponował i leżał dalej bez ruchu. Mówili na niego Siwy, bo jego sztywne jasne włosy wydawały się niemal białe przy opalonej na złoty kolor twarzy. Pod śpiworami rozległy się śmiechy.

Robert wzruszył ramionami i wyszedł z sali. Po przeciwnej stronie korytarza panował już ruch. Ładniejsza część ekspedycji wstała i krążyła między swoim pokojem a łazienką, myła zęby i gotowała wodę na kawę. Ze wzrokiem utkwionym w uchylone drzwi pokoju dziewczyn Robert przeciął korytarz i mijając stół, przy którym często pracowali lub siedzieli wieczorami, wyszedł z budynku na schody.

Deszcz już nie padał, ale nad szkołą, w której mieszkali, wisiała ciężka popielata chmura, a w powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi. Robert głęboko odetchnął i przez chwilę czuł się tak, jakby wyszedł spod prysznica. Zapatrzył się na domy stojące nieco w dole, bo szkoła położona była na niewielkim wzniesieniu, podobnie jak klasztor widoczny na wzgórzu po drugiej stronie wsi. Przy tej pogodzie wyglądał jak miraż utkany z mgły i chmur. Wystarczyłoby dmuchnąć, by zniknął. Klasztor cysterski w Kolicach, ponad osiemsetletnie mury.

Drogą przez wieś, od przystanku autobusowego szła drobna postać z plecakiem. Robert widział z daleka błękitną plamę dzinsów i szary sztormiak. Przyglądał się, jak pnie się pod górę ulicą Szkolną. Zabawne, że w każdej miejscowości jest taka, no i jeszcze Dworcowa, jeśli jest dworzec, i Kościelna, a tu jest Klasztorna, rozkojarzył się Robert, porzucając na jakiś czas obserwację na rzecz spostrzeżeń

onomastycznych. Tymczasem osoba z plecakiem podeszła bliżej i okazała się kobietą. Z bliska nie wydawała się już drobna. Przyjrzał jej się uważnie, gdy szła wzdłuż szkolnego ogrodzenia. Dość wysoka, ocenił, nie widząc całej sylwetki, bo jej dolna połowa ginęła za żywopłotem. Ile może mieć lat, zastanowił się z przyzwyczajenia, dwadzieścia osiem? Chyba niezbyt interesująca, zawahał się, bo kobieta otworzyła furtkę i zmierzała w jego kierunku. Uśmiechnęła się na powitanie i podała mu rękę.

— Ewa Zakrzewska, antropolog ze Szczecina.

— Robert Malik, student z Warszawy — odparł w tym samym tonie. Jej uśmiech był zaraźliwy, więc również się uśmiechnął, nawet o tym nie wiedząc. Musiała być kilka lat od niego starsza. Miała zielone oczy i piegi. Długie rude włosy wiązała w węzeł na czubku głowy, ale kilka krótszych kosmyków opadało jej na czoło i policzki. Przypominały sprężynki z miedzianego drutu. Robert nie mógł się zdecydować, czy podoba mu się to, co widzi, postanowił więc na razie tego nie rozstrzygać.

— Gdzie znajdę Piotra Kondratowicza? — zapytała, poprawiając spory plecak.

— Zaprowadzę panią — wskazał jej otwarte drzwi wejściowe i przepuścił przodem. Oczy przyzwyczajone do dziennego światła z trudem radziły sobie w półmroku korytarza. — Proszę w prawo, to tamten pokój — wskazał przybyłej salę sąsiadującą z męską sypialnią. Zapukał i usłyszawszy niewyraźne „proszę”, zajrzał do środka.

— Piotrze, masz gościa — powiedział i dopiero wówczas usunął się, robiąc Ewie miejsce.

Piotr, który do tej pory zdążył się już obudzić na dobre i trochę ogarnąć, wyglądał znacznie lepiej niż zaraz po przebudzeniu. Ogolił się i zmusił włosy do posłuszeństwa. Był teraz dość przystojnym trzydziestolatkiem, stwierdził Robert z przykrością, której do końca sobie nie uświadamiał. Dobry nastrój gdzieś się ulotnił. Rzucił ostatnie spojrzenie na rozpromienioną twarz mężczyzny i poszedł do kolegów.

— Możecie nie wstawać — rzucił od progu, mimo że żaden nawet się nie poruszył. — Do Piotrka przyjechała jakaś laska i zanim się przywitają, zdążycie odespać.

— Myślałem, że będziesz dopiero jutro — mówił tymczasem Piotr, nastawiając czajnik elektryczny. — Ale to dobrze, że już jesteś. Siadaj, napijesz się kawy?

Słowa przychodziły mu do głowy jedno po drugim, jakby się zawnoczu przygotował. Choć, prawdę mówiąc, nikt nie mógłby się przygotować do tej rozmowy. Ewa skinęła głową, więc Piotr wyspał do kubka dwie czubate łyżeczki. Jego ręce posłusznie wykonywały drobne czynności, podczas gdy myśli podążały swoim torem. Mimo to jakoś sobie radził z własnym rozkojarzeniem. I niepokojem.

— Taka sama jak zawsze? — upewnił się, nim nalał wrzątku.

— Pamiętasz — zdziwiła się. — Całe wieki nie robiłeś mi kawy. Twój telefon był jak z zaświatów.

Przez chwilę w pokoju panowała niezręczna cisza, której żadne z nich nie umiało przerwać. Patrzyli na siebie, on w pół gestu, z kubkiem kawy w dłoni, ona za stołem, przyczajona, jakby się chciała ukryć przed wspomnieniami, które sama nieopatrznie wywołała.

— Minęło dużo czasu — przerwał: milczenie Piotr, stawiając przed Ewą kawę i wbrew sobie, a także, był tego pewien, wbrew jej woli, pocałował ją w policzek. Pachniała wiatrem zupełnie jak kiedyś. To również pamiętał. I jeszcze tysiąc innych rzeczy. Nie poruszyła się, kiedy się nad nią pochylał. — Nic się nie zmieniłaś. Wciąż ślicznie wyglądasz — dodał, mając świadomość, że plecie trzy po trzy. Nie mógł się jednak zdobyć na nic bardziej oryginalnego. Popatrzyła na niego uważnie, kiedy już zajął miejsce obok niej.

— To wpływ klimatu i zdrowego trybu życia — powiedziała z niemal nieuchwytną ironią, której Piotr na pewno by nie usłyszał, gdyby nie znał jej na tyle dobrze, by wiedzieć, że najczęściej pracuje nocami, wstaje o świcie i pije za dużo czarnej kawy. A w zimowych miesiącach

marzy o ciepłych krajach, bezskutecznie, bo w końcu zawsze brakuje jej do pierwszego. Oczywiście, rozważał, mogła się zmienić przez ostatnie lata. Mogła też świetnie zarabiać i spędzać zimę na drugiej półkuli. Ale jemu jakoś trudno było to sobie wyobrazić.

— Na pewno — odezwał się tylko po to, by zyskać na czasie, bo nie umiał zadać jej żadnego neutralnego pytania. Nie przypuszczał, że to będzie takie trudne, siedzieć obok niej i spoglądać na jej jasny profil bez możliwości zbliżenia się choć o kilka centymetrów. — Co u ciebie? — zdobył się wreszcie na wysiłek.

— A o co pytasz? — odpowiedziała pytaniem i uśmiechnęła się, bo rozbawiły ją jego próby nawiązania rozmowy. Na ogół bywał lakoniczny, a ona nie zamierzała mu pomagać. Próżne starania. I nie patrz tak na mnie, pomyślała, bo znowu się jej przyglądał. Ja nic od ciebie nie chcę. Może powinnam powiedzieć to już teraz, ale nic się nie stanie, jeśli się trochę pomęczysz.

— Nie wiem — Piotr wzruszył ramionami. — Po prostu odpowiedz tak, jak ludzie odpowiadają w takich sytuacjach, w porządku, pracuję, jestem szczęśliwa, nieszczęśliwa, samotna i tak dalej. Zwykle rzeczy.

— Skoro ci na tym zależy, dobrze — zgodziła się z nim Ewa i spojrzała na niego kpiąco — tak, pracuję, tak, jestem szczęśliwa i nie, nie jestem samotna.

Zniósł to ze spokojem, ale nie była pewna, czy jej uwierzył. Zresztą nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Cieszyła się niezależnością. Przepelniała ją radość życia. Czuła, że konfrontacja wypadła na jej korzyść, więc posłała Piotrowi uśmiech, który miał mu zrekompensować porażkę, a tymczasem sprawił, że ogarnęły go wątpliwości. Źle zrobił, że do niej zadzwonił. Wciąż go pociągała, a on nie zdawał sobie z tego sprawy aż do tej chwili.

— A co u ciebie? — zrewanżowała się pytaniem Ewa. Nie wiedział, od czego zacząć. W końcu nie widzieli się od sześciu lat, policzył szybko.

— W porządku — odparł krótko, tak jak ona. — Pracuję w zawodzie, jak widzisz. Można to chyba nazwać szczęściem.

Zrozumiała, że chwilowo nie wydobędzie z niego nic więcej. No to remis, podsumowała. Chyba już nie umieli ze sobą rozmawiać.

Po co więc do niej zadzwonił? Potrzebował pomocy, przypomniała sobie, podkreślił to kilkakrotnie tamtego wieczoru. Naukowej pomocy, uściślił szybko, nie pozostawiając jej czasu na dociekania. Chciał, żeby się dobrze zrozumieli. Był zasadniczy. I konkretny. Zupełnie inaczej niż teraz. Teraz mogła z nim zrobić, co chciała. Gdyby tylko chciała.

Matki, w trosce o szczęście córek, często udostępniają ich numery telefonów niewłaściwym mężczyznom. A robią to tym częściej, im córki bliższe są trzydziestki, pomyślała Ewa sentencjonalnie. Jakby to mogło coś zmienić. Mamo, po coś ty mu dawała mój telefon, westchnęła w duchu, trzeba go było spławić. Powiedzieć, że wyszłam za mąż albo że miałam wypadek i leżę w śpiączce. Ale wtedy znowu nie miałabym wakacji, przyznała uczciwie, więc może dobrze się stało.

— Zdecydowałam, że przyjadę wcześniej. Miałam dość Szczecina podczas upałów — powiedziała spokojnie znad parującego kubka. Spojrzenie Piotra znowu przylgnęło do jej twarzy i znieruchomiało. — Musisz mnie wprowadzić w temat — dodała, licząc, że je przepłoszy. — Czego ode mnie oczekujesz?

— Nie przygotowałaś się? Przecież wysłałem ci listę lektur? — powiedział Piotr z udawanym wyrzutem.

— Nie miałam czasu. Robiłam kilka dużych zleceń dla muzeum archeologicznego i uniwersytetu. Pomyślałam, że powiesz mi wszystko, co powinnam wiedzieć. W skrócie.

Patrzyła na niego wyczekująco. Znał to spojrzenie aż za dobrze. I był na nie zupełnie nieodporny. Pod tym względem także niewiele się zmieniło.

— Ale teraz? — zaproponował bez przekonania. — Może chcesz się najpierw rozpakować, zjeść śniadanie? Zwiedzić naszą bazę? Wójt oddał nam szkołę na całe wakacje. Nie powinienem cię zanudzać od razu po przyjeździe. To niehumanitarne.

— Opowiadaj — przerwała mu. — Najpierw kawa i fakty. Potem reszta.

Poddał się od razu. Zanadto go to kusiło. Za wszelką cenę chciał poprawić swoje notowania, a to był jedyny środek, jakim dysponował. Przynajmniej w tej chwili.

— Chcesz faktów? Bardzo proszę, ale radzę ci, rób notatki, bo historia zaczęła się kilkaset lat temu. — Usiadł wygodniej i wpadł w gawędziarski ton. Ewa była przekonana, że nie będzie to krótka opowieść. Skoro nie umieli już mówić o sobie, pozostawało im rozmawiać o tym, co ich jeszcze łączyło, o pracy.

— Pamiętaj, że ma być w skrócie — podkreśliła, ale Piotr tylko niecierpliwie machnął ręką.

— Drugiego lutego — zaczął — Anno Domini 1174 z duńskiego opactwa Esmom przybyli do Kolic cystersi. Było ich trzynastu, dwunastu braci i opat Reinhold. Wieś nazywała się wówczas z łacińska *Colites*. Tutaj postanowili się osiedlić i wybudować klasztor. Co wiesz o tym zakonie? — zapytał nagle i Ewa poczuła się jak na egzaminie.

— Nic, zupełnie, obawiam się, że na studiach te zajęcia mnie ominęły — bezradnie rozłożyła ręce.

— Aha, nie tylko te, jak sądzę — mruknął Piotr. Razem studiowali archeologię i na trzecim roku musieli wybrać specjalizację. On zdecydował się na średniowiecze, Ewa na antropologię. Od początku wiedziała, czego chce, i starannie dobierała zajęcia, na które uczęszczała, jakby nie miała czasu do stracenia. W terminie obroniła pracę magisterską i szybko zrobiła doktorat. Pytana, czym się zajmuje, zwykle odpowiadała, że jest antropologiem. O archeologii przypominali jej tylko dawni znajomi. Tak jak teraz Piotr, który kontynuował swą opowieść.

— Wobec tego cofnę się w czasie do roku 1089, w którym niejaki Robert z Molesmes we Francji postanowił zreformować zakon benedyktynów. Jak możesz się domyślić, był zwolennikiem surowszej interpretacji reguły, którą zostawił potomnym Benedykt z Nursji. Pierwsze próby trudno byłoby uznać za udane. Dopiero rok 1089 przyniósł zmianę. Robert w towarzystwie świętego Stefana Hardinga i kilku innych mnichów udał się wówczas do lesistej doliny Citeaux w

okolicy Dijon, by tam zacząć wszystko od początku. Miejsce to zwano także *Cistertium*, od określenia *cis tertium lapidem*, ponieważ leżało za trzecim kamieniem milowym na dawnym rzymskim szlaku z Longres do Chalon. Stąd nazwa cystersi.

— Niesłychane, że pamiętasz to wszystko — westchnęła Ewa. Nie udało jej się ukryć podziwu, chociaż bardzo się starała.

— Mógłbym zrobić ci wykład o tym, jak powstawała w Europie sieć klasztorów cysterskich, ale nie jest to chyba konieczne. Powiem więc w trzech słowach, że rozwijała się nadspodziewanie szybko. Ten pierwszy klasztor w Citeaux założył cztery filie, zwane inaczej czterema klasztorami macierzystymi: La Ferte i Pontigny powstały w 1114, Clairvaux i Morimond w 1115 roku. Procedura była prosta, zasady fundowania nowych opactw określone zostały bardzo szybko, bo już w 1119 roku, w dokumencie *Carta Caritatis*. Wybierano miejsce, które następnie oglądało kilku opatów — wizytatorów. Na podstawie ich sprawozdania kapituła generalna zakonu podejmowała decyzję o budowie nowego klasztoru. Konwent, który do niego wysyłano, musiał składać się z dwunastu braci i opata. Każdy klasztor macierzysty tworzył z kolei własne filie, które też tworzyły swoje. Dlatego mówimy o filiach bezpośrednich i pośrednich klasztorów macierzystych. Kolice są bezpośrednią filią duńskiego Esrom, a pośrednią klasztoru w Clairvaux i jednocześnie najstarszym klasztorem cysterskim na Pomorzu Zachodnim. Nadażasz? — Piotr popatrzył na Ewę z niepokojem, bo od dłuższej chwili siedziała bez ruchu i nie był pewien, czy go słucha, czy tylko udaje, a myślami jest daleko od Kolie.

— Staram się. Ale na skrót mi to nie wygląda — powiedziała zgrzyźliwie. — Słyszałeś o umiejętności selekcjonowania informacji?

— Sama chciałaś. Ja proponowałem ci śniadanie. Poza tym wybieram naprawdę same najważniejsze fakty.

— Dobrze już, dobrze — poddała się Ewa. — Dam radę. Co dalej?

— Dalej jest o budowie klasztoru. Pierwsze zabudowania musiały być drewniane, murowany kościół zaczęto wznosić dopiero w 1210 roku. Podobnie jak wszystkie inne kościoły cysterskie nosił wezwanie

Najświętszej Marii Panny. Są tacy, którzy uważają, że kościół od samego początku był murowany, o czym miałby świadczyć pochówek fundatora, kasztelana szczecińskiego Warcisława. Źródła pisane podają, że został pochowany w obrębie kościoła w 1188 roku. Tak czy inaczej kościół i zabudowania klasztorne wznoszono kilkadziesiąt lat. Konsekracja odbyła się dopiero w lipcu 1347 roku. Po drodze nie obyło się bez wypadków losowych, w pożarze spłonęła część klasztoru, piorun trafił w sygnaturkę, później zdarzały się najazdy brandenburskie, a w XV wieku husyckie. Nie miało to jednak większego znaczenia poza finansowym. Konwent starał się o czasowe zwolnienie od opłat podatkowych i nie ustawał w pracy, by opactwo odbudować. Mnisi zajmowali jego wschodnią część, konwersi...

— Kto?

— Konwersi, czyli bracia świeccy, którzy pracowali fizycznie w klasztornych dobrach, ale nie składali ślubów i z czasem zostali zepchnięci do roli służby, choć wciąż podlegali jurysdykcji zakonnej — mieli dla siebie skrzydło zachodnie. Zobaczysz je, bo częściowo się zachowało. Nie nudzę cię? — Ewa nie spuszczała z niego zielonych oczu. Zaprzeczyła, więc zaczął mówić dalej.

— Najstarsza część pozostała oczywiście romańska, ale całość to był gotyk, ceglany, z pięknymi sklepieniami krzyżowo-żebrowymi i ostrołukowymi kruzgankami. Pokażę ci przy najbliższej okazji, co pozostało po czasach świetności. Mury zachowałyby się w znacznie lepszym stanie, gdyby nie wiek XVI i reformacja. Jej zwiastuny dotarły do klasztoru w 1521 roku. Kilkanaście lat później na Pomorzu luteranizm był już wyznaniem obowiązującym. Nie muszę ci chyba wyjaśniać, co to oznaczało dla duchownych katolickich. W 1535 roku zlikwidowane zostały wszystkie klasztory cysterskie na Pomorzu Zachodnim, konwent opuścił także klasztor w Kolicach. Mnisi, którzy nie przyjęli nauki Lutera, mogli zostać w opactwie, ale tylko pod warunkiem zaniechania katolickich praktyk kościelnych. Wielu z nich nie mogło zgodzić się z tym zarządzeniem. Dlatego odeszli. Choć byli i tacy, którym nie robiło to różnicy. Ostatni opat zrezygnował z

piastowanej godności 16 października 1535 i dokonał żywota w podarowanej mu przez jednego z miejscowych książąt posiadłości. Po kasacie klasztor stał się miejscem wypoczynku książąt szczecińskich. Kościół podzielono: część wschodnia była kaplicą pałacową, zachodnia służyła jako spichlerz i wozownia. Nieźle co? — Piotr uśmiechnął się do Ewy niewesoło. — W XVII wieku kościół bardzo ucierpiał w czasie potopu szwedzkiego. W XVIII rozebrano emporę, krużganki i skrzydło południowe.

— Tak po prostu? — nie wytrzymała Ewa. — Nikt nie starał się go ratować?

— Później — wyjaśnił Piotr cierpliwie. — Mniej więcej w połowie XIX wieku zdecydowano się odrestaurować kościół. Plan sytuacyjny budynków i program prac przygotował szczeciński inspektor budowlany Kraft. Znamy jego nazwisko, bo zachowały się plany modernizacji, na których się podpisał. Pieniądze na odbudowę pochodziły od samego króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV. Pracami restauracyjnymi kierował Hermann Staff, o czym z kolei wspominała prasa tamtego czasu. W przedsięwzięciu maczał też palce ówczesny generalny konserwator zabytków, przyjaciel króla, Ferdynand von Quasi To on wybierał budowniczych, którym powierzył odbudowę. To był rok 1847. Klasztor w Kolicach musiał mieć grono wiernych sympatyków, którzy starali się nie dopuścić do jego zawalenia. Ich wysiłki, niestety, nie na wiele się zdały — przerwał na chwilę i pokiwał głową z dezaprobatą, ubolewając nad takim stanem rzeczy.

Ewa przyglądała mu się bez słowa. Długo czekała, żeby znowu usiąść z Piotrem przy jednym stole. Rano, jadąc autobusem, zastanawiała się, co poczuje, kiedy go zobaczy. Teraz była zaskoczona własnym spokojem. Nie czuła nic poza nikłym cieniem dawnej sympatii. Szkoda, pomyślała jeszcze i zaraz o tym zapomniała, bo Piotr podjął wątek. Mówił z zaangażowaniem. Jego głos brzmiał pewnie, słowa działały na wyobraźnię.

— Następne prace budowlane przeprowadzono dopiero ponad trzydzieści lat później. Naprawy wymagał dach i sklepienia kościelne.

Potem, przez kilkadziesiąt lat nic się nie działo i klasztor powoli się rozsypywał. W latach 50. XX wieku Kolice stały się parafią katolicką i od tamtej pory kościół nosi wezwanie Najświętszego Serca Jezusa. Badania archeologiczne przeprowadzono w latach 60. i na przełomie 70. i 80. Niestety nie zostały zakończone, bo zabrakło pieniędzy. Teraz kopujemy. Proboszcz postanowił zrobić ogrzewanie. Pomysł nie do końca szczęśliwy. Rury będą biegnąć wzdłuż murów, głównie tam, gdzie kiedyś były krużganki, czyli w miejscu, gdzie grzebano zakonników i świeckich. Wyciągamy z ziemi, co się da, ale jest dużo pracy z dokumentacją, sama zobaczysz. Oczywiście zdjęcia to nie problem. Gorzej z rysunkami, bardzo długo trwa rysowanie planów. Za dużo pochówków — przerwał swoją przydługą opowieść, bo zaschło mu w gardle, ale zamiast sięgnąć po szklankę z wodą, siedział i wpatrywał się w Ewę, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Pod wpływem przenikliwości jego spojrzenia poruszyła się niespokojnie.

— No, wreszcie dochodzimy do sedna. Słucham uważnie — upomniała się o dalszy ciąg, bo milczenie się przedłużało.

— Czekaj — Piotr zerknął na zegarek i nagle poderwał się z krzesła. Mała wskazówka wskazywała dziesiątą. — Na śmierć zapomniałem o moich studentach. Muszę ich czymś zająć, żeby nie zgnuśniali. Jest podejrzanie cicho, pewnie znowu poszli spać, albo, co gorsza, na piwo.

Zaferowany kręcił się po pokoju, szukając czegoś i co chwila mierzwiąc sobie włosy. Poczł nagle, że pokój zrobił się zbyt mały dla nich dwojga, że musi wyjść na korytarz choćby na chwilę, inaczej zrobi coś, czego będzie żałował. Ewa patrzyła, jak się miota. Najwyraźniej nie mógł znaleźć tego, czego szukał, więc z pustymi rękami ruszył do drzwi.

— Zaraz, zaraz — powstrzymała go — może oni też posłuchaliby o tych pochówkach? Zawołaj ich, zrobimy małą pogadankę o kościach, poznamy się. Im wcześniej, tym lepiej. Podczas pracy nigdy nie ma czasu na wyjaśnienia. A tak wszyscy się czegoś dowiemy.

— Tak, racja. Znowu pada — popatrzył w okno — z pracy w terenie nici, a inwentaryzacja może poczekać do popołudnia. Oni uwielbiają

numerki — uśmiechnął się szelmowsko, z czym było mu nieoczekiwanie bardzo do twarzy i z czego zdawał sobie sprawę, po czym wyszedł z sali.

— Nie spać! Chodzić! — usłyszała Ewa jego głos w sąsiednim pokoju i musiała się uśmiechnąć do duchów przeszłości. Kilka lat temu to on miał problemy z porannym wstawaniem, po ciągnącej się długo w noc imprezie, czyli niemal codziennie. Ewa, która wstawiała wcześniej, bez względu na to, kiedy się położyła, robiła mu kawę i stawiała tuż przy głowie, bo jej zapach pomagał mu zebrać myśli i zapanować nad własnym ciałem. Nazywał ją wtedy Płomykiem, bo nosiła krótkie włosy, które się kręciły, i w słońcu, z daleka jej smukła postać wyglądała jak płonąca pochodnia. Daj pospać, Płomyku, mruzczał do niej Piotr, a w kilka minut później Jeszcze półleżąc, oparty na łokciu, pił łąpczywie kawę i patrzył na nią spod przymrużonych powiek, bo pokój zalany był lipcowym słońcem. W tym spojrzeniu i uśmiechu znad kubka nie było już nic z chłopca, którego budziła co rano. Piotr znowu był w formie, zdecydowany, odpowiedzialny i twardy. Za takiego chciał uchodzić, ale ona wiedziała, że jest inaczej.

Z zamyślenia wyrwało ją skrzypnięcie. Piotr stał w drzwiach i czekał, aż ona wróci na ziemię.

— Nie chciałem cię przestraszyć. Gdzie byłaś?

Zamiast odpowiedzieć, pokręciła przecząco głową.

— Co z nimi?

Zza ściany dobiegały odgłosy krzątania i męskie urywane dialogi.

— Będą tu za dziesięć minut, mniej więcej, czas start — dodał znowu, patrząc na zegarek. — Muszę trzymać ich krótko — wyznał i mrugnął do Ewy znacząco.

— Aha — odparła z przekąsem — Jasne. Widzę, że świetnie sobie z tym radzisz.

— Z czym? — nie zrozumiał Piotr.

— Z rolą kogoś, kto rządzi — uściśliła. — Szefa.

— Jakbym się do tego urodził, pani doktor — odparł z rozbijającą miną. — Sama się pani przekona.

Wchodzili do sali pojedynczo, opaleni, uśmiechnięci i w przeważającej części bardzo szczupli. Ewa obserwowała ich z zainteresowaniem, kiedy siadali wokół długiego stołu zestawionego z wąskich szkolnych ławek. Zauważyła, że oni też jej się przyglądają. Chłopcy, wszyscy bez wyjątku, z aprobatą, dziewczyny z rezerwą, te mniej atrakcyjne, zanotowała w myśli, te ładne – z porozumiewawczym uśmiechem. Wydali jej się interesującą gromadką. Dałaby sobie rękę uciąć, że mieli charakterki. Nie wiedziała, czym kierował się Piotr, wybierając ich spośród innych studentów, ale była pewna, że zrobił to bardzo starannie. Powiodła wzrokiem po otaczających ją twarzach i natrafiła wzrokiem na nieruchome spojrzenie bruneta, którego poznała przed szkołą. Przystojniaczek, pomyślała z niechęcią, bo fascynacja w oczach mężczyzny przeszkadzała jej i nie pozwalała czuć się swobodnie. Wyglądał na starszego od pozostałych. Położyła przed sobą łokcie na stole, chcąc stworzyć przeszkodę dla jego wzroku, ale Robert wciąż przyglądał jej się z równą natarczywością. Postanowiła pokonać go jego własną bronią. Miał ładne oczy, piwne, lekko skośne, w oprawie gęstych, ciemnych rzęs. Pod wpływem jej spojrzenia zmieszał się i zaczął wyglądać przez okno. Całe szczęście, uznała, bo ten pojedynek wytrącił ją z równowagi.

Tymczasem Piotr, nieświadomy wymiany spojrzeń, coraz bardziej niecierpliwie spoglądał na zegarek i przebierał palcami prawej dłoni po stole, najwyraźniej nie mogąc się wszystkich doczekać.

— Gdzie jest Siwy? — zapytał w końcu, ale nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pojawił się chudy chłopak w za długich spodniach. Białe, sztywne włosy sterczały mu wokół głowy i sprawiały, że jego długa postać przypominała szczotkę.

— Jestem — odpowiedział ponuro przybysz i dodał kłótliwie: — Zawsze tylko Siwy i Siwy. Wcale nie jestem ostatni, ooooo — przeciągnął ostatnią głoskę, wywołując tym uśmiechy na twarzach kolegów, którzy, widąc przyzwyczajeni do jego sposobu bycia, oczekiwali atrakcyjnego dalszego ciągu. Siwy wskazał na niedźwiedzioatego chłopaka, który wtoczył się do sali tuż za nim. — Ooooo — powtórzył — to Wódz jest ostatni, no — powiedział z wyraźną pretensją, jakby go ciężko skrzyw-

dzono, po czym po błazeńsku przewrócił oczami — ja się pytam, czemu jego nikt publicznie nie piętnuje za spóźnienie?

Wódz, który rzeczywiście przypominał wyglądem zwałistego Indianina, z wydatnym orlim nosem i włosami zebranymi w kucyk z tyłu głowy, górował nad Siwym wzrostem. Popatrzył na kolegę z politowaniem i odezwał się głębokim, miłym dla ucha basem:

— Skargi i zażalenia, bracie, nie do nas. Napisz kartkę z pozdrowieniami do mamy i taty i zapytaj przy okazji, jak to się stało, że cię takim spłodzili. Cały się składasz ze znaków szczególnych, co my ci na to poradzimy, że tak się rzucasz w oczy, że nawet brak ciebie się rzuca w oczy — zakończył filozoficznie. Ewa nie mogła się powstrzymać i uśmiechnęła się, słuchając jego wywodu. Siwy zrobił groźną minę.

— A ty niby mógłbyś przemknąć niezauważony, tak? — zapytał ironicznie. — W ucho chcesz, Wodzu?

— Jak doskoczysz... — odparł niedźwiedziowaty tonem luźnej propozycji. Studenci siedzący przy stole świetnie się bawili, słuchając słownego pojedynku.

— Panowie — przerwał tę przyjacielską rozmowę Piotr, wiedząc, że może trwać w nieskończoność. — Później, później to załatwicie, na ubitej ziemi, a teraz proszę zachowujcie się jak cywilizowani ludzie. Mamy gościa, a wy od razu chcecie się pokazać od najlepszej strony. Siadźcie proszę. Przedstawiam wam doktor Ewę Zakrzewską, antropologa. Pani Ewa...

— Po prostu Ewa — weszła mu nagle w słowo — tak będzie łatwiej.

— Jesteś pewna, że chcesz być po imieniu z tą zgrają? Dobrze, więc Ewa pomoże nam w dokumentacji grobów, ma duże doświadczenie. Pokaże, jak opisywać kości, jak je mierzyć i nauczy nas wielu pożytecznych rzeczy.

— I dowiemy się, kto był pochowany przy klasztorze? — spytała drobna, bardzo ładna dziewczyna obcięta na języka. Miała oczy w kolorze gorzkiej czekolady.

— Może się dowiemy — potwierdziła Ewa — ale to nie musi być łatwe, przeważnie potrzebne są bardziej szczegółowe badania, których nie

można przeprowadzić w warunkach polowych. W każdym razie na pewno spróbujemy uzyskać jak najwięcej informacji.

— Zanim zaczniemy rozmawiać o naszej pracy, może kilka słów o sobie, co? — kontynuował przemowę Piotr, który czuł się jak ryba w wodzie w roli wodzireja. Jego małowówność zniknęła, jeśli nie musiał mówić o sobie. Ewa zdała sobie z tego sprawę dopiero teraz. — Mam was przedstawić czy wolicie sami?

— Przedstaw — powiedział Wódz i popatrzył na niego z sympatią — może dowiemy się czegoś o sobie.

— Oj, ty już chyba dzisiaj powiedziałeś dość jak na jeden raz, co? — westchnął Piotr męczeńsko, ale w oczach miał uśmiech. Cenił Wodza za trzeźwość spojrzenia i zdroworozsądkowe podejście do życia. Widać było, że bardzo się lubią. Zresztą Ewa odniosła wrażenie, że Piotr taką samą sympatią darzy wszystkich uczestników spotkania. Słyszała ją w każdym jego słowie.

Na chwilę zapomniała o uczuciach, jakie wywołała poranna rozmowa, o wątpliwościach, które mieli oboje. Szczęśliwie przestała być w centrum jego uwagi. W samą porę. Nim powiedziała coś, co przeszkodziłoby im wspólnie pracować. Teraz skupiła się na tym, co mówił Piotr, i starając się nadażyć za informacjami, patrzyła na twarze studentów i oceniała ich po swojemu.

Siedzący pod oknem Robert był bezspornie najbardziej interesującym mężczyzną w grupie i ekspedycyjnym ekspertem — zbierał materiały do pracy magisterskiej na temat pochówków wczesnośredniowiecznych w klasztorach męskich. Dużo wiedział i robił szkieletom niezłe zdjęcia. Zachodziło podejrzenie, że dotąd mieli do czynienia wyłącznie z żeńskimi szczątkami, bo — jak podkreślił Piotr — Robert miał podejście do płci pięknej. Koledzy uśmiechnęli się znacząco, nadając żartowi Piotra nowe znaczenie, a Robert zrobił niezadowoloną minę. Ewa nie była zdziwiona. Miał twarz podrywacza, czy tego chciał, czy nie.

Dziewczyna o czekoladowych oczach, która siedziała obok Roberta, miała na imię Dorota. Była ciekawa wszystkiego, co się wokół niej

działo, i jako osoba obdarzona talentem miała mnóstwo pracy z dokumentowaniem grobów. Wydawała się krucha i delikatna. Z odsłoniętą szyją i w podkoszulku bez rękawów wyglądała jak dziewczynka, która nie do końca zdaje sobie sprawę z własnej urody. Ostrzyżone bardzo krótko ciemne włosy tylko podkreślały jej młodość i Ewa zaczęła się zastanawiać, kiedy ona wyglądała tak smarkato. Dorota uśmiechnęła się do niej i lekko skinęła głową.

Dwóch Marcinów, Siwego i Wodza, wyróżnionych przydomkami z uwagi na problemy natury komunikacyjnej, łączyły więzy przyjaźni. Jakkolwiek wyglądałoby to z boku, dodała Ewa od siebie, słysząc wyjaśnienia Piotra. Siwy chciał się wtrącić, ale Piotr nie dał mu dojść do słowa, więc zrezygnowany burknął tylko coś pod nosem tak cicho, że nikt nie byłby w stanie zrozumieć, o co mu chodzi. Rzucił Ewie spojrzenie zbuntowanego nastolatka, którym przestał być jakiś czas temu, i wzruszył ramionami. Co on tam może wiedzieć – odczytała jego gest Ewa. Z najdrobniejszego ruchu potrafił zrobić przedstawienie. Byłby doskonałym odtwórcą ról charakterystycznych.

— Dlaczego nie zostałeś aktorem, Marcinie? — spytała go Ewa, gdy Piotr umilkł na chwilę. Chłopak spojrzał na nią zaskoczony.

— Próbowałem. Nie wyszło — odparł wymijająco. Ze sposobu, w jaki patrzyli na nią i na Siwego pozostali studenci, zrozumiała, że była to dla nich nowość, dla Piotra również. Przez kilka sekund nikt się nie odzywał.

— Niechcący zdradziłam tajemnicę? — zapytała ze skrucą. — Przepraszam.

— To dawne dzieje. Zostawmy to — znowu wzruszył ramionami Marcin. Widocznie wykonując ten ruch — unoszenia ramion — nabierał dystansu do ludzi, świata i siebie samego, a także do własnych porażek.

Wódz poklepał go uspokajająco po ramieniu. Miał przedramiona atlety i Ewa pomyślała o skuteczności jego prawego sierpowego. Prawda była jednak taka, że nigdy nie musiał go używać, bo potencjalni agresorzy mieli na ogół wystarczająco bujną wyobraźnię, by zobaczyć się w roli ofiar zająścia. W gruncie rzeczy Wódz był łagodnym i

zadowolonym człowiekiem mimo wiecznych kłopotów finansowych wynikających z rozrzutności i skłonności do gier losowych, o czym zwykł mówić z rozbrajającą szczerością.

Agata, brunetka o bardzo jasnej karnacji, obdarzyła Ewę poważnym spojrzeniem, a w chwilę później powściągliwym uśmiechem. Sprawiała wrażenie niedostępnej, ale była tylko nieśmiała i zamknięta w sobie. Piotr nie umiał o niej powiedzieć nic ponad to, co Ewa i tak mogła zobaczyć: że dziewczyna miała oryginalną twarz, dołeczki w policzkach i bardzo ciemne włosy. Policzyła to Piotrowi na minus. Nie znał jej. I zdawał sobie z tego sprawę, bo zawahał się, nim spojrzał na jej sąsiada.

Miał na imię Jacek. Był studentem architektury i archeologii. Według Piotra nieludzko pracowitym. Poza tym fantastycznie rysował. Był niewysokim blondynem i nosił okulary. Posłał Ewie spojrzenie krótkowidza znad grubych szkielec. Musiał mieć sporą wadę wzroku. Oprawki nadawały jego twarzy wyraz stanowczości, który zniknął, gdy zdejmował okulary.

Przeniósł wzrok na siedzącą obok niego Magdę, wysoką blondynkę zbudowaną jak pływaczka olimpijska. Zwróciła uwagę na jej szerokie plecy i chłopiące biodra, gdy dziewczyna wchodziła do sali. Od progu posłała Ewie nieprzychylnie spojrzenie. Miała wąską, jakby lisią twarz, którą trudno byłoby nazwać ładną, i wystający podbródek. Ewa uznała, że ostre rysy, podobnie jak i sylwetka, były bardziej męskie niż kobiece. Teraz zmiękczył je nieco uśmiech, gdy Piotr mówił o jej kondycji. Obie z Ulą czuwały nad inwentaryzacją i uzupełniały dziennik badań.

Ula wydała się Ewie zupełnie nieciekawa. Należała do tych kobiet, które zawsze i wszędzie zauważa się na końcu. Jeśli w ogóle się zauważa. Jej twarz nie była ani ładna, ani oryginalna, a ona sama sprawiała wrażenie cichej, zdyscyplinowanej i bardzo spokojnej osoby. Ewa zaczęła się już zastanawiać, jak to się stało, że znalazła się w tej grupie i dlaczego Piotr ją wybrał, skoro nie było w niej nic przykuwającego uwagę i w tym momencie Ula uśmiechnęła się, trudno powiedzieć, czy do siebie, czy do Ewy, czy też do Piotra, na którego akurat patrzyła. Pełen ciepła uśmiech odbił się w jej oczach i odmienił twarz, która nagle

wydała się Ewie bardziej pociągająca. Z niedowierzaniem popatrzyła na Piotra, bo miała wrażenie, że jest świadkiem czarów. Tak, wiem, odpowiedział jej spojrzeniem, ja też nie rozumiem, jak to się dzieje, ale warto zobaczyć ten fenomen. Uśmiech zgasł, ale wspomnienie o nim pozostało i Ewa patrzyła już na Ulę inaczej, jakby spodziewała się, że za moment dziewczyna uśmiechnie się znowu.

Marcel i Tomek — młodzi zapaleńcy — pierwszy raz byli w terenie. Uchodzili za maskotki ekspedycji. Marcel był smagły i dobrze zbudowany, Tomek, brodaty blondyn, wydawał się bardziej zyłasty. Obaj wyglądali na pełnych werwy. Wszystko, w czym uczestniczyli od dwóch tygodni, było dla nich nowe, nie zdążyli się jeszcze ani znudzić, ani zmęczyć pracą i towarzystwem.

— Nie jest was zbyt dużo — zauważyła Ewa, gdy Piotr zakończył prezentację.

— Nie — zgodził się — ale za to cóż za świetne gremium.

Patrzył na nią jak pilny uczeń, który odrobił lekcje i oczekuje pochwały. Był dumny ze swoich studentów, widziała to wyraźnie i w gruncie rzeczy podobało jej się jego zaangażowanie. Zrozumiała też, dlaczego studenci także odnosili się do niego z sympatią.

— To co? Teraz praca? — zaproponowała, by przywołać go do porządku. Pomyślała, że swoje uznanie wyrazi później, gdy zostaną sami. Piotr w pierwszej chwili spochmurniał, ale widząc jej zainteresowanie, sięgnął po teczkę z dokumentacją rysunkową i podał Ewie.

— Obejrzyj je — zaproponował — a w tym czasie my ci trochę opowiemy.

Ewa rozwiązała tekturową teczkę i zajrzała do środka. Na wierzchu znajdował się plan wykopu biegnącego wzdłuż południowej ściany kościoła prawie do samego jej przecięcia z transeptem. Długi na kilkadziesiąt metrów wykop miał zaledwie pięć metrów szerokości. Czyjaś pracowita dłoń naniosła na plan zarysy grobów i oznaczyła kropką umiejscowienie czaszek. Ułożenie szkieletów we wszystkich

jamach grobowych było podobne — zmarłych chowano równoległe do nawy kościoła, z głowami po stronie zachodniej.

— Ile tu jest grobów? — spytała Ewa, wpatrując się w podłużne kształty. — Wygląda, że trochę za wiele, jak na waszą skromną grupkę?

— Celna uwaga, pani doktor Ewo — powiedział Siwy i uśmiechnął się od ucha do ucha. — Jesteśmy jak dzieci we mgle. Dlatego cała nadzieja w tobie.

— Tak — włączył się Piotr — mamy 39 obiektów, których jamy widać w tej chwili. Pod spodem mogą być następne. Klasztor funkcjonował kilkaset lat. Trudno przewidzieć, jak głęboko leżą najstarsze szczątki.

— Na jakiej głębokości znaleźliście pierwsze szkielety?

— Najpierw zdjęliśmy płyty chodnikowe i darni, pod którymi natrafiliśmy na warstwę niwelacyjną mniej więcej 20-centymetrowej grubości. Poniżej były płyty starsze, pewnie XVIII— lub XIX-wieczne. Wśród rysunków będziesz miała profile wykopu, tam to wszystko dobrze widać. I w końcu średniowieczne płyty, którymi wyłożone były dawne krużganki, których teraz już nie ma. Szkielety znajdowały się jakiś metr głębiej.

— To chyba ma jakieś znaczenie? Głębokość jam grobowych? — Ewie przypomniały się jakieś strzępki wiadomości sprzed kilku lat. Niestety nie była zbyt pilną studentką, a wykłady z wczesnego średniowiecza regularnie opuszczała. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, każde stanowisko archeologiczne i tak rządziło się własnymi prawami. Nigdy nie należało uogólniać, by nie przeoczyć żadnego szczegółu. W gruncie rzeczy to właśnie szczegóły okazywały się zwykle najważniejsze.

Ewa popatrzyła pytająco na Piotra, ale ten wskazał Roberta.

— Można przypuszczać, że w głębszych grobach chowano osoby uprzywilejowane — przyznał ekspedycyjny ekspert. — Tak jakby znaczna głębokość miała zapewnić im większy spokój po śmierci. Poza tym głębsza jama to dłuższa ceremonia. Nie każdy chowany był w taki sposób. Groby zwykłych śmiertelników na cmentarzach parafialnych często nie były głębsze niż 30 cm. Czyli metr to całkiem niezły wynik —

podsumował swoją wypowiedź Robert. Ewa musiała przyznać, że sporo wiedział i przyjemnie się go słuchało.

— To znaczy, że mówimy o pochówkach klasztornych znakomitości?
— upewniła się.

— Klasztornych i w ogóle miejscowych. W krużgankach chowano nie tylko mnichów, ale także darczyńców klasztoru i ich rodziny, nie wyłączając dzieci.

— Kiedy cię słucham, coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że będę miała jeszcze tysiąc pytań.

— W każdej chwili, Ewo, jeśli będę umiał odpowiedzieć — powiedział jeszcze Robert i umilkł wpatrzony w jej dłonie, które zaczęły przekładać kartki papieru milimetrowego pokryte liniami i barwnymi plamami. Ewa znalazła to, czego szukała, i rozłożyła przed sobą rysunki dwóch profili wykopu: długiego północnego, biegnącego wzdłuż ściany południowej korpusu nawowego, i krótkiego wschodniego, blisko nawy poprzecznej. Pochyliła się nad nimi i przyglądała uważnie widocznym na nich warstwom ziemi i kamieni. Osoby siedzące najbliżej wyciągnęły szyje w jej kierunku zainteresowane wynikiem analizy.

— Co to jest? — spytała Ewa, pokazując na krótszy profil wykopu. Piotr podszedł i pochylił się nad nią, żeby lepiej widzieć. Robert także wstał, poprosił kolegów, by ustąpili mu miejsca, i usiadł naprzeciwko Ewy. Wydawało mu się, że ona oczekuje odpowiedzi tylko od niego. Wódz z Siwym przesunęli się w kierunku okna, a Piotr popatrzył na Roberta ze zdziwieniem, ale nic nie powiedział. Wszyscy troje wpatrywali się w ciemnobrunatną plamę widniejącą pod wspomnianymi przez Piotra XIX-wiecznymi płytami, którą kobieta wskazywała palcem. Plama była nieregularna, jakby wrzecionowata, a dokładnie w jej środku narysowano kamień lub coś, co jak kamień wyglądało.

— Nie wiem — powiedział Piotr po chwili zastanowienia, mierzwiąc włosy. — Nie pamiętam jej. Jutro możemy jej się przyjrzeć.

— Nie powiększyliście wykopu, żeby ją odsłonić?

— Nie. Wiesz przecież, że tak można w nieskończoność. Na profilach zawsze wychodzą same bardzo ciekawe rzeczy. Gdybyśmy chcieli wszystkie odsłaniać, nic byśmy nie wykopali.

— A ty, co o tym sądzisz? — wtrącił się pochylony nad stołem Robert i spojrział na Ewę ciemnymi oczami z bardzo bliska.

— Znajduje się w dziwnym miejscu. Na całej tej długiej ścianie — wskazała profil północny narysowany na kilku sklejonych ze sobą kartkach — nie ma nawet jednego miejsca, które by ją przypominało. Nie ma też nic podobnego na drugim krótkim profilu zachodnim. Ja bym to sprawdziła.

Piotr uśmiechnął się do siebie, słysząc, z jakim przekonaniem to mówi. Już dawno nauczył się ufać jej instynktowi, wystarczyłoby jedno słowo zamiast całej przemowy. Poklepał Ewę uspokajająco po ramieniu.

— Sprawdzimy to jutro z samego rana, obiecuję. Jak znam życie i ciebie, właśnie wpadłaś na trop jakiejś tajemnicy.

Popołudnie było ciepłe, ale rześkie. Poranne kałuże powoli stawały się wspomnieniem, powietrze było czyste i przyjemnie wilgotne. Promienie słoneczne przenikały przez stojącą na stoliku szklankę z piwem i znaczyły drewniany blat stołu złocistymi cętkami, które Robert bezwiednie zaczął obrysowywać palcem. W barze było prawie pusto, jeśli nie liczyć stojących przy ladzie Doroty, Wodza i Siwego. Robert, który usiadł przy stoliku na zewnątrz, co jakiś czas unosił głowę i spoglądał na kolegów, których widział przez szybę. Przed barem prócz niego siedziało jeszcze dwóch miejscowych piwoszy, którzy tego dnia, jak zdążył się zorientować, słuchając bełkotliwej wymiany zdań, nie powinni więcej pić.

Rozleniwił go dzień tak niepodobny do innych. Piotr, zajęty Ewą, dał im wolne popołudnie, przekładając zajęcia na wieczór, i zamknął się z gościem w swoim pokoju. Roberta zastanawiała ich wzajemna relacja. Widział, że znają się bardzo dobrze, a więc i długo, tak przynajmniej sądził. Stwierdził już, że Ewa jest ładna, choć to słowo niezupełnie oddawało istotę rzeczy. Była intrygująca, urocza, świadoma swego wdzięku i prawdopodobnie ta ostatnia cecha powodowała, że mężczyźni

zachowywali się w jej towarzystwie w określony sposób. Wszystko to Robert bardziej wyczuł, niż zobaczył, gdy pochylając się nad rysunkami, spojrział Ewie w oczy. W zielonych tęczęwkach jak okruchy bursztynu błyszczały drobne brązowe punkciki.

— Obudź się — usłyszał nad sobą głos Doroty, która postawiła swoje piwo na stole i właśnie siadała obok niego. Zamachała mu dłonią przed oczami. Robert niespodziewanie złapał jej rękę, przytrzymał i dopiero potem puścił. Dorota się zarumieniła. Przez chwilę siedzieli w zupełnej ciszy. Słyszać było, jak tubylcy po sąsiedzku udowadniają sobie coś z pijackim uporem.

— I co? — zapytał Wódz, który właśnie wyszedł z baru z pełnym kuflem. Za nim jak cień podążał Siwy. Zdążył już zamoczyć usta w pianie, a ślad nad górną wargą korespondował z kolorem jego włosów.

— Co, co? O co ci chodzi? — odpowiedział pytaniem Robert.

— O nią — odparł Wódz, siorbiąc z upodobaniem. — Jak wam się podoba? Bo mnie... — zawiesił głos, udając, że się zastanawia — ...dosyć. Miła, atrakcyjna. Podoba się szefowi.

— Sądzisz? — trochę zbyt szybko spytał Robert i Dorota popatrzyła na niego uważnie. — Tak właśnie myślałem, że oni się dobrze znają — dodał, by osłabić to wrażenie.

— Uhm — stęknął z nosem w kuflu Wódz — ślepy by się zorientował. Może Piotr nam trochę odpuści, jak się zajmie czym innym.

— Jeśli się zajmie — wyraził wątpliwość Robert.

— Zamierzasz mu w tym przeszkodzić? — uśmiechnął się ironicznie Siwy. — To chyba nie twój przedział wiekowy?

— Spadaj. Mam na myśli to, że ona nie jest nim zainteresowana.

— Nie wiadomo — zaproponowała Dorota, której coraz mniej podobała się ta rozmowa i postanowiła wypowiedzieć się w imieniu kobiet. — Piotr jest bardzo przystojnym mężczyzną.

— No widzisz? Masz opinię z pierwszej ręki — zwrócił się do Roberta Siwy. — Więcej wiary w szefa.

— A może chcesz się z nami założyć, że odbijesz Piotrowi atrakcyjną panią doktor — wpadł na pomysł Wódz. — Na przykład o skrzynkę browaru.

— Jesteście obrzydliwi — powiedziała z niesmakiem Dorota, z hałasem odstawiła kufel i wstała. — Zostawiam was z waszymi niezdrowymi fantazjami.

Patrzyli wszyscy trzej, jak odchodzi. Jej filigranowa postać po chwili znikła za zakrętem drogi.

— Trochę przesadziłeś — skomentował Robert, mając na myśli propozycję Wodzka i reakcję Doroty. Przypomniał sobie jej zmieszanie i dodał: — Do subtelnych to ty nie należysz.

— Przejdzie jej — uśmiechnął się lekceważąco Wódz. — A co z naszym zakładem?

— Twoim zakładem. Ja nie jestem zainteresowany. Skąd ty bierzesz forszę na te wszystkie przegrane? — Robert z założonymi rękami przyglądał się Wodzowi, mrużąc ciemne oczy, bo raziło go słońce.

— Nie przegrywam — powiedział z niezmaconym spokojem — a w każdym razie, jeśli już, to rzadko — dodał po namyśle i poszukał pomocy u Siwego. Był hazardzistą i jak wszyscy hazardziści nigdy nie wiedział, kiedy przestać.

— Marcin — nieoczekiwanie zwrócił się do przyjaciela po imieniu — słyszysz, co on mówi? Pomóż mi go przekonać. Będzie zabawa.

— Nie, Wodzu, nie będzie zabawy — poparł Roberta Siwy pochłonięty obserwacją drogi, jakby na kogoś czekał. Oderwał się na chwilę od tego zajęcia i popatrzył na niego z naganą.

— Nie będzie zabawy — powtórzył.

— Ale dlaczego? — zdziwił się Wódz, widząc jego zaciętą twarz.

— Dorośnij, bracie — odparł wymijająco. Mrugnął do Roberta, dopił piwo i powlókł się śladem Doroty, zamiatając asfalt zbyt długimi nogawkami.

— I co o nich myślisz? — zapytał Piotr Ewę, kiedy spotkanie się zakończyło i studenci rozeszli się po wsi w poszukiwaniu rozrywek. Teraz bardzo chciał usłyszeć jej opinię. Siedzieli na szkolnym podwórku, na ławce pod starymi kasztanowcami, chroniąc głowy w cieniu. Ewa zmieniała dzinsy na krótkie spodnie i wyciągała do słońca długie, zgrabne nogi, na które Piotr starał się nie patrzeć.

— Mili, bardzo różni, indywidualiści — wyliczała. — Nawet ci z pozoru zwyczajni. Skąd ty wzięłeś tę Ulę?

— Przyszła się zapisać na listę chętnych. Chciałem ją wyrzucić za drzwi, ale wtedy się uśmiechnęła. No i jest z nami. — Piotr popatrzył na Ewę ciepło. — Cieszę się, że ci się podobają.

— Cieszę się, że zadzwoniłeś — odparła Ewa, bo oszołomiły ją słońce, letnie powietrze i zapach liści po deszczu, ale widząc rozpromienioną twarz mężczyzny, dodała szybko: — Dawno nie byłam na wakacjach, a lato w mieście, sam wiesz...

Piotr westchnął. Przez cały ranek zastanawiał się, czy powinien o to zapytać.

— Przez moment miałem nadzieję... — zaczął, licząc na to, że się domyśli, co chciał powiedzieć.

— Nie — powiedziała Ewa twardo, wchodząc mu w słowo i zrozumiał, że się zagalopował.

— Kiedyś byś tak nie powiedziała.

— Nie ma już kiedyś — odparła, jakby mówiła o miejscu, w którym oboje byli szczęśliwi.

— Ale my jesteśmy — zaproponował Piotr półgłosem.

— Nie mieszajmy do tego przeszłości. To ty wybrałeś wolność. Nie pamiętasz? — popatrzyła na niego zielonymi błyszczącymi oczami. Właściwie nie była to wolność, pomyślała, lecz zdrada. Dlatego niech inna królowa cię teraz pocieszy. — Ja nie chcę do tego wracać.

— Ewa, przecież tylko rozmawiamy.

— Rozmawialiśmy, Piotr, nim się wyprowadziłeś. Przez długi czas pamiętałam dość dokładnie każde twoje słowo. I miałam dość czasu, by

każde zapomnieć. Włożyłam w to sporo wysiłku.

— Zmieniłem się — odezwał się Piotr i zabrzmiało to naprawdę szczerze.

— Być może, ale mnie to już nie interesuje. Zresztą nie potrafiłbyś wrócić — nie chciała, żeby wypadło to tak kategorycznie.

Piotr jeszcze próbował walczyć.

— Nie możesz tego wiedzieć. Czy mógłbym zrobić coś... cokolwiek...
— utknął bezradnie w pół zdania. Sam nie wiedział, po co zaczął tę rozmowę. — Przepraszam.

Uśmiechnęła się z przymusem. Rude włosy rozsypały się wokół twarzy, gdy pochyliła głowę. Zasłoniła się nimi przed jego wzrokiem jak zasłoną.

— Nie przepraszaj — powiedziała i odsunęła się, gdy wyciągnął dłoń, by odgarnąć miedziane kosmyki z jej twarzy.

Skąd wiedziała, że chce to zrobić, skoro na niego nie patrzyła? Poczul się dotknięty i tonem, i gestem, ale Ewa nie zostawiła mu czasu na rozpamiętywanie klęski.

— Dość tego — powiedziała nagle i gwałtownie wstała. — Słuchaj, muszę się rozpakować. Masz dla mnie jakieś lokum?

— Tak, jest wolny pokój obok sypialni dziewcząt. Posłuchaj, przepraszam — powtórzył jeszcze raz Piotr. — Nie zamierzałem poruszać tego tematu, ale jakoś tak wyszło — stracił nagle całą pewność siebie i Ewie zrobiło się go żal.

— W porządku — odezwała się, patrząc na jego nieszczęśliwą minę.
— A teraz pokaż mi, proszę, gdzie będę mieszkać.

Przyszło jej do głowy, że być może zacznie żałować swego przyjazdu, ale zaraz się zbuntowała. O nie, pomyślała, niby dlaczego mam się nim przejmować. Guzik mnie obchodzi, co on czuje i dlaczego mnie tu ściągnął.

W pokoju spędziła pół godziny. Wyciągnęła z plecaka śpiwór, rozwinęła materac, ale nie zdecydowała się go nadmuchać, dotarła do ręcznika i

poszła umyć twarz. Po przeciwnej stronie korytarza stał Piotr i nie mógł się zdecydować na wejście do swojego pokoju. Wciąż wyglądał na skruszony. Pomachała do niego beztrąsko. W łazience zerknęła w lustro; nie mogła powiedzieć, że nie podoba jej się to, co widzi. Poruszyła głową. Niesforne włosy zatańczyły wokół twarzy. Wyjęła z kieszeni gumkę, żeby poprawić fryzurę, ale przyjrząwszy się sobie jeszcze raz, zdecydowała, że tak jest lepiej i schowała ją z powrotem. Postanowiła, że rozejrzy się po okolicy i z tym zamiarem wyszła ze szkoły.

Zaraz za furtką natknęła się na Dorotę, która na jej widok zatrzymała się i chciała zawrócić. Opanowała się jednak i minęła zaskoczoną Ewę bez słowa, z nosem spuszczonego na kwintę. Ewa ruszyła ulicą, tą samą, którą szła rano. Wzdłuż niej ciągnęła się wieś. Minęła sklep spożywczy, budynek poczty, obok którego stała budka telefoniczna, i dotarła do przystanku autobusowego. Autobusy odjeżdżały stąd do: Szczecina, Gorzowa Wielkopolskiego, Stargardu, Pырzyc i kilku mniejszych miejscowości w bezpośrednim sąsiedztwie Kolic. Przekonawszy się, że komunikacja pozostawia wiele do życzenia, Ewa poszła dalej. Po obu stronach drogi stały domy z cegły i płoty ogradzające mniejsze lub większe obejścia. Wzdłuż płotów czerwieniły się porzeczki. Zerwała gałązkę i z przyjemnością włożyła owoce do ust. Pachniały słońcem. Ewa poczuła ich zapach na języku i dziwiła się temu jak dziecko, które pierwszy raz je lody i prócz smaku czuje także, że są zimne.

Zastanawiając się nad przedziwną wrażliwością swoich zmysłów, przeszła jeszcze kilkaset metrów i znalazła się na wysokości nieco oddalonego od drogi budynku z napisem „Bar”. Tam, pod parasolem reklamującym lokalny browar zobaczyła Roberta. Nie widział jej, zatopiony w jakichś niewesołych rozważaniach, bo czoło przecinała mu pionowa zmarszczka. Na stoliku Ewa zauważyła cztery puste szklanki po piwie. Wciąż pamiętała jego zachowanie przy stole i nie czuła do niego sympatii. Jednak wrodzona przekora skłoniła ją do tego, by go zaczepić. Zaczepić i pokazać swoją przewagę.

— Mogę się dosiąść? — zapytała, odsuwając krzesło. Robert drgnął zaskoczony i popatrzył na nią nieprzytomnie, bo nie zauważył, kiedy

podeszła. — Zdaje się, że towarzystwo ci nie dopisało? — usiadła i obliczonym na efekt gestem odgarnęła włosy z czoła. Mężczyzna z zachwytem śledził jej dłoni, gdy przytrzymała rude kosmyki i założyła je za ucho.

— Mieliśmy małą dyskusję — odparł wyjaśniająco.

— Klótnia? — dociekała Ewa, mając w pamięci zagniewaną twarz Doroty.

— Raczej różnica zdań. To nam się często zdarza.

— Kto był górą?

— Trudno powiedzieć — Robert wolał nie przytaczać fragmentów rozmowy, która nie tylko była dla Ewy obraźliwa, ale zakładała jego udział w zabawie jej kosztem. Czuł, że nie powinien z nią siedzieć przy jednym stoliku, żeby koledzy nie posądzili go o chęć realizacji zamysłu sprzed godziny. Nie wypadało jednak od razu uciekać, bo Ewa mogłaby pomyśleć, że nie odpowiada mu jej towarzystwo, podczas gdy było dokładnie na odwrót. Dlatego wciąż siedział i zastanawiał się, jak ją pożegnać, by wypadło to naturalnie, rozdarty między pragnienie bycia z nią i bycia z dala od niej.

Ewa przyglądała mu się od dłuższej chwili i mógłby przysiąc, że jest świadoma jego rozterek.

— To co robimy? — spytała w końcu, widząc, że nie zamierza się odezwać. — Może piwo?

— Ja dziękuję. Jedno na razie wystarczy. Ale mogę ci towarzyszyć, jeśli chcesz — dodał zupełnie wbrew sobie.

— To na nic, bo nie lubię pić sama — Ewa potrząsnęła rudymi lokami, które znowu opadły jej na czoło. — Może w takim razie pokażesz mi klasztor?

Robert się zawahał. Propozycja była kusząca, oznaczała bowiem jeszcze co najmniej godzinę w towarzystwie niezwyklej, niepokojąco atrakcyjnej kobiety. Z drugiej jednak strony to Piotr ją zaprosił i Robert nie chciał rywalizować z nim o jej względy. Choć było by miło, przyznał w duchu, gdyby mu je okazała. Zwariowałem doszczętnie, uciał te wewnętrzne rozważania. Postanowił załatwić to dyplomatycznie.

— Myślę — zaczął ostrożnie — że to Piotr powinien cię tam zaprowadzić. On jest gospodarzem. Nie chcę pozbawiać go tej przyjemności.

— Jak uważasz — podniosła się nagle zdecydowana i gotowa do drogi. — Jeśli nie pójdziesz ze mną, pójdę sama. — Odwróciła się i zaczęła iść w stronę drogi, a on mógł podziwiać to, co dotąd ukryte było pod stołem — nieprawdopodobnie długie i kształtne nogi.

— O cholera — powiedział pod nosem, bo były to najpiękniejsze nogi, jakie w życiu widział. — Ewa, zaczekaj! — zawołał za nią. — Pójdę z tobą. Przecież nie wiesz, jak dojść do klasztoru.

Czekała, aż się z nią zrówna.

— Sądzisz, że miałabym jakieś problemy ze zdobyciem informacji? — zapytała, zdając sobie sprawę z własnej atrakcyjności. Uśmiechnęła się do Roberta promiennie.

— Nie — przyznał, poddając się urokowi tego uśmiechu — nie miałabyś, najmniejszych.

Szli ramię przy ramieniu, prawie się nie odzywając, każde pogrążone we własnych myślach. Ewa wsunęła dłonie do kieszeni spodni i opuściwszy podbródek szła wpatrzona w asfalt pod stopami. Sandały przyjemnie, swojsko klapały o szorstką powierzchnię. Robert od czasu do czasu patrzył z góry na jej subtelny profil, na złote refleksy, które błyszczały we włosach i rozświetlały skórę na policzkach, szyi i ramionach. Nagle przypomniała mu się Tytania ze *Snu nocy letniej*. Musiała wyglądać tak jak Ewa — wysoka, smukła i ruda, pomyślał zaskoczony. Niecodziennie przychodziły mu do głowy literackie skojarzenia, a z Szekspirem od dawna nie miał do czynienia.

— No to ładnie — powiedział na głos, zapominając na moment, że nie jest sam. Ewa spojrzała na niego zaciekawiona.

— Co takiego? — spytała.

— Nic. Myślałem na głos.

— O czym?

— O Szekspirze — odparł, tylko odrobinę mijając się z prawdą. Zaintrygowana znowu na niego popatrzyła.

— Proszę, proszę. Ekspert od średniowiecznych pochówków ceni klasyków.

— Zupełnie przypadkiem. Luźne skojarzenie — zaczął się usprawiedliwiać.

— Odległość wywołanych skojarzeń jest miarą inteligencji, jak mawiał mój bardzo mądry nauczyciel. Gratuluję. Odtworzysz dla mnie tok myślenia?

Pokręcił przecząco głową.

— Może kiedyś. Jeśli w ogóle. — Zatrzymał się i Ewa również stanęła. — Spójrz — powiedział do niej. — To jest nasz klasztor.

Asfaltowa jezdnia skręcała gwałtownie, a przed zakrętem odchodziła od niej wąska droga o znacznie gorszej nawierzchni. Biegła lekko pod górę, wśród pól ciągnących się po obu jej stronach. W odległości około 300 metrów od Ewy i Roberta, na niewielkim wzniesieniu pyszniły się w przedwieczornym słońcu klasztorne mury.

— Co za majestat — powiedziała Ewa cicho. Robert przyznał jej rację, ale nic nie powiedział. Nie mógł zrozumieć, dlaczego wcześniej nie zauważył dostojności budowli, którą miał przed sobą. Stali tak kilka minut w zupełnej ciszy, gdy niespodziewanie w powietrze wzniósł się wysoki, modulowany ton dzwonu wzywającego na wieczorną mszę. Robert bezwiednie wziął Ewę za rękę, jak dziecko, które chce się gdzieś zaprowadzić. Pociągnął ją za sobą.

— Chodźmy — powiedział. — Za pół godziny będzie nabożeństwo. Zdążymy obejrzeć kościół z zewnątrz. A do środka zajrzemy po mszy.

Ruszyli przed siebie wyboistą drogą. Ewa znowu wsunęła obie dłonie do kieszeni. Nie chciała, by ktokolwiek widział, że trzymali się za ręce i dopatrywał się treści w przypadkowym geście. Szli powoli i wkrótce wyprzedziło ich kilka starszych kobiet w kolorowych chustkach na głowach. Robert kłaniał się każdej z osobna, a one odpowiadały i przyglądały się Ewie z ciekawością.

— Jaki ty jesteś dobrze wychowany — szepnęła do niego.

— Tak trzeba — odpowiedział również bardzo cicho — my jesteśmy tu obcy. Dobrze, gdy nas akceptują, bo czasem potrzebujemy ich pomocy albo... prowiantu, mleka czy jajek. Powinnaś o tym wiedzieć.

— Zdążyłam zapomnieć. Ostatnie lata spędziłam za biurkiem.

Kościół cysterski w Kolicach był ceglana bazyliką z transeptem. W ścianie zachodniej, którą mieli przed sobą, Ewa zobaczyła ogromny zamurowany i pomalowany na biało otwór okienny, w którym przebito sześć małych okienek. Po jego obu stronach znajdowały się tak samo ślepe, wykończone maswerkiem, ostrołukowe białe wnęki. Promienie słoneczne odbijały się od nich i raziły w oczy. Nad całością górowała olbrzymia rozeta. Przyglądając się jej wzorowi, Ewa pożałowała, że budowniczy nie zrobił w niej witraża, a jedynie architektoniczną dekorację. Widziała kiedyś barwne rozety kościołów francuskich i ta na ich tle wydała jej się bardzo uboga.

— Szkoda — powiedziała do Roberta, wskazując na rozetę. — Byłaby taka piękna, gdyby była ze szkła. Mielibyśmy wtedy u siebie coś znad Sekwany.

— Teraz też jest piękna — nie zgodził się z nią Robert — tylko inna niż te, do których przywykłaś. Ale masz dobre oko, bo wzorem nawiązuje do rozety katedry w Chartres.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że jesteś także specjalistą od europejskiego gotyku — popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Nie — przyznał skromnie — to wiem akurat od Piotra. On przeczytał chyba wszystko, co kiedykolwiek napisano o tym klasztorze.

— Zawsze lubił być dobrze przygotowany. Rano zrobił mi wykład — powiedziała Ewa. Przystanęła i objęła wzrokiem całą fasadę kościoła. — Nie sądziłam, że jest tak okazały.

— Tak — przyznał Robert — spory. Właściwie to jeden z największych kościołów cysterskich na ziemiach polskich, czemu trudno się dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę, że aż do XVI wieku był kościołem grzebalnym książąt szczecińskich. Osiem przeszł w nawie głównej i dwa

w prezbiterium, które kiedyś było krótsze i zamknięte absydą, a dzisiaj jest wieloboczne. Obejdźmy kościół dookoła, a na końcu zajrzemy do środka. Msza nie będzie długo trwała.

Minęli północno-zachodni narożnik i ruszyli wzdłuż korpusu nawowego. Robert mówił dalej, jakby zdawał Ewie szczegółowy raport.

— Po obu stronach transeptu były kiedyś pary kaplic. Zachowały się tylko te północne. Południowe, podobnie jak i nawy boczne, bo kiedyś była to bazylika trójnawowa, rozebrano na początku XVIII wieku. W ogóle musisz wiedzieć, że cystersi twardo trzymali się pewnych reguł i ich kościoły klasztorne są do siebie bardzo podobne. Najczęściej różnią się właśnie wielkością, minimum to czteroprzęsłowy korpus nawowy, a także liczbą kaplic. W grę wchodzi kaplice pojedyncze, podwójne, a nawet potrójne. I rzecz najważniejsza: rodzaj zamknięcia prezbiterium. Znane są prezbiteria zamknięte półkolistą absydą i pierwotnie takie rozwiązanie zastosowano tutaj. Znane są również prezbiteria zakończone wielobocznie. Bardzo częste było także proste zamknięcie, wówczas absyda była widoczna jedynie od wewnątrz. To tzw. typ bernardyński.

— A jednak jesteś specjalistą — powiedziała Ewa z uznaniem. — Nie wypieraj się swojej wiedzy. Chyba nie wszystko wiesz od Piotra.

— Przywiózł ze sobą pół biblioteki i podsunął mi najciekawsze fragmenty. Trochę doczytałem, ale tylko dlatego, że zainteresowały mnie jego opowieści.

— Tylko trochę? Brzmi to tak, że mógłbyś na temat Kolic napisać dysertację. A co to jest? — spytała nagle, gdy znaleźli się po drugiej stronie prezbiterium, przy południowej ścianie kościoła. Zaczęła przyglądać się murom, na których widoczny był rodzaj grzebienia z cegieł zachodzących na siebie na odcinku mniej więcej metra. — Wygląda jak zamek błyskawiczny. Piotr wspominał, że kościół był przebudowywany.

Jej przewodnik energicznie kiwnął głową.

— Powstawał w kilku etapach. Mam mówić dalej? — Robert pokazał w uśmiechu olśniewająco białe zęby. Ewa musiała przyznać, że miło

było na niego patrzeć. Patrzyli więc na siebie odrobinę dłużej, niż należało.

— A o tym też coś wiesz? Dawaj — powiedziała w końcu Ewa, gdy milczenie stało się nienaturalne.

— Tak... — Robert zrobił pauzę i znowu spojrzał na nią, jakby chciał się przekomarzać.

— No — ponagliła go — dalej. Wciągnęłam się. Mów.

— To, co nazwałaś zamkiem błyskawicznym, to łącznik między starszym murem romańskim, powstałym po 1210 roku, a murem wczesnogotyckim. Romańskie było pierwsze przeszło prezbiterium, transept z północną parą kaplic i dwa wschodnie przęsła korpusu nawowego. Tutaj — wskazał ręką na wyraźne nierówności w ułożeniu cegieł — zaczynała się ściana dobudowana później, czyli przed 1347 rokiem. Jeśli dobrze się przyjrzyysz, zobaczysz także ślad po przyporze romańskiej, którą wówczas rozebrano.

— Rzeczywiście — Ewa z uwagą obserwowała jaśniejsze i ciemniejsze partie murów.

— Ale to nie koniec — wciąż rozwijał temat Robert. — Jeszcze w trakcie budowy drugiej części świątyni próbowano zmodernizować część romańską. Dwukrotnie podwyższono wówczas transept, co wyraźnie widać z tego miejsca. Te dwie ukośne linie, widzisz? — upewnił się, czy Ewa śledzi ruch jego dłoni, którą wskazywał szczyt nawy poprzecznej. Zachowywała się jak pilna uczennica, która stara się jak najlepiej opanować zadaną lekcję. Promienie słońca padające pod ostrym kątem wydobywały wszystkie niedoskonałości, załamania i rysy ściany, przy której stali, a skórę Ewy barwiły na kolor miodowy. Robert cofnął się i patrzył na nią bezkarnie, smukłą, miedzianowłosą, utkaną ze złotego pyłu, a mimo to bardzo cielesną. Otrząsnął się z trudem.

— Uważaj i patrz pod nogi — powiedział, bo wciąż wpatrywała się w południowy szczyt transeptu, jakby tam zgromadzone były wszystkie zagadki i tajemnice klasztoru. — Za rogiem zaczyna się nasz wykop.

Poszła za nim posłusznie, mając nadzieję, że to nie koniec lekcji historii. Obeszli skrzydło transeptu i stanęli nad długim wąskim

wykopem, niezbyt blisko, by nie naruszyć pionowej ściany.

— Głęboki — zauważyła Ewa, wychylając się mocno do przodu. Robert przytrzymał ją za ramię.

— Nie wpadnij. Tu jest jakieś 160, może 180 centymetrów, wystarczy, żeby złamać nogę. Poza tym, jak profil zjedzie do wykopu, Piotr nas zamorduje. Widziałaś kiedyś zawaaloną ścianę?

— Przecież tu jest szalunek — wzruszyła ramionami Ewa, widząc, że ściany i narożniki wykopu są zabezpieczone solidnymi deskami.

— Strzeżonego i tak dalej — Robert był nieugięty.

— Czyli nie zejdziemy do środka? — w głosie Ewy zabrzmiało rozczarowanie.

— Nie zejdziemy. Jak sobie to wyobrażasz? Zwykle używamy drabin. Mam cię tam wsadzić, a potem wydostać? Niewykonalne i szkodliwe. Piotr by mi tego nigdy nie darował. Poczekaj do jutra.

— No dobra — zgodziła się — przecież widzę, że nie da rady. Upierałam się dla zasady. A dlaczego przykrywacie obiekty folią?

— Żeby nie kusiły. Co prawda kościół jest niezłym zabezpieczeniem, zmusza do uczciwości. Ludzie wciąż są przekonani, że kradzież w jego pobliżu skutkuje uschnięciem ręki. Mimo to jednak Piotr uznał, że lepiej aby z góry nie było widać szkieletów. W końcu to przecież cmentarz. Co z tego, że stary. Dla miejscowych to chyba nie ma znaczenia.

— A dla ciebie ma?

— Wiek pochówków? — zastanowił się, nim odpowiedział. — Nie jestem pewien. Często myślę, że zakłócamy ich wieczny spoczynek. Wydieramy ziemi, do której ich złożono, a potem, kiedy nie są nam już potrzebne, wkładamy do pudła i wysyłamy do magazynu, gdzie kurzą się po wsze czasy. Ludzkie szczątki. Odmawiamy im szacunku. Nie chciałbym, żeby kiedyś, za ileś set lat, ktoś tak postąpił ze mną.

— Dla mnie to nie ma znaczenia, co stanie się z moim ciałem po śmierci. Będzie zupełnie bezużyteczne. Niech się chociaż przyda nauce — powiedziała Ewa, w zamyśleniu nawijając kosmyk na palec.

— Nauce? — mruknął Robert z dezaprobata. — Tak to nazywasz? To kopanie na wyścigi, katalogowanie grobów przy okazji pisania magisterki albo doktoratu, albo choćby zwykłej pracy seminaryjnej? To zawsze będzie tylko część danych, które sami dobierzemy. Nie mogę się z tobą zgodzić.

— Nie zamierzam cię przekonywać. Chociaż w gruncie rzeczy robisz dokładnie to, czemu się przeciwstawiasz — zauważyła Ewa.

— Wiem. Nie mogę na to nic poradzić. Rozumiem potrzebę kopania, tylko czasem widzę, że brak nam rozsądku. No i to przechowywanie w pudłach, rozumiesz, wydaje mi się nie do przyjęcia. Jest jakies niehumanitarne. A poza tym — rozpędził się Robert, wciąż nawiązując do swoich przemyśleń — kości też wyglądają różnie. Starsze... jakoś przyjemniej.

Ewa uśmiechnęła się do siebie, ale nic nie powiedziała. Sama już dawno przestała zwracać uwagę na takie drobiazgi, jak wiek, przyjemne czy nieprzyjemne. Każdy szkielet miał swoją tajemnicę, zapisane szyfrem informacje, a jej zadaniem było poznanie sekretu. Lubiła swoją pracę. Coś z detektywa i trochę więcej z poszukiwacza skarbów, pomyślała — to właśnie ja.

— Niewiele zostało z zabudowań klasztornych — zauważyła, rozglądając się. — Stoimy tu, gdzie kiedyś były krużganki?

— Tak. Krużganki i wirydarz — potwierdził Robert. — Popatrz, tam, na ścianie budynku stykającego się z narożnikiem kościoła widać jeszcze arkady, pod którymi wieki temu przechadzali się mnisi, gdy zachciało im się odetchnąć świeżym powietrzem. Zostały po nich negatywy łuków na murze.

Ewa spojrzała we wskazanym kierunku. Rzeczywiście. Na ścianie dwukondygnacyjnego budynku, również wzniesionego z cegły, rysowały się wyraźnie gotyckie arkady. Wyglądały jak ornament wykonany na pamiątkę przeszłości. W miejscu, gdzie kiedyś były krużganki, ściana była wklęsła.

— Ten budynek to tak zwany dom konwersów, a raczej jego północna część — odezwał się Robert. — Wiesz, kim byli konwersi?

— Piotr mi wytłumaczył. Byli kimś w rodzaju służby, tak?

— Mniej więcej. Tutaj mieszkali, spali, jedli. Zachowało się pięć przęseł: na dole było cellarium, czyli magazyn konwentu, wyżej refektarz — jadalnia, na samej górze dormitorium — sypialnia. Prace archeologiczne prowadzone w latach 70. i 80. pozwoliły na uchwycenie narożników zabudowań klasztornych i poznanie wielkości założenia. Każde ze skrzydeł miało ponad 60 metrów długości. Badania potwierdziły również istnienie czterech krużganków.

— Dlaczego się nie zachowały?

— Zostały zniszczone w czasie różnych najazdów i w końcu rozebrane po roku 1721, podobnie jak nawy boczne.

— Przykre. Tu musiało być pięknie, gdy wszystkie elementy były na swoim miejscu — zauważyła Ewa i w jej głosie zabrzmiał żal. — Co w tej chwili mieści się w domu konwersów?

— Nie uwierzysz, ale nie wiem. Nie miałem okazji zajrzeć do środka. W połowie XIX wieku składowano tu kartofle. Mówię poważnie — dodał, bo Ewa popatrzyła na niego zaskoczona. — Trudno się dziwić, skoro nawet kościół został zamieniony w wozownię. Odkąd przyjechalśmy, drzwi do domu konwersów są zawsze zamknięte. Ale znam kogoś, kto będzie umiał odpowiedzieć na twoje pytanie.

— Kto to taki?

— Msza się właśnie skończyła — powiedział Robert, widząc, jak drobne, przygarbione kobiece postacie wychodzą z kościoła i pojedynczo lub grupkami oddalają się w kierunku wsi. — Cierpliwości. Dowiesz się za kilka minut.

W przedsionku kościoła panował półmrok, bo przez otwarte jedno skrzydło drzwi dostawało się do niego niewiele światła. Przy tablicy ogłoszeń stał dobrze zbudowany, choć niewysoki, siwy mężczyzna i wieszal gęsto zadrukowane kartki papieru.

— Szczęść Boże, księżu Andrzeju — zwrócił się do niego Robert — może pomóc?

Mężczyzna odwrócił się i na ich widok uśmiechnął przyjaźnie. Siwe włosy otaczały jak aureolą czerstwą, opaloną, ale pokrytą siatką

zmarszczek twarz. Mógł mieć 60, może 65 lat. Zdążył już zdjąć sutannę, ale pod szyją Ewa zobaczyła koloratkę. Nosił ciemnoszarą koszulę z krótkim rękawem, która odsłaniała również opalone, muskularne ręce. Ten ksiądz najwyraźniej cenił zdrowy wysiłek fizyczny.

— Szczęść Boże, moi drodzy. Miło was widzieć. A kim jest twoja uroczą towarzyszka? — zwrócił się do Roberta.

— To Ewa, doktor antropologii, przyjechała dzisiaj rano ze Szczecina. Ewa, to zaprzyjaźniony z nami ksiądz proboszcz.

— Miło mi poznać — ksiądz Andrzej uśmiechnął się do Ewy serdecznie. — Dzieci, mam prośbę, powieście za mnie te kartki z historią naszej świątyni. Piotr w końcu ją dla mnie wydrukował. Ja muszę iść do siebie, bo mam kilka papierkowych spraw do załatwienia i spotkanie z narzeczonymi, którzy wkrótce mają się pobrać. Nie chcę, żeby na mnie czekali.

— Oczywiście — Robert odebrał od niego zadrukowane kartki. — Potem chcieliśmy obejrzeć kościół i dom konwersów.

— Dom konwersów? — zdziwił się kapłan. — Tam jest teraz biblioteka, nic ciekawego, poza książkami oczywiście — poprawił się.

— Bardzo prosimy — zaczął nalegać Robert. — Na pewno ma ksiądz klucze. Obiecuję, że oddamy jeszcze dzisiaj. Wracając, zajdziemy do księdza na plebanię.

Ksiądz Andrzej wyraźnie się wahał.

— No dobrze — powiedział po dłuższym namyśle, przenosząc wzrok z Roberta na Ewę. — Ale uważajcie. Budynek jest w nie najlepszym stanie. Konserwator kazał go zamknąć i jakoś nie może podjąć decyzji o renowacji, mimo że bombarduję go swoimi podaniami. Bądźcie ostrożni, szczególnie na schodach. I pozamykajcie dokładnie, kościół także — dodał, wręczając Robertowi pęk ciężkich kluczy. — Ten duży klucz jest do drzwi głównych, ten mniejszy do tych, które oddzielają przedsionek od nawy. Mam nadzieję, że nie narozrabiacie.

W oczach Ewy zamigotał uśmiech, taki sam jak w oczach kapłana. Robert udał święte oburzenie.

— Dobrze, dobrze — przerwał mu ksiądz Andrzej — tak tylko powiedziałem, na wszelki wypadek. Zostawiam was i jeszcze raz proszę, żebyście uważali — to mówiąc, ruszył drogą prowadzącą do wsi.

— Oryginał — powiedziała Ewa, gdy oddalił się na tyle, że nie mógł ich słyszeć.

— Uroczy oryginał — uściślił Robert. — Nie mogę mu tylko wybaczyć tego ogrzewania.

— Dzięki temu masz pracę i przyczyniasz się do rozwoju nauki.

— Nie jestem pewien. Nie pochwalam fragmentarycznych badań. Co z tego, że zbadamy kilkadziesiąt pochówków, skoro są zaledwie procentem pewnej całości, o której nie będziemy mieć pojęcia.

— Przesadzasz. Dobrze wiesz, że badania nad całym kompleksem musiałyby trwać latami. A wy macie tylko kilka tygodni i jest was zdecydowanie zbyt mało.

— Nas, Ewo — podkreślił Robert, zaglądając jej w oczy — czy tego chcesz, czy nie, należysz do drużyny.

Ich kroki rozległy się echem w pustej nawie. Powietrze pachniało kurzem i dymem kadzidła, tak samo starym jak kościelne mury. Słońce wpadające przez gotyckie, dwudzielne okna znaczyło wytartą kamienną posadzkę podłużnymi smugami blasku. W ostrym świetle widoczna była każda szczelina kilkusetletnich ścian.

Robert zdjął flanelową koszulę, którą miał na sobie, i podał Ewie.

— Zawiąż sobie wokół bioder — polecił. — Tak będzie lepiej.

— Dziękuję — odparła szeptem — nie pomyślałam o tym. Owinęła się starannie, zakrywając szczuple uda.

Zatrzymali się na wprost ołtarza, na wysokości transeptu. W prezbiterium panował półmrok, zachodzące słońce nie docierało aż tutaj. Ewa wyobraziła sobie blask, który o poranku musiał się wlewać przez ogromne wschodnie okna i odbijać od bieli obrusa na ołtarzu.

— Jesteśmy w najstarszej części kościoła — powiedział Robert i zaczął się wpatrywać w masywne przyściennie filary nawy głównej. — Popatrz na sklepienie gwiazdziste nad nami. Tylko ono przetrwało, inne

sklepienia rozebrano, zastępując je drewnianymi stropami. A tutaj — pokazał, przechodząc do południowego ramienia transeptu — zachowały się fryzy z cegieł ustawionych na kant. Kiedyś było tu znacznie więcej rzeźbionych detali architektonicznych. Głowice i bazy filarów, a także fragmenty ceramicznego fryzu znalezione w prezbiterium trafiły do muzeum w Szczecinie. Może je tam widziałś.

— Nie pamiętam.

— Kaplice też wyglądały kiedyś zupełnie inaczej — ciągnął Robert, nie zwróciwszy uwagi na jej słowa — ich ściany wieńczył fryz arkadkowy. Były kryte sklepieniem krzyżowo-żebrowym i pulpitowym dachem. Później, jak już wiesz, kaplice południowe rozebrano, a północne podwyższono do tego stopnia, że ich dach zupełnie zasłania w tym miejscu okna transeptu. Tylko tutaj są one romańskie: wąskie, zamknięte łukiem półokrągłym. Z transeptu na zewnątrz prowadziły pierwotnie dwa — także romańskie — portale, dzisiaj południowy jest zamurowany. Północny mijaliśmy, obchodząc kościół dookoła.

Gdy skończył mówić, Ewa zawróciła powoli i zrobiła kilka kroków w kierunku wyjścia. Idąc wzdłuż drewnianych, mocno zniszczonych ławek, tropiła gasnące plamy światła na płytach posadzki. Mimo to potknęła się na niewidocznym występie i gdyby nie Robert, na pewno by się przewróciła.

— Patrz pod nogi — powiedział jak do dziecka.

— Przecież patrzyłam — odparła, próbując wyswobodzić się z jego uścisku. Puścił ją niechętnie. — I nic nie zauważyłam. — Przykłękła i zaczęła badać opuszkami palców szorstką powierzchnię kamieni. Robert patrzył z góry na jej pochyloną głowę, w końcu skapitulował i kucnął obok.

Na twarz i dłonie Ewy padały ciepłe, złociste promienie i rozlewały się na kamieniach między jej palcami. Roberta doszedł niezwykle intensywny zapach rozgrzanego słońcem ciała, w którym odnalazł woń ziemi, mięty i rumianku. No tak, pomyślał, Tytania nie mogłaby pachnieć inaczej. Zapatrzył się na jej jasne czoło, linię brwi, cień pod powiekami. Gdy na niego spojrzała, blask przenikający przez

południowe okna przejrzał się w jej źrenicach i zmienił je w dwa zwierciadła. W ich zielonej tafli Robert na mgnienie oka zobaczył siebie.

— Jesteś bardzo piękna — powiedział, gdy Ewa wróciła do oględzin płyt pod nogami.

— Jak często zdarza ci się to powtarzać? — spytała spokojnie, nie przerywając swoich obserwacji.

— Nie tak często, jak myślisz. I znacznie rzadziej, niż bym chciał.

— Naprawdę? — spytała kpiąco. W jej oczach nie było jednak uśmiechu, tylko ostrzeżenie i mądrość wszystkich kobiet świata. — Nie rozrabiaj — powiedziała poważnie i znowu pochyliła się nad posadzką. Robert chciał powiedzieć, że źle zrozumiała jego słowa, ale w tym momencie kobieta syknęła i odruchowo włożyła palec do ust.

— Co się stało? — zaniepokojony Robert patrzył, jak w skupieniu ogląda paznokieć wskazującego palca prawej ręki.

— Ta płyta się rusza — zauważyła spokojnie. — Przycięłam sobie palec. Mam nadzieję, że nie spuchnie. Spróbujemy zdjąć?

— Paznokieć? — uśmiechnął się Robert.

— Kamień. Rusza się. Czy mówię wystarczająco dużymi literami? Chcę wiedzieć, dlaczego.

Mężczyzna wyjął z kieszeni duży składany nóż, otworzył ostrze i włożył w szczelinę. Ledwie dało się je wsunąć między starannie dopasowane płyty.

— Spróbuję podważyć.

— Uważaj, bo jest dość ciężka, dobrze, że mi nie urwało palca.

— Dobrze, że sobie nie wybiłaś zębów na równej drodze.

— Jak się okazuje, nie dość równej — sprostowała Ewa. Stała nad Robertem i zaglądała mu przez ramię. Rzucił okiem na jej buty.

— No proszę, nic dziwnego, że musiałem cię ratować. Dni twoich sandałów są policzone. Jeden woła jeść.

— Musiał się rozkleić przy potknięciu. Nieważne. No dalej, zdejmij tę płytę.

— Łatwo powiedzieć — sapnął Robert, unosząc kamień z jednej strony. — Nie mogę złapać drugą ręką, a jedną nie utrzymam.

— Poczekaj — Ewa uklękła obok niego i chwyciła za brzeg. Oparła się na nim ramieniem, żeby nie stracić równowagi. — Teraz złap z drugiej strony.

Nóż szczęknął metalicznie o twardą powierzchnię, zgrzyt stali był głośny i trudny do zniesienia. Ostrze pękło z trzaskiem i zostało w szczelinie.

— Cholera — zaklął Robert, masując zaczerwienioną dłoń.

— Włóż w szczelinę ten kikut, może wystarczy. — Stał grubsza u nasady rękojeści stawiała opór, nie mieszcząc się w wąskiej przestrzeni, w którą starał się ją wepchnąć.

— Nie zrób sobie krzywdy — powiedziała Ewa, czując, że jeszcze kilka chwil i nie utrzyma ciężkiego brzegu kamienia. Od kurczowego zaciskania bolały ją nadgarstki i stawy palców.

— Nie marudź — mruknął do niej Robert przez zęby. — Zawsze masz takie przygody czy tylko od czasu do czasu?

Resztką ostrza weszła w końcu w łączenie między płytami. Robert zacisnął szczęki, jakby to miało pomóc, i poderwał trzonek noża do góry. Kwadratowa płyta podskoczyła gwałtownie i mężczyzna złapał ją sprawnie, zanim zaskoczona Ewa zdążyła wypuścić swój koniec z rąk. Z wysiłkiem odłożył ją na bok.

— Zrobione, pani doktor — powiedział zadyszany — co pani dalej rozkaże?

— Popatrzmy — odparła, pochylając się nad ciemniejącym między nimi zagłębieniem.

— A mieliśmy nie rozrabiać — zauważył Robert, wpatrując się w płytki otwór, który wypełniony był wysuszoną ziemią albo czymś, co na ziemię wyglądało. Z jednej strony Ewa zauważyła znaczny ubytek. Ziemia musiała być tutaj mniej zbita i z czasem jej poziom się obniżył. Dlatego płyta delikatnie ruszała się pod naciskiem stóp. W miejscu, gdzie wsunęli ostrze noża pod płytę, powierzchnia klepiska była uszkodzona.

— Widzisz coś? — spytał Robert, gdy kilkunastominutowe oględziny nie dały żadnego rezultatu. Pokręciła przecząco głową. Oboje przesuwali palcami po brzegach zagłębienia, nie napotykaając nic, co mogłoby być najmniejszą wskazówką.

— Coś ci to przypomina? — zapytała z kolei Ewa, patrząc na niego bezradnie.

— Nie wiem — zastanowił się. — Potknęłaś się, więc zakładam, że płyta musiała być minimalnie wyżej niż pozostałe. Jakby ją ktoś wcześniej podnosił.

— Po co?

— Prace remontowe odpadają, bo dotyczyłyby większej powierzchni posadzki. Może płyta pękła i wymieniono ją na nową.

— Taką samą? — wyraziła wątpliwość Ewa. — Musiałaby się choć trochę różnić.

— Fakt. To bez sensu. Tak tylko kombinuję. Po co ktoś miałby ją w takim razie podnosić?

— Żeby coś schować? — odpowiedziała pytaniem na pytanie. Robert z politowaniem pokiwał głową.

— Jasne. Poszukiwaczka skarbów. Jeszcze mi powiedz, że ciągle ci się to zdarza.

— Nie. Nie ciągle — w cieniu nawy zajaśniał jej uśmiech — ale możemy to sprawdzić. — Nim Robert zareagował na jej słowa, chwyciła porzuconą obok zdjętej płyty resztkę noża i z rozmachem wbiła ją w kwadratową lukę w podłodze. Ziemia popękała, ale narzędzie wbiło się zaledwie na dwa centymetry.

— Twardo. Oddaj mi to — Robert zaczął dłubać w świeżym pęknięciu. Pracował w skupieniu, rozgarniając ziemię, którą udało mu się skruszyć. Ewa wzięła do ręki ułamane ostrze i zapamiętała wbijała je tuż obok ruchliwych dłoni mężczyzny. Odebrał jej ostry przedmiot.

— Nic nie rób — powiedział — bo się nawzajem pokaleczymy. — Przyznała mu rację i patrzyła, jak kupka piasku na posadzce nawy powiększa się z dużą szybkością. Nagle spod palców Roberta wyskoczył

duży fragment ziemi, który Ewa podniosła do oczu i zaczęła oglądać ze wszystkich stron. Od spodu widniały na nim dwie prawie równe, zbiegające się pod kątem prostym linie, odcisk czegoś, co ukryte było w ziemi. Wyciągnęła do kopiącego mężczyzny wyschniętą grudę. A nie mówiłam, uśmiechała się triumfalnie, sam zobacz.

— Tam musi coś być — powiedziała i przesunęła się, by do otworu między ich kolanami wpadło więcej światła. Słońce było już nisko nad horyzontem i nawet powoli wypełniał zmierzch. O tej szarej godzinie wszystko wokół wydawało się zamglone i wypłowiałe. Robert pospiesznie usuwał luźną ziemię, by znaleźć najmniejszy choćby zwiastun tajemnicy kryjącej się pod powierzchnią.

— Tutaj — usłyszał okrzyk Ewy i wpatrzył się w jednorodną szarość pod nogami.

W miejscu, gdzie tkwiła wcześniej obejrzana dokładnie gruda ziemi, widać było róg czegoś, co trudno było rozpoznać, a co kolorem nie różniło się specjalnie od otoczenia. Robert podważył róg, bardzo ostrożnie ciągnąc go ku górze. Ziemia pękła, znacząc rozmiar i kształt skarbu, który chcieli jej wydrzeć. Mężczyzna teraz już bez trudu wydobył na powierzchnię szarobrunatny pakunek i zaczął go otrząpywać z zaschniętej ziemi.

— To skóra — stwierdziła Ewa — przesuwając dłońmi po brzegach zawiniątka. Robert widział jej niecierpliwość, choć bardzo starała się ją ukryć. Wyglądała jak dziewczynka, która nie może się doczekać na Świętego Mikołaja. — Rozwiń — powiedziała szeptem, pokazując mu brzeg.

— Nie szepcz. Jesteśmy tu legalnie. Nie musimy się ukrywać.

— No już! — Zielone oczy błyszczały blisko jego twarzy. Robert położył paczkę na posadzce i zaczął rozwijać. Kawalek skóry był spory, a przedmiot zawinięto w nią kilkakrotnie. Z każdym ruchem mężczyzna coraz lepiej wyczuwał jego kształt. Przypominał spłaszczony prostopadłościan.

Kiedy rozwinął pakunek do końca, ich oczom ukazał się niezbyt duży, gruby, oprawny w skórę notatnik. Musiał być stary. Okładka była

wytarta, bez żadnego napisu czy znaku, kartki pożółkłe, częściowo postrzępione. Ewa przewracała je z nabożeństwem, nie chcąc uszkodzić cennego znaleziska. Brulion był zapisany do połowy. Strony pokrywało kanciaste, zdecydowane, pochylone w prawo pismo. Szeregi słów zapisanych czarnym atramentem były gdzieś rozmyte, ale raczej czytelne. Sprawiały wrażenie ozdobnego zaszyfrowanego tekstu. Robert pochylił się nad stronicami, przyglądając się z uwagą krojowi liter i rysunkom, które pojawiały się od czasu do czasu.

— To niemiecki — stwierdził, przebiegając wzrokiem kilka pierwszych wyrazów.

— Naprawdę? Nie znam.

— Ale ja znam — powiedział Robert.

— Dobrze? Potrafisz to przeczytać i przetłumaczyć?

— Mój ojciec jest emerytowanym dyplomata, kilka lat mieszkaliśmy w Berlinie. Tam zdawałem maturę.

— Jestem pod wrażeniem.

— Niepotrzebnie. Zbieramy się z tym. Tutaj już prawie nic nie widać. A jeszcze musimy posprzątać — rozejrzał się wokół siebie. — Zrobiliśmy niezły bałagan. Pod tą płytą trzeba będzie podrzucić ziemi, po wyjęciu notatnika może się ruszać. Przyniosę trochę z hałdy przy naszym wykopie, a ty postaraj się, by piasek zniknął z posadzki, jeśli to w ogóle możliwe.

Wyrównanie powierzchni i ułożenie płyty tak, by nie wystawała ponad poziom wyznaczony przez inne, zajęło im trochę czasu. Gdy wyszli na zewnątrz, niebo miało już kolor popiołu. Robert stosując się do zaleceń gospodarza świątyni, pozamykał dokładnie drzwi. Z żalem popatrzył na dom konwersów.

— Dzisiaj już go nie zwiedzimy. Jest za późno. Trzeba będzie jeszcze raz poprosić księdza Andrzeja o klucze.

— Tak — przytaknęła Ewa — wracajmy. — Odwiązała koszulę, która do tej pory okrywała jej nogi, i chciała oddać Robertowi.

— Załóż ją. Zrobiło się chłodno. — Posłusznie zarzuciła koszulę na ramiona. Wieś w oddali mrugała do nich pierwszymi światłami.

Inwentaryzacja wlokła się w nieskończoność. Magda pochylona nad zeszytem wpisywała w rubryki kolejne numery. Później dopisywała je na metryczkach zabytków i szarych kopertach, w które zapakowane były kości z poszczególnych grobów. Ar 7, ćwiartka III, działka c, grób 17. Nr K200.../17/21 kości miednicy. Co za nuda. Siwy miał serdecznie dość patrzenia na jej okrągłe, niespodziewanie kobiece pismo. Doszedł nawet do wniosku, że pismo Magdy jest jej jedyną kobiecą cechą. Z rezygnacją podawał jej kolejne koperty i odbierał podpisane, układając je, jedna za drugą, w dużej plastikowej skrzynce stojącej na podłodze. Pedanteria pozbawionej wdzięku koleżanki była nie do zniesienia, więc spojrzał udręczonym wzrokiem na Wodza, który pod czujnym okiem Doroty z nikłym zaangażowaniem poprawiał plan wschodniej części wykopu.

Z drugiej strony stołu siedziała Ula i uzupełniała dziennik badań, do którego należało wprowadzić numery kilku odsłoniętych wczoraj obiektów. Piotr uparł się, żeby zrobić to koniecznie teraz, a groby opisać z pamięci, co, według Siwego, nie było najmądrzejszym rozwiązaniem. Jednak z rozmowy Piotra z Ulą wywnioskował, że nierozsądnie byłoby się sprzeciwiać. Kierownik był w fatalnym nastroju. Tak wkurzonego jeszcze go Siwy nie widział.

— Gdzie jest Robert? — Piotr wypadł z pokoju i rzucił pytanie ponad głowami pracującej grupki.

— Nie ma — usłyszał w odpowiedzi. Nikt nie potrafił mu wyjaśnić, gdzie podziewa się od kilku godzin ekspedycyjny fotograf. Piotr nie musiał pytać, by stwierdzić, że nie ma także Ewy, i podejrzewał, że zguby odnajdą się jednocześnie. Irytujące, pomyślał, wracając do siebie. Trzaśnięcie drzwi rozległo się echem w ogromnym szkolnym korytarzu. Ula wtuliła głowę w ramiona. Chłopcy popatrzyli za Piotrem z dezaprobatą.

— Stało się coś? — Przez drzwi wejściowe zajrzał do korytarza zwabiony hałasem Marcel. Obaj z Tomkiem wykonywali prace

najprostsze i to popołudnie upłynęło im na myciu kości. Na ogół oddawali się tej czynności na szkolnym podwórku, ukryci za żywopłotem. Dyskrecja i brak ostentacji — powtarzali rozbawionym kolegom — co by to było, gdyby ktoś nas zobaczył przy tej pracy, na przykład z kością udową w dłoni. Trudno było nie przyznać im racji. Ludzka kość udowa była dziwnie rozpoznawalna, w swojej jednoznaczności ustępowała jedynie ludzkiej czaszce. Jej widok mógł prowadzić do różnych reakcji. Przypadkowych świadków należało unikać jak ognia.

— W zasadzie nic — odpowiedziała mu Dorota, widząc, że pozostali nie zamierzają się odzywać. — Piotr się ciska. Jak sądzimy, powodem jest zazdrość.

— Pani doktor urwała się ze sznurka?

— Jakbyś zgadł. Jeżeli w ogóle możemy mówić o jakimkolwiek sznurku. Zachodzi podejrzenie, że z Robertem — dodała Magda, unosząc wzrok znad równego szeregu liter i cyfr poprzedzielanych ukośnikami.

— Skąd — zaoponował Wódcz. — Zostawiłem go pod barem nad pustym kuflem, samego.

— To mała miejscowość. Mogli spotkać się później.

— To chyba nie nasza sprawa? — spytała łagodnie Ula, posyłając w świat jeden ze swoich nieprawdopodobnych uśmiechów.

— Właściwie nie nasza — odpowiedział zgodnie z prawdą Siwy, gdy uśmiech wybrzmiał i rozplynął się w powietrzu, uwalniając zebranych spod swojego magicznego wpływu. — Nie nasza, ale zawsze coś się dzieje. Najlepszy dowód, że Piotr się wścieka. A Robert też nie w ciemną bity, bo wykręcił się od roboty i do tego uprowadził piękną panią doktor.

— Wcale nie jest taka piękna — powiedziała Dorota, która w pierwszej chwili była gotowa polubić Ewę, a teraz zaczynała odczuwać do niej coraz większą niechęć.

— Bredzisz, dziewczyno — powiedział Marcel, który utknął w drzwiach na dobre. — Warunki to ona ma. Ale nie wyciągajmy zbyt daleko idących wniosków — dodał widząc, że Dorota wyraźnie straciła humor.

— Plotkarze — z pokoju dziewcząt wyłoniła się Agata, bardzo potargana i wyraźnie rozzłoszczona. — Nie dacie pospać. Słyszałem was chyba na końcu wsi. Zwróćcie uwagę, że od Piotrka dzielą was tylko jedne drzwi. Wkurzy się jeszcze bardziej, jak usłyszycie wasze uwagi. Intryganci — prychnęła jak kotka — piszcie scenariusze, zamiast grzebać w ziemi. To bardziej twórcze, nie mówiąc już o tym, że dochodowe.

— Cisza — wrzasnął Piotr zza drzwi i wszyscy umilkli.

— O, nie mówiłam! — Agata ziewnęła. — Zdecydowanie nie jest to jego najlepszy dzień.

Proboszcz mieszkał w niewielkim, otynkowanym na biało parterowym domu. Zza drewnianego płotu wychylały się ciemne główki malw dobrze widoczne na tle znacznie jaśniejszych ścian. W narastającym mroku trudno byłoby dociekać ich koloru. Furtka otworzyła się z cichym skrzypnięciem.

— Nigdy jej nie zamyka — wyjaśnił Robert Ewie, puszczając ją przed sobą.

Pod oknami kwitły róże. Ksiądz Andrzej nie miał gospodyni, wszystko robił sam, i w domu, i w ogrodzie. Wąski chodnik doprowadził ich do ganku. Weszli po trzech stopniach i znaleźli się przed drewnianymi drzwiami, na których wisiała zabytkowa kołatka z brązu. Ewa przyjrzała jej się zauroczona miękką linią zdobienia. Robert przez chwilę miał wrażenie, że już ją kiedyś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Na pewno nie przy pierwszej wizycie na tej niezwyklej plebanii, bo wówczas, pamiętał to dobrze, drzwi stały otworem. Ksiądz Andrzej źle znosił upały.

— Nie wiem, skąd ją wziął — odpowiedział Robert, gdy spojrzała na niego pytająco — ale musi być bardzo stara — zastukał delikatnie trzy razy. Dźwięk, który rozległ się wewnątrz domu, przypominał stukot wielkopostnych grzechotek. Zza drzwi dobiegło ich szuranie stóp i w prostokącie światła pojawiła się siwa głowa proboszcza. Poznał Roberta i otworzył szeroko drzwi.

— Wejdźcie, moi mili — zaprosił ich do środka.

— Już późno, chcieliśmy tylko oddać klucze. Dziękujemy.

— Jak zwykle. Chyba nie doczekam dnia, w którym będę mógł poczęstować was herbatą — powiedział kapłan. Robert nigdy nie był wewnątrz. Ostatnio też rozmawiali, stojąc w progu. — Obejrzelście dom konwersów?

— Niestety — Ewa potrzęsła burzą loków — zanim obejrzelśmy kościół, zrobiło się ciemno. Znaleźliśmy... — umilkła na chwilę, bo Robert w ciemności wziął ją za rękę i ścisnął ostrzegawczo — ...miejsce, gdzie część romańska łączy się z gotycką — zakończyła niezgrabnie, a ksiądz uśmiechnął się dobrodusznie. Blask lampy wiszącej w przedpokoju oświetlił jego twarz i zmarszczki biegnące promieniście od powiek ku skroniom.

— Jestem przekonany, że nie musieliście długo szukać. Robert zna na pamięć wszystkie tajemnice kościoła.

— Na pewno nie wszystkie — zaproponował młody mężczyzna, czując, jak szorstka skóra, w którą powtórnie zawinęli notatnik, uwiera go pod pachą. — Chodź, Ewa, musimy wracać. Piotr i tak zrobi nam awanturę.

— Jeszcze jedno pytanie — zatrzymała go i zwróciła się do gospodarza, dotykając pieszczotliwie pięknej kołatki na drzwiach. — Skąd ksiądz ją ma?

— Wisiała już na tych drzwiach, kiedy się wprowadzałem. Może mój poprzednik wiedziałby coś na jej temat. Niestety nie żyje.

— I nie zna ksiądz jej historii? Na pewno jest zabytkowa.

— Nie jestem historykiem sztuki. Polubiłem ją, dlatego jej nie zdjąłem.

Pożegnali się i drzwi się zamknęły. Kołatka cicho stuknęła, gdy szli przez ogródek. Na drodze Ewa nie wytrzymała i odezwała się:

— Dlaczego mu nie powiedziałeś?

— Nie wiem — odparł Robert zgodnie z prawdą. — Chciałem najpierw pokazać go Piotrowi, zajrzeć do środka, dowiedzieć się czegoś o autorze. Z księdzem Andrzejem jeszcze zdążymy porozmawiać. No nie

patrz tak na mnie. Nie zamierzam trzymać tego w tajemnicy przed całym światem.

Do szkoły weszli na palcach. W korytarzu było już ciemno, koledzy widać uporali się z wieczornymi obowiązkami i poszli do baru. W pokoju Piotra świeciła się lampa i Robert, zbliżając się do jego drzwi, poczuł wyrzuty sumienia. Dotknął skarbu ukrytego pod koszulką, by dodać sobie pewności siebie, zapukał i po raz drugi tego długiego dnia wsunął głowę do pokoju.

Piotr siedział za stołem z głową opartą na dłoniach i głęboko się nad czymś zastanawiał. Kiedy usłyszał szcęknięcie zamka, podniósł wzrok i popatrzył na przyjaciela z wyrzutem.

— Piotrusi — Robert czuł się nieswojo pod tym obwiniającym spojrzeniem — możemy wejść?

Nie odpowiedział, tylko wskazał krzesła stojące po drugiej stronie stołu. Usiedli obok siebie jak dwoje winowajców.

— Nie zwolniłem cię z wieczornych zajęć — powiedział Piotr, starannie omijając Ewę wzrokiem. Wciąż miała na sobie koszulę Roberta, którą natychmiast rozpoznał.

— To przeze mnie — wtrąciła się, nim Robert zdążył odpowiedzieć. — Chciałam zobaczyć klasztor. A potem... — zawiesiła głos, jakby Robertowi chciała pozostawić decyzję, co powiedzieć, a co ukryć przed kierownikiem badań.

— A potem — podjął Robert i wyjął zza paska zawiniątko, które ostrożnie położył na stole — potem znaleźliśmy to.

Piotr przyglądał się paczce, nie bardzo rozumiejąc, co widzi. Robert powoli zaczął rozwijać płat skóry i wkrótce zobaczyli zniszczoną twardą okładkę notatnika.

— Skąd to macie? — głos Piotra z przejścia lekko się załamał. Otworzył brulion i wpatrzył się w czarne litery, które nieznanym autor związały ze sobą w słowa.

— Znaleźliśmy w kościelnej nawie — powiedział Robert — a właściwie to Ewa to znalazła.

— Ewa? — Piotr oderwał się na moment od znaleziska. — Dlaczego mnie to nie dziwi? Zawsze była czarownicą.

Obdarzył kobietę jednym z tych spojrzeń, które Robert nauczył się rozpoznawać rano. Było w nim echo przeszłości i chęć powrotu. Bezwiednie zacisnął dłonie. Jak się okazało, niepotrzebnie. Wyraz twarzy Piotra zmienił się, gdy znowu ogarnął wzrokiem notatnik.

— Opowiadajcie — zażądał. Nagle zapomniał o gniewie i wyrzutach, którymi chciał ich zasypać. Przestał myśleć nawet o zazdrości, z którą nie mógł sobie poradzić przez cały wieczór. Ocknęła się w nim ciekawość badacza i zagłuszyła wszystkie inne uczucia. Słuchał historii z przejęciem i zrozumieniem. Niecierpliwił się, gdy sobie wzajemnie przerywali lub przeczyli. Skupiony na opowieści nie dostrzegł tego, co oni zaczęli właśnie rozumieć, że w jakiś przedziwny sposób los skojarzył ich ze sobą, powierzając rozwiązanie wspólnej zagadki.

— Kto jeszcze wie o jego istnieniu? — spytał Piotr, gdy zrelacjonowali przebieg wydarzeń.

— Nikt — odpowiedzieli zgodnie.

— Nie powiedzieliśmy nawet proboszczowi — dodał Robert — coś nas powstrzymało.

— Trzeba będzie powiedzieć — zdecydował Piotr — ale jeszcze nie teraz. Przeczytasz to? — zwrócił się do Roberta z pytaniem, w którym pobrzmiwała prośba. Dobrze znał umiejętności przyjaciela.

— Z przyjemnością. Przecież wiesz, że uwielbiam takie starocie.

Piotr skinął głową i zaczął mierzwić sobie włosy. Robił to zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał.

— Na razie niech to zostanie między nami. Powiemy reszcie, jak dowiemy się czegoś więcej o autorze. Tymczasem zacznij czytać. Może mógłbyś od razu robić tłumaczenie?

Za oknem rozległ się głos Tomka, który sprzeczał się o coś z Wodzem. Robert popatrzył na zegarek, który nosił w kieszeni spodni, i ze zdziwieniem stwierdził, że jest po jedenastej. Podniósł się z ociąganiem. Nie chciał zostawiać Ewy z Piotrem, ale nie potrafił znaleźć

powodu, by zostać. Tymczasem Ewa przyszła mu z pomocą i wstała również.

— Idę spać — powiedziała z dłonią na klamce. — Musiałam wstać o świcie, żeby do was dotrzeć. Dobrej nocy.

Robert wyszedł tuż za nią.

— Odpocznij — powiedział, gdy znaleźli się za progiem. Z zewnątrz dobiegły go głosy kolegów i pomyślał, że zdąży jeszcze zamienić z nimi trzy słowa. Może nawet podzielił się z nim jakimś nadprogramowym piwem.

— Będziesz mnie informował na bieżąco? — zapytała Ewa, myśląc o lekturze, którą miał przed sobą. — Kiedy zamierzasz zacząć? Może moglibyśmy to robić razem? — dodała, bezskutecznie tłumiąc ciekawość.

— Myślałem, że jesteś zmęczona — odparł Robert z uśmiechem.

— Jeśli chodzi o notatnik, mogłabym zacząć zaraz — powiedziała żarliwie.

— Ale nie znasz niemieckiego.

— Ty znasz, ja będę zapisywać to, co podyktujesz, słowo w słowo.

— Nie wątpię. Ale już nie dzisiaj, dobrze? Lepiej nie drażnić lwa — dodał, mając na myśli tkwiącego w swojej dziupli Piotra. Chciałby wiedzieć, co kiedyś łączyło tych dwoje, ale nie śmiał pytać ani Piotra, ani Ewy. Słusznie uznaliby, że wtyka nos w nie swoje sprawy.

— Obiecuj, że nie zaczniesz beze mnie — powiedziała Ewa półgłosem, przerywając jego rozważania, i ten ton sprawił, że Robert poczuł się jej współnikiem.

— Obiecuję — odparł bez zastanowienia, bo wydało mu się, że nie mógłby odpowiedzieć inaczej. Nie teraz, w tej ciszy i pustce korytarza, w którym stali tak blisko siebie, że mógłby policzyć piegi na jej policzkach, gdyby tylko przyszło mu to do głowy. I gdyby pozwalało na to oświetlenie.

Może to się wyjaśni przy okazji, uznał, wracając myślą do Ewy i Piotra, i odprowadzając ją wzrokiem do drzwi pokoju. Jest niesamowita,

pomyślał jeszcze, nim wyszedł na zewnątrz.

Archeolodzy siedzieli na stopniach szkoły i sączyli piwo, dyskutując o czymś zawzięcie przyciszonymi głosami. Gdy Robert usiadł obok nich, ucichli, więc domyślił się, że to właśnie on był tematem rozmowy.

— Podpadłeś szefowi — zauważył w końcu architekt Jacek i podał Robertowi butelkę.

— Wiem. Nic nie poradzę, że tak wyszło — Robert pociągnął łyk piwa, żeby zyskać na czasie. Zastanawiał się, co powiedzieć, żeby powiedzieć jak najmniej i żeby zabrzmiało to naturalnie.

— Ewa chciała zobaczyć klasztor.

— I ciebie wybrała na przewodnika? — z tonu pytania Siwego, które ociekało ironią, Robert wywnioskował, że obrał złą taktykę.

— Miałem odmówić? — próbował się bronić.

— Ależ skąd — wyraził opinię męskiej części ekspedycji Marcel. — Szczęściarz z ciebie. Piotra mało szlag nie trafił. Przez pół dnia był nie do zniesienia.

— Tego się właśnie obawiałem. Nie zamierzałem wchodzić mu w drogę — powiedział Robert, przypominając sobie swoją odmowę. Przynajmniej próbowałem powiedzieć nie, pomyślał. Zresztą, gdybym się skuteczniej opierał, nic byśmy nie znaleźli. Miał nadzieję, że szef to doceni i puści w niepamięć jego wieczorną nieobecność. W gruncie rzeczy przecież Piotr nie ma najmniejszych powodów do zazdrości. Jeszcze, podszeptał mu jakiś wewnętrzny głos. Jeszcze albo już, perswadował sobie. I po sprawie.

— Gdzie dziewczyny? — zapytał, żeby zmienić temat.

— Poszły się przejść. Dorota była w nie najlepszym humorze — Siwy popatrzył na niego z niechęcią, ale Robert nie czuł się winny. Prawie, wewnętrzny głos znowu się uaktywnił i Robert próbował mu się przeciwstawić. Stanowczo nie mógł odpowiadać za nastroje koleżanki, choć oczywiście zdawał sobie sprawę, że Dorota ma do niego słabość.

Dała mu to odczuć już pierwszego dnia wykopalisk. Była ładna, ale ciągle bardziej w typie dziewczynki niż kobiety.

Widząc, że rozmowa się nie klei, a każda nowa próba nawiązania kontaktu służy tylko utrwaleniu jego wizerunku donżuana, Robert skapitulował. Miał dość atrakcji jak na jeden dzień, poczuł nagle, że jest bardzo zmęczony. Właściwie przez całe popołudnie był spięty i dopiero teraz, po piwie, odprężył się i uspokoił, a oczy zaczęły mu się kleić. Oddał butelkę Jackowi i poszedł się położyć. Zawinięty w skórę dziennik podłożył pod karimatę, by czuwać nad nim przez sen. Zasnął natychmiast, bez barwnych obrazów, strzępków myśli, karuzeli wspomnień, sam na sam z ciemnością i własnym oddechem.

Dzień drugi

Tuż przed świtem przez otwarte okno wdarł się do pokoju poranny ptasi śpiew. Przez kilka minut brzmiał w powietrzu, nim dotarł do Roberta i zmusił go do podniesienia ciężkich od snu powiek. W pokoju widać było już szare zarysy przedmiotów. Ptasie tony, których Robert nigdy nie nauczył się rozróżniać, a czego zawsze żałował, komponowały się dość nietypowo z miarowym pochrapywaniem młodych, zdrowych mężczyzn. Obudzony wsłuchał się w ten oryginalny koncert.

Nagle odechciało mu się spać. Dziennik pod głową uwierał nieznośnie, więc wyciągnął go, odwinął i położył przed sobą na śpiworze. Z czułością pogłaskał starą, wysłużoną, skórzaną okładkę. Im dłużej na nią patrzył, tym większą miał ochotę dowiedzieć się, co kryje. O śnie w tym stanie ducha nie mogło być mowy. Ciekawość Roberta rosła, ale wciąż zwlekał z otwarciem notesu, dla samej przyjemności czekania. Mógł zajrzeć do środka w każdej chwili i to także było przyjemne — świadomość, że on sam o tym zdecyduje. Nie wiedział, jak długo trwał w tym stanie. Podłoga wokół pojaśniała, ciepły blask osiadł na ścianach i swoim oddechem objął także skórzany prostokątny kształt. Otworzyć, nie otworzyć, zastanawiał się Robert. Obiecałem Ewie, przypomniał sobie, i to go powstrzymało. Ale przecież ona nie musi o tym wiedzieć, zaczął się droczyć ze sobą, świadom, że ciekawość bierze górę nad chęcią dotrzymania słowa. Najwyżej potem zaczniemy od początku.

Wstał jak najciszej, by nie obudzić kolegów, wyszperał w plecaku jakiś zeszyt i ołówki, które zwykle woził ze sobą, po czym wsunął stopy w sandały. Podłoga zaskrzypiała ostrzegawczo, gdy idąc do drzwi, wciągał przez głowę grubą golf. Poranek mógł być chłodny, a Robert nie

chciał, by tak przyziemne sprawy jak temperatura powietrza zajmowały jego uwagę.

Z dziennikiem pod pachą wyszedł na zewnątrz. Na schodach panował jeszcze cień, ale na oparciach ławek stojących wzdłuż niewielkiego boiska układały się już pierwsze słoneczne promienie. Robert, czując przez sweter przyjemne ciepło, usiadł i przygotował się do pisania. Wreszcie drżącymi z przejęcia palcami otworzył brulion i zaczął czytać. Nie zdążył jednak dobrać do końca pierwszego zdania, gdy drzwi szkoły rozwarły się popchnięte energicznie od wewnątrz i na pewno uderzyłyby o ścianę z głuchym łoskotem, gdyby ktoś ich w ostatniej chwili nie przytrzymał.

Po schodkach zbiegła Ewa z włosami w nieładzie, w dresie i w polarze. Z wojowniczą miną przysiadła obok Roberta na ławce.

— Zobaczyłam cię przez okno. Myślałam, że się umówiliśmy — powiedziała z wyrzutem. — A ty co? Dotrzymujesz czasem danego słowa?

— Przepraszam cię — Robert był naprawdę skruszony. — Nie mogłem się powstrzymać. Miałem cię obudzić?

— Nie trzeba by było — Ewa wydawała się nieprzejednana. — Jestem skowronkiem.

— Słucham? — nie skojarzył Robert, zapatrzony na jej rozczochrane włosy.

— Wstaję wcześniej, z natury.

— Skąd miałem wiedzieć?

— Teraz już wiesz. I więcej mi tego nie rób. To nasza sprawa.

Powiedziała to w taki sposób, że Robert niemal zobaczył oczami wyobraźni, jak duże drukowane litery układają się w wyraz NASZA. Zrobiło mu się cieplej w środku. I radośniej. Może pod wpływem słońca, a może jej spojrzenia. Wolał się nad tym nie zastanawiać. Bez słowa podał Ewie zeszyt i ołówek.

— Proszę, pisz — powiedział i ponownie otworzył notatnik na pierwszej zapisanej stronie.

Nazywam się Otto Kleist i jestem historykiem. Gdyby ktoś mnie zapytał, po co przyjechałem do Kolitz, odpowiedziałbym, że po to, by rozwiązać zagadkę, ale byłaby to tylko część prawdy. W istocie zagadka pojawiła się później, gdy wiedziałem już o czekającej mnie podróży. Zrozumiałem wówczas, że nic w życiu nie dzieje się przypadkiem, a wydarzenia z przeszłości dają o sobie znać jeszcze przez wiele lat, w drugim, a może nawet w trzecim pokoleniu. Powinienem to wiedzieć, studiując tę, a nie inną dziedzinę nauki, pisząc rozprawy naukowe, czytając dzieła historyków. Człowiek dowiadywa się jednak o wszystkim zbyt późno lub wcale, a wiedza jest przywilejem wybranych, zdolnych ją pojąć i docenić. Widocznie zostałem zaliczony do tej wąskiej grupy, bo nim wyjechałem do Kolitz, poznałem pewną historię — inną historię mojej rodziny.

Moja matka zawsze powtarzała mi, że powinienem się uczyć, by być w życiu kimś, przez wzgląd na mojego ojca. Zostać kimś — to była moja misja. Ojciec byłby z ciebie dumny, mawiała nieraz, kiedy dostrzegała w moim działaniu jakiś cień tego mężczyzny, który w gruncie rzeczy osierocił nas oboje. Odziedziczyłem po nim imię, ale nie zdążyłem go poznać. Zginął na ulicy podczas manifestacji w Berlinie w 1848 roku, a ja urodziłem się przedwcześnie, zaraz potem, gdy doniesiono matce o jego śmierci. Nikt nie wierzył w to, że przeżyję pierwsze godziny, ale we mnie tlił się już widać niezłomny duch ojca. Może odchodząc, przekazał mi go, skoro nie mógł być przy mnie, gdy dorastałem, kształciłem się i szukałem własnej drogi.

Matka wyszła powtórnie za mąż, kiedy miałem pięć lat. Moim ojczymem został dawny dobry przyjaciel ojca ze studiów, architekt Hermami Staff, którego znałem od zawsze.

Matka została panią Staff, ja jednak zachowałem nazwisko ojca. Przez wszystkie te lata Hermann próbował mi go zastąpić, ale nigdy nie kazał się tak nazywać. Byliśmy przyjaciółmi zakochanymi w tej samej kobiecie, mojej matce. Odeszła, gdy dostałem się na uniwersytet. Wcześniej lekarze stwierdzili chorobę serca. Nie potrafili jej uratować ani dla mnie, ani dla Hermanna, który po pogrzebie

spakował swoje rzeczy i wyjechał do Afryki, zostawiając mnie samego w dużym, nagle zupełnie pustym mieszkaniu. Najwidoczniej on nie mógł spokojnie patrzeć na mnie, a ja na niego. Zanadto przypominaliśmy sobie o naszej stracie.

Przez kilka lat nie miałem od niego żadnych wiadomości. Kiedy wrócił, posiwiaty, ale opalony i jakby bardziej męski, byłem już młodym historykiem o znanym nazwisku. Moje artykuły cieszyły się uznaniem, studenci tłumnie przychodzili na moje zajęcia, a kobiety uśmiechały się promiennie na mój widok. Byłem w tym czasie zadowolonym z życia trzydziestolatkiem, bez rodzinnych zobowiązań i wspomnień, skupionym na sobie i na tym, co właśnie mnie zajmowało. Przyjazd Hermanna wyrwał mnie z klatki samozadowolenia, przywołał do porządku. Znowu myślałem o dzieciństwie, matce i dwóch ojcach, z których żaden nie był ojcem z prawdziwego zdarzenia. Hermann wprowadził się do mnie i przez jakiś czas było tak jak kiedyś. Z jedną różnicą, nie słyszeliśmy już kroków matki krzątającej się w kuchni i w salonie.

Zmylił mnie jego wygląd, jego tężyzna i pogodna, opalona twarz. Hermann przywiózł ze sobą jakąś tropikalną gorączkę, której źródła nasi lekarze nie potrafili rozpoznać i z którą walczyli bardzo nieskutecznie. Z biegiem lat jej nawroty były coraz częstsze, a chory słabł i wymagał coraz troskliwszej opieki. Miałem wkrótce wyjechać na badania do miejscowości Kowitz, znanej ze starego cysterskiego klasztoru, który niszczał wśród pól. Moim zadaniem był nadzór nad odbudową dachu, który zawalił się ostatniej zimy pod ciężarem śniegu. Miałem zadbać o to, by nadano mu pierwotny kształt. Cieszyłem się na myśl o podróży, ale obawiałem o Hermanna, ponieważ nie było nikogo, z kim mógłbym go zostawić. Kiedy wspomniałem mu o wyjeździe, w jego oczach zapalił się osobliwy blask, który wziąłem za objaw gorączki. Cierpiał na nią wówczas niemal bez przerwy i był tak wycieńczony, że leżał kilka godzin dziennie. Powód jego ożywienia był jednak inny.

Pewnego wiosennego wieczoru (pamiętam zapach bzów, który sączył się do pokoju, dlatego myślę, że było to w maju), kiedy siedziałem przy nim, a w domu poza nami nie było ani służącej, ani żadnego z licznych lekarzy, Hermann wskazał mi blat stołu i polecił zajrzeć pod spód. Była tam przemyślnie zamocowana szuflada, o której istnieniu dotąd nie wiedziałem, wypełniona różnymi starymi papierami. Zacząłem je przeglądać, nie bardzo wiedząc, czego szukam. Plan, wychrypiał z trudem mój przyjaciel, znajdź plan. Leżał na samym spodzie, pod metrykami, świadectwami ślubów i aktami zgonów. Na pewno był bardzo stary, przemknęło mi przez głowę, że mógłby mieć nawet kilkaset lat, ale ta myśl zgasła równie szybko, jak się pojawiła, bo wydało mi się to niemożliwe. Poczulem, jak kielkuje we mnie ciekawość. Kartka pergaminu była bladeożółta, niemal przezroczysta. Ktoś dawno temu wprawną dłonią narysował na niej plan kościoła, gotyckiego, o ile mogłem się zorientować. Pewną czarną kreską starannie zaznaczono mury, wyodrębniono transept, prezbiterium i kaplice, delikatniejszą linią narysowano przebieg żeber sklepienia w każdym z przęseł. Kościół był podzielony na część dla mnichów i dla konwersów — pośrodku nawy głównej widniał rodzaj prostokątnej przegrody, może był to ołtarz, a może lektorium. Podczas studiów, a także później zajmowałem się historią różnych zakonów, wiele z nich powstało przecież w średniowieczu, a tej epoce poświęcałem czas ze szczególnym upodobaniem. Łaciński opis poszczególnych elementów budowli, który widniał pod rysunkiem, prawdopodobnie sporządzony przez architekta, nie był dla mnie trudny do rozszyfrowania. Na odwrocie zobaczyłem słowo Lehnin. Znałem miejscowość o tej nazwie, położoną na południowy zachód od Berlina, słyszałem, że był w niej klasztor, nie wiedziałem jednak, czy ma związek z rysunkiem. Nigdy nie byłem w Lehnin. Pomyślałem, że muszę to sprawdzić. Czułem już, podpowiadał mi to instynkt badacza przez lata karmiony historycznymi tekstami, że od tego niewielkiego kawałka pergaminu pachnie tajemnicą. Hermann przyglądał się, jak obracam go w dłoniach. Miał bladą twarz i drobne

krople potu na czole. To gorączka znowu dawała o sobie znać. Gestem dał mi znak, żebym znowu usiadł przy łóżku. Musisz o czymś wiedzieć – powiedział, z trudem łapiąc oddech. zaproponowałem, że pójde po lekarza, bo wydawało mi się, że jego stan pogarsza się z każdą chwilą. Za późno, usłyszałem w odpowiedzi, mam mało czasu, dlatego usiądź i słuchaj.

Robert z trudem oderwał się od lektury, gdy usłyszał głosy, dobiegające ze szkoły. Zrobiło się zupełnie ciepło. Ściągając golf przez głowę, uświadomił sobie, że stracił poczucie czasu. Tymczasem była już siódma i ekspedycyjne ranne ptaszki informowały świat o swym doskonałym samopoczuciu. Najdonośniej robił to Wódz, którego bas rozlegał się na tyle głośno, że Robert mógł rozróżnić słowa. Poszukiwania czystego podkoszulka wydały mu się mało interesujące. Przestał więc słuchać i wpatrzył się w zapisane strony zeszytu. Ewa wyjęła mu notatnik z rąk i przekartkowała, chcąc ocenić objętość zapisków. Tłumaczenie wymagało kilku, może kilkunastu godzin. Oboje wiedzieli, że nie ma innego sposobu na poznanie treści skórzanego brulionu. Nie chcieli się odrywać od niezwyklej wspomnień historyka w tak szczególnym momencie, ale rozsądek zwyciężył.

Za godzinę mieli być już pod klasztorem. Piotr nie znosił spóźnień, natomiast zdarzało się, że przedłużał dzień pracy i nie zawsze kończyli o szesnastej. Popołudnia mieli wolne, a wieczorami pracowali jeszcze dwie, czasem trzy godziny. Robert pomyślał, że poprosi Piotra o zwolnienie z prac wieczornych i dzięki temu będą mieć z Ewą kilka godzin więcej na lekturę notatnika.

— Musimy kończyć — powiedział do niej, podnosząc się z ociąganiem. — Jeśli chcemy wypić kawę przed wyjściem. Zrobię i przyniosę. Masz ochotę?

Piotr obserwował ich, kiedy siedzieli na ławce z kubkami w dłoniach i zastanawiał się, o czym mogą rozmawiać. Dałby wiele, by się tego dowiedzieć, ale najprostszy sposób polegający na przyłączeniu się do nich

nie wchodził w grę. Znadto ucierpiałaby na tym jego duma. Obudził się późno, ale i tak zdążył zauważyć, jak przekazują sobie dziennik z rąk do rąk. Ta obserwacja nie mogła jednak poprawić jego nastroju.

Był zazdrosny i nie potrafił tego ukryć. Zazdrosny o kobietę, którą sam tu ściągnął i z którą nie utrzymywał kontaktów od sześciu lat. Rozstał się z nią, bo wydawało mu się, że zakochał się w innej. Wczoraj wyraźnie dała mu do zrozumienia, że jego czas minął, a on sam był sobie winien. Pretensje mógł mieć zatem wyłącznie do siebie. Niezauważony odsunął się od okna. Poczul się nagle bardzo samotny.

Rzadko wychodzili ze szkoły całą grupą, częściej parami, trójkami lub pojedynczo. Ostatni zamykał budynek na klucz, który chowali zawsze w tym samym miejscu, w rynnie tuż obok wejścia. Schowek sprawdzał się znakomicie, bo prawie nie padało, a ulewnego deszczu nie było, odkąd przyjechali. Po drodze zachodzili na plebanię i zabierali z szopy proboszcza narzędzia pracy. Tylko sprzęt pomiarowy, teczkę z rysunkami i zabytki nosili ze sobą aż do szkoły.

Robert, który o świcie czuł się rześki i wypoczęty, po dwóch godzinach spędzonych na czytaniu zaczął obserwować u siebie skutki wczesnego wstawania. Dobrze, że wypił kawę, która rozjaśniła mu w głowie i przywróciła energię. Szedł więc długim krokiem przed siebie i starał się nie widzieć idących kilkadziesiąt metrów przed nim i gestykulujących gwałtownie, jakby się o coś spierali, Ewy i Piotra. Niestety mimo starań burza rudych włosów pani antropolog wciąż na nowo przykuwała jego uwagę. Znowu miała na sobie krótkie spodnie i z tej odległości mógł bezkarnie podziwiać nienaganną linię jej łydek. Chociaż wczoraj spędził z Ewą kilka godzin, nie zdążył się przyzwycząić do ich doskonałego kształtu. Tymczasem para idąca przed nim przerwała dyskusję i zatrzymała się, czekając, by Robert ich dogonił. Niestety, mruknął pod nosem, wiedząc, że traci najlepszy z możliwych punkt obserwacyjny.

— Wszystko w porządku? — zagadnął go Piotr, widząc, że jest nie w humorze. Sam zresztą też był w nie najlepszym.

— Tak, poza tym, że się nie wyspałem.

— Widziałem, że dziennik nie dał wam spać. Zastanawiałem się, o której wstaliście — zagadnął, ale nie otrzymał odpowiedzi. — Czegoś się dowiedzieliście?

— Jeszcze nie — Robert starał się nie patrzeć na Ewę, kiedy byli we trójkę. Jego zachowanie wydało się Piotrowi nienaturalne, ale postanowił nie zwracać na nie uwagi. Natomiast Ewa, która również to zauważyła, otwarcie przyglądała się mówiącemu. — Nic ponad to, że autorem jest Otto Kleist, niemiecki historyk, który przed ponad wiekiem przyjechał do naszego klasztoru i nadzorował renowację dachu. Píše o Koltitz, pewnie trzeba sprawdzić dla porządku, ale dla mnie jest jasne, że Koltitz to Kolicie. Przeczytaliśmy tylko kilka stron, pisanie polskiego przekładu zabiera trochę czasu.

— Poświęćcie na to wieczór, damy sobie radę bez was — zasugerował Piotr, odgadując, do czego Robert zmierza. Był zły, że zabrali się do czytania we dwójkę, ale rozumiał, że w tej sprawie nic już nie może zrobić. Gdyby im tego zabronił, sam sobie wydałby się śmieszny. Poza tym on również był ciekawy przedstawionych w dzienniku wydarzeń.

— Myślę, że trzeba powiedzieć reszcie — wtrąciła się Ewa. — Nie możemy się ukrywać ze swoim zajęciem.

Piotr energicznie kiwnął głową.

— Jeszcze zdążymy — wyraził swoją opinię. — Tymczasem zajmujemy się tym dziwnym profilem i wydłużymy wykop o jakieś 2,5 metra na wschód. To powinno zaspokoić twoją ciekawość. — Otworzył przed Ewą furtkę, bo doszli właśnie do domu księdza Andrzeja. Idąc w kierunku szopy z narzędziami, spojrzęła na drzwi plebanii. Niezwykła kołatka wisiała na swoim miejscu. W dziennym świetle wydawała się jeszcze starsza i bardziej tajemnicza niż wieczorem.

Nim rozstawili niwelator i namierzili punkty, które miały być nowymi narożnikami wykopu, minęły dobre dwa kwadransy. Marcel długo poziomował urządzenie, a że samodzielnie robił to po raz pierwszy,

pomiary przeciągały się i Ewa zaczęła się niecierpliwić. Obeszła wykop, przyjrzała się kolejnym grobom, które odznaczały się na powierzchni ciemniejszym zarysem jamy lub widocznymi krawędziami trumien. Zamieniła trzy słowa z dziewczętami, które oczyściwszy plan z luźnego piasku, zabrały się do rysowania nowych obiektów, i wróciła do mężczyzn.

— Kto to jest? — spytała Roberta, wskazując muskularnego, ale niezbyt wysokiego chłopaka o pojaśniałych od słońca włosach, który uwijał się z łopatą nie gorzej niż pozostali. Mógł mieć osiemnaście, może dwadzieścia lat. Twarz miał jeszcze chłopięcą, ale spojrzenie twarde i nieprzyjemne. I jakby podejrzliwe.

— To Marek. Miejscowy entuzjasta, pierwszego dnia przyszedł zapytać, czy nie mógłby z nami pracować, dla samej przyjemności. Piotr się zgodził. No i przychodzi, czasem na osiem godzin, czasami na cztery, jak nie gonią go w domu do roboty, a czasem wcale. Od czasu do czasu zagląda też do szkoły.

— Dziwnie się zachowuje — skomentowała Ewa rzucając w bok spojrzenia i wrogi wyraz twarzy.

— Jest trochę skryty — przyznał Robert — ale poza tym w porządku. Zobaczysz.

Chłopcy zaczęli właśnie zdejmować darni. W tym miejscu nie było chodnika, a niezbyt twarda ziemia dawała się łatwo ciąć na kwadraty. Piotr stał obok wykopu i przyglądał się, jak tuż przy jego nodze łądują wyrzucane z rozmachem, porośnięte trawą bryły. Mężczyźni machali łopatami lekko i z dużym zaangażowaniem. Czasami przeszkadzali sobie nawzajem, bo działka 2,5 na 2,5 metra była dla nich zbyt mała. Jeden tylko Wódz musiał mieć z każdej strony metr wolnej przestrzeni, a jego roślina postać górowała nad pozostałymi. Koledzy godzili się jednak na tę dominację i w miarę możliwości ustępowali mu z drogi. Zderzenie groziło ciężkimi obrażeniami ciała. Szybko uporali się z dwudziestocentymetrową warstwą ziemi i przerwali pracę, gdy łopaty szcęknęły o twarde, znane Ewie z rysunku płyty, położone we

wcześniejszym okresie. To, co wzbudziło jej zainteresowanie, znajdowało się właśnie pod nimi.

Musiała się jednak uzbroić w cierpliwość. Zanim chłopcy odsłoniли je zupełnie, zanim Robert zrobił zdjęcia, a Dorota rysunek planu, było prawie południe. Ewa przytupywała, stojąc na profilu, i patrzyła wszystkim na ręce.

— Idź do Magdy i obejrzyj kości — poradził jej Piotr, widząc, że nie może sobie znaleźć miejsca. Posłuchała go. Magda odsłaniała właśnie szkielet słusznych rozmiarów. Ewa wywnioskowała, że ma do czynienia z pochówkiem męskim. Postanowiła jednak nie dzielić się tą opinią z Magdą i poczekać, aż szkielet będzie widoczny w całości. Kości udowe były długie, ale dół nóg wciąż pozostawał pod ziemią.

Kiedy Dorota zajęła się rysowaniem, Piotr zarządził przerwę śniadaniową. Było bardzo ciepło. Robert ułożył się wygodnie na trawie i niemal natychmiast zasnął, nie zważając na słońce, które świeciło mu prosto w twarz. Ewa usiadła tak, by przyglądać się pracy Doroty, wkrótce jednak zapomniała o niej i zamyśliła się. Wzrok utkwiała w twarzy śpiącego, myśląc o poprzednim wieczorze, znalezieniu dziennika, powrocie do szkoły. Uświadomiła sobie, że wciąż nic o nim nie wie, poza tym, że zna niemiecki i lubi Szekspira, a to zbyt mało, by wyrobić sobie o kimś jakiegokolwiek zdanie. Postanowiła to zmienić przy najbliższej okazji. Nie dlatego, że ją pociągał, ale dlatego, że był wspaniałym towarzyszem i mieli wspólną tajemnicę, którą Ewa chciała poznać za wszelką cenę. Robert drgnął, gdy Siwy przechodząc obok, trącił przypadkiem jego ramię czubkiem buta, i nim Ewa zdążyła odwrócić głowę, spojrzał na nią na wpół przytomnie. Nie był pewien, czy to nie sen, gdy napotkał spojrzenie zielonych oczu siedzącej niedaleko kobiety.

Ściąganie płyt szło opornie. Studenci pracowali w pełnym słońcu, bo bryła kościoła o tej porze dnia w ogóle nie zacięniała wykopu. Ziemia pod spodem miała kolor jasnobrunatny, z jednym wyjątkiem. Równoległe do dłuższych brzegów wykopu, mniej więcej w środku działki, ciągnął się znacznie ciemniejszy wrzecionowaty zarys obiektu, który musieliby uznać za grób, gdyby znajdował się niżej, pod

poziomem średniowiecznych płyt stanowiących posadzkę krużganków. Na tej wysokości nigdzie nie było grobów, więc popatrzyli po sobie zaskoczeni i zdezorientowani. Piotr jednak szybko przywołał ich do porządku.

— Dorotka! — zawołał do dziewczyny, która rysowała właśnie pochówek w jednej z zachodnich działek. — Oddaj tamten szkielet Jackowi, niech skończy, a ty chodź tutaj. Wrysuj zarys jamy na plan i wpisz poziom niwelacji — dodał, kiedy Dorota stanęła przed nim z poprzednim rysunkiem i taśmą w dłoniach. — Chłopcy pomogą ci w pomiarze. I zrób to szybko, proszę, bo mamy mało czasu, a wszyscy chcemy wiedzieć, co to jest.

— Nie wszyscy, tylko ona — cicho powiedziała do siebie Dorota i nieprzychylnie spojrzała na Ewę, ale posłusznie zajęła się wypełnianiem polecenia.

— Coś mówiłaś? — spytał jeszcze Piotr, który wprawdzie nie dosłyszał słów, ale zauważył grymas dezaprobaty na ładnej i zwykle pogodnej twarzy dziewczyny.

— Nie, nic — zaprzeczyła.

Złościła ją ta sytuacja. Dość miała męskich spojrzeń wpatrzonych w tę rudą wydrę, jak nazywała Ewę w myślach. Zdawała sobie przy tym sprawę z niesprawiedliwości własnej oceny. Musiała przyznać, że Ewa nie zachowywała się kokieteryjnie, nie zachęcała do okazywania jej względów, była naturalna i po koleżeńsku serdeczna. Żeby chociaż nie nosiła tych krótkich spodni, Dorota popatrzyła z zawiścią na długie nogi rywalki. Ponieważ była niewysoka, własne nogi wydawały jej się żałośnie krótkie, choć w istocie nic im nie brakowało; była zbudowana proporcjonalnie i w jej sylwetce trudno byłoby *znaleźć* najmniejszą wadę. Teraz jednak na tle Ewy wydała się sobie zupełnie nieatrakcyjna. Kątem oka zarejestrowała wymianę spojrzeń między nią a Robertem i to jeszcze bardziej popsło jej humor. Szybko zaznaczyła na rysunku kilka punktów. Zarys jamy był gotowy.

— Skończyłam — rzuciła w przestrzeń. — Możecie kopać.

— Jak zwykle miałaś rację — powiedział do Ewy Piotr, mając na myśli jej upór, by wydłużyć wykop. — Zostawiam cię sam na sam z tym czymś. Jeśli to grób, później nadamy mu numer. Na tej głębokości równie dobrze może to być coś innego.

Ewa podłożyła pod kolana małą prostokątną karimatkę i zajęła się eksploracją jamy. Usuwała kolejne warstewki ziemi, przyglądając się uważnie, czy nie ma w niej fragmentów kości, zabytków metalowych lub innych. Mniej więcej dziesięć centymetrów poniżej poziomu obiektu zawadziła o ciemnobrązowy twardy brzeg przedmiotu, który w pierwszej chwili trudno jej było rozpoznać. Gdy odsłoniła szpachelką jego większą część, doszła do wniosku, że musi to być rodzaj torby czy worka, z którego zachował się spory płat skóry z fragmentem paska. Przekonała się o tym, gdy ostrze szpachelki zaskrzypiało w zetknięciu z mocno skorodowaną żelazną sprzączką.

Ewa porzuciła ten koniec jamy i przeniosła się do jej zachodniej części. Zależało jej na tym, by utrzymać w obrębie jamy podobny poziom bez dodatkowych zagłębień. Tylko wówczas mogła właściwie zareagować na rodzaj znaleziska. Mimo że spodziewała się kości, postanowiła nie postępować rutynowo. Nie szukała szpachelką kości długich, które, jeśli istotnie miała do czynienia z pochówkiem, powinny być gdzieś w pobliżu torby, ale bliżej środka jamy. Założyła, pomyślała, że jest pochowany podobnie jak inni, z głową po zachodniej stronie, jakby patrzyli na wschód, w kierunku symbolizującym wieczność. To znaczy, że czaszka powinna być gdzieś tutaj. Bardzo ostrożnie usunęła jeszcze kilka centymetrów piasku, ale nie natrafiła na jasną, obłą gładkość. Zamiast niej, za sprawą biegłych w swej sztuce dłoni Ewy, pod szpachelką ukazały dobrze zachowane kości śródstopia.

Patrzyła na nie zdezorientowana. Przecucie jej nie myliło. To był pochówek, jednak zupełnie inny niż pozostałe, znacznie młodszy, inaczej ułożony w jamie grobowej, z nietypowym wyposażeniem, które nie wyglądało, jakby miało cokolwiek wspólnego z wiekami średnimi. Ewa rozejrzała się wokół siebie. Wszyscy zajęci byli pracą. Daleko przed

sobą widziała kilka odsłoniętych kompletnych szkieletów i wiele skupisk kości.

— To grób — zawołała, a ponieważ to Robert znajdował się najbliżej, on pierwszy zjawił się obok, ukląkł przy niej i przyjrzał się szybko schnącym na słońcu i przez to coraz bielszym kościom stóp. — W dodatku bardzo płytki. Ceremonia pogrzebowa musiała trwać zaledwie kilka minut — dodała Ewa, mając w pamięci jego wczorajsze wynurzenia.

— Pomogę ci — zaofiarował się Robert. — Już późno, pewnie nie zdążymy go dzisiaj wyjąć, ale przynajmniej oczyścimy i narysujemy.

Zgodziła się z nim i wskazała miejsce tuż przy skórzanej torbie.

— Zaczynij od tamtego końca — poleciła. — Spotkamy się przy miednicy.

Kopali zgodnie przez kilka minut w zupełnym milczeniu. Robert czuł, jak słońce coraz mocniej ogrzewa mu kark i plecy. Koszuli pozbył się już w południe, a stare spodnie podwinął do kolan. Na głowie miał malowniczą chustę, która miała go chronić od słońca, a w której było mu przy okazji bardzo do twarzy. Tak przygotowany pochyłał się nad swoją częścią grobu i wytrwale odgarniał ziemię. Ewa starała się nie spoglądać w jego stronę, a całą uwagę skupiła na szkielecie. Ruchy miała szybkie i precyzyjne. Wkrótce było już widać zarys całej klatki piersiowej i kości rąk. Czaszkę Ewa zostawiła na koniec. Nie chciała jej uszkodzić, bo z niej najłatwiej było odczytać wiek i płeć zmarłego. Wykonała jeszcze kilka delikatnych pociągnięć szpachelką i sięgnęła po pędzelek. Między pierwszymi żebrami błysnął drobny metalowy przedmiot.

— Popatrz — powiedziała do Roberta, kiedy zidentyfikowała dość szeroką, wyglądającą na srebrną obrączkę, zawieszoną na cienkim, również srebrnym łańcuszku.

— Wygląda stosunkowo współcześnie — odezwał się mężczyzna, bo obrączka była prosta i dość zwyczajna, bez żadnych zdobień. Wziął ją ostrożnie w dwa palce, ale łańcuszek skutecznie utrudniał oględziny.

— Zostaw, obejrzymy później — niecierpliwiła się Ewa i Robert odłożył obrączkę na miejsce.

Teraz, gdy klatka piersiowa była już oczyszczona z ziemi, przynajmniej w takim stopniu, w jakim pozwalały na to wilgotne kości, Ewa zajęła się najważniejszym elementem szkieletu. Czaszka, wokół której wykonywała drobne, ledwie dostrzegalne ruchy, jakby odprawiała jakieś czary, zaczęła rysować się coraz wyraźniej i coraz lepiej było widać, że jej pozycja w stosunku do reszty ciała nie jest naturalna. W układzie szkieletu, który Ewa miała przed sobą, nie było powagi. Zmarły nie został złożony do grobu z szacunkiem i pietyzmem, trudno było mówić o pozycji wyprostowanej. Kobieta przekonała się o tym, gdy spojrzała z góry na całą jamę grobową. Czaszka nie leżała na osi ciała, ale była mocno skrzywiona w prawą stronę, jak złamana główka kwiatu, jakby ktoś ją przetrzącił. Ewa w duchu skarciła się za kryminalne skojarzenia. Nogi, które za sprawą Roberta właśnie stały się widoczne, nie leżały obok siebie, ale były rozrzucone, a jedna kość piszczelowa wyraźnie pęknięta. Tylko ręce ułożono jak należy, wzdłuż ciała, jak u człowieka stojącego na baczność.

— Bardzo dziwne. Wygląda tak, jakby go ktoś wrzucił do jamy, a potem trochę poprawił, a przy tym zupełnie zapomniał o nogach — wyraziła opinię Ewa. — Niedobrze, że mamy tak mało czasu. Kończysz już?

Robert potwierdził, omiatając pędzelkiem paliczki stóp. Można było próbować oczyszczać je dokładniej, ale najpierw musiały podeschnąć na słońcu. Mokre znacznie łatwiej ulegały uszkodzeniu.

— Która godzina?

— Wpół do czwartej — odparł. — Późno. Zawołaj Jacka, niech go narysuje. On zrobi to najszybciej — dodał, widząc, że Dorota tkwi nad rozległym skupiskiem kości gdzieś w połowie wykopu i nic nie wskazuje na to, by miała szybko skończyć. — Coś mi się zdaje, że o szesnastej to my dzisiaj nie skończymy. Zrobię mu zdjęcie. A jak Jacek skończy rysować, pomogę ci go wyciągnąć.

— Skąd wiesz, że to on? — zapytała Ewa z uśmiechem.

— Nieboszczyk, czyli on — uściślił Robert. — A co, wygląda na kobietę?

— Trudno na razie powiedzieć — przyznała.

Robert uśmiechnął się i poszedł po aparat fotograficzny, a ona, widząc zbliżającego się architekta, machnęła do niego ręką.

— Jacek! — zawołała. — Potrzebuję twojej pomocy. Oddaję ci tego delikwenta. Zdażysz w pół godziny?

— Nie sądzę. Ale zrobię, co w mojej mocy — obiecał architekt i poprawił okulary.

Piotr, dostrzegłszy zamieszanie wokół grobu bez numeru, porzucił zachodnią część wykopu i podszedł do Roberta, który kończył robić zdjęcia. Popatrzył na nieboszczyka z zainteresowaniem.

— Śliczny. Tylko jakoś dziwnie leży. Zróbcie dokładne pomiary wszędzie tam, gdzie pozycja odbiega od normy. Kartę grobu wypełnimy według rysunku, więc tym sobie nie zawracajcie głowy. Co się dzieje z tymi nogami? — zastanawiał się na głos. — Wygląda, jakby miał chorobę świętego Wita.

Robert zamierzał pomóc przy pomiarach, ale Piotr odwołał go na bok.

— Dzisiaj skończymy później. Pracy jest jeszcze co najmniej na dwie godziny. Wracaj do szkoły i zajmij się dziennikiem.

— Obiecałem Ewie, że będziemy czytać razem. W końcu to ona go znalazła.

— Obiecałeś, mówisz — powiedział Piotr przez zęby i zmierzył Roberta nienawistnym spojrzeniem. — Ciekawostka.

— Poza tym — podjął Robert, odrobinę spłoszony jego chłodną reakcją — wolałbym być tutaj.

Piotr popatrzył na niego badawczo.

— To, co byś wolał, nie ma znaczenia. Pewne rzeczy trzeba robić, nawet jeśli nie ma się na to ochoty. Na przykład ja chętnie odesłałbym cię po wczorajszym dniu do domu, nie muszę ci chyba tłumaczyć dlaczego. — Robert chciał mu przerwać, ale Piotr nie dał mu dojść do głosu. — Wiesz tak samo dobrze jak ja, że dziennik jest bardzo ważny.

Dlatego nasze chcenia i niechcenia nie mają tu nic do rzeczy. Przeczytaj go jak najszybciej.

Skończył mówić i zamierzał odejść, ale Robert go zatrzymał.

— Nic z tego nie będzie. Czytamy razem albo wcale. I nie mów do mnie więcej takim tonem.

Dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Obaj wściekli, ale jeszcze trzymający nerwy na wodzy. A więc aż tak cię wzięło, myślał Piotr, nigdy bym nie przypuszczał, że to się stanie tak szybko, chociaż znam to uczucie z autopsji. Uśmiechnął się z politowaniem. Jeszcze chwila, a byliby gotowi skoczyć sobie do gardeł. Koguciki.

Robert odczytał ten uśmiech niewłaściwie. Widocznie nie znali się na tyle dobrze, by się teraz dogadać.

Było mu wszystko jedno, jak Piotr potraktuje jego słowa.

— Nie ma w tym nic śmiesznego, kierowniku — odezwał się, przesadnie akcentując ostatnie słowo. — Byłbym wdzięczny, gdybyś nie lekceważył tego, co mówię.

— Pieprz się — odparł Piotr, odwrócił się i odszedł.

Ewa odetchnęła, kiedy Robert poszedł robić zdjęcia w drugiej części wykopu.

Poczuła się swobodniej i skupiła na pracy. Jacek biegle posługiwał się ołówkiem i rysunek szkieletu powstawał nadszpiewanie szybko. W pomiarach uczestniczyli Ula i Tomek. Namierzali wskazane przez Jacka punkty, podając mu ich odległość od narożników działki, w której położony był grób. Jacek z wprawą zaznaczał na papierze milimetrycznymi ich współrzędne. Poza szkieletu X, jak zaczęli go nazywać między sobą, na rysunku wyglądała jeszcze dziwniej niż w rzeczywistości. Ewa niecierpliwiła się i co kilka minut pytała o godzinę.

— Spokojnie, Ewa, nie zostawimy go tu na noc — pocieszał ją Jacek, zaznaczając na planie punkty do niwelacji, dzięki którym mieli poznać głębokość poszczególnych części jamy grobowej. — Już za chwilę będziesz mogła się nim zaopiekować.

Przerwał pracę, bo w tym momencie zadzwonił telefon, który wydostał z przepastnej kieszeni i przyłożył do ucha. Miał bardzo brudne paznokcie i Ewa natychmiast popatrzyła na swoje. Wcale nie wyglądały lepiej.

— To za tanio — mówił tymczasem Jacek do telefonu. — Nie mogę sprzedać za tyle. — Głos mu stwardniał i odezwały się w nim rozkazujące tony. — Wybór należy do ciebie. Powiedziałem ci wczoraj ile... Dlaczego? Bo jest tyle warte... Nie obchodzi mnie to. W końcu kupiec się znajdzie... Nie zamierzam schodzić z ceny tylko dlatego, że straszysz mnie trudną sytuacją na rynku. Rzeczy mają swoją wartość. ...To nie, twoja strata. Nie zawracaj mi głowy duperelami — zakończył i z pasją rozłączył rozmowę. — Przepraszam — powiedział do obserwujących go zdumionych jego słowami kolegów. — Takie tam sprawy.

Nie zapytali jakie. Chociaż Ewa miała na to wielką ochotę. Ale nie wypadało. I nie było na to czasu. Zresztą Jacek nie wyglądał na kogoś, kto chciałby się dzielić swoimi tajemnicami. Chłopcy skończyli pomiary i Ewa z Ulą mogły już pakować kości do papierowych kopert, na każdej opisując zawartość.

— Kości lewej stopy — dyktowała Ewa, a Ula zapisawszy, wkładała je do środka. Kości prawej stopy włożyła do następnej koperty. Przy prawej kości piszczelowej Ewa zatrzymała się na chwilę, nim ją podniosła. — W dwóch częściach. Według mnie złamana — zawyrokowała po oględzinach — dopisz „złamana” ze znakiem zapytania.

Ula osobno pakowała kości lewe, osobno prawe, w następnych kopertach kości miednicy, żeber, kręgi, kości rąk i dłoni.

— Olala! — powiedziała nagle Ewa, wyrrywając Ulę z zamyślenia. Przyglądała się właśnie kręgom szyjnym i nienaturalnie skręconej czaszce. Ula popatrzyła na nią wyczekująco.

— Wygląda na to, że biedak zginął nagłą śmiercią — wyjaśniła. — Najwyraźniej ma pękniętą podstawę czaszki. A to — pokazała zaintrygowanej Uli — to jest kłykiec potyliczny, element stawowy łączący czaszkę z kręgosłupem. Jak widać jest uszkodzony. Facet nie miał prawa przeżyć.

— To mężczyzna? — upewniła się Ula.

— Prawdopodobnie — Ewa trzymała już czaszkę w dłoniach. — Ma duże oczodoły o zaokrąglonych brzegach i dość masywną żuchwę. Oczodoły w czaszkach kobiecych są mniejsze i ostro zakończone, a żuchwa — przesunęła palcem wzdłuż swojej — znacznie delikatniejsza. Oczywiście nigdy nie będziemy mieli stuprocentowej pewności. Będę musiała przyjrzeć się szkieletowi dokładniej i zrobić pomiary kości.

— Szkoda, że nie dowiemy się, jak zginął.

— Zabrał swoją tajemnicę do grobu — powiedziała żartobliwie Ewa i podała jej czaszkę. — Uważaj na nią. Jest dla nas bardzo cennym źródłem informacji.

Dziennik Ottona Kleista

Zaintrygował mnie. Dawno nie słyszałem u niego takiego zdecydowanego tonu — umierał, wiedział o tym i chciał, żebym także zdawał sobie z tego sprawę. Był słaby, a jednak miał w sobie dość siły, by przełamać moje skrupuły i zatrzymać mnie przy łóżku. Kiedy zaczął mówić, zapomniałem o jego chorobie, o gorączce i zbliżającej się śmierci.

Twój ojciec nie zginął podczas manifestacji, choć w gruncie rzeczy tak to wyglądało. Nigdy nie był działaczem żadnej organizacji i polityka zupełnie go nie interesowała. Został zamordowany, a zabójca wybrał najlepszy z możliwych momentów. Twojego ojca znaleziono w jednej z bram z przestrzeloną głową i uznano za ofiarę zamieszek. Dlaczego ktoś chciałby go zamordować, zapytałem, zbyt zaskoczony opowieścią Hermanna, by w nią od razu uwierzyć. Powodem było to, odparł, mając na myśli plan, który ostrożnie położyłem na kołdrze. Głos mu się rwał i musiałem się pochylić, by dobrze rozumieć jego słowa. Wciąż patrzyłem na niego z niedowierzaniem.

W 1847 roku, latem, a więc kilka miesięcy przed jego śmiercią, byliśmy z twoim ojcem w Kolitz, w tym samym klasztorze, do którego teraz się wybierasz. Byłem wtedy inspektorem budowlanym i powierzono mi przeprowadzenie prac konserwatorskich, a on po prostu mi towarzyszył. Klasztor w Kolitz cieszył się szczególnymi względami króla Fryderyka Wilhelma IV, który przekazał na odnowę znaczne środki finansowe. Podczas prac zawalił się jeden z filarów dzielących nawy. W kościele było wówczas kilka osób, wśród nich także i twój ojciec. Zobaczyłem go wychodzącego z kościoła, był zakurzony i miał białe od pyłu włosy, a w dłoniach trzymał ten plan. W zawalonym filarze była skrytka zrobiona z drewna i cegieł, w

skrytce ten rysunek. Otto zatrzymał go, mówiąc w żartach, że na pewno kryje się w nim jakaś tajemnica. Nikt nie traktował tego poważnie, tak nam się wówczas wydawało. Prace po kilku tygodniach zostały zakończone i wróciliśmy do domu.

Już w Berlinie twojemu ojcu zaczęły się przytrafiać dziwne przypadki. Dwa razy ktoś włamał się do waszego domu, nie czyniąc żadnej szkody. Szukał dokumentów, bo to one za każdym razem po wizycie złodzieja leżały w nieładzie na biurku Ottona. Ktoś przysłał mu list z pogrozkami, pisząc, że jeśli nie odda planu, coś złego spotka jego rodzinę. Proponował, by Otto podrzucił plan we wskazane miejsce, podał datę 18 marca.

Ten anonim przstraszył twojego ojca. Włamania zlekceważył, nie wiążąc ich z kawałkiem pergaminu. Z treści listu wynikało wyraźnie, że nadawcy bardzo zależy na starym dokumencie. Twoja matka była już wtedy w ciąży i Otto tym bardziej się o nią niepokoił. Znalazł więc rozwiązanie godne Salomona. Tak mu się wówczas wydawało. Przerysował plan z najdrobniejszymi szczegółami i dołączył do niego list, w którym wyjaśnił, że oryginał oddał do rąk własnych zarządcy klasztoru, którym był wówczas radca dworu Fryderyk Krause. Zaniósł list i plan w miejsce wskazane przez autora anonimu. Wracając do domu, zginął.

Zapytałem Hermanna, dlaczego sądzi, że ojciec nie zginął przypadkiem, tego dnia nie brakowało przecież kul na ulicach Berlina. Hermann wzruszył ramionami, przekonany o swej racji, ale ja wcale nie byłem pewien. A jeśli ojciec zginął przypadkiem, czy nie można przypuszczać, że autor anonimu uwierzył w słowa jego listu i zadowolił się kopią rysunku, skoro dowiedział się o jego tragicznej śmierci, rozważałem na głos. W końcu nikt już nie niepokoił matki, ani ciebie, gdy zamieszkałeś razem z nami. Nikt, przyznał Hermann, aż do ostatniego czasu. Nie rozumiem, co masz na myśli, zapytałem, przecież od kilku miesięcy nigdzie nie wychodzisz. To prawda, przytaknął, jednak zanim mi się pogorszyło, popełniłem błąd i poszedłem do biblioteki. Widzisz, zaczął Hermann i podniósł się na

łokciu, chcąc znaleźć dogodniejszą dla siebie pozycję, przez wszystkie te lata, kiedy dorastałeś, plan leżał spokojnie w szufladzie. Miałem dość zajęć, by poniechać rozwiązania zagadki, nie chciałem wracać do przeszłości. Nie mogłem ranić twojej matki. Ale pół roku temu zajrzałem pod blat stołu i poczułem to, co musiał czuć twój ojciec, gdy dotykał dokumentu po raz pierwszy. I nie mogłem się oprzeć. Obejrzałem go dokładnie, schowałem do skrytki i poszedłem sprawdzić, co takiego jest w miejscowości Lehnin. Ten napis nie dawał mi spokoju. Nie rozumiałem, dlaczego widnieje na odwrocie rysunku, który z Lehnin wydawał się nie mieć nic wspólnego. W końcu został znaleziony zupełnie gdzie indziej.

W bibliotece tego dnia było prawie pusto, jesienny mrok zakradał się do okien. Siadłem nad kilkoma tomami, które poświęcone były architekturze. Minuty miały niespiesznie, wypełnione drukowanymi na czarno słowami, po których przesuwałem wzrokiem, szukając interesujących mnie wiadomości. I wtedy zobaczyłem tego mężczyznę. Stał kilka kroków ode mnie i przyglądał mi się natarczywie. Doznałem nieprzyjemnego uczucia, że on doskonale wie, kim jestem, i przez mgnienie oka jego twarz także wydała mi się znajoma. Kiedy jednak zacząłem się nad tym zastanawiać, wrażenie, że ja również go znam, rozmyło się i uleciało. Siedziałem, nie wiadomo dlaczego, roztrzęsiony i mechanicznie przerzucałem kartki książki, nie mogąc na niczym skupić wzroku.

Mężczyzna odszedł bez słowa, pozostawiając mnie w tym stanie zawieszenia, sam na sam z pytaniami, które mógłbym mu zadać, ale nie miałem odwagi. Nagle w samym środku biblioteki uniwersyteckiej, w ciepłym kręgu światła poczułem zagrożenie. Bałem się zostać i bałem się wrócić do domu. Na szczęście tamtego wieczoru na ulicy spotkałem ciebie i natychmiast poczułem się lepiej. Spojrzałeś na mnie zaniepokojony i spytałeś, czy dobrze się czuję. Moją bladłość złożyłeś na karb choroby.

Chciałem wiedzieć, jak wyglądał ten człowiek, ale mój ojczym nie był w stanie mi go opisać. Niewysoki, krępy, kiedyś ciemnowłosy, miał

posiwiatę skronie, powiedział, nic szczególnego. Rysy twarzy trudne do scharakteryzowania, żadnych znaków przykuwających uwagę. Dlatego nie byłem pewny, czy go znam, i nie potrafiłem przypomnieć sobie, gdzie się spotkaliśmy.

Dowiedziałeś się czegoś o Lehnin? — spytałem Hermanna, kiedy nieco się uspokoił i mógł mówić dalej. Lekarstwa nie skutkowały, wciąż miał gorączkę i teraz patrzyłem na jego zmienioną twarz z coraz większym niepokojem. Niewiele, odpartł, ponadto, że w Lehnin także znajdowało się opactwo cysterskie, starsze od tego w Kolitz. Opaci z Kolitz i Lehnin współpracowali przy zakładaniu nowych filii zakonu. Tylko tyle, zdziwiłem się, porównałeś plany kościołów? Chory pokręcił głową. Nie zdążyłem. Mówiłem ci już, że nie zabrałem ze sobą rysunku do biblioteki. A później nie miałem odwagi pójść tam po raz drugi. Teraz to już niemożliwe, pokazał dłonią łóżko. Palce miał blade, niemal przezroczyste. Na tle białej pościeli wydawały się szare, jakby w ciele Hermanna nie było już ani kropli krwi.

Podniósł na mnie swoje poczciwe jasne oczy i zobaczyłem w nich prośbę. Kiedyś powiedziałem twojemu ojcu to, co teraz powiem tobie, zaczął. Boję się, że coś ci się stanie. Obiecuj mi, przez wzgląd na pamięć twojej matki, którą obaj kochaliśmy najbardziej na świecie, że będziesz na siebie uważał. Zabrzmiało to tak, jakby już zaczynał się ze mną żegnać przed podróżą ku wieczności. Wzruszony uściśnąłem jego słabą dłoń. Nie ma powodów do niepokoju, powiedziałem łagodnie. Kto wie, że wyjeżdżasz do Kolitz, zapytał jeszcze. Kilka osób na uniwersytecie. Żadnej z nich nie nazwałbym niebezpieczną.

Z kim jedziesz? Wyliczyłem kilka nazwisk, które znał z moich opowiadań. W większości byli to bliscy znajomi, z którymi pracowałem od dawna. W naszej grupie miało być także kilku studentów — zapaleńców, entuzjastów starych murów, i robotnicy, których miał nam zapewnić urzędnik ze Stettin, bo klasztor w Kolitz był pod jego opieką. Mimo wszystko, powtórzył swoje Hermann, bądź ostrożny, twój ojciec nigdy by mi nie darował, gdybym cię nie ostrzegł. Jesteś taki sam jak on, dodał, a ja zastanawiałem się, co

może mieć na myśli: mój wyjazd, niefrasobliwość i przekonanie o własnym bezpieczeństwie czy to, jak traktuję jego słowa.

W dwa tygodnie później umarł. Odszedł w czasie snu, spokojnie i cicho, każdemu życzyłbym takiej śmierci. Kiedy zaniostem mu rano śniadanie, zobaczyłem, że leży na boku, skulony jak dziecko i uśmiecha się pogodnie, jakby spał i śnił o czymś przyjemnym. Za życia nigdy nie widziałem na jego twarzy podobnego uśmiechu. Pochowałem go obok matki i ojca, w tym samym grobowcu. Niektórym mogłoby się to wydać dziwne, może nawet niestosowne, że zapewnilem mojej matce towarzystwo obu mężczyzn, między których podzieliła życie. Nie mogłem jednak postąpić inaczej, bo i Ottonowi, i Hermannowi zawdzięczałem to, jakim byłem człowiekiem. Wiedziałem też, że moja matka kochała ich obu równie mocno, choć każdego zupełnie inaczej.

Od wyjazdu do Kolitz dzielił mnie zaledwie miesiąc, a ja wciąż nie wiedziałem, czego powinienem szukać i czy plan, który mój ojciec zabrał z kościoła wiele lat temu, rzeczywiście kryje w sobie jakąś zagadkę. Zrobiłem więc kopię rysunku i poszedłem śladem Hermanna do biblioteki uniwersyteckiej, szukać odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Wkrótce odnalazłem obszerny opis opactwa cysterskiego w Kolitz w szczegółowej pracy jednego z duńskich badaczy. Została napisana w poprzednim roku, więc mogłem liczyć na to, że podaje najświeższe informacje. Autor opracowania skupił się wyłącznie na klasztorach założonych przez Esrom, opactwo cysterskie leżące w Danii. Kolitz było jedną z jego filii. Niestety plan umieszczony obok drobiazgowego opisu niezupełnie pokrywał się z tym, który miałem w kieszeni. Prawdę mówiąc, istotnie się od niego różnił.

Nie pozostało mi nic innego, jak znaleźć choćby kilka słów o Lehnin. Szukałem długo i w końcu w jednym z tomów poświęconych architekturze romańskiej i gotyckiej trafiłem na niewielki rysunek. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że plan, który mój ojciec przywiózł do Berlina ponad trzydzieści lat

temu, przedstawiał właśnie ten kościół. Zaznaczono na nim szersze przęsła w nawie głównej i znacznie węższe w nawie poprzecznej. Natomiast sam układ poszczególnych części budowli w Lehnin i Kowitz, rozplanowanie kaplic i zamknięcie prezbiterium były bardzo podobne. Zagłębiłem się w lekturze i tak dotarłem do ustępu, który wiele mi wyjaśnił. Żałowałem, że nie udało się to Hermannowi. Już nie mogłem mu o tym opowiedzieć.

Rzecz była prostsza, niż mogłem przypuszczać. Cystersi z opactw położonych blisko siebie mieli zwyczaj korzystać z tych samych koncepcji architektonicznych, a nawet gotowych planów przy wznoszeniu swoich klasztorów. Zdarzyło się, że architekt opactwa w Kowitz, nie mnich, lecz konwers, udał się do Lehnin i tam skopiował plan wcześniej wybudowanego kościoła, którym zamierzał się posłużyć przy wznoszeniu nowej świątyni. Przy okazji musiał także dobrze przyjrzeć się fasadzie, bo swoją ozdobił takim samym ceramicznym fryzem arkadkowym, a pod rozetą umieścił trzy monumentalne okna, które później zamurowano. O celu jego wizyty wspominały księgi opactwa w Lehnin. Zakonnicy udostępnili mu dokumenty i zrobili wszystko, by ułatwić mu pracę.

Ta kwestia została zatem wyjaśniona. Tak oto plan sporządzony na przełomie XII i XIII wieku, z nieznanymi powodami ukryty w kościele, w cudowny sposób przetrwał kilkaset lat i przypadkiem trafił w ręce mojego ojca, a później w moje. Spokoju nie dawało mi jednak jeszcze jedno pytanie. Po co ktoś miałby chować plan jednego kościoła w drugim? Dlaczego po zakończeniu budowy nie odłożył go tam, gdzie było jego miejsce, między inne dokumenty konwentu? Dlaczego w końcu nie zniknął ze skryptorium razem z innymi cysterskimi stronkami, które pochłonął czas lub historia?

Przyjrzałem się jeszcze raz przerysowi, który zrobiłem rano, i rysunkowi z opracowania. Byłyby identyczne, gdyby nie jeden drobny szczegół, który w pierwszej chwili przeoczyłem. Na moim szkicu południowa ściana kościoła była wyraźnie grubsza niż w książce, co

mogło, choć nie musiało wynikać z błędu rysownika. Innych różnic nie zauważyłem.

W pierwszym odruchu pomyślałem, że pojedę do Lehnin i obejrzę klasztor, ale gdy przerzuciłem jeszcze kilka stron książki, natknąłem się na fotografię wykonaną w 1850 roku. Najwyraźniej budowla straciła wiele ze swego uroku. Patrzyłem na ruiny murów i zaczynałem rozumieć, że wyjazd nic nie zmieni, a to, co pozostało z transeptu, na pewno nie wystarczy, by poznać przeszłość kościoła i rozstrzygnąć, co może oznaczać zaznaczona grubszą kreską południowa ściana korpusu nawowego. Nie miałem wyjścia. Czas było się spakować i jechać do Kolitz z nadzieją, że tam dowiem się czegoś więcej.

Wyjechałem 30 czerwca rano. Podróż w upale ciągnęła się nieznośnie. Przez całą drogę próbowałem zasnąć, ale pociąg kołysał i szarpał. Zdrzemnąłem się wreszcie, ale sen nie trwał dłużej niż kilka minut, zaraz poczułem, jak ktoś mną potrząsa i usłyszałem głos konduktora, Stettin, proszę pana. Było już późne popołudnie. Nie do końca przytomny wyszedłem z przedziału i zamierzałem wysiąść. Pański bagaż, usłyszałem i wróciłem posłusznie. Mój towarzysz podróży podał mi torbę, którą zostawiłem na półce. Zmęczony rozglądałem się po stacji za wolną bryczką, gdy odnalazł mnie Thomas, kolega z uniwersytetu, i wziął pod swoje skrzydła. Zabieram cię do Kolitz, pastor dał mi swój powóz, powiedział i przyjrzał mi się z troską, wyglądasz, jakbyś nie spał od tygodni, przejażdżka cię orzeźwi.

Miał rację. Pęd powietrza wywiał z mojej głowy resztki snu, poczułem się lepiej i zażądałem informacji. Thomas, który uchodził za wielkiego gadułę, mówił chętnie i bez przerwy, więc wkrótce przestałem zadawać mu jakiegokolwiek pytania, przewidując, że i tak powie mi wszystko, co powinienem wiedzieć. Mieszkamy we wsi, mówił mój przyjaciel szybko, jakby się bał, że nie zdąży wyrzucić z siebie wszystkiego w czasie zbyt krótkiej podróży. My dwaj w domu pastora, pozostali u bogatszych chłopów, robotnicy w starej pustej

chacie przy drodze do klasztoru. Przyjechaliśmy trzy dni temu, wczoraj dojechał Hans, ty jesteś ostatni. Można wiedzieć, dlaczego się tak ociągałeś, zapytał nagle i, nie czekając na odpowiedź, co było bardzo w jego stylu, ciągnął dalej. Prace już się rozpoczęły. Klasztor jest w bardzo złym stanie, wyobraź sobie, że przez ostatnie dziesięciolecia w kościele była wozownia. A pastor, wtrąciłem się, bo nie mogłem zrozumieć, jak w tych warunkach może odprawiać msze w zrujnowanej świątyni. We wsi, a raczej na jej skraju jest niewielki, ale murowany kościół parafialny, wyjaśnił Thomas i, nim zdążyłem zapytać o inne szczegóły, znowu zmienił temat. Nasz pastor ma przepiękną córkę, powiedział i uśmiechnął się szeroko.

Pastor mieszkał w okazałym białym domu na końcu wsi. Z okien wychodzących na ogród można było zobaczyć rysujące się w oddali zabudowania klasztorne. Kiedy powóz wjechał na podwórze, zszedłem z niego na niepewnych nogach. Zmęczenie i wyboje dały mi się we znaki bardziej, niż mogłem przypuszczać. Gospodarz był krzepkim, wysokim mężczyzną dobiegającym sześćdziesiątki. Wokół, rumianej twarzy sterczały na wszystkie strony kępki siwiejących włosów. Spojrzał na mnie dobrotliwie spod krzaczastych brwi, gdy ścisnął mi dłoń na powitanie. W chwilę później obok niego pojawiła się pani domu, zażywna, okrągła, przepasana fartuszkami kobieta, znacznie młodsza od męża. Mimo woli pomyślałem o mojej matce, która tak właśnie wyglądała, kiedy żyła.

Pokoje, w których nas ulokowano, znajdowały się na poddaszu. Dom pastora był jednym z najbardziej okazałych w Koltitz. Mogliśmy czuć się w nim zupełnie swobodnie. Pościel na łóżku pachniała świeżością, na pewno cały dzień wisiała w ogrodzie na słońcu. Wyciągnąłbym się na niej z prawdziwą rozkoszą, ale było na to jeszcze za wcześnie. Nie wypadało nie zejść na kolację, którą żona pastora przygotowała z okazji mojego przyjazdu.

Walczyłem z sennością, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi i pojawiła się w nich uroczą dziewczyna. Postawiła na stoliku dzbanek z wodą i miskę do mycia i odwróciła się do mnie z uśmiechem.

Patrzyłem na nią zachwycony, nie pamiętając zupełnie, że powinienem się przedstawić. Zarumieniła się i dygnęła. Pan musi być Otto, pański przyjaciel Thomas wspominał, że pan wkrótce przyjedzie. Miała miły dźwięczny głos, który pasował do złotych loków i gibkiej postaci. Jak pani na imię, odezwałem się w końcu, mając nadzieję, że nieznajoma nie uzna mnie za gbura. Maria, przedstawiła się, proszę się odświeżyć po podróży, mama prosi do stołu. Znikła z cichym szelestem, zostawiając w pokoju jakąś część swojego blasku, a ja posłusznie zanurzyłem rozpaloną od słońca twarz w chłodnej wodzie.

Wieczór minął jak sen. Siedzieliśmy w pokoju jadalnym z całą rodziną pastora, który poza najstarszą Marią miał jeszcze czwórkę młodszych dzieci. Ich imion nie udało mi się zapamiętać. Maria i jej matka kręciły się bez przerwy między kuchnią a pokojem, więc mogłem swobodnie przyglądać się dziewczynie. Thomas robił to samo i mrugał do mnie porozumiewawczo. Bawiła mnie ta błazenada. Gdybym nie wiedział, że mój przyjaciel ma w Berlinie żonę i dwójkę dzieci, mógłbym pomyśleć, że kryje się w tym coś więcej niż tylko zauroczenie piękną córką pastora.

Noc była cicha i bardzo ciepła. Gwiazdy, jakich nigdy nie widywałem w Berlinie, wisały nad głową w olbrzymich księżycach gwiazdozbiorów. Siedzieliśmy z Thomasem na ganku, czując, jak spokój wsi rozchodzi nam się po ciele. Codzienne sprawy, miasto z jego zgiełkiem i tłumem, wydawało się dalej i dalej. Rozmawialiśmy szeptem, nie chcąc płoszyć ciszy. Thomas mówił, że naprawa dachu potrwa kilka tygodni, zawałiła się cała zachodnia część, na szczęście prezbiterium i transept ocalały i w tym miejscu dach wymagał jedynie wzmocnienia. Hans, jeden z inżynierów, kazał już stawiać rusztowania, które najdalej pojutrze miały być gotowe. A co my będziemy robić, zapytałem, mając za ledwie mgliste pojęcie o moich obowiązkach, bo słowo konsultant wydawało mi się dość pojemne, ale niestety mało konkretne. Thomas uśmiechnął się, rozbawiony moją wnikliwością. Będziemy cieszyć się wolnością, bracie, odparł, i

czasem patrzeć Hansowi na ręce. A kiedy już dach będzie gotowy, być może trzeba będzie zatroszczyć się o wnętrze kościoła. Spadające elementy na pewno uszkodziły część nawy. Kiedy robotnicy wywiozą gruz, będziemy mogli ocenić zniszczenia.

Uspokoilem się, słysząc, że będę miał dość czasu na prowadzenie własnego dochodzenia. Plan postanowiłem nosić zawsze przy sobie, między kartkami dziennika. Jutro czekało mnie pierwsze zadanie — staranne oględziny kościelnych murów.

1 lipca 1884 roku. O siódmej obudziło mnie pianie koguta. Wstałem rześki i wypoczęty. Z okna miałem widok na sad, między drzewami Maria wieszała właśnie upraną bieliznę. Mimo woli zapatrzyłem się na ten spokojny obrazek i przestałem w oknie kilkanaście minut, czekając, aż skończy. Podczas śniadania była milcząca, jakby nieobecna. Dopiero kiedy wstawaliśmy od stołu, bo czas był do pracy, pochwyliłem jej szybkie, promienne spojrzenie, które potem towarzyszyło mi przez całą drogę do klasztoru.

Z bliska wydał mi się monumentalny. Olbrzymia rozeta fasady była już do połowy przysłonięta rusztowaniami. Rusztowania stały także przy południowej ścianie nawy. Od tej strony zniszczenia w dachu były największe. Na miejscu przywitał nas Hans, krępy mężczyzna w trudnym do określenia wieku. zaproponował, że oprowadzi mnie po budowie, ale podziękowałem, tłumacząc, że nie chcę przeszkadzać i sam wszystko obejrzę. Thomas gdzieś znikł, więc ruszyłem wzdłuż murów, za jedyne go towarzysza mając własny cień. Z planem przed oczami szukałem najmniejszej wskazówki, miejsca, od którego mógłbym zacząć rozplątywać nić, której koniec tuż przed śmiercią włożył mi do ręki Hermann. Mury były jednak milczące, niemal wrogie. Sunąc dłonią wzdłuż cegieł, wyczuwałem ich nieprzychylną stałość. Z góry spadł nagle niewielki kamyczek i boleśnie uderzył mnie w ramię, pomyślałem, że może on powinien wystarczyć mi za całą odpowiedź.

Kiedy znalazłem się przy południowej ścianie transeptu, na drewnianych drzwiach portalu zobaczyłem jasny, ledwo dostrzegalny

śląd wielkości potężnej męskiej pięści. Powierzchnia drewna była w tym miejscu wytarta, jakby setki dłoni pukając do drzwi świątyni wybierały właśnie to jedno miejsce. Kiedy zapytałem o to Thomasa, nie wiedział, o czym mówię. Kwestia padania promieni słonecznych, powiedział. Może miałeś przy sobie przedmiot, który odbijał światło, nie dziw się więc na widok puszcanych przez siebie zajączków. Byłem pewien, że przed drzwiami kościoła stanąłem z pustymi dłońmi, nie mogło być mowy o świetlnych refleksach. Nie dyskutowałem jednak z Thomasem dłużej. Siedział właśnie nad jakimś rysunkiem, zaznaczając na nim punkty, w których ściany kościoła wymagały wzmocnienia. Boję się, że nie utrzymają nowego dachu, jeśli im nie pomożemy, wyznał. A wracając do twojego portalu, będziemy musieli go zamurować. Od środka na ścianie widać paskudne pęknięcie. Jeśli się powiększy, nawa może się zawalić. To najstarsza część kościoła. Wiem, odpartem, i zostawiwszy go nad planem, poszedłem obejrzeć wnętrze. Czy to bezpieczne, zapytałem jakiegoś robotnika, zanim wszedłem do środka.

Posadzki nie było widać spod gruzu, fragmentów filarów, rozbitych rzeźbionych głowic. Podniosłem z ziemi kawałek kamienia, z którego ręka rzeźbiarza wydobyla twarz mnicha z wyraźnie zarysowaną tonsurą. Zdałem sobie sprawę, że nasze starania mogą zakończyć się tylko częściowym powodzeniem. Te głowice, podobnie jak rzeźbione bazy i ceramiczne fryzy z wicią roślinną, których odłamki miałem pod stopami, były stracone na zawsze. Usłyszałem za sobą skrzypnięcie i jakby szybkie kroki przemykające po zwałach gruzu, ale obróciwszy się, nie zobaczyłem nikogo. Zapewne wiatr wdarł się między skrzydła drzwi, których nie zamknąłem za sobą.

Zachodnia część kościoła była w opłakanym stanie. Wykorzystywana niezgodnie z przeznaczeniem na pewno straciła wiele ze swego wystroju. Reszty dokonały roztopy, deszcze i wiosenne wichury. Ściany od góry do dołu były pokryte zaciekami. Nad głową miałem niebo z jego niezmiernym błękitem, pod nogami, prócz reliktyw przeszłości, niewielkie kałuże po ostatnim deszczu.

Wracając do domu pastora, zaszedłem do sadu, z nadzieją że znowu zobaczę Marię z naręczem czystych tkanin. Nie pomyliłem się. Zbierała je do wielkiego kosza. Walczyła z prześcieradłami, których brzegi łopotały na wietrze. Złapałem za nie w ostatniej chwili, bo prawie je upuściła. Dziękuję panu, powiedziała zarumieniona.

Czy przejdzie się pani ze mną kawałek, Mario? — zapytałem, chciałem z panią porozmawiać o klasztorze. Ze mną? — zdziwiła się, co ja mogę panu powiedzieć, czego nie powiedzieliby inni? Innych nie pytałem, odparłem, pomyślałem, że najpierw zapytam panią. Proszę poczekać, odniosę mamie pranie. Znikła na moment, a ja stałem pod jabłonią otumaniony zapachem owoców, słońcem i jej młodością.

Wróciła jeszcze mocniej zarumieniona i spojrzała na mnie pytająco. Czy ojciec pani od dawna jest tutaj pastorem? Odkąd pamiętam, tutaj się urodziłam, odparła, stąpając ostrożnie i rozgarniając przed sobą wysokie trawy, by nie zazielenić sukienki. Ile ma pani lat? Proszę mnie źle nie zrozumieć, pospieszyłem z wyjaśnieniem, chciałbym wiedzieć, od jak dawna pani rodzice tu mieszkają. Mam 22 lata, wyznała Maria, kryjąc twarz przed moim spojrzeniem. A klasztor, często go pani odwiedzała w dzieciństwie? Skinęła głową. Mój ojciec bardzo bolał nad jego stanem, za wszelką cenę chciał go ratować przed zupełną ruiną. Jego listy do różnych ważnych osób w końcu odniosły skutek i stąd przyjazd panów. W takim razie, zacząłem, dochodząc do sedna sprawy, która nurtowała mnie od rana, może pani wie, Mario, a może wie to pani ojciec, czy na bocznych drzwiach kościoła, myślę o tych na prawo od głównego wejścia, znajdowało się kiedyś coś szczególnego? Spojrzała na mnie z radością, a ja już wiedziałem, że może mi pomóc, że zna odpowiedź i czekałem z zapartym tchem, bo ta odpowiedź wydała mi się nagle bardzo ważna. Niechże pani to powie, proszę, poprosiłem gorąco, biorąc ją za rękę, co z daleka mogło wyglądać na oświadczyiny. Kołatka, powiedziała Maria szeptem, zabierając rękę, a ja pochyliłem się nad jej twarzą niepewny tego, co usłyszałem. Powtórzyła więc z

uśmiechem i słowo uleciało z jej ust czule i miękko jak wyznanie. Kołatka, ten ślad, o którym pan myśli, został po niej.

Co się z nią stało, zapytałem, bo skoro wiedziała o istnieniu kołatki, musiała też znać jej historię. Nie zawiodła mnie i tym razem. Mój ojciec zdjął ją, bojąc się, że zaginie, i przechowuje w swoim gabinecie. Pokażę ją panu. Zawróciła. Poszedłem za moją przewodniczką ku domowi, uszczęśliwiony w trójnasób, znalazłszy odpowiedź na pytanie, które mnie dręczyło, odkrywszy w Marii cząstkę mojej tajemnicy i myśląc już o tych chwilach, gdy będę z nią razem w zaciszu gabinetu oglądać prawdziwy skarb.

Weszliśmy do domu niezauważeni i przemknęliśmy po schodach na piętro. Nie było powodu, by się ukrywać, a jednak zachowywaliśmy się jak spiskowcy. Maria otworzyła jakieś drzwi, a gdy wszedłem za nią, usłyszałem, jak zamykają się z głuchym stuknięciem. Pastor nie lubił słońca, w oknach wisiały ciężkie ciemne zasłony. Głównym meblem był tu dębowy stół o pięknie rzeźbionych nogach, a w rogu pokoju stała serwantka. To do niej skierowała swe kroki Maria. Podszedłem więc i ja, stanąłem za nią i przez kilka długich chwil odychałem zapachem jej włosów, podczas gdy ona sądziła, że przyglądam się brązowej antabie. Nie wiem, jak to się stało, ale nagle miałem przed sobą jej błękitne spojrzenie i pełne usta, które już nie wyglądały jak usta dziecka. Chciałem ją pocałować, ale wyrwała się spłoszona, odpychając mnie drobną białą dłonią, i zostałem sam w gabinecie jej ojca.

Teraz dopiero spojrzałem na cel mojej wizyty. Wykonana z brązu kołatka była większa, niż przypuszczałem. Mogła mieć jakieś dwadzieścia centymetrów średnicy. Wyglądała jak przedzielony na pół herb umieszczony w okrągłym medalionie. Po lewej stronie tarczy herbowej znajdowały się dwa ukośne ornamenty, przypominające grecki meander, po prawej, także ukośnie, biegł pas z motywem szachownicy. Brązowe kółko — najważniejszy element kołatki umieszczono w dolnej części medalionu, poza brzegami tarczy.

Nie mogłem oderwać od niej oczu. Zapomniałem w jednej chwili o Marii, planie, który przywiozłem do Kolutz, pracy, której miałem poświęcić najbliższe tygodnie. Stałem i patrzyłem na brązowe cacko, kiedy do gabinetu wszedł pastor, a zastawszy mnie, nie tylko nie wyraził zdumienia, ale po przyjacielsku poklepał po plecach. Maria mi powiedziała, że pytał pan o tę kołatkę. Jak pan widzi, postanowiłem ją chronić. To piękny przykład sztuki odlewniczej. Rysunek na tarczy wykonano rylcem. Nigdy nie widziałem nic równie pięknego, przyznałem. Przepraszam, że wdartem się do tego pokoju, nie uprzedzając pana i nie pytając o zgodę. Proszę o tym nie myśleć. Ufam mojej córce, skoro z jakichś względów pokazała ją panu, nie mogę kwestionować jej decyzji. Byłem zdumiony jego słowami. Maria musiała być szczęśliwa z powodu miłości i szacunku, którymi darzył ją ojciec. Podziękowałem i wycofałem się do swojego pokoju, gdzie jeszcze długo wspomnienie popołudnia nie dawało mi spokoju.

2 lipca 1884 roku. Poprzedniego dnia długo nie mogłem zasnąć, przewracałem się z boku na bok, przez otwarte okno słychać było głośne cykanie świerszczy i żabi koncert dobiegający z pobliskiej rzeki. Szczekały psy. Wszystkie te odgłosy, których nie słyszałem pierwszej nocy, bo znużony podróżą od razu zapadłem w sen, teraz brzmiały jak hałas. Trudno było mi do niego przywyknąć. Gdy w końcu zasnąłem, dobrze po północy, przysnił mi się plan mojego ojca. Nie mogłem od niego oderwać wzroku, słyszałem, że ktoś mnie woła i nie mogłem spojrzeć w kierunku głosu. Moje spojrzenie było jak uwięzione w prostokątnym rysunku, widziałem to bliżej, to dalej poszczególne linie murów. Dokument zawładnął moim umysłem i nie sposób było się od niego uwolnić. Szczególnie zmęczył mnie widok południowej ściany kościoła, z nieznanymi przyczyn grubszej od pozostałych. Przecież widziałem tę ścianę, w rzeczywistości niczym się od innych nie różniła. A teraz wracała do mnie, z każdą chwilą potężniała, była coraz wyraźniejsza, coraz mocniej podkreślona, aż wyparła z mojej świadomości wszystkie inne elementy rysunku i w końcu wypełniła mnie całego swoją czernią. Gdy zniknął sprzed mych

oczku ostatni skrawek światła, krzyknąłem i obudziłem się. Za oknem świeciło. Piąty pierwszy koguty. Przedziwny sen, pomyślałem na w pół przytomnie i nim zdążyłem głębiej się nad nim zastanowić, już spałem.

Gdyby nie Thomas przespałbym zapewne śniadanie i spóźniłbym się do pracy. Maria zarumieniła się na mój widok i zdałem sobie sprawę, że muszę ją przeprosić za swoje naganne zachowanie. Doprawdy nie wiem, co we mnie wstąpiło, że przestałem się do tego stopnia kontrolować.

W drodze do klasztoru przypomniał mi się mój sen. Najpierw odpędzałem go od siebie, ale obrazy wracały uparcie i odbijały się echem w mojej skołataną głowie. Dlatego gdy tylko dotarłem na miejsce, ruszyłem wzdłuż południowego muru, który w nocy tak dał mi się we znaki. Przyjrzałem mu się jeszcze raz uważnie, ale nie zobaczyłem nic szczególnego. Żadnego śladu, żadnej wskazówki. Jedyńm elementem budzącym ciekawość była jasna plama na drewnianych drzwiach. Plama po kołatce. A jeśli to w kołatce tkwiło jakieś wyjaśnienie, zadałem sobie pytanie. Jeśli to jej obecność zaznaczono grubszą linią? Te dwa drobiazgi układały się w bardzo tajemniczą całość: plan klasztoru w Lehnin, który trafił do Kowitz, by służyć jako wzór podczas budowy i tu z nieznanymi powodami został ukryty, ślad po kołatce, która na swoim miejscu przetrwała wieki, nim troskliwa ręka zdjęła ją z drzwi i ulokowała w bezpiecznym miejscu.

W pierwszej chwili wydało mi się to niedorzeczne. Jak to możliwe, że nie zaginęła, gdy klasztor popadał w ruinę? Jednak zważywszy na okoliczności, była to jedyna rzecz, którą mogłem sprawdzić. Wczoraj przyjrzałem się antabie jedynie pobieżnie. Należało to zrobić jeszcze raz, starannie i ze wszystkich stron. Wiedziałem, że pastor mi nie odmówi, czuł we mnie pokrewną duszę, człowieka tak samo jak on zakochanego w klasztorze od pierwszego wejrzenia.

Wróciłem do domu pastora dobrze po południu i zastałem go w gabinecie. Przygotowywał niedzielne kazanie. Przepraszam, że

niepokoję, zacząłem, ale muszę jeszcze raz obejrzeć

antabę, jeśli to możliwe, chciałbym ją wyjąć i wziąć do ręki. Pastor podniósł na mnie wzrok krótkowidza. Okulary zsunęły mu się na koniec nosa. Kiedy tak siedział wpatrzony we mnie, przypominał mi zagubioną wśród własnych myśli sowę. Proszę, odezwał się w końcu, nie zamykam jej na klucz. Wyjąłem cacko ostrożnie i przyjrzałem mu się z bliska. Było ciężkie. Ważyłem je w dłoniach, badając wzrokiem rysunek zdobienia. Nie zobaczyłem nic, czego nie widziałbym wcześniej; ukośne linie ornamentów, oś symetrii, to wszystko dostrzegłem już wczoraj. Odwróciłem kołatkę i przyjrzałem się drugiej stronie. Quærite et invenietis, przeczytałem, szukajcie, a znajdziecie. Pastorze, zwróciłem się do mojego gospodarza, czy widział pastor ten napis? Pokiwał poważnie głową. To słowa Pisma, powiedział, Mateusz, rozdział 7, werset 7. Pan czeka w kościele na każdego, kto Go szuka i przychodzi do Niego. Tak to rozumiem, On jest Drogą, On wiedzie nas do Królestwa Niebieskiego.

Odłożyłem kołatkę na miejsce rozczarowany. Spodziewałem się wyjaśnienia zagadki, ale go nie znalazłem. Kiedy wychodziłem z ciemnego gabinetu, przyszło mi do głowy, że łaciński cytat brzmiał jak wezwanie nie dla chrześcijanina, ale dla badacza, kogoś takiego jak ja. Szkoda tylko, że nie dawał żadnej wskazówki, gdzie szukać.

6 lipca 1884 roku. Maria mnie unika, a gdy myśli, że nie widzę, ściga mnie spojrzeniem, które staram się pochwycić, za każdym razem wywołując na jej twarzy rumieniec. Trudno mi myśleć w jej obecności. Formułowanie zdań, najbliższa rozmowa stają się nagle pracą ponad siły. Thomas zauważył moje zapatrzenie i sugerował, bym to z Marią wyjaśnił. Jak mógłbym to zrobić? Znamy się zaledwie kilka dni, w tym czasie tylko raz naprawdę ze sobą rozmawialiśmy.

Kołatka nie daje mi spokoju, wciąż zastanawiam się nad znaczeniem widniejących na niej słów. Bezskutecznie. Dzisiaj spędziłem kilka godzin w kościele, szukając najmniejszego śladu, który mógłby mieć związek z cytatem. Zauważyłem przy tym, że powiększyła się rysa na południowej ścianie transeptu. Hans

potwierdził, że trzeba będzie wzmocnić tę ścianę. Zamurujemy wejście, zdecydował. Nie oponowałem, w końcu to on był inżynierem i skoro nie widział innego rozwiązania, powinienem się z nim zgodzić, choć szkoda mi było wiekowych drewnianych drzwi i tego miejsca, gdzie kiedyś wisiała antaba, a które wydawało mi się szczególnie ważne w moich poszukiwaniach.

Kiedy błądziłem między kościelnymi filarami, znowu usłyszałem za plecami dźwięki kroków, chrzęst stóp ostrożnie stąpających po warstwie gruzu. Przyczałem się za ołtarzem, ale kroki umilkły i nie zobaczyłem nikogo. Zdezorientowany zamknąłem dziennik, w którym szkicowałem bazę jednego z filarów i wsunąłem go głęboko do kieszeni. Plan Hermanna zawsze nosiłem w dzienniku, włożony między kartki. Nie chciałem go zgubić. Gdzieś blisko mnie upadł niewielki kamień, uderzył o ziemię, odbił się i potoczył kilkadziesiąt centymetrów do przodu. W cichych murach jego zetknięcie z posadzką brzmiało jak przetaczanie dział. Nie wiedzieć czemu na plecach poczułem dreszcz. Czego się bałem sam w pustym kościele? Na zewnątrz było co najmniej kilkanaście osób gotowych mi pomóc, wystarczyło krzyknąć, by wbiegli do środka. Roztrzęsiony wyszedłem na słońce. Ciepło, które ogarnęło moje ciało sprawiło, że irracjonalny lęk zniknął. Dobrze się czujesz, zapytał mnie Thomas, przyjrzawszy mi się uważnie, jesteś jakiś blady, mimo opalenizny, zażartował. Odpowiedziałem wymuszonym uśmiechem.

Mimo wszystko czułem się nieswojo i do kościoła wróciłem dopiero po południu. Szukajcie, a znajdziecie, zdanie tknęło mi się po głowie i zmuszało do działania. Przyglądałem się ścianom, kamieniom posadzki, filarom, rozglifionym łukom okien. Portale obejrzałem już dawno, na próżno. Nie znalazłem nic, na czym mógłbym skupić wzrok. Antaba albo kłamała, albo zdradzała zaledwie część prawdy. Byłem gotowy uznać swoją porażkę, gdy jakiś głos wewnętrzny podsunął mi pytanie, na które nie znałem odpowiedzi. Ale ktoś przecież powinien ją znać? Ruszyłem do domu. Pierwszą osobą, do której chciałem się zwrócić, był oczywiście mój gospodarz.

Znalazłem go w sadzie, przy pasiece. Chodził między ulami, nasłuchując brzęczenia pszczół. Co za upał, powiedział na mój widok, one też to czują, są zdenerwowane. Słyszysz pan, jak brzęczą? Żeby się tylko nie wyroiły. Usłyszałem w jego głosie zatroskanie. W taki sam sposób mówił o swoich parafianach. Kiedy zadałem mu pytanie, milczał przez chwilę, szukając w pamięci jakiegoś obrazu, który mógłby mi pomóc. Druga kołatka, zastanawiał się głośno, nigdy o niej nie słyszałem. Dlaczego pan o to pyta? W kościele, zacząłem, są dwa boczne portale, północny i południowy. Skoro na drzwiach południowych wisiała kołatka, może podobna była też na północnych? Proszę nie zapominać, dodał pastor, że wejście południowe łączyło kościół z zakrystią, kaplicą opata i kapitularem. Popatrzyłem na mojego rozmówcę z szacunkiem. Najwyraźniej wiedział o klasztorze w Kolitz więcej, niż mogłem przypuszczać. Od strony północnej, ciągnął dalej, nie było już zabudowań klasztornych. Po cóż więc ktoś miałby umieszczać na tamtych drzwiach kołatkę? Dla zachowania świętej zasady symetrii? — spytałem niepewnie. Kto może wiedzieć, uśmiechnął się pastor łagodnie, która z nich jest świętsza: symetria czy asymetria? I skąd pewność, że kołatka południowa nie wisiała pierwotnie przy wejściu do klasztoru lub na drzwiach głównych?

Mógł mieć rację, ale ja nie chciałem się pogodzić z jego teorią. Musiał zobaczyć rozczarowanie na mojej twarzy, bo położył mi dłoń na ramieniu. Przyjacielu, powiedział, jeśli chcesz mieć pewność, jedź do Stettin, do zarządcy klasztoru, może on będzie umiał ci pomóc.

Postanowiłem wyjechać w poniedziałek, wcześniej rano, załatwić moją sprawę i wrócić wieczorem. Poprosiłem pastora o dyskrecję. Obiecał, że nikomu nie wspomni o celu mojej podróży.

8 lipca 1884 roku. Jadąc piaszczystą, wyboistą drogą, zastanawiałem się, czy moja podróż ma jakikolwiek sens. Nie miałem żadnej pewności, że moje rozumowanie jest słuszne. Tropiłem ślady, które były tak nikłe, że łatwo mogłem pobłądzić i znaleźć się w ślepym zaułku.

Do Stettin dotarłem koło południa. Ludwig Stein przyjął mnie w swoim eleganckim gabinecie pełnym dębowych inkrustowanych mebli i starych marmurowych popiersi z minionej epoki. Przekazałem mu list polecający, w który wyposażył mnie mój gospodarz. W czym mogę panu pomóc, panie Kleist? — zapytał mnie, uśmiechając się życzliwie, gdy zapoznał się z jego treścią. Joseph jest moim przyjacielem, z radością spełnię jego prośbę i odpowiem na pańskie pytania. Był zażywnym człowiekiem dobiegającym pięćdziesiątki. Zaczynał łysieć i próbował to ukryć, pieczołowicie układając na czole długie kosmyki rosnące za uszami. Kiedy podniósł się, by przymknąć otwarte okno, wiatr zburzył tę misterną fryzurę, a niesforna kępa włosów opadła mu na oczy. Odgarnął ją niecierpliwie, oczekując z niepokojem mojej reakcji. Uspokoilem go, uśmiechając się ze zrozumieniem. Wszyscy boimy się śmieszności, pomyślałem, im jesteśmy starsi, tym większe mamy problemy z zaakceptowaniem upływu czasu i swojego wieku.

Przyjechałem do pana, licząc na to, że z pana pomocą uda mi się znaleźć odpowiedź właściwie na jedno tylko pytanie. Pamięta pan klasztor w Kolitz, jego architekturę. Być może pamięta pan też brązową antabę, którą pastor zdjął z drzwi południowego portalu i troskliwie przechowuje w swoim domu. To ja doradziłem mu, by tak zrobił, wyjaśnił Ludwig Stein, obaj martwiliśmy się o to, by nie znikła bez śladu. Czy słyszał pan kiedykolwiek o istnieniu drugiej antaby, spytałem, wiszącej na drzwiach północnych? Długo czekałem na odpowiedź. Stein przekładał jakieś informacje w swojej głowie, z nadzieją że trafi na te, które mogłyby mnie zainteresować. W końcu przecząco pokręcił głową. Panie Kleist, powiedział ze smutkiem, obawiam się, że to, co pan powiedział, jest dla mnie zupełną nowością. Nigdy nie spotkałem się z informacją o drugiej antabie. Mogę jednak zaprowadzić pana do archiwum, gdzie trzymamy wszystkie dokumenty o Kolitz i innych miejscach tego rodzaju znajdujących się w naszym okręgu. Przyznaję, że nie znam treści ich

wszystkich, bo nie taka przecież jest moja rola. Może wśród tych papierów znajdzie pan to, czego pan szuka.

Skinąłem głową i schodami w dół pozwoliłem się zaprowadzić do piwnic, gdzie znajdowało się jedno wielkie pomieszczenie wypełnione różnymi aktami. Światło docierało tutaj przez niewielkie okienka pod sufitem. Kiedy spojrzałem w jedno z nich, zobaczyłem defiladę nóg spieszących się ludzi.

Stein wskazał mi jeden z regałów. Proszę się czuć swobodnie. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę się zwrócić do pracownika, którego znajdzie pan tam, na końcu, machnął ręką w kierunku biegnących w głąb sali rzędów półek, albo proszę zająć do mnie. Zostawiam panu lampę.

Odszedł, zostawiając mnie samego wśród kurzu i gęsto zapisanych stronic. Przyjrzałem się półkom i szybko odnalazłem miejsce, gdzie starannie ustawiono interesujące mnie dokumenty. Zdjąłem cały ich stos i ułożyłem na podłodze, po czym usiadłem obok i zacząłem czytać. Było tam wszystko, począwszy od rysunków, planów modernizacji budynków, rozporządzeń nakazujących rozebranie poszczególnych części klasztoru, był nawet akt nadania ziemi ostatniemu opatowi Bartłomiejowi Schobbe, który zrezygnował z piastowanej godności 16 października 1535 roku. W zamian za potulność otrzymał od księcia Barnima IX majątek niedaleko Koltitz.

Byłem zdziwiony bogactwem dokumentacji. Z niecierpliwości zaczęły mi się trząść ręce. Anno Domini MDLXIII, przeczytałem na jednej z ostatnich kartek. Musiała być późniejszą kopią oryginalnego dokumentu. Dotyczyła okresu, w którym książę Bogusław XIII nakazywał odbudowę piętra w budynkach poklasztornych i czynił z Koltitz letnią siedzibę książąt szczecińskich. Przed podjęciem prac jakiś architekt sporządził szczegółowy opis zespołu klasztornego, uwzględniając nie tylko stan murów, ale i wyposażenie. Tekst był po łacinie. Nigdy jeszcze nie cieszyłem się tak bardzo z faktu, że czytam biegle w tym języku. Przebiegłem wzrokiem treść dokumentu, szukając wyrazu, który mógł oznaczać antabę, uchwyt na drzwiach,

żelazną obręczkę; przywołałem w myśli wszystkie słowa, które znałem: *pessulus*, *repagulum*, *ansa*, *capulus*, *manubrium*. Przeczytałem tekst trzy razy i odnalazłem wzmiankę o kołatce z portalu południowego. W XVI wieku zdobyła drzwi kapitularza. Myślę, że pełniła wówczas funkcję dekoracyjną, a zatem nie mogło być mowy o symetrii i druga antaba miała pozostać wyłącznie wytworem mojej wyobraźni.

Nagle pozostałe strony u moich stóp zafalowały, ich brzegi uniosły się ostrzegawczo, zatrzepotały i opadły na ziemię. Przytrzymałem cenne papiery, które przeciąg prawie porwał ze sobą. Gdzieś na końcu wielkiego pomieszczenia trzasnęły drzwi. Dziwne, pomyślałem, bo nie słyszałem, by ktoś je otwierał. Strach, który poczułem dwa dni temu w ruinach klasztoru, odnalazł mnie i tutaj, w piwnicach archiwum Stettin. Wstrzymałem oddech. Trzy kroki, liczyłem, cisza, pięć kroków, stuknięcie, jakby ktoś oparł się o jeden z regałów. Może to tylko pracownik archiwum przyniósł jakieś akta, uspokajałem się w myśli. Daleko przed sobą, między rzędami szaf zobaczyłem cień, który w chwilę później poruszył się i znikł. Znowu rozległy się kroki, które milkły, gdy tajemniczy gość przystawał i nastuchiwał.

Zebrałem dokumenty i wstałem, jak tylko mogłem najciszej. Nie byłem pewny, czy chcę szukać towarzystwa w tym labiryncie. W gardle czułem suchość, a w głowie pustkę. Bałem się, że to mój wyimaginowany prześladowca przyjechał za mną z Kowitz aż tutaj. Postanowiłem uciekać. Spośród kartek, które trzymałem w dłoniach, wypadł niewielki skrawek papieru, na którym zapisano zdanie, a właściwie pytanie, po łacinie: *Ut accedat umbra decem lineis an ut revertatur totidem gradibus?* (Czy cień ma się posunąć o dziesięć stopni, czy też ma się cofnąć o dziesięć stopni?). Znaczenie tekstu było niejasne. Nie było żadnego podpisu ani komentarza.

Kiedy szedłem w kierunku wyjścia z archiwum, na swojej drodze nie spotkałem nikogo. Niepokojący cień znikł, jakby był wytworem mojej rozgorączkowanej wyobraźni. Zapomniałem o nim zaraz za drzwiami, wspiąłem się po schodach i po chwili byłem już w

słonecznym pokoju Steina. Coś pan znalazł? — spytał. Niestety nic, z wyjątkiem tego, pokazałem mu cytat. Ach ten, zastanowił się, wydaje mi się, że pochodzi ze sklepienia krużganków przy południowej ścianie kościoła, z czasów, gdy jeszcze istniały. Może zapisał go ktoś, kto kierował pracami przy ich rozbieraniu. Jest pan pewien, że to były właśnie te krużganki? — spytałem jeszcze, ale Stein pokręcił głową. Nie jestem pewien niczego, ale wydaje mi się, że kiedyś o tym słyszałem. Pamięta pan od kogo? Niestety. Przykro mi, że nie mogę pomóc.

W ten sposób wróciłem do Koltitz z dziwnym cytatem nieznanego pochodzenia w kieszeni. Grubość południowej ściany kościoła znowu nabrała znaczenia. I jak zwykle nie było osoby, która mogłaby potwierdzić moje przypuszczenia.

Na schodach spotkałem pastora. Jak poszukiwania? — zapytał z zainteresowaniem, więc i jemu pokazałem tajemnicze pytanie. Czy to z Biblii? — spytałem, mając w pamięci cytat na odwrocie antaby. Proszę, niech pan pójdzie ze mną, powiedział i zaprowadził mnie do swojego gabinetu. Podał mi Biblię otwartą na Drugiej Księdze Królewskiej. Chcesz, żeby cień postąpił na dziesięć stopni, albo żeby się na wstecz wrócił na dziesięć stopni? — przeczytałem. Właściwie przetłumaczyłem to dość podobnie. Ten przekład w niczym mi nie pomógł ani niczego nie wyjaśnił. Zwróciłem książkę pastorowi i zszedłem do ogrodu.

Dzień miał się ku końcowi i od drzew ciągnął miły chłód. Kiedy wszedłem w gąszcz liści, zobaczyłem Marię, która obrywała porzeczeki do niewielkiej misy. Trzymała ją jedną dłonią, a drugą sięgała po owoce. Zbliżyłem się do niej cicho i gdy mnie zobaczyła, wystraszyła się. Mario, czy wybaczyła mi już pani moją śmiałość? — spytałem, stając po drugiej stronie niewielkiego krzewu, tak by móc na nią patrzeć. Zarumieniła się i przygryzła wargę. Mario, proszę panią, powtórzyłem, nie powinienem tego robić. Pomyślałem, utknąłem niezręcznie wpół zdania, dotykając kieszeni spodni, pomyślałem, że mógłbym przekonać panią o mojej skrusze i dlatego chciałbym

podarować pani to. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem z niej błękitną wstążkę, którą tego dnia kupiłem w Stettin. Wyciągnąłem dłoń ze wstążką przed siebie. Dziewczyna milczała, przypatrując mi się w jakimś szczególnym zmieszaniu, które zresztą podzielałem. W końcu po nieskończonej długiej chwili postawiła misę na ziemi i wzięła wstążkę czystą dłonią. Dziękuję panu, Otto. Po raz pierwszy użyła mojego imienia, głos jej zadrżał i uśmiechnęła się do mnie. Nie gniewam się na pana, dodała i mocniejszy rumieniec zabarwił jej policzki, nie mogłabym. W ciszy, która zapadła między nami, słyszałem brzęczenie ostatnich pszczoł wracających do uli i nasze przyspieszone oddechy. Poczuję się nagle bardzo szczęśliwy. Pojechałaby pani ze mną do Berlina, Mario? — spytałem. A może pan zostałby tutaj — odpowiedziała szeptem. Mario, rozległo się wołanie mojej gospodyni, Mario! Zerwała się spłoszona. To mama, muszę iść, powiedziała. Proszę tu być jutro o tej samej porze, spojrzała na mnie prosząco i poszła ku domowi, zostawiając mnie samego w pełnym niedowierzania oszołomieniu.

9 lipca 1884 roku. Hans, główny inżynier nadzorujący prace remontowe, okazał się bardzo miłym człowiekiem. Spędziłem z nim dzisiaj blisko dwie godziny, rozmawiając o klasztorze, a także o jego rodzinie. Wyznałem, że sam nie mam nikogo, i opowiedziałem mu pokrótce swoją historię. Oczywiście nie wspominając o tym, że mój ojciec był w Kolitz, i nie mówiąc ani słowa o planie. Kiedy powiedziałem, że nie mam żony, pomyślałem o Marii i naszej wczorajszej rozmowie i musiałem się uśmiechnąć, bo Hans to zauważył. Widzę, że to się niedługo zmieni, powiedział, chyba już masz kogoś na myśli, Otto? Pokiwałem głową.

Czy rzeczywiście mógłbym związać się z córką pastora i poślubić ją, a potem zostać w Kolitz i resztę życia poświęcić na rozwiązywanie zagadki klasztoru? I czy istniała jakakolwiek zagadka? A może najpierw mój ojciec, a teraz ja, uwierzylimy w fatamorganę, miraż przeszłości? Może szukałem wskazówek tam, gdzie były tylko cytaty z

Biblii? Gdzie miałbym znaleźć dziesięć stopni z ostatniego cytatu, którego znaczenia nie rozumiałem?

Spojrzałem na plan kościoła, którym posługiwał się Hans. Stopnie powinny być częścią schodów, tak przynajmniej wynikało z kontekstu w Starym Testamencie, a schody zostały zaznaczone na nim tylko w jednym miejscu: blisko prezbiterium. Wysiliłem pamięć, ale mimo to nie mogłem sobie przypomnieć, bym widział tam jakiegokolwiek schody, poza kilkoma stopniami przed ołtarzem. Na pewno nie było ich dziesięć i na pewno to nie one zostały zaznaczone na rysunku Hansa. Jeżeli czegoś nie można dostrzec od razu, pomyślałem, może trzeba poszukać dokładniej, na przykład pod posadzką albo w załomach murów, albo we wszystkich miejscach, które dotąd umknęły uwagi badacza. Krypta, pomyślałem, dlaczego w tym kościele nie miałyby być krypty?

Widzę, że interesują cię moje rysunki, usłyszałem nad sobą głos Hansa. Właściwie nie bardzo, wybacź, odpartem spokojnie, tak tylko rzuciłem okiem. Kłamstwo przyszło mi nadspodziewanie łatwo. Oddałem mu rulon i poszedłem w kierunku kościoła. Po drodze mój zapal przygasał, gdy uświadomiłem sobie, że w krypcie nie może być mowy o świetle, a więc i o cieniu również nie.

Nawa była pusta i dziwnie odświętna. Długo nie mogłem dociec, skąd brało się to wrażenie. W końcu dotarło do mnie, że wewnątrz nie ma już gruzu, a moje stopy nie czynią już takiego hałasu, jakbym stąpał po tłuczonym szkłe. Pod nogami miałem oczyszczone kamienne płyty posadzki. Robotnicy musieli zrobić to wczoraj, gdy byłem w Stettin. Wysprzątane wnętrza wydawało się bardziej monumentalne i majestatyczne. Przeszedłem do prezbiterium i zatrzymałem się po prawej stronie, przed stopniami, w miejscu gdzie na planie zaznaczono schody. Ani na posadzce, ani na ścianie nie było żadnego oznaczenia, wiedziałem jednak, że muszą gdzieś tam być.

Pochyliłem się i przyjrzałem uważnie kamiennym płytom. Jedna z nich miała bardziej starte brzegi, jakby ktoś często ją odsuwał. Kiedy

ją podważyłem, dała się unieść zupełnie łatwo, choć nie należała do lekkich. Pod nią zobaczyłem stopnie. Gdy wsuwałem się w otwór, dobiegł mnie tupot nóg. Odruchowo spojrzałem ku drzwiom. W obramowaniu ostrego światła zobaczyłem potężną męską sylwetkę, której nie udało mi się rozpoznać. Oslepiony zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, już jej nie było, choć przysiągłbym, że jej zniknięciu nie towarzyszył żaden dźwięk.

Schodząc w dół, zacząłem liczyć stopnie, by się uspokoić. Liczby, skończone, klarowne, doskonale jednoznaczne twory. Stopni było dziesięć. Wróciłem na górę i policzyłem jeszcze raz. Dziesięć, ani mniej, ani więcej. Zdumiony usiadłem na samym dole i próbowałem zebrać myśli. Wokół mnie panowały absolutne ciemności. Jeśli chciałem się dowiedzieć, co było w dalszej części korytarza, powinienem zaopatrzyć się w świecę lub lampę. Po głowie uporczywie tłukło mi się jedno pytanie: jaki cień, skąd cień w tym opuszczonym, pozbawionym światła miejscu? Spojrzałem do góry. Promienie słońca wpadające przez okna i dziurę w dachu kościoła docierały zaledwie do trzeciego, może czwartego schodka. Poczujęm się tak, jakby ktoś zakpił z mojej łatwowierności. Wycofałem się i starannie zasunąłem pokrywę wejście.

Na spotkanie z Marią szedłem pełen niepokoju i tajonej radości. Po co kazała mi przyjść? Czy ją kochałem, czy tylko ulegałem jej urokowi, bo była młoda, piękna i w zieleni sadu z naczyniem w ręce wydawała mi się bardziej literacką niż rzeczywistą postacią? Wieczór był parny, zbierało się na burzę. Wiatr, który zerwał się nagle, pędził po niebie siwe, ciężkie chmury. Świat czekał na deszcz w ciszy, jak się czeka na nieuniknione. A ja stałem przy krzewie obwieszonym czarnymi kiściami porzeczek i czekałem na Marię. Przez głowę przelatywały mi fantastyczne marzenia. Znałem różne kobiety, ale żadna nie miała w sobie takiej świeżości, w porównaniu z Marią wszystkie wydawały mi się nieprawdziwe i nieszczerze.

Przyszła wreszcie, między gałęziami zamajaczył z daleka jej jasny strój. Serce biło mi niespokojnie, gdy stanęła blisko mnie i nasze

spojrzenia się spotkały. Włosy przewiązała wstążką, którą jej podarowałem. Przepraszam, że pan musiał czekać, ale mama zatrzymała mnie w domu. Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało samymi oczami, podczas gdy usta pozostały poważne, i zamilkła na dłuższą chwilę. Pani chciała mi coś powiedzieć, zagadnąłem ją, bo nagle cisza między nami zaczynała mi ciążyć. Spojrzała na mnie znów, przenikliwie, jakby chciała zajrzeć w moje myśli, uwięziła mnie w swym spojrzeniu i nie mogłem, nie śmiałem oderwać od niej oczu. A pan, Otto, powiedziała bardzo cicho, nie chciał mi niczego powiedzieć?

Uczucia zawsze są szybsze niż myśl, chwila nieuwagi i wydostają się na zewnątrz, bez udziału naszej woli i świadomości. To, czego odmówiła mi kilka dni temu, chciała mi dać teraz, czekała tylko na jedno moje słowo jak na zaklęcie. I słowo to uwolniło się i zabrzmiało, choć przysiągłbym, że nie otworzyłem ust, by je wypowiedzieć, i zawisło w powietrzu jak ptak wypuszczony z klatki, odwykły od swobody, który nie wie, co ze sobą począć. Mario, kocham panią. Dotknęła dłońią mojej twarzy. Usta miała w kolorze dojrzewających wiśni i pachniała słońcem, którego przecież nie było na niebie, bo znikło za chmurami, a także wiszącym nad nami deszczem i jeszcze czymś, czego nie umiałem nazwać. Tak mało wiem o panu, o tobie, poprawiła się i odsunęła ode ranie. W głowie mi szumiało. Mamy przed sobą dużo czasu, odparłem, pytaj, odpowiem na każde twoje pytanie. Potrząsnęła złotym warkoczem. Nie dzisiaj, szepnęła, jestem taka szczęśliwa. To będzie nasza tajemnica, dobrze? Patrzyła na mnie ufnie, z oddaniem, więc obiecałem milczeć. Dlaczego? — spytałem tylko. Jeszcze za wcześnie mówić o tym mamie i ojcu. Powiem ci kiedy. Zgodziłem się, zrobiłbym dla niej wszystko. Kiedy przytuliłem ją do siebie, poczułem że szuka mojej dłoni i wsuwa do niej niewielki chłodny przedmiot. Żebyś zawsze o mnie pamiętał. Możesz ją nosić na tym, zdjęła z szyi cienki łańcuszek i podała mi go. Otworzyłem dłoń i zobaczyłem małą srebrną obrączkę, próbowałem ją włożyć, ale

zatrzymała się w połowie małego palca lewej dłoni. Zawiesiłem ją na łańcuszku, który zapiąłem na szyi i ukryłem pod koszulą.

11 lipca 1884 roku. Nie pisałem przez dwa dni. Dlaczego? O tym za chwilę. Chronologia, oto co ma dla historyka największe znaczenie.

Wczoraj przed południem, zaopatrzony w lampę naftową, wyruszyłem do klasztoru z zamiarem obejrzenia krypty i prowadzących do niej dziesięciu stopni.

Odsunąłem płytę i zajrzałem w głąb czeluści. Prawdę mówiąc, nie miałem ochoty schodzić tam sam, ale zaproszenie kogoś do towarzystwa oznaczało wtajemniczenie go w moje sprawy, a to przecież nie wchodziło w grę. W uszach wciąż miałem ostrzeżenie Hermanna, a w pamięci opowieść o śmierci mego ojca. Zresztą, nawet gdybym nie miał na uwadze przeszłych wydarzeń, uczucie, że jestem obserwowany i śledzony, wystarczyłoby, by zburzyć mój spokój i pewność siebie. Nie, zdecydowanie nie czułem się pewnie. Właściwie mogę powiedzieć, że się bałem, choć nie potrafiłbym powiedzieć, co było powodem mojego lęku.

Zapaliłem lampę i zszedłem na dół. Na każdym stopniu zatrzymywałem się i oglądałem jego powierzchnię, licząc na to, że się czegoś dowiem. Kamień, z którego zostały zrobione, był gładki, jakby wypolerowany. Na środku schodków widniały wgłębienia, jakby stopy, które stąpały wtedy kilkaset lat temu, stawały zawsze w jednym i tym samym miejscu. Chybotliwe światło lampy kołysało się na ceglanych ścianach, mój cień postępował za mną chwiejnie, jakby chichotał, za nic mając mój lęk i moje poszukiwania. Chceszże, żeby cień postąpił na dziesięć stopni, albo żeby się na wstecz wrócił na dziesięć stopni? — przypomniałem sobie cytat, który mnie tu przywiódł. Brak naturalnego światła wykluczał poznanie jego znaczenia. Może gdzieś tam, przede mną znajdowały się jeszcze jedne schody, pomyślałem, może one mogły mi coś wyjaśnić? Ostatni raz spojrzałem do góry. Potem odwróciłem się i stanąłem oko w oko z zatęchłym, nieprzyjaznym korytarzem.

Nigdy jeszcze nie widziałem takich pajęczyn, widocznie nikt od dawna nie zapuszczał się tutaj, bo były zupełnie nienaruszone. Pożałowałem, że nie mam kija, którym mógłbym ciąć je przed sobą na kawałki i torować sobie drogę w wąskim korytarzu, który prowadził mnie w ciemność. Zdjąłem marynarkę i owinąłem sobie nią rękę. Tak przygotowany ruszyłem przed siebie, starając się nie patrzeć na moje przedramię, gdzie z każdym krokiem rosła szara warstwa zdejmowanych ze ścian pajęczych nici.

Korytarz miał piętnaście kroków długości, liczyłem je starannie na wszelki wypadek, by wiedzieć, jak bardzo oddalam się od wyjścia, później skręcał delikatnym łukiem w prawo, i domyśliłem się, że muszę być w pobliżu północnego ramienia transeptu, na jego styku z prezbiterium. Następnie rozszerzał się, tworząc prawie kwadratowe pomieszczenie, o wymiarach mniej więcej dwa na trzy metry. Jeden przy drugim stały tu trzy kamienne sarkofagi, nakryte kamiennymi płytami. Wewnątrz nich znajdowały się zapewne szczątki opatów cysterskich. Na płytach, jak zdążyłem się zorientować, widniały zatarte przez czas litery łacińskich inskrypcji. Odczytałem na jednej z nich napis mówiący o pochowaniu w niej trzech osób. Słowa rwały się na strzępy, bo wiele liter było zupełnie niewidocznych.

Zamierzałem przyjrzeć się im dokładniej, gdy w korytarzu rozległ się hałas, jakby huk spadającego kamienia i odbił się głuchym echem od ścian krypty. Pobiegłem z powrotem i w jednej chwili byłem już na schodach. Płyta była zasunięta. Zaparłem się całym ciałem i próbowałem ją przesunąć. Na próżno. Wiedziałem, że nie była aż tak ciężka, człowiek, który umieścił ją na miejscu, musiał na niej postawić coś, co uniemożliwiło mi wydostanie się na zewnątrz. Poczulem na plecach krople zimnego potu. W gardle miałem olbrzymią kulę z pyłu i pajęczyn, która utrudniała przełykanie. Ten człowiek, mój wróg, wiedział, że jestem pod ziemią, a ja wciąż nie znałem jego twarzy. Kiedy tak stałem na schodach, dotarło do mnie, że tego właśnie boję się najbardziej, nieznanego przeciwnika, bez rysów, bez osobowości. Jak mogłem mu umknąć, skoro nie

wiedziałem, kim był? Zacząłem krzyczeć, ale mój głos najwidoczniej nie przenikał przez kamienną posadzkę albo kościół był zupełnie pusty, bo nikt się nie zjawił, a ja wkrótce ochryplem i zaniechałem dalszych wysiłków.

Wróciłem do krypty, by obejrzeć pozostałe tumby, ale nim zająłem się tym na dobre, lampa zaczęła gasnąć. Wychodząc z domu, nie dolałem do niej nafty, sądząc, że jej ilość wystarczy do zwiedzenia podziemi. Nie mogłem przecież przewidzieć, że ktoś mnie w nich zamknie. Wykorzystując resztki światła, wycofałem się znów ku schodom. Woląłem być bliżej wyjścia, łudziłem się, że może usłyszę dźwięk kroków lub rozmowy, zacznę krzyczeć i ktoś, nie ten drań bez twarzy, mnie uwolni.

Wkrótce zorientowałem się, że mam towarzystwo. W zupełnych ciemnościach rozległ się szelest, który wzmagał się, gęstniał z każdą minutą. Zrozumiałem, że powodują go gromadzące się wokół mnie szczury. Wzdrygnąłem się z obrzydzenia, ale wkrótce przywykłem do tych dźwięków i przestałem zwracać na nie uwagę. Miałem tylko nadzieję, że szczury nie zjedzą mnie żywcem, byłaby to dość głupia śmierć. Z biegiem czasu zwierzęta były coraz śmielsze, podchodziły do mnie i łapały zębami za moje buty, odrzucałem je wówczas kopniakiem na bezpieczną odległość. To dawało pozostałym do myślenia, zanim wróciły, zyskiwałem kilka cennych minut względnego spokoju.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem. Sądziłem, że musiało minąć już kilka godzin, bo cały zdrętwiałem. Schody były twarde i plecy bolały mnie od opierania się o nierówną i zimną ścianę. Chyba się zdrzemnąłem, ale nie wiem, jak długo spałem. Obudził mnie dotyk szczurzego ogona na twarzy i głód. Chwyciłem zwierzę, ze wstrętem rzuciłem nim o ścianę. Uderzeniu towarzyszył miękki odgłos upadającego ciała i przeraźliwy pisk.

Nie pamiętam też, jak przetrwałem kilka następnych godzin, chciałem czuwać, ale sen spadał na mnie nieoczekiwanie i pozbawiał przytomności, a gdy się budziłem, byłem coraz bardziej zziębnięty i

obolały. W końcu znużony walką z własną sennością poddałem się i zasnąłem na długo.

Pierwszą rzeczą, z której zdałem sobie sprawę otworzywszy oczy, było zniknięcie szczurów. Już mnie nie niepokoiły. W korytarzu panowała absolutna cisza. Jedyнным źródłem dźwięków w tym zapomnianym przez ludzi miejscu byłem ja sam. Przerażeniem napawała mnie myśl, że może będę tu siedział aż do śmierci i z biegiem lat zamienię się w takie samo truchło jak te w krypcie, śpiące twardo pod ciężkimi, kamiennymi epitafiami. Z jedną różnicą: ja nie miałem szans nawet na najskromniejszy nagrobek. Przyszło mi do głowy, że może szczury będą rozwłóczyć moje ciało po całym korytarzu, a moje oczyszczone z mięsa kości zostaną rozrzucone między sarkofagami. Te obrazy dodały mi energii. Wbiegłem na górę i znowu zacząłem krzyczeć, uderzając pięściami w płytę zamykającą wejście. Raz, drugi, trzeci ponawiałem te ataki, robiąc między nimi kilkuminutowe przerwy. Wreszcie usłyszałem dźwięk z góry, jakby szuranie stóp. Jeszcze nie wierzyłem w swoje szczęście, krzyknąłem najgłośniejszym głosem, jak umiałem. Rozległ się stukot, jakby ktoś odstawił to, co stało na płycie. Zobaczyłem szczelinę pełną światła, a później zdziwioną twarz Thomasa. Otto, wykrzyknął, rozpoznając mnie, co ty tu robisz? Wyglądasz, jakbyś spędził noc w tej dziurze. Nie chcesz chyba powiedzieć, że tak było, dodał, widząc moją minę. Nie jestem pewien, odparłem, którego dziś mamy? Jedenastego lipca, odpowiedział, przyglądając mi się badawczo, dobrze się czujesz? Bardzo jesteś blady. Wsparłem się na jego ramieniu i zastoniłem oczy dłonią, raziło mnie światło. Jestem strasznie głodny, wymamrotałem, wracam do domu. Thomas patrzył na mnie, nic nie rozumiejąc. Ile czasu tam byłeś? Wskazał na dziurę w posadzce kościoła. Jest rano? — upewniłem się. Południe, uściślił. Uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że okrągłą dobę? Ale dlaczego, jak to się stało? Wzruszyłem ramionami, było mi słabo. Kiedy wszedłem do środka, wyjaśniłem z wysiłkiem, ktoś zasunął płytę i postawił na niej, rozejrzałem się wokół, to, powiedziałem zaskoczony, widząc trzy wiadra z gruzem odstawione

na bok. Thomas wyglądał na przejętego. Wiesz, kto to zrobił? Nie. Czego szukałeś tam na dole? Spojrzał na mnie badawczo, nieprzyjemnie. Słuchaj, zacząłem, ledwo żyję, możemy porozmawiać o tym po drodze? Jestem historykiem, gdybyś nie pamiętał, a średniowieczne krypty mieszczą się w sferze moich zainteresowań.

Trzeba przyznać, że Thomas zachował się, jak należy, odprowadził mnie do domu pastora i pomógł wejść po schodach. Zaraz dostaniesz śniadanie, odpocznij. Otworzył przede mną drzwi i chciał się wycofać. Mój Boże, powiedziałem oniemiały, stojąc na progu. Pokój wyglądał jak po przejściu huraganu. Moje rzeczy osobiste leżały w nieładzie na skotłowanej pościeli. Koszule rozrzuciono na podłodze, podobnie buty i kilka książek, które ze sobą zabrałem. Musiałem zrobić się zupełnie biały, bo Thomas podtrzymał mnie, wprowadził do pokoju i posadził na łóżku. Ty to zrobiłeś? — zapytałem, patrząc mu prosto w oczy, ty to zrobiłeś, Thomas? Oszalałeś, zaprzeczył, po co miałbym to robić? Ty mi powiedz... Kto inny mógłby tu wejść, jeśli nie ty. Ze spokojem zniósł moje spojrzenie, może mówił prawdę, a może był świetnym aktorem. Zawołał gospodynię, powiedział i zbiegł po schodach.

Żona pastora na widok bałaganu załamała ręce. Nikt tu nie wchodził. Nikogo nie widziałam. Kto był wczoraj w domu w ciągu dnia? — zapytałem. Wciąż ktoś był; i ja, i mąż, i Maria, i dzieci. Co prawda wychodziłyśmy do ogrodu, a mąż odprawiał wieczorem mszę, ale na pewno byśmy coś zauważyli albo usłyszeli. A więc nic nie zauważyli, pomyślałem, niczego się od nich nie dowiem. Zostawcie mnie samego, zażądałem, i poproszę o coś do jedzenia i picia. Położyłem się na kółdrze i zamknąłem oczy. Słyszałem, jak cicho wyszli z pokoju. Ich kroki po chwili ucichły na schodach i zostałem sam.

Ktokolwiek to był, z pewnością nie znalazł tego, czego szukał. Dziennik przez cały czas miałem ze sobą, a plan tkwił w nim, wsunięty między kartki. Często sprawdzałem, czy wciąż tam jest. Teraz też sięgnąłem po brulion. Pożółkły rysunek był na swoim

miejscu. Odetchnąłem. Tym razem mu się nie udało, ale mogło się udać następnym. Skoro nie znałem jego twarzy, miał nade mną ogromną przewagę. Mógł zająć mnie od tyłu, ogłuszyć i odebrać moje notatki, zakładając, że to o nie mu chodziło, nic innego przecież nie miałem. Mógł zrobić mi coś złego. Nie chciałem myśleć, co by się stało, gdyby Thomas nie usłyszał mojego krzyku. Może to jednak nie on był moim prześladowcą? A z drugiej strony, jeśli to on po przeszukaniu pokoju, nie znalazłszy dziennika ani planu, wrócił, żeby mnie uwolnić i wydusić ze mnie wszystko, co wiem? Czeka tylko na odpowiednią chwilę?

Byłem zmęczony, głodny, brudny i znużony własnym strachem. Mężczyzna zapędzony w kozi róg przez człowieka-widmo. Musiałem coś z tym zrobić, żeby nie zwariować. Zdałem sobie sprawę, że dopóki dziennik nie wpadnie w jego ręce, ja jestem bezpieczny, bo tylko ja mogę go zaprowadzić do celu. Czyli dokąd? Nie wiedziałem. Szukałem stopni i cienia, jak dotąd bezskutecznie, ale z niezmiennym przekonaniem i uporem.

Rozległo się nieśmiałe pukanie i do pokoju wsunęła się Maria. Postawiła przede mną tacę ze śniadaniem i w powietrzu rozszedł się zapach świeżego chleba i miodu. Bałam się, że coś się panu stało, nie przyszedł pan wczoraj do ogrodu. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, mówiłaś mi po imieniu, odparłem, usiądź koło mnie, przytrzymałem jej dłoń. Mama na mnie czeka, zaoponowała. Byłem jednak stanowczy. Usiądź proszę, powtórzyłem, więc usiadła posłusznie na brzegu łóżka. Otto, powiedziała łagodnie, kto mógł to zrobić? Ogarnęła wzrokiem porozrzucane przedmioty. Nikogo nie widziałaś, prawda, to było stwierdzenie raczej niż pytanie. Nie, powiedziała. Dobrze było mieć ją obok siebie. Ująłem dłoń Marii i pocałowałem od wewnętrznej strony, między długimi, szczupłymi palcami.

Posłuchaj mnie, zacząłem niepewnie, bo wciąż jeszcze nie wiedziałem, czy chcę wprowadzić Marię we wszystkie wydarzenia. Zdecydowałem, że powiem jej tylko tyle, ile muszę. Chciałbym cię o coś prosić. Sięgnąłem po mój dziennik i zacząłem, go kartkować.

Szelest kartek działał na mnie uspokajająco. Przechowasz mi coś? Co takiego? Ten plan, podałem jej rysunek, który w końcu odnalazłem między stronicami. Nie rozumiem, powiedziała. Widziałem, że się zastanawia. Nie musisz, im mniej będziesz wiedzieć, tym lepiej dla ciebie, tym będziesz bezpieczniejsza i tym bezpieczniejszy będę ja, wyjaśniłem jej, i to co chcę ukryć. Po prostu włóż tę kartkę do jakiejś książki i na jakiś czas zapomnij, gdzie ją schowałaś. Oddasz mi, kiedy cię poproszę. I nikomu ani słowa. Zrobisz to dla mnie? Wzięła ją ostrożnie w palce, jakby się bata pobrudzić, i poważnie spojrzała mi w oczy. Odetchnąłem. Idź już, jeśli naprawdę musisz. Uważaj na siebie, kochany, szepnęła, dotykając ustami mojego czoła. Zostawiam cię, żebyś mógł odpocząć. Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebował. Thomas jest w domu? — spytałem jeszcze, bo niepokoiła mnie bliskość człowieka, do którego straciłem nagle zaufanie. Poszedł z powrotem do klasztoru, zaraz po tym, jak cię przyprowadził. To dobrze, że go tu nie ma, powiedziałem. Oczy mi się zamykały. Zjedz śniadanie, mleko ci zupełnie wystygło. Wróć po tacę. Popatrzyła na mnie z troską i zrozumiałem, że wcale nie chce wychodzić. Moja Maria, cieszyłem się, gdy była obok.

Dziennik wciąż leżał na kółdrze. Może niepotrzebnie zacząłem go prowadzić, lekkomyślnie powierzyłem mu wszystkie swoje przemyślenia i sekrety, a teraz szkoda mi było go zniszczyć, bo byłoby to tak, jakbym niszczył drobną część siebie. Skąd mogłem wiedzieć, że wypadki tak właśnie się potoczą. Nie sądziłem, że spotkam kogoś, kto z powodu starego planu będzie mnie straszył i nastawał na moje życie, kto być może znał mojego ojca i przyczynił się do jego śmierci. Opowieść Hermanna nie wydawała mi się już dzisiaj fantastyczna, nie, była zupełnie wiarygodna. Musiałem jednak przyznać, że Thomas był za młody, by znać ich obu, i Hermanna, i mojego ojca.

Wsunąłem notatnik pod głowę, żeby nie leżał na wierzchu, kiedy będę spał. Wiedząc, że Maria może zajrzeć do pokoju za kilka minut, postanowiłem nie zamykać drzwi na klucz. W końcu, jak pokazały

ostatnie wydarzenia, zamek nie był przeszkodą dla mężczyzny, który mnie nękał.

Zasypiając, pomyślałem, że muszę znaleźć jakiś bezpieczny schowek i ukryć w nim dziennik. Udam, że zaniechałem wszelkich poszukiwań, by zmylić mojego prześladowcę lub, przyszło mi naraz do głowy, że może być ich kilku, prześladowców. Potem wyjadę razem ze wszystkimi, kiedy zakończą się prace, ale wrócę do Kolitz jak najszybciej, sam, zejdę do krypty i obejrzę ją jeszcze raz, bez strachu, że mogę poczuć na plecach czyjś oddech, nieważne — urojonej czy rzeczywistej osoby. Czuję, że w krypcie znajdę rozwiązanie zagadki. A później, uśmiechnąłem się do swoich myśli, ożenię się z Marią i będę szczęśliwym człowiekiem.

15 lipca 1884 roku. To pewnie jedna z moich ostatnich notatek. Żałuję, że muszę je przerwać. Kiedy wrócę do Kolitz i wydobędę dziennik z ukrycia, na pewno zacznę znowu prowadzić zapiski, ale to już nie będzie to samo. Inaczej wygląda zapis niemal każdego dnia, inaczej relacja pisana po kilku tygodniach przerwy.

Maria przyszła do mnie wczoraj przed wieczorem. Pastor i jego żona byli w kościele. Zabrali ze sobą dzieci na niedzielną mszę. Thomas wyszedł gdzieś zaraz po obiedzie i wrócił bardzo późno. Byliśmy sami w całym domu. Zdążyłem odpocząć po nocy spędzonej w spartańskich warunkach i dojść do siebie po przeżyciach sprzed kilku dni. Ogolony, w czystej koszuli nie wyglądałem już jak oberwaniec. W pokoju nie było już najmniejszego śladu niszczyielskiej działalności włamywacza. Maria kręciła się po nim, zmiatając z mebli niewidoczne drobiny kurzu. Błękitną wstążkę wplotła w warkocz. Siedziałem w oknie i gdy się zbliżyła, pociągnąłem za koniec wstążki. Rozwiązała się i uwolniła włosy, które rozsypały się wokół dziewczęcej twarzy jak złoty deszcz. Takie włosy muszą mieć aniołowie w niebie, powiedziałem, przesiewając je przez palce jak piasek, jak jego jasnopopielate, suche i szorstkie ziarenka.

To, co stało się później, odbyło się bez udziału naszej woli i świadomości. A jednak braliśmy w tym udział, zapatrzeni w siebie, odurzeni wzajemną bliskością. Ludzkie ciało jest doskonałe, usłyszałem szept Marii tuż obok moich ust, nie wiedziałam, że aż tak. Jej włosy pachniały koniczyną, łaskotały mnie w twarz, gdy pochylała się nade mną. Dała mi więcej niż jakakolwiek kobieta przed nią: swoją niewinność, uczucie pełni, którego nie doświadczyłem nigdy przedtem, pewność, że moje życie nagle nabrało sensu. Zrozumiałem, że dotąd było puste, teraz wypełniła je Maria.

Jestem tobą, powiedziałem jej i nie musiałem nic tłumaczyć, bo rozumiała od razu. Jestem tobą, powtórzyła, a ty jesteś mną.

Chciałem jej wszystko opowiedzieć, żeby się nie bała, gdy będę wyjeżdżał. Wróć, powtarzałem, gładząc jej młode promienne ciało, które przyjęło mnie, jakbym był jego częścią, wróć. Pamiętaj o tym. Jeśli nie wróć, to znaczy, że nie żyję.

17 lipca 1884 roku. Skoro miałem wrócić do klasztoru po zakończeniu prac, potrzebowałem klucza. Wylamanie potężnych drzwi kościoła nie wchodziło w rachubę. Przecież miałem nie zwracać niczyjej uwagi. A klucze miał Hans, on jeden. Sam otwierał kościół rano i zamykał po południu. Nie miałem wyboru, musiałem mu je zabrać i miała to być moja pierwsza kradzież. Myślałem o niej z niechęcią, bo nie chciałem utrudniać odbudowy, a tak to się właśnie mogło skończyć.

Zadanie okazało się łatwiejsze, niż sądziłem. Hans nosił cienką marynarkę, którą miał zwyczaj zostawiać, gdzie popadnie. Nawet nie musiałem szukać okazji. Zobaczyłem ją wiszącą na gałęzi drzewa. Zmierzchało i kościół był już zamknięty, a robotnicy zbierali narzędzia porzucone pod rusztowaniami. Hans zatrzymał ich kilka godzin dłużej, bo prace postępowały powoli i obawiał się, że nie zdążymy na czas.

Poszedł właśnie obejrzeć zamurowany portal, mój portal z kołatką, a raczej bez kołatki, tylko z jej śladem, świadkiem, że kiedykolwiek tam była. Miejsce, od którego w moim odczuciu wszystko się zaczęło.

Nie było już starych drzwi, był za to nowy fragment muru, bezduszny, odmienny od reszty i to jemu kościół miał zawdzięczać ocalenie. Pod grubą warstwą tynku znikła też rysa w ścianie, do niedawna widoczna nad portalem.

Hans poszedł oglądać to wszystko, a ja stałem pod drzewem dobrą chwilę, nim zorientowałem się, że marynarka wisi tuż nad moją głową. Ostrożnie wyciągnąłem rękę i namacałem kieszeń. Zmierzch był moim sprzymierzeńcem. W jego jedwabistej szarości, z oddalenia nikt nie dostrzegł mojego gestu i klucz znalazł się w mojej kieszeni. Opadł w nią, jakby wpadał do studni, przez cienką tkaninę spodni poczułem jego chłodny dotyk.

Teraz mogę tu wrócić bez obaw. Rozwiążę zagadkę, której nie poznali mój ojciec i Hermann. Ożenię się z Marią, a Koltitz będzie moim domem. Przecież w Berlinie nie mam już nikogo.

18 lipca 1884 roku. Niestety, tak jak przewidywałem, mój postępek istotnie wpłynął na bieg wydarzeń. Zrozumiałem to już dzisiaj rano, kiedy wszyscy spotkaliśmy się pod klasztorem, a Hans nie znalazł klucza w zwykłym miejscu. Na szczęście nie przyszło mu do głowy, by winić kogokolwiek. Był przekonany, że zgubił go w drodze do wsi poprzedniego wieczoru. Nie zdziwiłem się, gdy powiedział, że nie ma zapasowego. Ten, który sobie przywłaszczyłem, należał do mojego gospodarza, pastora. Poza nim nikt we wsi nie mógł wejść do zabytkowej świątyni. Oczywiście był i drugi klucz, ale znajdował się w Stettin, w biurze zarządcy klasztoru Ludwiga Steina, którego poznałem kilka dni temu, podczas mojej krótkiej podróży. Stettin zaś było na tyle daleko, że sprowadzenie go do Koltitz musiało potrwać przynajmniej jeden dzień.

Hans był wściekły, że musi wstrzymać prace, ale dał robotnikom wolny dzień. Zaraz też rozeszli się po wsi, zadowoleni z powodu tego nieplanowanego święta. Nasz główny inżynier uznał, że sam wybierze się do zarządcy, a przy okazji załatwi w Stettin kilka spraw, wyśle pocztę do Berlina, nieco się rozerwie. Jedziesz ze mną, Otto, zaproponował mi, sadowiąc się w bryczce, której użyczył mu pastor.

Odmówilem. Boję się zostawić mój skromny dobytek na tak długo bez dozoru, wymówka nasunęła mi się sama.

Wciąż jeszcze miałem w pamięci ostatnie wydarzenia. Nie chciałem znowu wejść do zupełnie zrujnowanego pokoju. Kuszenie losu było pozbawione sensu. Jak chcesz, Hansa ubodła moja odmowa, z powodów, których się nie domyślałem, cenił moje towarzystwo. Nim powóz ruszył, w drzwiach domu pastora pojawił się Thomas. Nie słyszałem, kiedy zszedł na dół, ale musiał od kilku minut słuchać naszej rozmowy. Może ja bym się z tobą wybrał, jeśli nie masz nic przeciwko temu, powiedział, nagle gotów do drogi. Wystarczyło, że Hans skinął głową, a Thomas już siedział obok niego. Odetchnąłem, gdy pył unoszący się nad drogą zasłonił powóz, który wkrótce znikł za zakrętem. Ostatnio nie umiałem rozmawiać z Thomasem tak jak kiedyś, zaraz po przyjeździe, przed tym niepokojącym włamaniem.

Kiedy tak stałem, wpatrując się w horyzont, którego linia, w miarę jak opadał kurz, stawała się coraz bardziej czytelna i na powrót zielona, przyszła mi do głowy pewna myśl. Sam nie zaplanowałbym lepiej tego, co ułożone zostało bez mojego udziału. Mogłem wykorzystać ten dzień, by na pewien czas rozstać się z moim dziennikiem, ukryć go w bezpiecznym miejscu, nie martwiąc się przy tym o przypadkowych świadków.

Ciągle pamiętałem cień wysokiego mężczyzny, który zobaczyłem w drzwiach kościoła, zanim pierwszy raz zszedłem do krypty. Zakładałem jednak, że dzisiaj nie będzie mnie śledził. Dzień był piękny, ciepły, lecz nie upalny, nad ziemią unosił się zapach koszonej trawy. Liczyłem na to, że mój wróg czas wolny od pracy spędzi daleko od klasztornych zabudowań. Czy był nim Thomas, czy ktokolwiek inny, wreszcie czułem się bezpieczny.

Postanowiłem poszukać Marii. Nasz spacer przez pola miał wyglądać zupełnie niewinnie. Tymczasem jej obecność mogła mi pomóc. Potrzebowałem dodatkowej pary oczu, która będzie mnie strzegła, gdy w kościele zajmę się szukaniem skrytki.

Dzień trzeci

Była prawie trzecia po północy, kiedy Ewa i Robert dotarli do ostatniej zapisanej strony. Najmądrzejsza godzina doby, jak mawiali o niej filozofowie, nie przyniosła im jednak spodziewanego rozwiązania zagadki ani nie rozjaśniła w głowach. Oboje byli już bardzo zmęczeni wydarzeniami minionego dnia i nużącym odczytywaniem zapisków Ottona, które w miarę upływu czasu i kurczenia się tekstu zdawały się coraz mniej wyjaśniać. Ostatnie zdanie przyniosło im rozczarowanie, milczeli więc dłuższą chwilę, rozważając w duchu, czy ich wysiłek nie był daremny. Ciągłe jeszcze nie podzielili się historią Ottona z pozostałymi członkami ekspedycji. Dotąd nie mieli na to czasu. Teraz zastanawiali się, czy ma to jakikolwiek sens. Musiało minąć kilka minut, nim Ewa otrząsnęła się z chwilowego przygnębienia. Potarła powieki opuszkami palców, odganiając czający się pod nimi sen, i popatrzyła na Roberta, szukając na jego twarzy najmniejszych oznak optymizmu.

— Zdaje się, że znamy zakończenie tej historii. I nie jest ono takie, jakiego byśmy sobie życzyli — zauważył ostrożnie w odpowiedzi na jej spojrzenie, bo żal mu było nadziei, z którą powinni już zacząć się żegnać. Nadziei na przygodę i rozwiązanie zagadki.

— Mylisz się — odparta Ewa bardzo cicho, a mimo to w jej głosie zabrzmiały nowe tony. Robert usłyszał w nim nieustępliwość i upór, który przyprowadził go o gęsią skórkę. Ta kobieta najwyraźniej wiedziała, czego chce, i nie zamierzała poddawać się na samym początku. — Mamy przecież kilka tropów, którymi możemy pójść.

— Zaprowadzą nas donikąd — Robert powiedział to bardzo łagodnie i może dlatego Ewa nie wzięła jego słów poważnie.

— Mamy szkielet Ottona, któremu ktoś pomógł odejść z tego świata — ciągnęła niezrażona jego uwagą. — Obrączka identyfikuje go ponad

wszelką wåtpliwość. Mamy te¿ kołatkę wiszącą na drzwiach plebanii, której autentyczność jest naszym atutem, i ten cytat, którego znaczenia nie udało się jeszcze wyjaśnić. I wiemy o istnieniu krypty.

Właściwie nie kierowała tych słów do Roberta, ale wypowiadała je tak, jakby dokonywała podsumowania na własny użytek. Przytaczała fakty, jakby dodawała dwa do dwóch. Wynik tego działania był niezmiennie taki sam, podobnie jak niezmienny musiał być efekt jej starań. Nie przekonywała siebie, to nie było konieczne. Miała zamiar przekonać jego i, wbrew pozorom, nie musiała się zanadto wysilać. Wystarczyłoby jedno spojrzenie i uśmiech towarzyszący odpowiednim słowom, by Robert połknął haczyk. Tytania zastawiała na niego sieci, w które on postanowił dać się złapać za wszelką cenę.

— Kołatki nie mówią — zauważył jeszcze, ulegając na chwilę podszeptom zdrowego rozsądku. — A niewyjaśnione cytaty często takie już pozostają. W tej sytuacji nie pomo¿e nawet filolog klasyczny, który ma w małym palcu wszystkie tajniki odmiany czasowników nieregularnych.

— Nie chcesz spróbować? — zapytała Ewa, słysząc jego wywód. Popatrzyła na niego badawczo i było to właśnie to spojrzenie, pod wpływem którego Robert nagle podjął decyzję. W gruncie rzeczy nie miał nic do stracenia. Mo¿e poza świętym spokojem, a na tym szczególnie mu nie zależało, odkąd Ewa pojawiła się w Kolicach.

— Chcę — powiedział z przekonaniem neofity, które nawet w jego uszach zabrzmiało nieprawdopodobnie. Przyszło mu jeszcze coś do głowy. — Ale... — zaczął i urwał w pół słowa.

— Ale co? — podchwyciła Ewa. Nie doczekała się jednak odpowiedzi. — Powiedz mi — zapytała wobec tego — jaka jest twoja relacja z Piotrem?

Z miny Roberta wywnioskowała, że strzał był celny. Był tak zaskoczony nagłym zwrotem w rozmowie, że stracił kontrolę nad tym, co chciał powiedzieć.

— A twoja? — Ewa usłyszała odpowiedź, która zupełnie się jej nie spodobała. Postanowiła nie dawać za wygraną.

— Ja zapytałam pierwsza.

Nie musiała tego mówić. Już gdy się uśmiechnęła, Robert zrozumiał, że się pospieszył i prawdopodobnie zaprzepaścił pierwszą, jeśli nie jedyną szansę poznania przeszłości tych dwojga. Przeszłości, która bez wątpienia odciskała się na ich codzienności i sprawiała, że on przynajmniej kilka razy w ostatnim czasie zadał sobie pytanie, w co się właściwie ładuje.

— Dotąd byliśmy dobrymi kumplami — powiedział, bo Ewa najwyraźniej oczekiwała, że się w końcu odezwie. — Może nawet więcej. Znamy się od kilku lat. Zacząłem z nim wyjeżdżać na wykopaliska już po pierwszym roku studiów. Był kimś w rodzaju starszego brata. To, co wiem, w dużej mierze wiem od niego. Nauczyłem się cenić jego chłodny profesjonalizm. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli... — spróbował nawiązać do swojego przedwczesnego pytania.

— Coś takiego. Ty też? — zakpiła. — Więc co się zmieniło?

— Zmieniło? — nie rozumiał Robert, który powoli zaczął odczuwać, że jest już bardzo późno.

— Przypadkiem użyłeś słowa dotąd?

— Ostatnio nie możemy się dogadać — przyznał, ziewając dyskretnie między jednym słowem a drugim. Ogarniająca go senność zagłuszyła wszystkie targające nim emocje. Chęć przedłużania tej rozmowy w nieskończoność tylko po to, by być z Ewą jeszcze przez kilka minut, ulotniła się i Robertowi nagle zaczęło być wszystko jedno. W tym stanie ducha zdobył się jeszcze na wysiłek i dodał: — Dokładniej od dnia twojego przyjazdu. Stąd moje pytanie.

— O relację?

— Właśnie.

— Cóż, relacji brak — powiedziała Ewa zupełnie spokojnie. — Wygasła dawno temu. Oboje zdążyliśmy zapomnieć.

— Piotr chyba nie do końca? — Robert nie potrafił ukryć ironii.

— Komu masz to za złe? Mnie czy jemu?

— Nikomu — wycofał się pospiesznie. — Źle mnie zrozumiałaś. To było tylko stwierdzenie faktu.

— Piotr żyje wspomnieniami, które nagle postanowił odkurzyć — ucięła Ewa trochę zbyt ostro. — Jego sprawa.

— Twoja nie? W końcu to wasze wspólne wspomnienia.

— Za dużo pytań. Za dużo chciałbyś wiedzieć, mój drogi.

— Wybacz, ale przecież to ty zaczęłaś.

Robert nie mógł sobie odmówić przyjemności patrzenia jej prosto w oczy. Wiedział, że zachowuje się nagannie, sam nie znosił natarczywości, ale w tej chwili było mu to obojętne. Dziwna była to rozmowa, dziwne siedzenie przy jednym stoliku, długo w noc w szkole pogrążonej w absolutnej ciszy. Na pograniczu snu i jawy. Sam nie wiedział, czy to mu się po prostu nie śni. Ewa, imienniczka pierwszej kobiety, wywołująca literackie skojarzenia, utkana z jego wyobrażeń o kobiecości, a przy tym tak cielesna, że w ostatnim odruchu instynktu samozachowawczego nie potrafił rozstrzygnąć, czy unikać jej za wszelką cenę, czy uznać nad sobą jej władzę. Czy to wszystko działo się naprawdę?

— Idź się położyć. Ptaki się obudziły, za chwilę zacznie świtać — usłyszał głos Ewy, Tytanii, Goplany i Racheli w jednej osobie docierający do niego z bardzo daleka, z jakiejś innej, niemal baśniowej rzeczywistości. Na wpół przytomny dał się wypchnąć za drzwi tej nie do końca realnej postaci, a odchodząc, objął ją jeszcze spojrzeniem, w którym pragnienie mieszało się z niedowierzaniem.

Ktoś wszedł do sali nieco chwiejnym krokiem i w ciemnym pomieszczeniu po omacku omijał sprzęty, by niepotrzebnie nie narobić hałasu. W chwilę potem zaszeleścił śpiwór, a później wszystko ucichło i do miarowych oddechów śpiących dołączył jeszcze jeden. Rozbudzony Jacek zorientował się, że Robert zasnął natychmiast, wystarczyło, że przyłożył głowę do poduszki. Co on robił do tej pory, zastanowił się, ale szybko porzucił te rozważania. Właściwie dobrze się stało. Sam raczej nie budził się przed świtem, a nastawianie budzika na trzecią nad ranem z oczywistych względów nie wchodziło w grę.

Uniósł się na łokciu i na krześle stojącym obok posłania namacał okulary. Wziął je ostrożnie do ręki, by nie zabrudzić szkieł, i założył. Bez

nich niewiele widział. Teraz w mroku pokoju zaczął rozróżniać ciemniejsze plamy sprzętów i sylwetki pogrążonych we śnie kolegów. Wstał, i by nikogo nie obudzić, jak najciszej wciągnął spodnie i sweter. Z plecaka wyjął sporych rozmiarów podłużny przedmiot, który szczęknął metalicznie, gdy przypadkowo stuknął nim o brzeg stołu. Zamarł bez ruchu, nasłuchując, ale mężczyźni spali twardo. Między ich oddechy wdarł się nagle krzyk ptaków. Muszę się pospieszyć, zdecydował Jacek i tym razem wprawnie ujął przedmiot prawą dłonią, a przez plecy przerzucił pasek przyczepiony do ciemnego pokrowca z brezentu. Był gotowy do drogi. W ostatniej chwili przypomniał sobie o małej saperce. Tak wyposażony dotarł do progu i z cichym skrzypnięciem zamknął za sobą drzwi. Rzedniejąca ciemność nocy wchłonęła jego sylwetkę, kiedy długim krokiem ruszył przez wieś w stronę klasztoru.

Nie pamiętał już, kiedy zaczął się tym zajmować. Może przed maturą, a może wcześniej. Równie dobrze mógł mieć szesnaście lat, kiedy zjawił się po raz pierwszy na giełdzie staroci z kolegą, który miał coś do sprzedania. Owo coś było nieznacznych rozmiarów i należało do kategorii artykułów sprzedawanych „spod lady” i to zawsze tym, którzy wiedzieli, jak o to pytać. W pierwszej chwili nie potrafił ukryć rozczarowania, gdy jego towarzysz i przewodnik, zmierzwiwszy wzrokiem dobrze ubranego mężczyznę w średnim wieku, wysupłał z zawiniątka ukrytego w kieszeni na piersi niewielki, poczerniały, metalowy przedmiot. Z tymi zdobionymi ramionami i wygiętą, a przy tym bardzo masywną, pionową belką przypominał krzyż, ale z całą pewnością nim nie był.

— Srebrna zapinka — mówił tymczasem sprzedający — datowana na piąty wiek naszej ery. Okres wędrówek ludów.

Dopiero słysząc to, Jacek przyjrzał się drobiazgowi dokładniej. Mężczyźni po kilku minutach dobili targu i zapinka przeszła z rąk do rąk, po czym została szybko ukryta w wewnętrznej kieszeni płaszcza nieznanego, który zaraz potem zniknął w tłumie kupujących. Dotychczasowy właściciel jeszcze raz policzył banknoty i zadowolony wsunął je do portfela.

— Zbieramy się — rzucił Jackowi, który, jeszcze niewiele rozumiejąc, posłusznie ruszył za nim, zastanawiając się, które z pytań kłębiących mu się w głowie zadać najpierw.

— Skąd ją wzięłeś? — zaryzykował w końcu. — I skąd wiedziałeś, że on ją kupi?

— Znalazłem. W ziemi — dodał mężczyzna po dłuższej pauzie. — A z tym facetem umówił mnie pośrednik.

— Tak po prostu? Takich rzeczy się nie znajduje.

— Owszem, stary. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać i w jaki sposób.

W jakiś czas potem pojechali na pierwszy wspólny wypad. Wówczas Jacek zobaczył, jak działa wykrywacz metali. Stanowisko, po którym chodzili, było położone w lesie. Zwarta ściółka utrudniała dostęp do tego, co kryło się pod powierzchnią ziemi i za każdym razem gdy detektor prowadzony tuż przy gruncie sygnalizował obecność znaleziska modulowanym dźwiękiem, Jacka przechodził dreszcz.

— To, co robimy, jest zabronione prawem — uprzedził go jego znajomy. — Przeszkadza ci to?

— Niekoniecznie — odparł niepewnie Jacek łamiącym się z przejęcia głosem. — Są gorsze przestępstwa.

— Tak mówisz? Mama nie wspominała, że nie należy kraść?

— Mama urabia sobie ręce po łokcie jako salowa w szpitalu, żeby było co do garnka włożyć, jak ojciec przepije pensję — warknął Jacek, jakby nagle przestał być nastolatkiem. — Kogo okradamy? — zapytał jeszcze dla porządku.

— Skarb państwa.

— Mała strata. Ile można zarobić?

Znajomy popatrzył na niego z namysłem.

— Zależy. Czasem nic, a czasem sporo. W każdym razie zachowaj to dla siebie — powiedział na wszelki wypadek, chociaż kompan, mimo młodego wieku, wydał mu się godzien zaufania. Zaskakiwał dojrzałością poglądów.

Po pierwszej wyprawie były następne. Pieniędźmi ze sprzedaży kilku cenniejszych znalezisk podzielili się po połowie. Gdy Jacek kończył szkołę średnią, miał już własny wykrywacz, jeszcze niezbyt drogi, a więc i dość prymitywny, od czegoś jednak trzeba zacząć, gdy środki są ograniczone. Zresztą może to było później, na pierwszym roku studiów? Zdecydował się na archeologię. Nie było w tym nic dziwnego. Po dwóch czy trzech latach nielegalnego grzebania w ziemi chciał zobaczyć, jak to się robi, jeśli chce się pozostać w zgodzie z literą prawa. Poza tym archeolodzy mieli swoje źródła informacji, mapy stanowisk, z których on zamierzał korzystać.

Studia były dla niego źródłem rozczarowań. Książki wertował z zapalem, a oglądając ryciny i plansze z zabytkami, przeliczał znaleziska na złotówki, które można by za nie dostać od kolekcjonerów. Podczas prac polowych nigdy jednak nie trafił na zabytek naprawdę zapierający dech w piersiach. Zawsze była to ceramika, a raczej jej luźne fragmenty, które próżno starał się złożyć w całość, metalowe sprzączki do pasa, żelazne, a co za tym idzie skorodowane ostrogi, szklane paciorki w różnych kolorach. Nie dałoby się ich sprzedać nawet za marne grosze. Wymywanie ich z ziemi trwało całymi tygodniami, było żmudne, wymagało drobiazgowej dokumentacji, zdjęć i rysunków, które zaczął wykonywać z pewnym obrzydzeniem, robiąc dobrą minę do złej gry.

Wykrywacz był szybszy, pozwalał dotrzeć do znaleziska w ciągu kilku minut, określał rodzaj metalu, z jakiego zostało wykonane, jeśli taka była wola szukającego, pomijał zabytki żelazne jako najbardziej pospolite i bezwartościowe. A wartość historyczna? Śmiechu warte. Jaką wartość może mieć sprzączka od pasa? Wpłynie na losy państwa? Zmieni je? Odwróci bieg dziejów?

Właściwie motorem poszukiwań, którym w wolnych chwilach oddawał się z taką pasją, nie była chciwość ani chęć zysku. Jacek nie lubił marnotrawstwa, a przedmioty tkwiące od wieków w ziemi mogły się jeszcze przydać. On czerpał z nich korzyści finansowe, a kupujący wzbogacali swoje zbiory i wszyscy byli zadowoleni. Dzięki tej działalności mógł pomóc matce i od czasu do czasu wetknąć jej do ręki

większą sumę. Jedyne, co miał jej za złe, to to, że nigdy nie zapytała, w jaki sposób on zarabia na życie. Gdyby to zrobiła i tak by się nie przyznał. Zmyśliłby jakąś przejrzystą bajeczkę, by ją uspokoić i tym samym jeszcze raz narazić na szwank swoje przyzwyczajone do moralnych akrobacji sumienie. Zresztą, kto wie, może powiedziałby prawdę, by poznać jej opinię? Mógłby ulec chwilowemu nastrojowi i pierwszy raz od bardzo dawna zdobyć się na szczerość.

Mijając ciche domy szarzejące w pierwszych promieniach brzasku, Jacek westchnął, nie zdając sobie z tego sprawy. Czasem doskwierało mu własne dobre samopoczucie i świadomość całkowitej bezkarności. Wyrzuty sumienia u różnych ludzi przybierają różne formy, a hipokryzja, która na co dzień dostarcza usprawiedliwienia, bywa męcząca, nawet jeśli tłumaczy się potrzebą wsparcia najbliższych krewnych.

Było koło południa, gdy szkolna furтка skrzyknęła ostrzegawczo i pojawiła się w niej męska sylwetka. Krótkie włosy załśniły w słońcu, gdy przybysz przemierzył plac przed szkołą i skierował się do wejścia. Drzwi były zamknięte na klucz, znak, że w budynku nie było żywej duszy, wszystko przebiegało więc zgodnie z planem. Gość uśmiechnął się do siebie, pochylił nad rynną i z pewnością siebie człowieka, który doskonale wie, czego szuka, włożył dłoń w otwór. Klucz był na swoim miejscu, więc zabrał go ze skrytki i wsunął do zamka. Po chwili znikł w uchylonych drzwiach wiodących do ciemnego korytarza.

Nie było go dwa kwadransy, może dłużej. Nie spieszył się, wiedząc, że tymczasowi mieszkańcy gmachu pracują pod klasztorem i spędzą tam jeszcze przynajmniej cztery godziny. Dobrze znał ich rozkład zajęć. Wychodząc, rozejrzał się na wszelki wypadek wokół, ale przed szkołą było pusto. Uspokojony przekręcił klucz w zamku i z powrotem ukrył go w rynnice.

Pierwszy zauważył je Marcel, a ponieważ w grupie archeologów był najbardziej niedoświadczony i z podobnymi śladami jeszcze nigdy nie miał do czynienia, nie od razu zdał sobie sprawę z tego, co widzi. Gdyby nie zawadził nogą o wystający kawałek darni, być może w ogóle

pozostałyby niezauważone. Po kilku dniach naruszona kostka trawy znowu wrosła w grunt. Tymczasem kopnięta przez Marcela przetoczyła się kilkanaście centymetrów, pozostawiając u jego stóp płytki dołek o równo przyciętych krawędziach. Jego okrzyk odciągnął innych od pracy.

— Zdaje się, że mamy problem — powiedział Piotr, pochylając się nad otworem, który Jacek o świcie wyciął saperką, a później próbował zamaskować najlepiej, jak umiał, wkładając darń na swoje miejsce. — Tak wygląda stanowisko po wizycie rabusia z wykrywaczem metali, wytłumaczył odkrywcy.

— Ciekawe, czy coś znalazł? — zastanowił się na głos, biorąc do ręki grudkę luźniej ziemi z dna dołka. — Wygląda, jakby tu trochę podłubał. Cholera — rozszłościł się nagle — pieprzony złodziej.

Pod wpływem jego głosu Jacek, który stał w pobliżu, poczuł, że cierpnie mu skóra. Dobrze, że zdążył ukryć wykrywacz w szopie proboszcza, w samym kącie, za jakimiś starymi skrzynkami. Nikt nie powinien go tam znaleźć. Epitety nie robiły na nim wrażenia. Przywykł do różnych określeń i puszczał je mimo uszu, jakby go nie dotyczyły. On musiał dbać o interesy. A Piotr miał prawo do własnej oceny sytuacji. Jeśli chciał używać słów o negatywnym zabarwieniu, nie można było mu tego zabronić. Swoją drogą może rzeczywiście poszukiwania pod klasztorem trzeba było sobie darować. Tym bardziej że w okolicy było jeszcze kilka interesujących miejsc do sprawdzenia. Nie ma sensu drugi raz tak głupio ryzykować. W dodatku nic nie znalazł, więc jego wysiłek na nic się nie zdał, pomyślał, usuwając się do tyłu, żeby przepuścić napierających kolegów. Piotr zauważył jego zmieszanie i spojrzawszy na wycofującego się architekta, zwrócił się właśnie do niego:

— Jacek, obejdz stanowisko i policz, ile dziur zrobił ten... — tu brakło mu wyrażenia, które wystarczająco dosadnie oddałoby to, co chciał powiedzieć.

— Może Marcel by to zrobił — bąknął Jacek, zasłaniając się papierem milimetrowym — bo ją jestem trochę zajęty.

— Niedoczekanie, dodał w duchu, żebym ci pokazywał własnoręcznie wykopane dołki. Nie wdając się w dalsze wyjaśnienia, odwrócił się i poszedł rysować jeden z tych nikomu nieprzydatnych planów, które później zapakowane w teczki zalegają na półkach w pokojach pseudonaukowców mających za mało ikry i dyscypliny, by zrobić choćby doktorat. Ty też do nich dołączysz, klepiąc biedę na uniwersyteckiej posadce, pomyślał o Piotrze mściwie. Nie wiedział, skąd znalazł w sobie nagle tyle jadu.

Piotr patrzył za nim odrobinę zaskoczony niecodziennym zachowaniem, daleki jednak od jakichkolwiek podejrzeń. Ma zły dzień, pomyślał, to się każdemu zdarza.

— Marcel, policz te cholerne dołki — zwrócił się do najmłodszego z archeologów. — W tej sytuacji nic więcej nie możemy zrobić. Może gdybyśmy pilnowali wykopu, złapalibyśmy go na gorącym uczynku. Resztą zajęłaby się już policja, a tak... — zrezygnowany machnął ręką — ...on może tu już nie wrócić. Będzie rozkopywał inne stanowiska i wybierał z nich co cenniejsze zabytki. Sprzeda je albo, co gorsza, wyrzuci, bo jemu będą się wydawać bez wartości.

— Piotr — odezwała się do niego Agata, którą poruszył ton bezradności w jego głosie. — to nie jest twoja osobista porażka. To się przecież ciągle zdarza. Nie mamy na to żadnego wpływu.

— Nie mamy — przyznał, przytomniejąc. — Ale czasem nachodzą mnie z tego powodu niewesołe refleksje. Wracajmy do pracy — zarządził bez entuzjazmu i poszedł pierwszy, trochę przygarbiony, pochłonięty własnymi rozważaniami, którymi nie chciał się już z nikim dzielić.

O zniknięciu dziennika Robert przekonał się dopiero przed wieczorem, kiedy sięgając do plecaka, nie znalazł go w wewnętrznej zasuwanej kieszeni. Przez kilka długich sekund szukał gorączkowo, mając nadzieję, że oprawiony w skórę brulion zapodział się między ubraniami i innymi przedmiotami wrzucanymi do plecaka jak popadnie. W końcu w akcie rozpaczy wyrzucił całą zawartość na podłogę i zaczął przeglądać z drobiazgową dokładnością, jakby szukał

przysłowiowej igły w stogu siana, a nie zeszytu słusznej grubości i formatu.

Nie trwało to długo, bo i rzeczy do przejrzania było niewiele. Dziennik najwyraźniej zmienił właściciela, a Robert, przytłoczony tym faktem, wstając z kolan, zaczął się zastanawiać, jak to się mogło stać. Nikt poza Piotrem nie wiedział o jego istnieniu. Żadnego z kolegów nie śmiałyby podejrzewać, a już Piotra najmniej. Kradzież nie miała najmniejszego sensu, przynajmniej w jego ocenie.

— Kto ostatni wychodził dzisiaj na wykop? — zapytał kolegów, którzy na swoich posłaniach oddawali się krótkiej sjeście.

— Ja — przyznał się Siwy. Leżał na śpiworze z przymkniętymi oczami i Robert mógłby przysiąc, że śpi.

— Zamknąłeś nasz pokój na klucz, wychodząc?

— Aaa.... — Siwy zastanawiał się przez chwilę — nie — przyznał w końcu. — Zdaje się, że zapomniałem. Czemu pytasz?

Jego beztroska doprowadziła Roberta do szewskiej pasji. Popatrzył na Siwego morderczym wzrokiem, czego ten, wciąż mając zamknięte oczy, nie mógł zobaczyć, i wyszedł z sali, poszukać Ewy. Musiał o tym porozmawiać z kimś, kto podzieliłby jego poczucie straty.

Znalazł ją w barze, gdzie samotnie sączyła piwo, opierając długie nogi o brzeg stojącej naprzeciwko ławki i wystawiając je na działanie ostatnich słonecznych promieni. Nie miała typowej dla ludzi rudych białej karnacji. Jej skóra z dnia na dzień ciemniała, nabierając trudnego do nazwania, złotawego odcienia, który zachwycał Roberta, podobnie jak wszystko, co miało z Ewą jakikolwiek związek. Teraz onieśmieliła go jej zaduma, nie był pewien, czy powinien ją przerywać, i to ona zdecydowała za niego.

— Chodź, siadaj — odezwała się, zmieniając pozycję i robiąc mu miejsce na ławce po drugiej stronie stołu.

— Coś się stało? — zapytał bez wielkiej nadziei na szczerą odpowiedź. Każdy z nas ma swoje upiory, z którymi sam próbuje sobie poradzić. Piękne panie doktor nie są tu wyjątkiem, myślał, obserwując, jak na twarzy Ewy cień nadchodzącego wieczoru znaczy powieki i okolice ust

delikatnym dotknięciem. Czemu to on, nie ja, przyszło mu do głowy absurdalne pytanie.

— Wszystko w porządku — usłyszał. — Tylko nagle zaczęłam mieć wątpliwości.

— Jakie wątpliwości?

— Może niepotrzebnie tu przyjechałam — powiedziała z namysłem.
— Wydawało mi się, że tak po prostu stanę się członkiem grupy, jak kiedyś, gdy byłam na studiach.

— Co stoi na przeszkodzie?

— Naprawdę nie widzisz, czy udajesz, żeby mi poprawić nastrój?

— Powiedz mi.

— Piotr patrzy na mnie, jakbym była wrogiem numer jeden, wkrótce będzie tak patrzył także na ciebie.

— To wasze sprawy.

— To przeszłość — sprostowała Ewa — od której udało mi się uwolnić.

— Więc dlaczego cię to martwi?

— Bo widocznie Piotr wciąż próbuje do niej wrócić.

— Jego problem — zauważył Robert. — Zdaje się, że doszliśmy do tego już w nocy.

— Nie tylko. Bo jesteś jeszcze ty — rzuciła Ewa, uciekając spojrzeniem w bok.

— Co ja? — chciał wiedzieć, nie dlatego, że spodziewał się wyznań, ale miło mu było, że, jej zdaniem, odgrywa jakąś rolę w tym skomplikowanym układzie. Bardzo chciał jej pomóc. Powiedzieć, żeby się nie przejmowała żadnym z nich. Chociaż on wiele by dał, by właśnie nim przejmować się zaczęła. Ale tego jeszcze nie chciał jej mówić, jeszcze było na to za wcześnie, mimo że Ewa musiała zdawać sobie sprawę z jego zainteresowania. W gruncie rzeczy znali się zaledwie trzy dni. To dość, by stracić głowę, a jednocześnie zbyt krótko, by zyskać choć cień nadziei. Głos Ewy przywołał go do porządku.

— Nic, poza tym, że wkrótce nie będziecie umieli ze sobą rozmawiać.

— Ja i Piotr? — upewnił się. — Chyba już nie umiemy — przyznał, wspominając wczorajszą słowną potyczkę. Piotr więcej się do niego nie odezwał, a on także nie szukał jego towarzystwa. Uznał, że nie będzie ingerował — lepiej, by sprawy biegły swoim torem, i zdał się na upływ czasu. — Uważasz, że to ty jesteś tego powodem? — spytał jeszcze, wkraczając na niebezpieczne terytorium uczuć.

— Mylę się?

— Nie — odparł szczerze — ale nie myśl o tym. To już załatwimy między sobą.

— Oczywiście — powiedziała odrobinę ironicznie.

— Posłuchaj — Robertowi nie spodobał się uśmiech, którym okrasila swoją odpowiedź, więc uznał, że czas zmienić temat, nim przestanie panować nad przebiegiem rozmowy — zostawmy to. Nie ma sensu tego roztrząsać. Przyjechałaś z własnej woli. Pracujemy razem, to są fakty. Reszta jakoś się ułoży. Tymczasem mamy problem. Szukałem cię, bo dziennik Ottona zniknął. Ktoś musiał mi go wyciągnąć z plecaka, kiedy byliśmy pod kościołem.

— Ktoś obcy?

— Skąd mam wiedzieć?

— Chyba będziemy musieli porozmawiać z Piotrem.

— Skoro nie da się tego uniknąć — zgodził się z nią Robert — lepiej teraz, nim w ogóle przestaniemy się do siebie odzywać.

Siedzieli przed szkołą i słuchali Roberta, który kończył czytać swój przekład dziennika. Zmierzch osiadał na kartkach i litery były coraz słabiej widoczne. Robert przeczytał ostatnie zdanie, podniósł głowę i powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy.

— To wszystko, co mamy. Dzisiaj dziennik zniknął z mojego plecaka. Na szczęście udało nam się przetłumaczyć cały tekst, zanim ktoś go zabrał, co nie zmienia faktu, że szkoda oryginału sprzed stu lat. Piotr jest zdania, że wezwanie policji nic nie da. Nie ma śladów włamania. Złodziej wiedział, jak wejść do szkoły, a pokój był otwarty, bo Siwy

zapomniał go zamknąć. Mam nadzieję, że to nikt z nas — dodał i zaraz tego pożałował, bo zewsząd rozległy się głosy pełne oburzenia. — Nic wam nie zginęło? Pieniądze? Dokumenty? Bizuteria?

— Żartujesz? Pieniądze i dokumenty nosimy przy sobie — powiedział Wódz, uderzając się po kieszeni. — A bizuterii nie nosimy wcale.

— Bo się niszczy — uzupełniła jego wyjaśnienia Dorota.

— Kto w ogóle zabiera na wykopaliska rodowe srebra?

— Nie muszą być zaraz rodowe, myślałem o drobiazgach: łańcuszkach, kolczykach. — Robert popatrzył na żeńską część ekspedycji, ale dziewczyny tylko pokręciły głowami. Innych braków w dobytku po wizycie nieproszonego gościa nie zauważono.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał, więc Robert ponownie przerwał milczenie i zwrócił się do Piotra, który wiedział najwięcej o Kolicach i historii klasztoru.

— Słyszałeś o pracach, które opisuje Otto? — zapytał niespokojnie, jakby się bał, że zaprzeczy, że kiedykolwiek jakiegokolwiek prace w Kolicach miały miejsce. Piotr jednak popatrzył na Roberta poważnie.

— Nie tylko słyszałem — odparł — ale wiem, że rzeczywiście nadzorował je ojczym Ottona, Hermann Staff.

— Nie?! — wyrwał się Siwemu pełen niedowierzania okrzyk. Nie tylko jemu trudno było w to uwierzyć. Koledzy przyglądali się sceptycznie pomiętemu notatnikowi z przekładem, który Robert położył na kolanach. Nie zważając na reakcje zebranych, postanowił zadać Piotrowi drugie pytanie.

— A o planie słyszałeś?

— Nie — przyznał z żalem kierownik ekspedycji — o planie nie wspominają żadne źródła.

— Nie ma go w dzienniku, Otto musiał rzeczywiście oddać go Marii, a ta skutecznie ukryła go w jednej z książek ojca — zastanawiał się głośno Robert, kartkując zeszyt i wsłuchując się w szelest kartek.

— Pewnie zaginęła na zawsze — wyraziła opinię Ewa. — W końcu minęło tyle czasu. A teraz zniknął też sam dziennik i pozostało nam

jedynie słowo od tłumacza.

— Dziennik to dobre źródło, ale dość jednostronne. Może warto byłoby się dowiedzieć o autorze czegoś z innych źródeł — Jacek włączył się do dyskusji trochę wbrew sobie. Niczego nie zamierzał im ułatwiać. Jeśli klasztor krył jakąś tajemnicę, on powinien się zająć jej rozwikłaniem. Miał doświadczenie i był właściwie wyposażony. Komentarz wymknął mu się mimo woli. Sam spędził w archiwach niejedno popołudnie, szperając w starych dokumentach. Każde poszukiwania należało poprzedzić historyczną kwerendą. Jeśli ktoś nie brał tego pod uwagę, skazywał się na niepowodzenie.

— To chyba trzeba by było jechać do Berlina, do jakiegoś archiwum albo na uniwersytet — zauważył trzeźwo Siwy. — A to chyba nie wchodzi w grę.

Ewa była odmiennego zdania.

— Może wystarczyłoby do Szczecina, do archiwum miejskiego.

— Przypominam, że po drodze było kilka wojen — Piotr nie wierzył w to, że znajdą jakieś dokumenty związane z Kolicami. — Niemcy prawdopodobnie wywieźli wszystkie swoje akta w 45 roku. W wywożeniu i zacieraniu śladów, jak wiemy, osiągnęli wyjątkowe mistrzostwo. Wystarczy wspomnieć polskie zabytki, które się po wojnie nie odnalazły.

Skoro tak sądzicie, nie będę was przekonywał, pomyślał Jacek, zastanawiając się już, jak rozwiązać organizacyjnie sprawę nocnych poszukiwań, by nikt go nie zobaczył pod klasztorem. Skoro archiwum jako źródło informacji było poza jego zasięgiem, należało się skupić na przeszukaniu terenu. Nikt z obecnych nie miał pojęcia, czego szukać i gdzie, a on miał nad pozostałymi tę przewagę, że za pomocą wykrywacza mógł sprawnie i szybko zawęzić obszar poszukiwań. Zaczynał mu się już marzyć skarb, jaki trafia się raz na kilkadziesiąt lat. Prawdziwy, a nie tylko taki, który ma wartość historyczną.

— Zapytajmy księdza Andrzeja — usłyszał nagle nieśmiałą propozycję Uli i musiał przyznać, że dziewczyna ma głowę na karku. — Może on coś będzie wiedział. Powinien mieć stare księgi parafialne.

— Śluby, chrzciny, pogrzeby i cały ten kram — Wódz machnął ręką z powątpiewaniem i jego nastawienie na moment udzieliło się innym.

— Mimo wszystko porozmawiam z nim — zdecydował nagle Robert, zerkając na zegarek. — Dzisiaj już nie, ale jutro do niego zajdę, jak będziemy wracać po pracy do szkoły.

W oczach Piotra odnalazł aprobatę i przez moment miał wrażenie, że wszystko wróciło do normy, że nie było wczorajszej nieprzyjemnej rozmowy, pretensji o to, z kim spędza czas, i zazdrości, jak dotąd bezpodstawnej. Piotr przeniósł wzrok na twarze zebranych studentów.

— Chodźcie dzieci. Trzeba jeszcze trochę popracować — powiedział z czarującym uśmiechem i, nie zważając na głosy protestu, ruszył do drzwi. — Za chwilę oczekuję was w moim pokoju — powiedział jeszcze i zniknął w ciemnym korytarzu.

Rozchodzili się, szemrając pod nosem. Robert przysiadł przed wejściem, jakby polecenie Piotra go nie dotyczyło. Tylko na chwilę, usprawiedliwił się sam przed sobą. Tomek i Marcel przebiegli obok niego w stronę swojego ulubionego miejsca koło żywoplotu. Jak zwykle ciągnęli ze sobą jakieś kości.

— Uwaga, żebyście ich nie uszkodzili — usłyszał nad głową głos Ewy, która przysiadła obok niego.

— Co teraz? — zapytał ot tak, żeby coś powiedzieć. — Odkąd przyjechałaś, mamy wokół same zagadki.

— Narzekasz? — uśmiechnęła się przekornie. Siedzieli obok siebie i milczeli. Robert był zbyt zmęczony, by podtrzymywać rozmowę, zresztą czuł, że nie ma potrzeby. Wieczorna cisza lekko unosiła się w powietrzu.

— Pójdę jutro z tobą — odezwała się w końcu Ewa. — Do księdza Andrzeja — wyjaśniła, bo wyrwany z zamyślenia Robert nie bardzo wiedział, co do niego powiedziała.

— Po co? — zapytał, kiedy już dotarł do niego sens jej słów.

— Z ciekawości — wyjaśniła lakonicznie.

— Piotr nie będzie zachwycony — zauważył.

— To nie ma nic do rzeczy. Nie jestem jego własnością.

— Powiedziałaś mu to? — Kiwnęła głową. — Skąd się znacie?

— To przesłuchanie?

— Nie, ciekawość — uśmiechnął się, patrząc jak pod wpływem tego słowa złość błyszcząca w jej oczach topnieje, rozplywa się i znika. Nie można jej było odmówić poczucia humoru. — Może w końcu porozmawiamy szczerze — dodał, czując, że trudny początek ma już za sobą.

— Studiowaliśmy razem — zaczęła niechętnie Ewa. — I w tym czasie, jak mogłeś się już domyślić, byliśmy parą. Mieliśmy się pobrać.

— To dlaczego się nie pobraliście? — spytał.

— Pojawiła się jakaś ciemnowłosa piękność.

— Żartujesz? — Robertowi nie mieściło się w głowie, że Piotr mógł się okazać tak dalece pozbawiony gustu, jeśli chodzi o kobiety.

— A jednak — skwitowała Ewa z niewesołym uśmiechem.

— Co było dalej?

— To co zwykle. Rozstaliśmy się po długich rozmowach, które niczego nie zmieniły, i widywaliśmy sporadycznie. Po studiach wróciłam do rodzinnego Szczecina. Nie widzieliśmy się kilka lat. Piotr zadzwonił półtora tygodnia temu i zapytał, czy mogłabym przyjechać. Zgodziłam się.

— Dlaczego?

— Ciekawość — uśmiechnęła się kpiąco.

Robert pokręcił głową z dezaprobatą.

— To przestaje być śmieszne — powiedział z naganą w głosie.

— Kiedy to prawda.

— Często robisz coś z ciekawości? — zapytał jeszcze, choć mógłby przysiąc, że zna odpowiedź...

— Bez przerwy — parsknęła Ewa.

— A co z Piotrem?

Spowaźniała.

— Nic. Jego uczucia to nie moja sprawa. Zwłaszcza jeśli są odgrzewane. — Wzruszenie ramion miało podkreślić brak

zainteresowania tematem.

— Jesteś pewna, że go nie kochasz?

— Jestem pewna.

— A on ciebie?

— Nie kochał mnie już wtedy, kiedy się wyprowadzał. Zamiast się z tym pogodzić, ulega złudzeniu, że można cofnąć czas. Ale ludzie się zmieniają. Ani ja, ani on nie należymy do wyjątków. Próbowałam mu to wyjaśnić, ale nie chciał słuchać. Widocznie musi sam dojść do pewnych wniosków.

Uśmiechnęła się do Roberta cieniem uśmiechu, który przyczał się w kącikach ust i zgasł równie nagle, jak się pojawił. Gdy popatrzył jej w oczy, wyczytał w nich coś, czego się zupełnie nie spodziewał. Wyglądało na przyzwolenie, choć nie był tego całkiem pewien.

Dzień czwarty

Ksiądz Andrzej miał słabe serce i nade wszystko nie znośli wysokich temperatur. Upalne dni spędzał w domu przy otwartych na oścież oknach i drzwiach. Po obiedzie zwykle ucinął sobie drzemkę, nie dbając o to, że podczas jego snu ktoś może wejść do domu i wynieść wszystko z wyjątkiem jego samego i kanapy, na której lubił polegiwać. Proboszcz nie wierzył w istnienie ludzi złej woli, a parafian, znajomych i nieznajomych traktował z jednakową życzliwością.

W czasie upałów wychodził z domu dopiero po to, by odprawić wieczorną mszę. Godzina spędzona w starych kościelnych murach, w których nawet w najgorętsze dni panował miły chłód, przywracała go do życia. Później mógł spokojnie zająć się podlewaniem ogrodu i duszpasterskimi obowiązkami. Mieszkańcy Kolic znali obyczaje swego proboszcza i wiedzieli, że latem mogą zapukać do kancelarii parafialnej nawet o bardzo nietypowej porze. Te godziny ksiądz Andrzej lubił najbardziej, gdy w ogrodzie unosił się zapach oddychającej wilgocią ziemi, a w drzwiach stawały jego owieczki, jak w duchu nazywał swoich parafian. Ucisk serca zniknął, a duchowny czuł się znowu zdrowym, pełnym werwy człowiekiem aż do następnego poranka.

Robert zdążył już poznać plan dnia proboszcza i wiedział, że popołudnie to nie najlepsza pora na odwiedzinę. Bał się jednak, że wieczorem proboszcz nie będzie miał dla niego czasu, postanowił więc zaryzykować. Nad różami unosił się i opadał złoty obłok pszczoł, drzwi jak zwykle stały otworem. Robert zapukał delikatnie w wewnętrzną framugę i, nie słysząc słowa zachęty, wszedł na palcach do środka. Za sobą słyszał ciche kroki Ewy, która uparła się, żeby mu towarzyszyć. Mimo że jeszcze dzisiaj próbował jej to wyperswadować dla dobra ekspedycji, jak dowodził, i atmosfery pracy. Odczep się, zaproponowała

Ewa w odpowiedzi, więc zachował się stosownie do jej słów i więcej nie wracali do tego tematu.

Minęli kuchnię i weszli do niewielkiego, skromnie urządzonego saloniku, w którym proboszcz zwykł przyjmować gości. W pokoju były jeszcze jedne drzwi prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia. Zasłony były zaciągnięte. W półmroku dostrzegli księdza Andrzeja, który dziwnie bladym siedział w fotelu zupełnie bez ruchu. Głowa odrzucona do tyłu leżała na oparciu. W całej postaci był nienaturalny bezwład, który i Robertowi, i Ewie wydał się jednoznaczny. Popatrzyli po sobie przerażeni, niepewni, co powinni teraz zrobić. Ewa przybladła i oparła się o stół, nie mogąc opanować drżenia kolan. Robert zrobił dobrą minę do złej gry i zbliżył się powoli do nieruchomego ciała. Chwilę nasłuchiwał, ale piersi proboszcza nie poruszał najlżejszy nawet oddech. Cholera, zdążył pomyśleć Robert, przykładając na wszelki wypadek rękę do szyi nieboszczyka ruchem, który pamiętał z amerykańskich filmów kryminalnych.

Proboszcz poderwał się nagle, wydając z siebie dźwięk przypominający przeciągły charkot. Robert odskoczył gwałtownie od fotela, nadziewając się boleśnie na brzeg stołu. Ewa przeraźliwie krzyknęła ze strachu i z bólu, gdy zatoczył się na nią i uderzył łokciem w splot słoneczny. Straciła równowagę i wylądowała na ziemi.

— Kto? — zawołał duchowny, rozglądając się półprzytomnie na boki. Wyglądał teraz znacznie zdrowiej niż kilkadziesiąt sekund temu.

Skruszony Robert pomógł Ewie pozbierać się z podłogi. Popatrzyła na niego z wyrzutem, rozcierając okolice mostka. Udało jej się wreszcie złapać oddech i łapczywie, dużymi haustami wciągała powietrze do płuc. Ksiądz doszedł w końcu do siebie i rozpoznał dwie młode osoby, które przestały się miotać u jego stóp. Wołał nie dociekać, co tam robiły.

— Ach, to wy, moi drodzy — ucieszył się na ich widok. Resztki snu czepiały się jeszcze jego powiek, ale mimo to czuł się rześki i wypoczęty. Popatrzył podejrzliwie na nietęgę miny swoich gości.

— Coś się stało? — zapytał.

— Nie, nie — zaprzeczyli pospiesznie, jedno po drugim, i ten pośpiech wydał mu się jeszcze bardziej podejrzany. Robert unikał jego spojrzenia, jakby miał coś do ukrycia. A ruda dziewczyna powoli odzyskiwała naturalne kolory. Proboszcz mógłby przysiąc, że jeszcze przed momentem była bardzo blada. I czy to ona tak przeraźliwie krzyknęła? Musiało mi się przyśnić, zdecydował duchowny, uspokoił się i poprawił w fotelu.

— W czym mogę wam pomóc, kochani? Napijcie się czegoś?

Ewa, której zaschło w gardle z nadmiaru emocji, energicznie skinęła głową. — Moja duszko — zwrócił się do niej proboszcz — w lodówce jest woda, a szklanki znajdziesz w szafce nad zlewem. Usiądźcie proszę — zachęcił ich, gdy butelka i szklanki znalazły się na stole.

Posłuchali go potulnie. Ciągłe jeszcze nie mogli odzyskać równowagi po przeżyciach ostatniego kwadransa.

— Czy ksiądz zawsze tak wygląda podczas snu? — zaczął Robert z pretensją w głosie. Proboszcz popatrzył na niego bezradnie, nie wiedząc, o co mu chodzi.

— To znaczy jak? — zapytał.

— Jak nieboszczyk — wybuchnął archeolog. W jego głosie wyrzut mieszał się z urazą. — Śmiertelnie nas ksiądz wystraszył.

— O — stropił się duchowny — bardzo was przepraszam. Zwykle ucinam sobie drzemkę na kanapie, a dzisiaj jakoś mnie nagle zmogło, nie zdążyłem się położyć. Nie sądziliście chyba, że ja... — nie dokończył. Widząc wyraz ich twarzy, roześmiał się serdecznie. — Moje dzieci, naprawdę, Pan w swojej łaskawości trzyma mnie na ziemi na opamiętanie — zażartował. — Mówcie, z czym przychodzicie.

Robert, którego śmiech staruszka zupełnie rozbroił, westchnął tylko i postanowił przypuścić atak.

— Czy księdzu mówi coś nazwisko Otto Kleist? — Proboszcz zastanowił się, jakby w myślach przewijał listę znanych nazwisk. Nie, nazwisko Kleist z pewnością słyszał po raz pierwszy.

— A czy ma ksiądz może stare księgi parafialne, dokumenty związane z historią kościoła, z pracami remontowymi,

konserwatorskimi czy innymi? Jakiegokolwiek stare papiery, najlepiej dziewiętnastowieczne?

— Papiery, powiadasz? — duchowny poszukał na podłodze kapci, wsunął w nie stopy i podniósł się z wysiłkiem. — Uff — westchnął — ten upał mnie wykończy. Chodźcie ze mną do kancelarii, jeśli mam jakiegokolwiek dokumenty, to tam.

Poprowadził ich do drzwi, które zauważyli wcześniej, mieścił się za nimi niewielki, pomalowany na zielono gabinet. Na jego środku stało stare, pięknie wykonane biurko z mnóstwem szuflad. Połyskliwy blat miał kolor starego koniaku. W rogu pokoju stały jeszcze dwie ogromne szafy w tym samym stylu. Ksiądz Andrzej podszedł do pierwszej z nich, wyjął z kieszeni znany już Ewie i Robertowi pęk kluczy, wybrał jeden i wsunął go do zamka. Rozległ się cichy szcęk i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

— Ciągle zapominam naoliwić — usprawiedliwił się gospodarz. — Zresztą nie zaglądam do niej aż tak często. Biezące papiery trzymam w tej drugiej. — Odwrócił się do archeologów i zdziwił niepomierne, widząc, że tkwią zaskoczeni przed biurkiem ze wzrokiem utkwionym w ścianie naprzeciwko. Wyglądali jak żona Lota zamieniona w słup soli, a dokładniej rzecz ujmując, jak dwie żony.

— Co to jest? — wyjąkał Robert, który opanował się pierwszy.

— Jak to co? — zdenerwował się proboszcz, któremu zaczynała ciążyć zmienność nastrojów u rozmówców. Najwyraźniej nie potrafił się z nimi porozumieć. — Jak to co? — powtórzył. — Rycina.

— Rycina? To jest, według księdza, rycina? — nie wytrzymał Robert. — Czy ksiądz wie, ile to ma lat?

— Przyznam, że nie mam błędnego pojęcia — duchowny czuł, że dopuścił się wykroczenia, ale nie bardzo rozumiał, na czym miałyby polegać jego wina. Robert bez tchu klapnął na wiekowy mebel, bo po raz drugi w ciągu dzisiejszego popołudnia ugięły się pod nim nogi. Plan wiszący nad jego głową wyglądał na autentyczny, nawet południowy mur był grubszy niż pozostałe partie ścian. Idę o zakład, jęknął w duchu, że wiem, jaki napis znajduje się po drugiej stronie.

— Możemy to zdjąć? — zapytał bez tchu, wpatrując się w pocziwą twarz zdezorientowanego proboszcza.

— Ależ proszę. Czy zamierzacie mi cokolwiek wyjaśnić, czy chcecie wyjść bez słowa?

— Tak. Nie — odpowiedzieli jednocześnie, mając na myśli dokładnie to samo.

— No to bardzo jesteście zgodni — zauważył proboszcz ze szczyptą sarkazmu w głosie.

— Skąd ksiądz to ma? — zapytał Robert, przytulając do piersi sporą ramkę. Plan był pod szkłem. Proboszcz nie znał jego wartości, ale na szczęście zadbał o właściwą ekspozycję.

— To ostatnie pytanie — zastrzegł sobie. — Za chwilę ja będę pytał. — Zgodzili się z nim oboje, więc odpowiedział. — Jestem tutaj proboszczem od 1988 roku. Znalazłem go w jednej z ksiąg parafialnych i powiesiłem. Uznałem, że dobrze będzie się prezentował na ścianie kancelarii.

— To jednak są jakieś stare księgi? — zareagował natychmiast Robert, ale ksiądz Andrzej przywołał go do porządku.

— Teraz ja się pytam — przypomniał — o co w tym wszystkim chodzi?

— Widzi ksiądz — włączyła się do rozmowy Ewa — trzy dni temu, kiedy zostawił nam ksiądz klucze do kościoła, jednak trochę narozrabialiśmy.

Popołudnie dogorywało w upale i Jacek zmęczony i spocony po całym dniu pracy w pełnym słońcu schronił się na chwilę w cieniu, który dawała północna ściana szkoły. Przysiadł na piętach i oparł się o nią plecami. W tej pozycji najlepiej mu się myślało. Wokół było bardzo cicho. Kolegów zostawił w barze przy piwie. Piotr znikł gdzieś, jakby się zapadł pod ziemię, był więc zupełnie sam. Tak mu się przynajmniej wydawało, dopóki nie usłyszał zbliżających się od furtki kroków, które zamiast ucichnąć w szkolnym korytarzu tłumiącym wszelkie odgłosy, rozległy się tuż za rogiem.

— Jesteś — usłyszał Jacek i drgnął nieprzyjemnie zaskoczony wizytą, której się zupełnie nie spodziewał. Marek, miejscowy archeolog amator przyglądał mu się z satysfakcją, której źródło było Jackowi nieznane.

— I co z tego? — odparł nieprzyjaźnie, bo nie lubił, gdy ktokolwiek nachodził go bez uprzedzenia. Potrafił być wówczas bardzo niemiły. Nieproszony gość musiał to wyczuć, nie zrobiło to na nim jednak najmniejszego wrażenia.

— Jest interes do zrobienia — powiedział bez ogródek, spluwając przez szparę między dolnymi jedynekami. Jacek wzdrygnął się z obrzydzenia.

— Nie robię z tobą interesów — skwitował i wstał, by odejść, ale chłopak przytrzymał go za łokieć. Miał brudne paznokcie i to także nie zjednało mu sympatii architekta, który codziennie po pracy spędzał co najmniej kilka minut na czyszczeniu swoich. Me był pedantyczny, po prostu brud za paznokciami źle mu się kojarzył. Z biedą, z którą próbował zerwać od dawna.

— Nie dotykaj mnie — ostrzegł intruza przez zęby.

— Nie tak szybko, stary. — Marek wydawał się rozbawiony jego postawą. — Zaraz zmienisz zdanie. W przeciwnym razie możesz mieć kłopoty.

Pewność pobrzmiwająca w tonie głosu tamtego kazała Jackowi przystanąć. Sięgnął chłopakowi do ramienia i patrząc na niego, musiał zadzierać głowę. To także nie poprawiło mu humoru i na pewno nie sprzyjało porozumieniu.

— Czego chcesz? — warknął, siląc się na spokój. Powiedz mi, z czym przychodzisz, człowieku, bo może być nieprzyjemnie, postraszył rozmówcę w duchu, próbując w ten sposób odzyskać zimną krew.

— Kupisz coś ode mnie — wypalił przybysz, patrząc na archeologa spod przymrużonych powiek. Miał twarz cwaniaka, furka między zębami jeszcze potęgowała to wrażenie. Jacek widząc jego przekonanie, miał ochotę się roześmiać.

— Co ty powiesz? — odparł szyderczo. Poczul się nagle na swoim terenie.

Oczy tamtego jeszcze się zwięzły. Przypominały teraz szparki, w których błyskały złośliwie jasne źrenice.

— Kupisz ode mnie to — powiedział niezrażony, wciąż pewien własnej przewagi i jak asa z rękawa z płóciennej torby przewieszanej przez ramię wyciągnął prostokątny pakunek. Odwinął go i szybkim ruchem otworzył, pozwalając, by Jacek rozpoznał w przedmiocie skradziony dziennik Ottona Kleista.

Przez chwilę obaj milczeli, Marek napawając się efektem prezentacji, Jacek nie mogąc zebrać myśli.

— Skąd to masz? — wyjąkał w końcu, bo wzburzenie, które odczuwał, wpływało na jego zdolność formułowania myśli. Ten gówniarz ich okradł i jeszcze miał czelność przychodzić z tym do niego. Gdyby zrobił to wczoraj, Jacek może dałby się złapać, ale po tym, jak wieczorem Robert odczytał swoje tłumaczenie, taka inwestycja nie miała najmniejszego sensu. Tym bardziej że architekt słabo znał niemiecki, a z tekstem z ubiegłego wieku na pewno by sobie nie poradził.

— Nieważne, skąd to mam — odparł Marek, zawijając dziennik z powrotem w skórę. — Ważne, jak zamierzam go wykorzystać. Chciałbym za niego osiemset złotych.

— Zwariowałeś. Wystarczy, że wezwiemy policję i nic ci już nie pomoże.

— Na twoim miejscu byłbym ostrożniejszy, zwłaszcza jeśli chodzi o policję — powiedział chłopak, powoli cedząc słowa. — Ludzie na wsi wcześniej wstają, bracie, czasem dzięki temu są świadkami interesujących wydarzeń. Mogą na przykład zobaczyć faceta z wykrywaczem metali na stanowisku archeologicznym.

— To nie jest zabronione — próbował mu wmówić Jacek, licząc na to, że ta hiena, którą przygarnęli w dobrej wierze, nie ma pojęcia, o czym mówi. — Jestem archeologiem, wykonywałem swoje obowiązki.

— O czwartej nad ranem? Sam? Niemal po ciemku? Komu chcesz mydlić oczy? Nie jesteś pierwszy, co tu chodził z tym sprzętem. Tamtego policja zgarnęła, bo nakrył go proboszcz. Potem mówił o tym na kazaniu, że to kradzież mienia państwowego, że musimy wspólnie strzec

naszych zabytków, i takie tam bzdury. Dlatego ja strzegę, po swojemu — roześmiał się cicho, nieprzyjemnie. — Należy się osiem stów — przypomniał Jackowi — albo twoi znajomi dowiedzą się, jak spędzasz poranki. Nie będą zachwyceni. Myślisz, że dadzą ci drugą szansę czy od razu zawiadomią policję?

— Ty szuj — powiedział Jacek bardzo cicho. Chciał, by wypadło to groźnie, ale była to tylko gra pozorów. Oczami wyobraźni zobaczył Piotra stojącego nad wykopanym wczoraj dołkiem. Dreszcz, który przebiegł mu po plecach, gdy Piotr się odezwał, pojawił się znowu i sprawił, że mimo upału dostał gęsiej skórki.

— No, no, tylko bez takich — odparł Marek pojednawczo. — Rozumiem, że się denerwujesz, ale to nic nie zmieni.

— Nie masz żadnych dowodów.

— Mam. Ładne to twoje cacko. Tylko trzeba było je lepiej ukryć. Mnie niestety na nic się nie przyda. We wsi wszyscy by się od razu dowiedzieli, gdybym się pojawił z czymś takim. Jak widzisz, nie jestem pazerny, bo pewnie mógłbym je sprzedać drożej, ale nie znam się na tym i nie wiem, gdzie szukać nabywców. Dlatego chętnie ci je odstąpię i dorzucę dziennik, za osiemset. Pasuje?

— Nie mam tu takiej kasy — Jacek próbował się jeszcze targować.

— Twój problem.

— Chcesz czekać na pieniądze, czy weźmiesz pięćset i uznamy sprawę za załatwioną?

— Chcesz dostać wykrywacz w jednym kawałku czy wolisz na raty?

— Nie dotykaj go, bo jak coś uszkodzisz...

— Bez obaw. — Marek miał minę zwycięzcy. — I dobrze ci radzę, postaraj się o forszę, szybko.

Proboszcz przyglądał im się, jakby byli istotami z innego świata, gdy na zmianę opowiadali mu od początku całą historię dziennika i streszczali zapiski jego autora. Z każdym zdaniem coraz dłużej im się przyglądał i z coraz większą uwagą słuchał.

— Nieprawdopodobne — powiedział w końcu, gdy dobrnęli do końca, a on zerwał się na równe nogi, widząc, że mała wskazówka na tarczy zegara niebezpiecznie zbliża się do godziny szóstej. — Mam nabożeństwo — przypomniał sobie. — Zostawiam wam klucz do szaf. Skoro odkryliście tak dużo, może tam znajdziecie coś jeszcze. Zdaje mi się, że macie ku temu jakieś szczególne predyspozycje. — Uśmiechnął się do siebie pod nosem. — Przejrzyjcie te dokumenty, których jesteście tak ciekawi. Porozmawiamy, jak wrócę.

— Nie gniewa się ksiądz na nas? Za to, że naruszyliśmy posadzkę w kościele? — zapytała Ewa niepewnie, bo spodziewała się przynajmniej lekkiej bury.

— Moje dzieci — powiedział łagodnie proboszcz — cokolwiek uczyniliście, zrobiliście to ze słusznych pobudek. — Niespodziewanie dla niego samego zdanie to zabrzmiało nieco biblijnie. — Co stałoby się z nauką, gdyby badacze powściągali swoją ciekawość?

Zaskoczony Robert zatrzymał się w połowie drogi do szafy, sądząc, że się przesłyszał. No nie, ten też wyjeżdża z ciekawością. Człowiek powinien mieć jednak jakieś hamulce. Chociaż gdyby tak było, nie spędzałby z Ewą tak miłego, obfitującego w ekscytujące wydarzenia popołudnia. Popatrzył na nią, kiedy tak stała i słuchała wywodu duchownego. Oczy jej błyszczały i miała wypieki na policzkach. Ciekawość, pomyślał jeszcze niezbyt oryginalnie i nie do końca logicznie, to pierwszy stopień do piekła, zupełnie jak to jabłko z drzewa.

Proboszcz przebrał się pospiesznie i wyszedł. Był spóźniony, więc oddalał się szybko i po chwili jego odziana w sutannę postać znikła z pola widzenia, a oni zostali na ganku zupełnie sami. Wycofali się w głąb domu, myśląc tylko o zawartości tajemniczych ksiąg. Plan położyli na biurku, gdzie był, ich zdaniem, najbezpieczniejszy.

— Co my tu mamy... — Robert uchylił skrzydło szafy i jego oczom ukazały się sterty pożółkłego papieru spięte w pakiety, posegregowane w teczki, z rzadka oprawione w tekturę lub płótno. Ilość materiału do przestudiowania trochę ostudziła jego zapał.

— Żebyśmy chociaż wiedzieli, czego szukamy — Ewa poczuła, że ją też opuszcza entuzjazm. — Równie dobrze możemy spędzić tu całą noc bez większych efektów.

— Całą noc — rozpromienił się nagle Robert — z tobą? Z miłą chęcią.

— Z księdzem Andrzejem — uściśliła, ale uśmiechnęła się rozbawiona tonem, jakim to powiedział. — Może powinniśmy zwrócić się do Piotra po pomoc. Gdybyśmy szukali wszyscy, byłoby szybciej.

— To nierealne. Nie możemy nagle zająć się gonieniem za jakimiś mrzonkami tylko dlatego, że wydają się fascynujące.

— To nie mrzonki. Dziennik to fakt. I plan to fakt — nie zgodziła się z nim Ewa.

— Jak dotąd jedyne — zauważył Robert. — Przygotuj się na to, że może nie być więcej faktów. — Zajrzał znowu do szafy. — Tak czy siak w grę wchodzi tylko te papiery. Proboszcz mówił, że są najstarsze. Pomyślmy, co może nam się przydać. Księgi z czasów, gdy była tu parafia protestancka, nazwiska pastorów, wszystkie Marie, które znajdziemy. Wątpię, byśmy mieli trafić na naszego bohatera Kleista. Wszelkie wzmianki o przebudowach i remontach w obrębie klasztoru.

— Ja ci się chyba nie przydam — wtrąciła się Ewa, gdy już pogodziła się z dokonaną przez Roberta surową oceną sytuacji. — To wszystko jest pewnie po niemiecku.

— No tak — zmartwił się. — Ale możesz przeglądać nazwiska, w ten sposób przynajmniej wybierzesz dokumenty, które mogą mieć dla nas znaczenie.

Zabrali się do pracy. Kiedy ksiądz Andrzej wrócił z kościoła, zastał ich siedzących na podłodze nad stertami papierzysek. Byli w nie najlepszych humorach. Nie musiał o nic pytać. Na pierwszy rzut oka było widać, że nic nie znaleźli.

— Za mało danych — podsumował Robert starania ostatnich dwóch godzin.

— Dopiero zaczęliście — zauważył proboszcz spokojnie. — Trochę cierpliwości.

Robert zniechęcony machnął ręką nad swoim stosem.

— Nie daję rady. To nie jest poukładane według żadnego porządku. — Przekładał kartki z jednej kupki na drugą bez większego przekonania. — Większość dotyczy dwudziestego wieku, a nam potrzebny jest rok 1884 i okolice.

— Wszystkie Marie urodzone w latach 60. XIX wieku odkładam na bok — dopowiedziała Ewa — ale boję się, że nie znajdę żadnej.

— Nie kracz.

— Moi drodzy — wtrącił ksiądz Andrzej, który również rozsiadł się na podłodze i był gotów udzielić im wsparcia. — Tylko spokój może nas uratować.

— Dobrze księdzu mówić — Robert spojrział na niego z nagłym zainteresowaniem. — Nie wiedziałem, że w sutannie można siedzieć po turecku.

Tuż po północy Robert odłożył na bok ostatnie kartki o zniszczonych brzegach. Podniósł ręce do góry i przeciągnął się. Bolały go plecy, oczy i ramiona, a w nogach czuł nieznośne mrowienie. Poza tym był nieprawdopodobnie głodny.

Proboszcz zostawił ich jakiś czas temu i udał się na spoczynek.

— Ta pozycja jest nie na moje stare kości — powiedział na usprawiedliwienie i z trudem wstał z podłogi, przydeptyując sobie sutannę. — Idę się położyć. Zamknijcie dom, jak będziecie wychodzić — dodał i wskazał pęk kluczy, który wciąż wisiał u drzwi otwartej na oścież szafy.

Teraz, kiedy zrobili to, co wcześniej wydawało im się niemożliwe, oboje poczuli się senni.

— Podsumujmy — odezwał się Robert, kiedy wszystkie dokumenty wróciły na swoje miejsce. — Mamy cztery Marie — zerknął na zachowane jakimś cudem strony starej księgi parafialnej z roku 1864. Ktoś najwyraźniej wyrwał je i tylko dzięki temu przetrwały, podczas gdy po księdze nie było ani śladu. — Niestety żadna nie pasuje do Ottona,

wszystkie są za młode. Nasza Maria urodziła się dwa lata wcześniej niż one. Mamy też plany kościoła, na których zaznaczono pewne przeróbki. Notatki na marginesach są zupełnie nieczytelne.

— A charakter pisma nic ci nie przypomina?

— Jeśli sugerujesz, że ich autorem mógłby być Otto, odpowiedź brzmi nie. Już prędzej Hans.

— Kto? — Ewa nie pamiętała wszystkich bohaterów dziennika.

— No, ten inżynier, który nadzorował prace budowlane. Oni mi się już wszyscy trochę mylą. Ten, któremu Otto zwinął klucz do kościoła — mruknął Robert i ziewnął. — Wygląda na to, że utknęliśmy. Idę spać i tobie też radzę.

— Tutaj?

— Tutaj. Kanapa jest twoja, a ja się zdrzemnę w fotelu. Ksiądz Andrzej na pewno nie miałby nic przeciwko temu. Psa bym o tej porze z domu nie wygonił.

Roztarł zmęczone oczy i spojrział na zegarek. Był bardzo śpiący.

— Robert — odezwała się Ewa szeptem, kiedy leżeli już w ciemności i starali się zasnąć.

— Uhm?

— Myślisz, że coś znajdziemy?

— Cały czas znajdujemy — odparł sennie.

— Nie o to mi chodzi. Chciałabym znaleźć skarb — wyznała Ewa cicho w swoim kącie pokoju.

— Jasne. — Robert próbował ułożyć się w fotelu wygodnie. Niestety bezskutecznie. Bez względu na pozycję cierpły mu nogi. Słowa Ewy docierały do niego jak przez mgłę. — Czytałaś w dzieciństwie za dużo książek o piratach i innych rzezimieszkach.

— Może... Posłuchaj — zaczęła, ale Robert już nie odpowiedział. Ewa usłyszała jego miarowy lekki oddech i uśmiechnęła się do siebie w ciemności.

Dzień piąty

— I co ja mam z wami zrobić? — Piotr stał w drzwiach salonu i zamierzał właśnie rozpocząć dłuższe kazanie. Zajrzał na plebanię, by zapytać proboszcza, czy nie widział jego archeologów, którzy nie wrócili na noc do szkoły, i zastał ich śpiących w najlepsze, mimo że od godziny powinni być pod kościołem. Ta para, myślał o nich z niechęcią, przyjaciel i była kandydatka na żonę, irytowali go coraz bardziej nie tylko z powodów osobistych.

Duchowny, rozbawiony sytuacją, krzątał się po kuchni i robił dla gości jajecznicę. Jako wytrawny mediator wiedział, że kaloryczny posiłek spożyty przy jednym stole wpłynie kojąco na dwóch mężczyzn, którzy teraz spoglądali na siebie z urazą. Co do Ewy liczył na to, że z czasem i ona dojdzie z Piotrem do porozumienia. W tej kwestii jednak jego kuchnia nie mogła pomóc.

Robert rzucił przyjacielowi spojrzenie skrzywdzonej niewinności.

— A jakie są zarzuty? — zapytał beczelnie, wiedząc, że ten ton doprowadzi Piotra do furii.

— Uchylasz się od pracy, włączysz nie wiadomo gdzie i zajmujesz nie wiadomo czym, a w dodatku odciągasz od pracy naszego jedynego antropologa. I na domiar złego nie wracasz na noc.

— Piotruś — przerwał mu Robert — uspokój się. Po pierwsze, ile ja mam lat? No? Z łaski swojej nie ochrzaniaj mnie, że nie wracam na noc, bo osiemnaście dawno skończyłem. Po drugie, nie wracam na noc tylko wtedy, gdy zatrzymają mnie obowiązki. Zapytaj księdza Andrzeja, ile czasu spędziliśmy wczoraj, kopiąc w jego kancelarii w poszukiwaniu dodatkowych dokumentów. I wiesz, co znaleźliśmy? Choć to pewnie niewłaściwe słowo — przypomniał sobie wczorajsze, swoje i Ewy zdumienie, wyskoczył z posłania i wpadł do kancelarii. W chwilę później

był już z powrotem. — Proszę — podał Piotrowi ramkę — to jest plan Ottona — powiedział uroczyście. — To od niego wszystko się zaczęło.

Piotr oklapł, jakby ktoś z niego spuścił powietrze, skurczył się i usiadł z wrażenia, patrząc doskonale bezmyślnym wzrokiem na wiekowy rysunek. Stanowczo nie mieściło mu się to wszystko w głowie. Spojrzał na Ewę, która przyglądała się rozbawiona całej scenie.

— Nie widzę w tym nic zabawnego — zauważył chłodno i Ewa przestała się uśmiechać, a jemu zrobiło się podwójnie przykro. Dlatego, że on był temu winien, i dlatego, że jeszcze nie powiedział ostatniego słowa, a dalszy ciąg był tak samo nieprzyjemny jak początek. — Nie dość że jesteście postrzegani jak papużki nierozłączki, to jeszcze innym się wydaje, że randkujecie w czasie, gdy powinniście pracować. Śmiem twierdzić, że jest w tym trochę racji. Inni czują się pokrzywdzeni. Detektywi z Bożej łaski — prychnął. — Wszyscy chcieliby was zastąpić. Zagadki, dzienniki, a do codziennej pracy nikt się jakoś nie rwie. Myślałem, że zajmujesz się kośćmi, ale ty tak samo jak kiedyś szukasz zagadek do rozwiązania. Ciągłe nie możesz bez nich żyć, prawda? — zapytał z wyrzutem.

— Nie mogę — przyznała.

— Zawsze się bardzo różniliśmy — powiedział Piotr i zamilkł, bo zdał sobie nagle sprawę, że w pokoju jest przynajmniej o dwie osoby za dużo. Postanowił dłużej nie roztrząsać tego tematu, nie wziął jednak pod uwagę tego, że i Ewa może mieć coś do powiedzenia.

— Nigdy nie potrafiłam zrozumieć tych twoich chłodnych kalkulacji — odezwała się, patrząc na niego jak na jakiś szczególny okaz fauny. — Czy tobie się wydaje, że masz monopol na mądrość? Zawsze sam podejmowałaś decyzje i nie liczyłeś się z innymi, jeśli było ci z nimi nie po drodze. Dlatego wybaczone, że nie będę słuchać twoich uwag. A kości, owszem, obejrzę i to, co będę w stanie o nich powiedzieć, umieszczę w opisie. Więc z łaski swojej odczep się ode mnie raz na zawsze.

Robert słuchając tej wymiany zdań, zaczął się zastanawiać o czym oni, u licha, rozmawiają.

— Nie chcesz się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? — wtrącił się, gdy oboje zamilkli, ale brakło mu odwagi, by ponowić pytanie, mimo że Piotr nie kwapił się z odpowiedzią. On i Ewa mierzyli się wzrokiem jak dwoje zagorzałych przeciwników. Wyglądało to na pojedynek i Robert pomyślał, że nigdy, przenigdy nie chciałby się znaleźć na linii strzału.

Ewa poddała się pierwsza. Bez słowa minęła Piotra i wyszła, powstrzymując się z trudem, by nie trzasnąć drzwiami. Robert wyczytał tę chęć w jej wyprostowanych jak struna plecach i ściągniętych do granic możliwości łopatkach.

Piotr patrzył za nią długą chwilę. Jego pozycja w tym układzie sił od początku była przegrana. Płomyku, pomyślał, przeżywając w myślach niedawną wymianę zdań, nasze błędy wracają do nas zwielokrotnione jak echo. Zawsze wtedy, gdy na ich naprawienie jest już od dawna za późno.

Kołatka wisiała na swoim miejscu, ciężka, solidna, a przy tym nieprawdopodobnie delikatna. Ewa zatrzymała się w pół kroku na najwyższym schodku, wpatrzona w to cudo dawnej metaloplastyki. Poczula, że pod jego wpływem poziom jej złości opada i zaczyna się mieścić w granicach normy. Skoro były tu obie, pomyślała nagle o kołatce jak o żywej istocie, należało przyjrzeć się sobie nawzajem. Wodząc palcem wzdłuż skomplikowanego wzoru przedmiotu, straciła poczucie czasu i musiała gwałtownie odskoczyć, gdy drzwi uchyliły się i w progu stanęli trzej mężczyźni. Piotr minął ją, nie spojrzawszy nawet w jej stronę, i ruszył w kierunku klasztoru. Proboszcz wycofał się w głąb domu. Tylko Robert został na miejscu i stał obok Ewy w doskonałym bezruchu jak wpatrzony we własne odbicie bazylijszek.

— Dobrze się czujesz? — spytała go na wszelki wypadek, gdy stan, w jaki popadł, zaczął jej ciążyć. — Jajecznicca ci zaszkodziła?

— To herb Clairvaux — odparł Robert olśniony, jakby to mogło wystarczyć za całe wyjaśnienie.

— Co takiego? — Ewa nie pamiętała już szczegółów swojej rozmowy z Piotrem, którą odbyła zaraz po przyjeździe. Francuska nazwa brzmiała tak samo obco, jak wówczas gdy usłyszała ją po raz pierwszy.

— Każdy z pięciu pierwszych klasztorów cysterskich powstałych we Francji miał swoje filie, opactwa, które sam założył. Każdy z nich miał także swój herb. To herb opactwa macierzystego w Clairvaux, od którego wywodziło się Kolitz. To dlatego wydawało mi się, że już ją kiedyś widziałem — pogłaskał pieszczotliwie gładką połyskliwą powierzchnię kołatki.

— Aż trudno uwierzyć, że nikt jej nie ukradł.

— Zapewne chroni ją autorytet, którym cieszy się we wsi proboszcz.

— Albo ignorancja mieszkańców — stwierdził Robert.

— Nie wierzę w aż taką ignorancję. Ślepy by się zorientował, że ma przed oczami rarytas.

Robert się zamyślił. Otto wspominał, że w XVI wieku zdobiła drzwi kapitułarza, a więc pomieszczenia, które było miejscem spotkań i modlitw zakonników, a także salą reprezentacyjną. Kołatka umieszczona właśnie tutaj mogła być nie tylko dekoracją, ale symbolem jedności konwentu z klasztorem macierzystym. Czy Otto naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że przedstawia ona herb Clairvaux? Dlaczego nigdzie o tym nie wspomniał?

— Nie rozumiem — zaczął snuć swoje rozważania na głos — skąd się wzięła na drzwiach w południowym portalu? Przecież to bez sensu. W kapitułarzu, zgoda, mogła pełnić funkcję symboliczną. Ale dlaczego ją przewieszono i to właśnie na te drzwi? Kiedyś można było przez nie przejść do wschodniego skrzydła klasztoru, w którym znajdowały się zakrystia, kapitułarz i kaplica opata, a także jego prywatne pokoje i skarbiec zakonu. A więc było to przejście wewnątrz kompleksu. A po co umieszczać kołatkę wewnątrz? Powinna raczej, zgodnie ze swoim przeznaczeniem, wisieć przy wejściu do klasztoru, na przykład w bramie między kościołem a domem konwersów.

Ewie nagle coś przyszło do głowy.

— Mówiłeś, że skrzydła rozebrano w XVIII wieku.

— W XVIII i XIX — poprawił ją Robert.

— No właśnie — ciągnęła niezrażona. — Ktoś mógł wtedy przewiesić kołatkę na boczne drzwi kościoła. Wtedy, gdy w jego wschodniej części mieściła się już kaplica pałacowa. Może dzięki temu unikano przechodzenia przez wozownię.

— To nie jest niemożliwie — przyznał Robert po namyśle. — Ale mimo wszystko mam wątpliwości.

— Twoje prawo. Raczej się już nie dowiemy, jak było naprawdę.

— Mimo to odkręćmy ją.

— Co takiego? — Ewa myślała, że się przesłyszała. Dotąd to ona wpadała na podobne pomysły, a Robert wciąż hamował jej zapędy.

— Odkręćmy — powtórzył teraz. — Z drugiej strony jest cytat, chcę go zobaczyć na własne oczy.

Ksiądz Andrzej nieco się opierał, gdy Robert zażądał śrubokrętu, ale widząc bezskuteczność takiej postawy, wy dostał go w końcu z szuflady w kuchennym stole. Z narzędziem w dłoni i z groźną miną archeolog ruszył do drzwi, nie zwracając uwagi na to, że cała postać kapłana wyraża sprzeciw. Proboszcz nie powiedział jednak ani słowa.

— Oczywiście ksiądz nigdy jej nie odkręcał? — zapytał z naganą w głosie Robert, zanim odkręcił sześć śrub, którymi kołatka była przytwierdzona do drzwi.

— Oczywiście, że nie — potwierdził kapłan zdezorientowany — po co miałbym to robić?

— Ta dama mogłaby księdzu powiedzieć po co. Ona wszystko robi z ciekawości.

Ewa nie skomentowała jego słów. Teraz patrzyli wszyscy troje na napis na odwrocie antaby, który biegł wzdłuż jej dolnego brzegu.

— Całe to szaleństwo wyłącznie po to, by znaleźć ten sam cytat z Biblii, którego obecność przed nami odkrył już Otto — zdenerwowała się Ewa. — Nawet moja znajomość łaciny na wiele się tu nie zda, bo Otto podał nam przecież przekład.

— Żałujesz?

— Przy twojej znajomości niemieckiego mogłabym się wreszcie wykazać. Języki starożytne, mój drogi, przyswoiłam znacznie skuteczniej niż współczesne. Zapewne z wrodzonej przekory. „Szukajcie, a znajdziecie”. Biorąc pod uwagę okoliczności, powinno być raczej: „Kończcie, a otworzą wam”.

— To dlatego jesteś taka rozczarowana?

Ewa popatrzyła na Roberta, nie kryjąc niesmaku.

— Przez chwilę miałam absurdalną nadzieję, że odkryjemy na odwrocie coś zupełnie innego, jakiś nowy napis. W gruncie rzeczy nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że na klasztornej kołatce jest cytat z Biblii.

Robert był innego zdania.

— Nie cytat jest dziwny, ale miejsce, w którym go umieszczono — powiedział w końcu z przekonaniem. — Wyobraźmy sobie, że to taka dawna jolka. Rozwiązywałaś kiedyś jolkę? Jasne, że tak — dodał, widząc, że Ewa z przekonaniem kiwa głową. — Odgadnąć wyraz to tylko pół sukcesu. Grunt to wpisać go we właściwe kratki. Jeżeli ten cytat został ukryty, to znaczy, że nie był przeznaczony dla oczu wszystkich.

Ksiądz Andrzej, który do tej pory milczał, uznał za stosowne się odezwać.

— Drogie dzieci — powiedział dobrotliwie — a może wy szukacie dziury w całym?

— Ksiądz niech się lepiej nie odzywa — mruknął Robert — to wokół księdza zagęszczają się te wszystkie ślady — plany, kołatki. Dałby ksiądz spokój i stanął po naszej stronie.

— Ależ jestem — obruszył się kapłan — jestem, Robercie. Historia zawsze mnie pasjonowała. Z niecierpliwością czekam na rozwój wydarzeń — to mówiąc, pochylił się nieznacznie nad łacińskim tekstem, by mu się lepiej przyjrzeć. Ewa i Robert czekali na wynik jego badań. Wyprostował się w końcu i z miną triumfatora wskazał ledwie widoczne litery. — Prawie dobrze, Ewo — powiedział — prawie. Cytat z Biblii tak, ale niedokładnie przytoczony. — Robert miał ochotę jęknąć. Zanosilo się na spór lingwistów.

— Jak to — zaczęła Ewa, gotowa się bronić — *quaerite et invenietis* — szukajcie, a znajdziecie. Jak można to inaczej zrozumieć?

— Przyjrzyj się dobrze całemu otokowi — ksiądz Andrzej odebrał kołatkę z rąk Roberta i obrócił tak, by na napis padły promienie porannego słońca — i powiedz, co widzisz?

— Jeszcze jeden wyraz? — zdziwiła się Ewa. — W pierwszej chwili nie był widoczny.

— Jakie to słowo? — naciskał kapłan, spoglądając na szopę rudych włosów, spod których nie było widać jej twarzy.

— *Extra*, na zewnątrz — powiedziała Ewa. W jej oczach malowało się coraz większe zdumienie. Nowe słowo znajdowało się na tuż przy górnym brzegu przedmiotu. — Jak ksiądz to zauważył?

— To tylko światło — wyznał skromnie duchowny. — Tylko światło.

— A więc nie dość że ukryty, to jeszcze zmieniony — powiedziała Ewa bardzo cicho, jakby do siebie. Na zewnątrz. Co to znaczy? Na zewnątrz czego? Rozumowanie Roberta nagle wydało jej się bardzo logiczne. W jej głowie powoli zaczynało kiełkować podejrzenie, że być może ekspedycyjny fotograf i zarazem tłumacz się nie myli. — A jeśli to tylko element układanki — rozważała na głos — fragment, który dopiero w zestawieniu z innym będzie miał sens?

— Popadasz ze skrajności w skrajność. Najpierw sceptycznie odnosisz się do tego, co mówię, a zaraz potem wietrzyć kolejną zagadkę — zauważył Robert. — Ale jestem gotowy poprzeć twoją teorię, bo nad wyraz mi się podoba.

— Tylko gdzie szukać drugiej części, a może i trzeciej? — Ewa była niepokojona. — Co to znaczy na zewnątrz? Czego? Kościoła? Chyba od niego powinniśmy zacząć.

Proboszcz, słysząc jej słowa, westchnął — ci młodzi, nie dało się ukryć, mieli fantazję, żeby krzyżówki z Pisma Świętego układać. Ale musiał przyznać, że i on jest zaintrygowany i sam chciałby wiedzieć, czy cytat jest po prostu cytatem, czy może drogowskazem.

— Otto nie był tak bystry, jak mogłoby się wydawać. Nic nie zauważył — skomentował Robert ostatnie odkrycie, gdy byli już na ostatniej

prostej wiodącej do klasztoru. Mocno spóźnieni, trochę się obawiali milczącej wyniosłości Piotra, każde z innych powodów. Ewa nie chciała kontynuować porannej wymiany zdań, Robert powoli oswajał się z myślą o końcu wieloletniej przyjaźni.

— Niewiele brakowało, a ja też bym nie zauważyła.

— Może byłby bardziej wnikliwy, gdyby skupił się na pracy, zamiast się uganiać za spódniczkami.

— Oooo — wyraziła swoje zainteresowanie Ewa — ty wiesz co? Kogoś mi to przypomina — w ironicznym grymasie uniosła brwi do góry. Robert popatrzył na nią morderczym wzrokiem.

— Nie lubię, jak ktoś mi przykleja etykietkę.

— Uderz w stół, a nożyce się odezwią.

— Ewa — powiedział Robert ostrzegawczo.

— To tylko etykietka? — Ewa nie dawała za wygraną. — One na ogół informują o zawartości.

Mężczyzna zatrzymał się na środku drogi. Klasztor był już bardzo blisko.

— Można wiedzieć, o co ci chodzi? — zapytał wprost. — Chcesz się pokłócić czy jak? Coś ci nie odpowiada? Dotąd dobrze się bawiłaś i nagle przestałaś?

— Nic nie mówiłam — Ewa uniosła obie dłonie w obronnym geście.

— Owszem, mówiłaś. Nie wiem tylko po co? Piotr przeciągnął cię na swoją stronę? Po porannej awanturze wróciło dawne uczucie?

— Wiesz co, rozstańmy się na chwilę, bo chyba zaczynamy sobie działać na nerwy — rzuciła Ewa tonem luźnej propozycji. — Za dużo czasu spędzamy razem.

— Niesłychane — powiedział Robert z nutą sarkazmu w głosie. — I kto to mówi. Nie prosiłem cię, żebyś spędzała ze mną wczorajsze popołudnie albo siedziała ze mną w nocy nad dziennikiem.

— Zgoda, bohaterze — przyznała Ewa — jeden zero dla ciebie. Droga wolna. Wracam do szkoły i zajmę się w końcu kośćmi Ottona albo jakiegoś innego biedaka.

— Piotr będzie zachwycony — dodał Robert, żeby ją jeszcze bardziej rozgniewać. Spojrzała na niego złym wzrokiem.

— Zaiste — odparła zjadliwie. — Dorota prawdopodobnie też, zgodzisz się ze mną?

— Nie rozumiem? — Zbity z tropu Robert zamrugał powiekami. Nagle opadły go wyrzuty sumienia, do których nie chciał się przyznać nawet przed sobą. Nie potrafił się przed nimi obronić i pozwolił Ewie przejąć inicjatywę.

— Wodzi za mną oskarżycielskim spojrzeniem. To mnie trochę męczy — usłyszał.

— Niedobrze — wyrzuty sumienia potężniały i nabierały konkretnych kształtów. — Porozmawiam z nią. Choć nie mam na to najmniejszej ochoty.

— Męskie poczucie winy? Nie zazdroszczę.

— Wierzę — wściekł się nagle Robert — ale to chyba moja sprawa?

— Niewątpliwie — rzuciła Ewa, mijając go i kierując się do wsi. Robert został na drodze, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej niejednoznacznej sytuacji. Szlag by to trafił. Prowokatorka, pomyślał jeszcze pod jej adresem.

— To o to ci chodziło? Zadowolona? — zawołał za nią, ale nie doczekał się odpowiedzi na żadne z tych pytań.

— Powiedz Piotrowi, żeby przysłał mi kogoś do pomocy — odkrzyknęła Ewa, coraz bardziej się oddalając.

— Kobiety — powiedział do siebie półgłosem Robert. — Dałby Bóg, żebym je kiedykolwiek zrozumiał.

Ewa wracała do szkoły bardzo zadowolona z siebie. Nie dość że rano powiedziała Piotrowi, co myśli o jego ciągłych pretensjach, to jeszcze załatwiła sprawę z Robertem. Znadto jej się podobał, znadto, powtórzyła na głos. Należało zwiększyć dystans. Właśnie to zrobiła, jak jej się wydawało, z dużym sukcesem. A jednak coś było między nimi,

pomyślała z niechęcią o Dorocie. Przypomniała sobie twarz Roberta, gdy patrzył na nią z miną winowajcy, i nagle zrobiło jej się bardzo przykro.

— Do diabła — powiedziała. Nagle gdzieś się zapodziały jej energia i zadowolenie. Do szkoły dotarła zniechęcona i bez humoru. Wśród schnących w jednej z sal szkieletów odnalazła kości z grobu X, jak zaczęli go określać wszyscy członkowie ekspedycji, wyjęła z plecaka swoje tablice z wzorcowymi danymi metrycznymi oraz schematy, z których zwykle korzystała w czasie pomiarów, i zabrała je na zewnątrz. Usiadła na schodach i powoli, metodycznie zaczęła układać przed sobą wszystkie kości we właściwym porządku. Zastanowiła się przez moment, od czego zacząć. Zmierzę kości długie, zdecydowała, żeby mieć je z głowy, a potem zajmę się miednicą i czaszką. Nie miała deski osteometrycznej, która ułatwiłaby jej zadanie, postanowiła więc przy mierzeniu kości długich posłużyć się dużym cyrkiem kabłąkowym. Sięgnęła po prawą kość promieniową: 260 mm długości — zanotowała na kartce z zadowoleniem, lewa kość piszczelowa (prawa była złamana) — 380 mm. Dość jednoznaczne wymiary wpłynęły na poprawę jej humoru. Długość kości udowej była równie imponująca — 465 mm. i

Ewa, mając świadomość, że pomiary wykonywane tylko częściowo według prawideł sztuki należy traktować jako robocze i w miarę możliwości powtórzyć, używając wszelkich stosownych pomocy i narzędzi, przyjrzała się teraz wąskiej i wysokiej miednicy. Ten element szkieletu dawał znacznie większą pewność, że nie pomyli się w jego ocenie. Talerze biodrowe ustawione były raczej pionowo, a dolne gałęzie kości łonowych schodziły się pod kątem mniej więcej 60 stopni. Grzebień kości biodrowej był stosunkowo wąski. Dobrze, pomyślała Ewa, bardzo dobrze. Wykonała kilka pomiarów, a następnie ułożyła parę równań, podstawiając zapisane wartości we właściwe miejsca. Wynik obliczeń wskazywał na to, że ma do czynienia ze szkieletem mężczyzny. Była przekonana, że pomiary czaszki, którą specjalnie zostawiła sobie na koniec, jeszcze to potwierdzą.

Od furtki rozległo się człapanie i Ewa podniósłszy głowę spostrzegła Siwego. Szedł, a raczej włókł się w jej kierunku z dłońmi ukrytymi w

przepastnych kieszeniach. W swoich spodniach, ciągnących się za nim jak tren, wyglądał jak siedem nieszczęść.

— Siwy! — ucieszyła się na jego widok — chodź, pomożesz mi w oglądaniu czaszki.

Chłopak klapnął obok niej na stopniu i przyjrzał się widniejącym na kartce obliczeniom.

— No, no — mruknął w kierunku swoich stóp — widzę, że to wyższa matematyka.

— Tak naprawdę to nie. — Ewa nie chciała się wdawać w szczegóły. — Proszę — podała mu długopis — będziesz notował, kiedy ci powiem. — Obracała czaszkę w dłoniach, obserwując poszczególne kości. — Czoło pochylone, łuki nadbrwiowe mocno zaznaczone, oczodoły niskie i szerokie, o zaokrąglonych brzegach, wyraźne kości jarzmowe, zuchwa... potężna — wyliczała — niezły był z ciebie przystojniak.

Siwy cierpliwie patrzył na jej pracowite dłonie, ciekawy efektu tych drobiazgowych oględzin.

— Coś, Marcin, nie masz dziś humoru — odezwała się Ewa, przerywając obdukcję.

— Bywa — odparł wymijająco.

— No dobrze — czując opór, Ewa nie drążyła tematu. — Twoja kolej. *Glabella* — *opisthokranion* 188 mm.

— Że co? — zapytał Siwy, bo słowa Ewy zabrzmiały jak czarnoksiężskie zaklęcie.

— To punkty pomiarowe na czaszce — wyjaśniła mu. — Każdy ma swoją nazwę.

— Po łacinie? — przeraził się Siwy, czując że nie podoła wyzwaniu.

— I po grecku — uściśliła Ewa. — *Glabella* to najbardziej wysunięty do przodu punkt na kości czołowej, położony między łukami brwiowymi, o, tutaj — pokazała mu palcem niewielką wypukłość — a *opisthokranion* znajduje się po drugiej stronie czaszki, na kości potylicznej, w miejscu przeciwnym do punktu *glabella*. Odległość między nimi to tak zwana największa długość czaszki. Bywa ona inna u pań, a inna u panów,

pomijając pewną grupę szczególnie roślących kobiet i karłowatych mężczyzn, bo w ich wypadku pomiary są na tyle zbliżone, że na ich podstawie nie można określić płci. Ten tutaj do karłowatych raczej nie należał, widać to już po rozmiarach kości długich. Za chwilę będziemy mogli z 98-procentową pewnością powiedzieć, że był mężczyzną. Pisziesz dalej?

Siwy posłusznie chwycił za długopis.

— Postaram się oszczędzić ci języków starożytnych, a tam, gdzie to możliwe, co nieco wyjaśnić. Największa szerokość czaszki 154 mm, odległość boston — *bregma*, czyli największa wysokość czaszki 141 mm, *nasion* — *bregma* 110 mm, szerokość uszna 134 mm, szerokość asterionowa 122 mm, *bregma* — *lambda* 127 mm, szerokość otworu potylicznego 37 mm.

Mówiąc, wskazywała każdy z punktów, by Siwy nie czuł się jak na tureckim kazaniu. *Basion* leżał na przedniej krawędzi otworu potylicznego, *bregma* — na czubku głowy, w miejscu, gdzie stykały się szwy wieńcowy i strzałkowy. *Nasion* znajdował się nieco poniżej *glabelli*, na szwie nosowo-czołowym. Dwa punkty noszące nazwę *asterionów*, wyznaczające tak zwaną szerokość asterionowa, umiejscowione były z tyłu czaszki na styku kości skroniowych z ciemieniową i potyliczną. *Lambda*, którą dotąd Siwy kojarzył wyłącznie z matematycznymi, a może fizycznymi wzorami — nigdy nie był dobry w żadnej z tych dziedzin — okazała się punktem na łączeniu szwu strzałkowego z węglowym z tyłu głowy. Wszystkie te zależności były szalenie skomplikowane.

— Centurion, kalafonia, fenomen, fantasmagoria — powiedział Siwy, gdy Ewa przerwała wykład. — Ile jest tych punktów?

— Tylko dwadzieścia dziewięć.

— Tylko! — mruknął Siwy do siebie — Też coś!

Zapisywał skrupulatnie magiczne nazwy, co jakiś czas patrząc na kobietę z niedowierzaniem. Nie był pewien, czy nie bierze przypadkiem udziału w zakazanym obrzędzie. Byłoby zapewne inaczej, gdybyśmy wszyscy, bez względu na specjalizację, mieli na studiach obowiązkowe zajęcia z antropologii, pomyślał. Ewa tymczasem dobrnęła do końca

pomiarów i zachwycona spoglądała na kartkę pokrytą hieroglifami Siwego.

– Facet – powiedziała radośnie – ponad wszelką wątpliwość.

– Myślałem, że to wynikało już z lektury dziennika – wtrącił się Siwy, nie widząc specjalnych powodów do euforii. – To nie jest szkielet Ottona?

– Jest, jest – potwierdziła Ewa – ale lubię, gdy kości mówią same za siebie.

– Same za siebie, powiadasz – zamyślił się Marcin. – Czy znasz także zakłęcie, na podstawie którego mogłabyś określić, ile miał lat? – Siwy nieco się ożywił, zapominając o tym, co go dręczyło.

– Mogę spróbować go użyć – Ewa nie zdążyła jeszcze odłożyć czaszki na miejsce, więc spojrzała teraz na uzębienie.

– Ma wszystkie zęby trzonowe – zauważyła. – Niektóre w nie najlepszym stanie. Gdybyśmy mogli zrobić szlif zęba na szlifierce, taki przekrój poprzeczny, określilibyśmy jego wiek z dokładnością nawet do dwóch lat. Nie mamy szlifierki, więc ta metoda odpada. Zęby są trochę starte i na ich podstawie nie będę mogła nic powiedzieć. Popatrzmy zatem na szwy czaszki. – Pokazała Siwemu miejsca zrostów poszczególnych kości.

– Z wiekiem te szwy są coraz słabiej widoczne – tłumaczyła – ponieważ masa kostna przyrastająca od wewnątrz całkowicie je wypełnia. Nazywamy to zjawisko obliteracją szwów czaszkowych. Żeby poznać wiek osobnika, trzeba przeanalizować wszystkie odcinki szwów i obliczyć średni stopień obliteracji. Patrząc na naszego pana, mogę zaryzykować twierdzenie, że nie miał więcej niż czterdzieści lat, ale nie traktowałabym tego jako pewnik.

– I tak jestem pod wrażeniem. – Siwy patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. – Dlaczego zmarł w tak młodym wieku?

– Nie słyszałeś? Ktoś mu chyba pomógł. Dziwnym trafem miał przetrącony kark.

Robert poczekał, aż koledzy oddalą się na bezpieczną odległość i dopiero wtedy zbliżył się do Doroty, która wkładała do torby przybory rysunkowe. Stał nad nią i patrząc na jej smagłą pochyloną szyję, szukał w głowie początku rozmowy.

— Czego chcesz? — spytała nieprzyjaźnie, nie podnosząc głowy.

— Właściwie niczego. — Robert naprawdę nie wiedział, jak jej to powiedzieć. — Idziemy? — zapytał, gdy się wyprostowała i chciała przerzucić torbę przez ramię. — Daj mi to — powiedział.

— Nie — przytuliła torbę do siebie obronnym gestem. — Dam sobie radę.

— Jak chcesz. — W milczeniu minęli kościół i zeszli na drogę prowadzącą do wsi. Robert wciąż nie mógł zebrać się na odwagę. — Słuchaj — zaczął — przepraszam cię. — Kiedy już powiedział to słowo, dalszy ciąg wydał mu się znacznie łatwiejszy. Dorota popatrzyła na niego z politowaniem, które zniósł ze stoickim spokojem, i uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

— Trudne słowo — powiedziała z ironią. — Więc jednak dotarło do ciebie, że coś jest nie w porządku. A już straciłam nadzieję.

— Przepraszam — powtórzył Robert — nadużyłem twojego zaufania. — Przypomniał sobie jeden z pierwszych wieczorów po przyjeździe, który spędzili razem. Spacer, wspólne piwo, zbyt dużo słów, zbyt dużo gestów, które mogły znaczyć bardzo wiele, a nie oznaczały nic. — To się już nie powtórzy.

— O, zapewne — powiedziała Dorota, cedząc sylaby przez zęby. — Teraz masz zupełnie inne zainteresowania. Mogłeś od razu powiedzieć, że wolisz starsze. — Gdyby istniały aparaty wykazujące poziom zjadliwości, uznał Robert, w tym wypadku ich skala pomiarowa byłaby dalece niewystarczająca.

— Przecież cię przeprosiłem — powiedział bezradnie. — To tylko jeden wieczór, Dorota, poczekaj — zawołał, bo dziewczyna przyspieszyła nagle, zostawiając go z tyłu. Pomyślał, że znowu użył niewłaściwych słów.

— Oczywiście — usłyszał jeszcze jej słowa, zanim bardziej się oddaliła. — Pozwól, że będę cię odtąd omijać szerokim łukiem. Jesteś kompletnie toksyczny.

Ewa i Siwy obejrzeni jeszcze jeden szkielec, którego wymiary mogły z równym powodzeniem uchodzić zarówno za męskie, jak i kobiece. Po oględzinach czaszki Ewa miała jeszcze więcej wątpliwości. Marcin przestał uczestniczyć w jej badaniach i pograżył się w niewesołych rozmyślaniach. Nerwowo gryził przy tym koniec długopisu, który Ewa w końcu mu odebrała.

— Co się dzieje? — zapytała, a on tylko machnął ręką zniecierpliwiony, jakby nie było o czym mówić.

— Ech, kobiety, doktor Ewo — wyznał filozoficznie i natychmiast zrobił jedną ze swoich słynnych min, odbierając słowom jakiegokolwiek znaczenie.

— Co z nimi? — Ewa okazała umiarkowane zainteresowanie, żeby go nie wystraszyć.

— Nie najlepiej — przyznał. — Nic nie widzą. Rozglądają się za pieprzonymi, przepraszam, donżuanami, a sensownych facetów nie dostrzegają. A potem mają pretensje do całego świata.

Bardzo trafna uwaga, przyznała w duchu Ewa, która знаła przynajmniej kilkadziesiąt wypadków potwierdzających jego słowa, nie licząc własnych.

— I? — zachęciła go do dalszych wynurzeń. W odpowiedzi wzruszył ramionami. Był rozgoryczony. W jasnych oczach zapalały się i gasły złe ogniki.

— Cierpliwości, Marcin — pocieszyła go Ewa. — Kropla draży skałę.

— Ja nie mam tyle czasu — wybuchnął.

— Aaaa — zdumiała się Ewa — gdzieś ci się spieszy? Bierzesz udział w jakimś sprincie czy jak? — Uśmiechnął się półgębkiem i potrząsnął grzywą jasnych włosów. — Przyjaźń, mój drogi, to bardzo solidna podstawa bardziej namiętnych uczuć — dodała, mając na myśli to, co kiedyś łączyło ją z Piotrem. Nie był to najlepszy prognostyk, ale tego

Marcin już nie musiał wiedzieć. Patrzył na nią teraz z większym optymizmem.

— Więcej wiary w siebie — zakończyła swój wywód. Jej myśli w tym momencie zaprzętnęło zupełnie coś innego. — Co się stało z tą kupką niczego, którą wyciągnęliśmy z grobu Ottona?

— Agata oczyściła ją z ziemi i umyła to, co się dało umyć. Pewnie wszystko gdzieś leży i schnie — uspokoił ją Siwy.

— Jak mogłam o tym zapomnieć — zerwała się Ewa. Przyszło jej do głowy, że to przez Roberta nie zdążyła przyjrzeć się zabytkom stanowiącym wyposażenie grobu, ale nie było to uczciwe z jej strony. Przypomniała sobie jego poranny wyrzut i musiała przyznać mu rację. Do niczego jej nie namawiał. Sama zdecydowała o tym, że chce mu towarzyszyć. W tej chwili nie wiedziała już, czy chodziło jej o niego, czy tylko o dziennik. Zwiększyć dystans, pomyślała po raz kolejny tego dnia, myszkując między szkieletami w poszukiwaniu tego, co kiedyś musiało być skórzaną torbą. Zwiększyć dystans, nieodwołalnie i od zaraz.

Wracając do szkoły noga za nogą, Robert miał dość czasu, by przemyśleć to i owo i dojść do wniosku, że w samej rzeczy nie jest to jego najlepszy dzień. Był niewyspany, rozbity i, co tu dużo mówić, niezrozumiany, a jakby i tego było mało, uzależniony od zielonookiej, rudej, starszej od siebie kobiety, która niespecjalnie dbała o jego względy. Porażka na całej linii, uznał, wspomniawszy wszystkie przykre słowa, które dzisiaj usłyszał. Zamyślony nie zauważył rozpędzonego zielonego volkswagena kombi, który mijając go na zakręcie, niemal zmiotł go z drogi. Miał niemieckie numery rejestracyjne.

— Drań — powiedział do siebie, przytrzymując się pobliskiego ogrodzenia. Zdążył zauważyć, że kierowca, trudno powiedzieć, czy kobieta czy mężczyzna, miał jasne włosy sięgające ramion. Samochód szybko zniknął z pola widzenia i Robert znowu pograżył się w rozważaniach.

Wchodząc przez szkolną furtkę, zobaczył, jak obiekt jego westchnień beztrudno gawędzi z Agatą. Na schodku między nimi leżały bure, na pierwszy rzut oka trudne do zidentyfikowania strzępy, a obok na

kopercie Ewa układała przedmioty, których Robert dotąd nie widział. Przysiadł się do nich, starając się nie widzieć niechętnego spojrzenia, którym obie go obdarzyły.

— Czy to jest to, co myślę? — spytał, żeby powiedzieć cokolwiek i zaznaczyć swoją obecność.

— To zależy, co myślisz — powiedziała Agata, bo Ewa nie zamierzała się odzywać. — Torba Ottona, poza tym kałamarz, pióro, mocno zniszczone z przerdzewiałą stalówką, zaśniedziały klucz, kawałki czegoś, co było prawdopodobnie bielizną osobistą, srebrna obrączka na łańcuszku, mały, powiedzmy damski rozmiar.

— Pokaż — poprosił i Agata podała mu drobiazg na wyciągniętej dłoni. Rzeczywiście obrączka była niewielka, gdy wsunął ją na serdeczny palec, zatrzymała się przy pierwszym stawie. — No tak — skomentował Robert, oddając ją Agacie. Popatrzył na milczącą Ewę z wyrzutem, ale nie doczekawszy się choćby jednego jej słowa, poszedł pod swój ulubiony kasztanowiec. Miał stąd doskonały widok na wejście do szkoły. Skoro Ewa nie chce z nim rozmawiać, będzie mógł przynajmniej obserwować, co robi.

Zacząła właśnie oględziny nowego szkieletu, kiedy przysiadł się do niej Piotr i nagle przedmiot rozmowy tych dwojga wydał się Robertowi niezwykle ciekawy. Niestety był poza jego zasięgiem, a on nie potrafił znaleźć pretekstu, by do nich podejść. Westchnął ciężko i na tyle głośno, że oboje popatrzyli w jego stronę.

Zaczynam być śmieszny, zganił się w duchu, z tym swoim zapatrzeniem, które wzięło się nie wiadomo skąd i przekonaniem, że należy mi się sto procent jej uwagi. Najpierw mnie do tego przyzwyczaiła, a teraz gra mi na nerwach. Nie ona pierwsza i nie ostatnia, podsumował swoje rozważania, ale nie była to prawda. Ewa miała w sobie to coś, co sprawiało, że mógłby przy niej zapomnieć o istnieniu wszystkich kobiet tego świata. Na dobrą sprawę już zapomniał w to słoneczne popołudnie, kiedy pokazywał jej klasztor, i później, gdy wspólnie pochylali się nad kościelną posadzką. Potem już nigdy nie udało mu się podejść tak blisko, ale zapach, który bił od niej pierwszego

dnia, wciąż go prześladował. Nie było łatwo mu się oprzeć. Może była to chemia, a może miłość. Robert wolał myśleć, że póki nie nazywa rzeczy po imieniu, jest bezpieczny, wszak to, co nienazwane, nie istnieje. To była wygodna teoria, jedna z tych, które zupełnie nie przystają do rzeczywistości.

Szarzało już, gdy Piotr zwrócił archeologom wolność i ogłosił koniec zajęć. Zaraz też wysypali się ze szkoły i małymi grupkami ruszyli do baru na wieczorne piwo, bez którego trudno byłoby uznać dzień za zakończony, a już na pewno nie za udany. Jako ostatni wyszedł ze szkoły Jacek. Rozejrzał się wokół. Sylwetki kolegów wtopiły się w gęstniejący mrok. Ich głosy cichły powoli, nie można już było rozróżnić słów. Wkrótce przypominały odległy szmer, który po chwili rozpląnął się w wieczornym powietrzu. Piotr siedział jeszcze nad jakimiś papierami, w jego pokoju świeciło się światło, poza nim jednak w budynku nie było nikogo.

Architekt zamyślił się nad czymś głęboko, dotknął dla pewności kieszeni na piersi i, nie spiesząc się, opuścił szkolne podwórko. Za ogrodzeniem skręcił w lewo i posuwając się zacienioną stroną drogi, przy której nie było żadnych domów, dotarł do ostatnich zabudowań. Za nimi zaczynały się pola, nad którymi unosiła się zapowiedź nocnego chłodu. Jacek przyjął ją jak pieszczotę, zapominając na chwilę, po co tu przyszedł.

Ostatnia doba nie była dla niego łatwa. Nie wiedział już, ile razy od wczoraj przeanalizował swoją rozmowę z tym wiejskim mądrałą, przekonanym, że ma go w garści. Jacek nie lubił, gdy ktokolwiek dyktował mu warunki. To była jego rola, którą opanował do perfekcji, i nie mógł się pogodzić z tym, że odebrał mu ją ten gówniarz szukający łatwego zarobku. Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście, powtarzał sobie bez przerwy, ale jak dotąd wyjścia nie znalazł. Jedyne, co mógł zrobić, to jeszcze raz spróbować się targować, bo nie miał wątpliwości, że będzie musiał zapłacić. A ta kanalia z pewnością przepije te pieniądze, bo nie będzie umiała zrobić z nich sensownego użytku.

Marek wyrósł przed nim niespodziewanie. Jak duch wyłonił się z ciemności, w której na mgnienie zajaśniały tylko jego włosy i białka oczu. Jacek zaklął i odruchowo zrobił krok do tyłu.

— Spokojnie. Jak widzę, cenimy sobie punktualność — zarechotał przybysz i poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

— Do rzeczy — rzucił Jacek przez zęby, bo przyszło mu do głowy, że za chwilę da w pysk temu zadowolonemu z siebie cwaniakowi, którego dotyk wywoływał w nim za każdym razem wstręt. Ponieważ nie dowierzał ograniczonym pokładom własnej cierpliwości, część oficjalną spotkania wołał mieć jak najszybciej za sobą.

— Najpierw kasa — usłyszał zwięzłą odpowiedź.

— Pokaż mi wykrywacz — odparł szybko, bo w ciemności nie dostrzegł, czy Marek ma ze sobą jakąś torbę — i dziennik — dodał, przypomniawszy sobie, że transakcja dotyczy także starego rękopisu. Wczoraj wieczorem przyszło mu do głowy, że może jednak spróbuje go sprzedać. Nie wiedział jeszcze, gdzie i komu, ale liczył na swoją pomysłowość i kontakty.

Marek podniósł do góry ciemny pokrowiec, który wisiał mu na ramieniu, a zza paska spodni wyjął zawiniątko, które zaraz schował z powrotem. Jacek wyciągnął z kieszeni koszuli plik banknotów i zaszeleścił nimi, trzymając je w palcach. Cofnął rękę, gdy chłopak chciał mu je odebrać.

— Proponuję ci sześćset — powiedział, obserwując jego reakcję. Młody, zaskoczony, zastygł w pół gestu.

— Umówiliśmy się... — zaczął.

— Nikt się z nikim nie umawiał, to była tylko twoja propozycja — przerwał mu architekt. — Przemyślałem twoją ofertę i mogę dać ci sześćset. Wybór należy do ciebie. To używany wykrywacz, nie jest tyle wart. Za te pieniądze mogę mieć nowy, jeśli trochę dołożę. Wybacz, stary — wpadł nagle w poufały ton i ściszył głos, mimo że w najbliższej okolicy poza nimi nie było żywej duszy — ale mnie też musi się to opłacać. — Nie wiesz, że blefuję, dodał w myślach, a wykrywacz jest mi potrzebny właśnie tu i teraz jak nigdy dotąd.

— Ale to nie w porządku. — Chłopak stracił nagle całą pewność siebie, zastanawiając się, czy nie zostanie z niechcianym sprzętem i nieprzydatnym starym tekstem na lodzie.

— Ty mi to mówisz? — Jacek odzyskał spokój, widząc, że zaczyna kontrolować bieg wydarzeń. Czekał teraz na ostatnie słowo tamtego. Szybka kalkulacja wypadła dla niego pomyślnie.

— Zgoda. — Marek energicznie kiwnął głową, a Jacek przygotowany na ostrzejszą walkę pożałował, że nie powiedział mniej. Odebrał wykrywacz i dziennik, szybko rozsunął pokrowiec, by sprawdzić, czy urządzenie nie jest uszkodzone, i nacisnął przycisk ON. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się w porządku. Uspokojony zasunął torbę, do której wsunął dziennik, i podał chłopakowi pieniądze. Nie żałował ich tak bardzo, wykrywacz kosztował go fortunę, a rękopis miał przecież nadzieję sprzedać.

— Miło się z tobą robi interesy — powiedział na odchodnym, doprawiając to zdanie szczyptą ironii tylko po to, by młody mógł się później zastanawiać, czy nie został wystrychnięty na dudka. Nie wiedział, że kiełkujące w głowie chłopaka podejrzenie będzie jeszcze powodem jego kłopotów.

Już ja się będę teraz pilnował, pomyślał jeszcze Jacek z satysfakcją, a klucz do szkoły będę nosił przy sobie, żeby ci nie przyszło do głowy, że tę zabawę można powtórzyć. Mimo wszystko wyszedł z tej potyczki zwycięsko. Jedyne, co musiał jeszcze zrobić, to wejść do szkoły na palcach, tak by nikt nie nakrył go z wykrywaczem w dłoniach.

Zaskakujące, że każde piwo ma inny smak, myślał Siwy, siedząc pod parasolem i delektując się smakiem złotego napoju. Zasadniczo nie miał na myśli gatunku, raczej porę dnia, która w magiczny sposób odnajdywała drogę do kufła, by później przeniknąć do jego ciała razem z płynem. Siwy doszedł do wniosku, że każde piwo ma swój nastrój, który udziela się pijącemu. Ponieważ idea piwa obdarzonego osobowością bardzo przypadła mu do gustu, postanowił rozwinąć ją dla własnych celów, a być może i z myślą o potomnych. Godzina 16.30, rozmarzył się, pierwsze piwo po

ośmiu godzinach pracy w kurzu i morderczym słońcu, w cudownie oszronionej butelce miało niepowtarzalny, orzeźwiający smak. Dzięki niemu temperatura ciała spadała o kilka stopni nawet przy czterdziestu stopniowym upale. Umysł budził się z odrętwienia, myśl nabierała rozpędu, a dzień jakby zaczynał się na nowo. Siwy mlasnął językiem i przymknął z lubością oczy. Godzina 17, piwo numer dwa wypite po obiedzie, regulujące przemianę materii i zamieniające organizm w maszynę, której jedynym słusznym celem jest trawienie. Moment, w którym człowiek upodabnia się do węża boa, rozważał Siwy, wyciągając przed siebie swe nadmiernie długie nogi, staje się niezdolny do jakiegokolwiek innego wysiłku, może wówczas leżeć bez ruchu, czekając na zakończenie procesu przetwarzania kalorii na energię. Krótka drzemka jest jak najbardziej wskazana. Godzina 21, niewykłuczone, że już po pracy, czas na trójczkę. Wypita w szkole usypia ze skutkiem natychmiastowym. Delikwent nie zdąży nawet umyć zębów. Bliskość posłania działa w najwyższym stopniu demoralizująco. Jaki stąd wniosek? Pić w terenie. Ta sama trójczka wypita w barze stwarza szansę czwóreczce, a może i piąteczce. Pobudza do filozoficznych rozważań, jest arcyważna dla osób małomównych i dla... nerek nie tylko osób małomównych, ale wszystkich generalnie.

— Siwy? — Do stołu, przy którym siedział, podeszła Dorota i przyjrzała mu się zaniepokojona. Siwy nie bardzo wiedział, dlaczego dziewczyna kołysze się na boki, ale uznał, że ma w tym jakiś cel i postanowił nie pytać.

— Co mogę dla ciebie zrobić, moja mała dziewczynko? — zapytał, niezbyt wyraźnie artykułując głoski i wyciągnął obie ręce, jakby chciał zatrzymać kołyszącą się Dorotę. Od ruchu wahadłowego robiło mu się słabo.

Wszyscy znali ten poziom upojenia Siwego jako fazę „szrzszczy”. Po niej był jeszcze etap „zaburzony, ale stabilny”, kiedy Siwy dawał się prowadzić, oraz etap „niestabilny”, kiedy Siwego należało porzucić w miejscu zdarzenia lub przetransportować o własnych siłach do szkoły. Trzeba przyznać, że te dwa etapy zdarzały się Siwemu bardzo rzadko.

Zwykle starał się kontrolować i nie wychodził poza fazę miękkiego belkotu.

— Siwy — powtórzyła Dorota — ty już dzisiaj nie pij. Był ciężki dzień, upał, konia by zważyło z nóg. Zaszkodzi ci i podpadniesz Piotrowi. I nie jedz już tych słonych orzeszków — dodała, zabierając ze stołu opróżnioną do połowy puszkę.

— A dlaczego? — z pijackim uporem Siwy dopominał się odpowiedzi, przytrzymując jej rękę na stole.

— Wątroba, bracie — Dorota próbowała oswobodzić dłoń z jego uścisku — tłuszcz i alkohol ją zabijają.

— Moja dziewczynko, Dorotko — zamruczał Siwy pieszczotliwie, lecz tak niewyraźnie, że Dorota musiała się domyślić, co właściwie powiedział — ty bądź człowiek, ja tu rozprawę naukową piszę w głowie, to i muszę pić. — Dorota widząc, że nic nie wskóra, usiadła po drugiej stronie stołu, zostawiając Siwemu na czas nieokreślony swoją prawą dłoń pod opieką, licząc na to, że wkrótce ją uwolni. Jakoś nie mogła chłopaka zostawić samego w tym stanie. Ślepy by zauważył, że daleki jest od swojej najlepszej formy psychicznej.

— O czym ta rozprawa? — zagadnęła.

— O czym... — zastanowił się Siwy na chwilę, zamykając oczy. Raziło go światło żarówki palącej się nad drzwiami baru. Unosiły się wokół niej chmury owadów. — O wpływie pory dnia na smak piwa, a także pośrednio na nastrój pijącego — powiedział.

Dorota mimo wszystko musiała przyznać, że brzmi to sensownie. Może nie jest taki pijany, na jakiego wygląda, pomyślała, może dam radę zaprowadzić go do szkoły i położyć spać.

— Marcin — zwróciła się do niego — jesteś stabilny?

— Taaak — odpowiedział niepewnie i spróbował wstać od stołu.

— A poszedłbyś spać?

— A poszłabyś ze mną? — odpowiedział Siwy pytaniem na pytanie, przytrzymując się jedną ręką stołu, a drugą Doroty i z trudem

odzyskując równowagę. Patrzył na stojącą przed nim dziewczynę i mrugał szybko jasnymi, dobrymi oczami.

— Nie, kiedy jesteś w takim stanie — uśmiechnęła się Dorota.

— A w innym?

— A bywasz w innym?

— Ostatnio nie — przyznał Siwy z rozbijającą szczerością i uśmiechnął się szeroko. — W każdym razie nie o tej porze. Ale daj mi szansę.

— Chodź. Odprowadzę cię do szkoły.

Ruszył za nią posłusznie, wciąż czepiając się jej dłoni i potykając bez przerwy na nierównościach gruntu. Kiedy wyszli na drogę, złapał w końcu równowagę i zaczął lepiej panować nad swoimi krokami. Ale dłoni Doroty nie puścił, a ona nie chciała się z nim siłować.

— Naprawdę jesteś aż tak pijany czy udajesz? — zapytała go rzeczowo, gdy oddalili się od baru na sporą odległość, a chód Marcina stał się bardziej pewny i sprężysty.

— Aż tak nie — odparł zupełnie wyraźnie i westchnął — przy tobie trzeźwieję. Ale trochę mi szumi w głowie, więc pozwól, że się ciebie przytrzymam.

Jasne, pomyślała Dorota, proszę bardzo. Widać martwię się bez potrzeby, a moja rola powinna się ograniczać do roli podpórki pod bluszcz. Słusznie.

— Może ja cię zostawię i sam trafisz, co? — odezwała się do niego zła, że dała się wciągnąć w jakąś dziwną grę.

— Nie — ścisnął jej dłoń mocniej — jak odejdziesz, wpadnę do rowu, zasną i zamarznę.

— Oczywiście — przytaknęła — a potem rozszarpią cię dzikie zwierzęta. Co za brednie. Nie potrzebujesz przecież niańki.

— Nianki nie — zgodził się Marcin, znowu balansując ciałem, by utrzymać pion. Dorota podtrzymała go w samą porę. — Nie nianki — podkreślił — ale kobiety.

— Ach, tak?

— Ścisłej mówiąc — dokończył myśl Siwy — potrzebuję ciebie.

— A do czego ja ci jestem potrzebna, Siwy, zwłaszcza w tym stanie? — zapytała ironicznie Dorota. — Powiedz mi w trzech żołnierskich słowach.

— W tym stanie jesteś mi niezbędna — wymamrotał Siwy, zadzierając głowę do góry i patrząc w niebo — bo nie mogę znaleźć Małego Wozu i na pewno sam nie trafię do łóżka.

— Jesteś bardzo praktycznym młodym człowiekiem, który postrzega świat w jakiś własny, nader pokrętny sposób. A poza tym?

— A poza tym jesteś mi potrzebna... no... normalnie... do życia, jak powietrze, woda i te wszystkie mikroelementy, które są sprzedawane w kapsułkach i trzeba je łykać w zimie, żeby nie mieć awitaminozy, i jeszcze jesteś mi potrzebna do bycia razem, i do zostania moją żoną, i matką moich dzieci, które, nawiasem mówiąc, będą bardzo ładne i na pewno do ciebie podobne. Będą piękne. I jesteś mi potrzebna natychmiast i nieodwołalnie do kochania, po prostu — przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza i dopiero wtedy dotarło do niego, że Dorota patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że w stanie wskazującym jesteś taki wygadany... — powiedziała cicho.

— Nie jestem aż tak pijany, by nie wiedzieć, co mówię. Na trzeźwo nie miałbym odwagi powiedzieć ci tego wszystkiego.

— Nie wiem, co odpowiedzieć.

— Nic nie mów — odparł. — Czas na odpowiedź nie jest limitowany. Po prostu odpowiedz mi, jak już będziesz wiedziała. I odprowadź mnie do łóżka, tak jak obiecałaś.

— Strasznie jesteś kapryśny.

— Tylko czasem.

Do szkoły doszli w milczeniu w miarę równym krokiem. Przy furtce Dorocie coś przyszło do głowy.

— Marcin — zapytała — powiedz mi, dlaczego zawsze nosisz za długie spodnie?

Uśmiechnął się w ciemnościach.

— Kompleks z dzieciństwa. Widzisz, mam starszego brata. — Faza „szrzszczy” minęła i Siwy mówił już teraz zupełnie swobodnie. — Równie wysokiego jak ja. Kiedy byliśmy chłopcami, dodzierałem po nim ciuchy, jak to zwykle bywa, a że rosłem zbyt szybko, jak na możliwości finansowe naszej mamy, często spodnie kończyły mi się nad kostkami. Teraz mam odchyl w drugą stronę.

— Rozumiem — powiedziała Dorota, żeby coś powiedzieć, bo historia Marcina wydała jej się absolutnie fantastyczna i równie abstrakcyjna. Wychowała się w zamożnej rodzinie i nigdy niczego jej nie brakowało. Nieoczekiwanie rozczulił ją obrazek przedstawiający chłopca o słomianych włosach, w za krótkich spodniach na szelkach. Skąd się wzięły szelki — tego Dorota już nie wiedziała. Może stąd, że chłopiec na pewno był bardzo szczupły i szelki pomagały mu opanować stale zjeżdżającą w dół część garderoby. — Spać — dodała, otwierając przed Marcinem drzwi i pomagając mu dotrzeć do jego legowiska — natychmiast i nieodwołalnie — użyła jego niedawnych słów i, żeby mu się lepiej spało, pogłaskała go po policzku.

Ta noc najwyraźniej sprzyjała porozumieniu i zażegnaniu konfliktów. Powietrze pachniało balsamicznie, cisza koła emocje, a piwo wypite w rozsądnej ilości rozwiązywało języki. Pośród przyjaznej atramentowej czerni nie było wyznań nie w porę ani słów, których można by się później wstydzić. Nie było też sprzeczek, o których chciałoby się zapomnieć, stając twarzą w twarz z kobietą wybraną spośród tylu innych. Nawet jeśli ona mogła się tego na razie tylko domyślać.

Mniej więcej tym tropem podążały myśli Roberta, gdy pogodzony z losem, czując łagodne działanie dwóch kufli piwa, poderwał się od stołu w ślad za Ewą, która ogłosiła zebranym, że idzie spać. Nie obdarzyła go w czasie tego wieczoru ani jednym spojrzeniem, nie odezwała się ani słowem. Teraz też po prostu wstała i machając pozostałym na pożegnanie, poszła w ciemność, a on podążył kilka kroków za nią, mając nadzieję, że tym razem go nie przegoni. Na tych kilka minut stał się jej

cieniem wsłuchanym w lekkie kroki, które pasowały do panującej we wsi ciszy, wpatrzonym w jej jasną koszulę zawiązaną w tali. To ona wyznaczała kierunek marszu. Była dla Roberta lądem, ku któremu mógł zmierzać z nadzieją na życzliwe przyjęcie.

Byli w połowie drogi do szkoły, gdy dobiegły go jej słowa:

— Długo zamierzasz tak za mną iść? — odwróciła się i poczekała, aż się z nią zrówna. Upragniony ląd nieoczekiwanie znalazł się tuż na wyciągnięcie ręki, ale Robert nie odważył się wykonać żadnego gestu. Powoli, ramię przy ramieniu, poszli dalej, znowu w ciszy, bo trudno im było znaleźć właściwe słowa.

— Przepraszam cię — odezwał się w końcu Robert, bo uznał, że to będzie najwłaściwszy początek rozmowy. Zresztą po południu nabrał wprawdy w zwracaniu się w ten sposób do kobiet, choć o tym Ewa nie musiała już wiedzieć. — Przepraszam cię za tę dzisiejszą idiotyczną rozmowę.

— Szsz... — Ewa położyła palec na ustach. — To ja zaczęłam — przypomniała mu — i ja przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Chyba chciałam cię ukarać za nie twoje winy.

— W części były moje — przyznał Robert tak cicho, że Ewa musiała się domyślić, co powiedział. Nie wiem tylko, dlaczego zrobiły na tobie takie wrażenie, zapytał ją w myślach wpatrzony w delikatny profil i miękkie refleksy światła na pociemniałych od nocy włosach.

— To bez znaczenia — usłyszał i zamilkł posłusznie, chociaż miał ochotę zadać jej to i jeszcze kilka innych pytań. Odetchnął głęboko. Lipcowe powietrze pachniało ziemią, a z ogródków unosił się aromat mieczyków i róż.

— To dziwne — odezwała się Ewa szeptem, by nie spłoszyć wszechobecnej ciszy — spędzamy ze sobą tyle czasu, a właściwie nic o tobie nie wiem. Poza tym, że kończysz studia, masz ojca dyplomatę i cieszysz się złą sławą, jeśli chodzi o kobiety.

— Całkiem niezły skrócony życiorys — burknął Robert z dezaprobatą, bo ubodło go to podsumowanie. — Myślałem, że tę ostatnią kwestię już sobie wyjaśniliśmy. Co właściwie chciałybyś wiedzieć?

— Ty mi powiedz. — Na ustach Ewy pojawił się cień uśmiechu. — Chcę usłyszeć twoją wersję.

Robert zapatrzył się w ciemność pod stopami. O czym tu opowiadać, zastanowił się. Własne życie wydało mu się nagle niezbyt zajmujące i bardzo poukładane.

— Jestem jedynakiem — zaczął niechętnie, nieprzyzwyczajony do zwierzeń i zadowolony, że otaczający ich mrok wchłania słowa, jakby nigdy nie zostały wypowiedziane. — Dzieciństwo spędziłem w kilku krajach. Ojciec dyplomata zapewnił mi kilkanaście przeprowadzek i pozbawił przyjaciół. Zawsze towarzyszyła mi świadomość, że za rok czy dwa będziemy mieszkać zupełnie gdzie indziej, dlatego nie potrafiłem nawiązać naprawdę bliskich kontaktów z kolegami. Chodziłem do szkoły na Węgrzech, w dawnej Jugosławii i w Niemczech. Okresowo także w Polsce, czasem ojciec wyjeżdżał na placówkę sam, a my z mamą zostawaliśmy w Warszawie. Ciągłe były jakieś służbowe mieszkania, ściany, w których nigdy nie czułem się u siebie, rzeczy, których nie mogłem gromadzić, bo przy następnej przeprowadzce trzeba by było je wyrzucić. Mama zносиła to lepiej niż ja. Dla niej dom był tam, gdzie był ojciec. Jej było najtrudniej, gdy zostawaliśmy w kraju sami. Zazdrościłem kolegom, którzy przez całe życie mieli ten sam adres i mieszkali w tym samym pokoju, nawet jeśli musieli go dzielić z młodszym czy starszym rodzeństwem. Tak to wyglądało. Oczywiście ja uczyłem się języków obcych, zwiedzałem świat, poznawałem inne kultury i ludzi. Tyle tylko, że zawsze kończyło się to tak samo, wyjeżdżałem i zostawiałem to wszystko za sobą. Nawet gdy wracałem do Polski, nigdy nie trafiałem do tej samej szkoły. Kolejne mieszkanie służbowe zawsze było w innej dzielnicy niż poprzednie.

— Nie było ci łatwo — stwierdziła Ewa, gdy na chwilę przestał mówić.

— Najgorsza była podstawówka, wtedy najczęściej się przeprowadzaliśmy. Do szkoły średniej chodziłem w Berlinie i tam zdawałem maturę. Zanim ją skończyłem, mój ojciec przeszedł na emeryturę i wrócił do Polski, a ja zostałem w Niemczech sam. Byłem wówczas

bardzo cenionym facetem w klasie, bo jako jedyny dysponowałem wolną chatą bez ograniczeń.

— Rodzice mieli do ciebie dużo zaufania.

— To prawda — przytaknął. — Zresztą słusznie. W porównaniu z kolegami byłem dość rozsądny i odpowiedzialny. Chciałem zdać maturę i dostać się w Polsce na studia. Rodzice właśnie kupili mieszkanie, myślałem, że wreszcie będziemy mieć coś swojego. Nie bawiły mnie imprezy, dragi, pijatyki, a dziewczyny tylko czasem — uśmiechnął się. Ewa spojrzała na niego zaintrygowana.

— I tu dochodzimy do twojej złej sławy — odpowiedziała mu, chcąc skłonić do dalszych zwierzeń.

— To wymysł Piotra — odparł. — Po prostu... no wiesz...

— Masz warunki? — przyszła mu z pomocą Ewa.

— Właśnie — przyznał skromnie i uśmiechnął się jak ostatni drań. — Kobiety czasem dają mi to odczuć.

— Liczba związków? — spytała Ewa rzeczowo.

— Trzy — wyznał po namyśle.

— Hm — nie za wiele, przyznała w duchu. — W tym udanych?

— Zero, niestety.

— Powód?

— W kolejności chronologicznej: przeprowadzka, niezgodność charakterów, zdrada.

— Ooo — powiedziała Ewa zaskoczona. — Twoja czy jej?

— Właściwie to... jej.

— Nie do wiary.

— Ale to ja ją zaniedbałem i wyjechałem na pół roku do Stanów.

— Nie chciała czekać?

— Nie chciała — przyznał Robert ze znużeniem. — Masz jeszcze jakieś pytania czy możemy zakończyć ten temat?

— A teraz?

— Co teraz? Teraz mam dwadzieścia sześć lat i jestem sam.

— Kuszące — roześmiała się Ewa, widząc jego nachmurzoną twarz. — A dlaczego postanowiłeś zostać archeologiem?

— Trudno powiedzieć. Kiedy miałem może z dziesięć lat, ojciec opowiedział mi o tym, jak Schliemann odkrywał Troję. Chciałem być wówczas kimś takim jak on. A później moim bohaterem został Indiana Jones. Choć, trzeba przyznać, z prawdziwą archeologią miał on raczej niewiele wspólnego.

— Mnie zaraził Pan Samochodzik — uśmiechnęła się Ewa. — Odtwarzanie rysów twarzy na podstawie czaszek, myślałam po przeczytaniu Wyspy Złoczyńców, to byłoby coś. Kiedyś modelowano głowy i twarze z gliny, z tworzyw, teraz robią to programy komputerowe. Był taki czas, że po skończeniu studiów chciałam pracować w policji. Tam mogłabym się przydać.

— I co?

— Nie przesłam rekrutacji. Przyjęli mojego kolegę ze studiów doktoranckich. Coś za coś — westchnęła. — Ja zrobiłam doktorat, on nie.

— Trochę jesteście do siebie podobni — stwierdził Robert cicho. — Gonimy swoje marzenia od dzieciństwa. Nie wiem, czy to najmądrzejsze.

— Za to bardzo romantyczne. Nie uważasz? — Ewa spojrzała na niego przelotnie, a on odwzajemnił spojrzenie, tracąc przy tym zupełnie poczucie czasu. Wydało mu się nagle, że tu, w dawnym Koltitz historia Ottona i Marii ma szansę wydarzyć się po raz drugi, a on i Ewa mogą odegrać w niej główne role. Miał ochotę ją pocałować i walczył z tą pokusą długą chwilę.

Ze stanu, w jaki oboje popadli, Ewa otrząsnęła się pierwsza. Założyła za ucho kosmyk włosów, który opadł jej na czoło, i ukryła dłonie w kieszeniach spodni, by Robert nie zorientował się, że drżą. To jej się prawie nigdy nie zdarzało. Nieposłuszny kosmyk wrócił, więc znowu próbowała sobie z nim poradzić, jednak tym razem mężczyzna był szybszy. Zatrzymał się nagle na środku drogi i dotknął jej dłoni. Oswobodzone pasmo włosów miękko ułożyło się na policzku.

— Skoro już mowa o romantyzmie — odezwał się niepewnie — może moglibyśmy rozważyć jego obecność w naszej wzajemnej relacji?

Ewie przypomniała się rozmowa, którą po przyjeździe odbyła z Piotrem. Mężczyźni zawsze chcieli od niej tego samego. Robert patrzył na nią wyczekująco, ale w jego spojrzeniu nie było prośby ani potulności, do których przywykła. Było za to przekonanie o własnej atrakcyjności oraz fascynacja, którą Ewa zobaczyła w jego oczach już pierwszego dnia pobytu, i czułość, której się zupełnie nie spodziewała. Bardzo pociągająca mieszanka, pomyślała. Bardziej niż bardzo. I co za przedziwnie sformułowane pytanie. Robert przestał się bawić jej palcami i trzymał teraz jej dłonie w swoich. Rude włosy Ewy powiewały na wietrze i łaskotały go w twarz. Zamknęła oczy, zrobiła krok do tyłu i... wymknęła mu się. Czar prysnął.

— Nie — powiedziała z wahaniem, za które w duchu skarciła sama siebie, bo odpowiedź wypadła blado i nieprzekonująco. — Nie moglibyśmy — powtórzyła pewniej. — Zdaje się, że jesteśmy tutaj w zupełnie innym celu. — Powoli odzyskiwała równowagę i znowu była gotowa kpić z chwilowego zauroczenia.

Robert szedł obok, przeklinając własną głupotę. W ogóle nie trzeba było się odzywać, doszedł do wniosku. Romantyzm ulotnił się, wydawać by się mogło, bezpowrotnie.

— Przepraszam cię. Dzisiaj, niestety, robię wszystko nie tak — powiedział nieco zbyt dziarsko i Ewa, słysząc ton jego głosu, pożałowała nagle, że odpowiedziała tak jednoznacznie. Właściwie co by się stało, puściła wodze fantazji, gdyby udzieliła odpowiedzi bardziej wymijającej? Czy zaraz potem zaczęliby się całować, tutaj, w samym środku wsi? Mało intymne miejsce, przyznała trzeźwo, ale w tej ciemności i tak nikt by ich nie zobaczył. Na chwilę straciła kontakt z rzeczywistością, rozkładając ten obrazek na części pierwsze, ale zaraz przywołała się do porządku i wizja namiętnych pocałunków rozwiła się, pozostawiając po sobie jedynie niesmak zmieszany z politowaniem.

— Robert — zwróciła się do niego dokładnie w tym samym momencie, w którym on zamierzał się odezwać. O, do diabła, zdziwiła

się niepomernie, bo sytuacja zaczęła jej przypominać tuzin scen literackich i ze dwa tuziny filmowych. Niedobrze, uznała, czekając, co on powie.

— Ewa, w co my gramy? Czego ty się boisz? — zapytał ją wprost, bo porażka sprzed kilku minut niespodziewanie podziałała na niego mobilizująco. Wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek, doszedł do wniosku, że to najlepszy moment, by to i owo wyjaśnić.

Nie odpowiedziała, więc Robert brnął dalej.

— Czy ty naprawdę nie czujesz...

— Czuję — przerwała mu nagle — że powinnam zachować ostrożność.

— Aleja nie chcę zachowywać ostrożności, ja chcę czegoś innego...

— To znaczy? — zapytała. — Marzy ci się gorący romans?

— Romans? — wybuchnął Robert. — Co to właściwie oznacza? Najpierw emocjonalną burzę, a później ogromne rozczarowanie. To można mieć na każdym kroku. Nie chciałaś nigdy czegoś więcej?

Spojrzała na niego zaintrygowana. Nieczęsto mężczyźni o takiej aparycji mieli podobne poglądy. Ten należał zapewne do jakiegoś wymierającego gatunku. Albo doskonale udawał. Tylko po co miałby to robić?

— Zawsze chciałam więcej — powiedziała w końcu po namyśle. — To oni na ogół nie chcieli.

Dzień szósty

Była druga, gdy skończyli pracę. W soboty zawsze pracowali krócej i mieli wolne popołudnia, które Piotr pozwalał im spędzać na błogim lenistwie. Zwykle czekali na nie już od poniedziałku, nie dlatego, że męczyły ich codzienne obowiązki, po prostu jak wszyscy ludzie lubili wiedzieć, kiedy będą mogli odpocząć, a sobota była przedsmakiem niedzieli, zapowiedzią dłuższego snu o poranku i niespiesznie wypitej kawy. Nic więc dziwnego, że tego dnia wykop szybko opustoszał, bo archeologom szkoda było każdej minuty. Tylko Jacek ociągał się z odejściem i w końcu został pod klasztorem zupełnie sam.

Samotność była mu na rękę, chciał spokojnie przejść się wzdłuż murów i przemyśleć kolejne posunięcia. Wykrywacz zostawił w szkole, miał więc wolne ręce i o nic nie musiał się martwić. Szkołę od kilku dni zamykali, a klucz zawsze ktoś miał ze sobą. Powtórna kradzież czegokolwiek była więc mocno wątpliwa. Spokojem napelniała go także świadomość, że miejscowy archeolog amator zjawił się dziś pod kościołem po raz ostatni i oficjalnie się ze wszystkimi pożegnał. Jacek nie podał mu ręki, co wywołało pewne zdziwienie pozostałych i sprawiło, że w oczach tamtego znowu pojawiły się niedobre błyski. Jeśli zamierzał go przestraszyć, to mu się nie udało, Jacek do bojaźliwych nie należał. Chłopak, owszem, zaskoczył go inteligencją, ale nie był niebezpieczny. Tak się przynajmniej Jackowi wydawało, gdy idąc na wschód, minął skrzydło transeptu, obszedł prezbiterium i z ulgą zanurzył się w cień, który rzucała północna ściana nawy.

Na jego widok oderwały się od niej trzy męskie sylwetki i zanim się zorientował, znalazł się między nimi. Młodzi mężczyźni patrzyli na niego z minami niewróżącymi nic dobrego. Nie znał ich, ale nie miał złudzeń, że wyjdzie z tego spotkania obronną ręką. Nic tego nie

zapowiadało. Byli rośli i dobrze zbudowani, a on był sam i bez okularów niewiele widział. Rozejrzał się na boki i spojrzął do tyłu, ale miejsce było dobrze wybrane, ustronne, zacienione, wokół Jacek widział tylko pola.

Powiódł wzrokiem po twarzach napastników, jakby chciał im się lepiej przyjrzeć, choć w rzeczywistości był to jedynie sposób na to, by czymś zająć myśli. Mogli mieć po dwadzieścia lat, zupełnie jak ich kumpel Marek, oświeciło go nagle. Może to on postanowił wyrównać rachunki, zachowując czyste konto. Żaden z jego znajomych nie wyglądał na bandziora.

— O co chodzi? — spytał, kierując pytanie do najwyższego z nich, który stał dokładnie naprzeciw niego. Nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego wyglądał mu na szefa tej szajki.

— Masz fajkę? — odezwał się zapytany i Jackowi cała ta sytuacja wydała się nagle śmieszna. Nie zamierzali go chyba bić tylko dlatego, że nie palił.

— Nie mam — odparł zgodnie z prawdą, zdejmując powoli okulary i odkładając je na ziemię, przy samym murze kościoła, bo spodziewał się, że tam będą najbezpieczniejsze. Kiedy się wyprostował, twarze trzech osiłków przypominały zamazane plamy.

— Nie bądź sknera — poradził ten, którego uznał za herszta, i zrobił krok w jego stronę. Dzielilo ich teraz zaledwie kilka centymetrów. Jacek, który zwykle stronił od tłumu i lubił czuć wokół siebie przestrzeń, bo dawała mu poczucie bezpieczeństwa, cofnął się odruchowo, ale natychmiast poczuł, że ma za sobą drugiego z napastników. Jednocześnie ten pierwszy przytrzymał go za koszulkę na piersiach.

— Dokąd to? — zakpił. — Powoli. Podziel się z kolegami. Nie daj się długo prosić. Zapalimy i pójdziemy sobie.

— Mówiłem wam, że nie mam. Nie palę.

— Uparty z ciebie gnojek. Nasz znajomy wspominał, że lubisz patrzeć na innych z góry. Coś taki dumny? Może czas nauczyć się szacunku dla innych. Jak sądzisz, co? — Słowo „szacunek” zabrzmiało w ustach najwyższego absurdalnie. Chłopak pchnął ofiarę i poczekał, aż jego kolega złapie ją i odepchnie w jego stronę. Jacek próbował się

zamachnąć, ale szybko został unieruchomiony przez dwóch napastników, którzy trzymali go za ręce, podczas gdy trzeci metodycznie wykonywał wyrok. Jego pięści łądowały na twarzy architekta, który poczuł, że puchnie mu warga i przestaje widzieć na prawe oko. Zamknął je więc albo tylko mu się wydawało, że zamknął, bo lewe wciąż miał otwarte i mógł rejestrować szybkie i wprawne ruchy tamtego, jakby nie był celem napaści, a jedynie widzem jakiegoś wyjątkowo brutalnego filmu.

Pierwsze uderzenie w żołądek pozbawiło go tchu i sprawiło, że zgiął się wpół jak scyzoryk. Miał ochotę zostać w tej pozycji, ale trzymający go obwiesie wyprostowali go siłą. Po drugim uderzeniu zrobiło mu się niedobrze, więc klęknął i poczuł na czole miękkiego dotyku krótko przyciętej trawy. Zostałby w tej pozycji, gdyby nie to, że bolały go wykręcone do tyłu ręce i był to ból nie do zniesienia. Poderwał się więc, próbując przyjąć pozycję pionową, ale wówczas trzeci cios sprawił, że upadł znowu i tak już został, bo oprawcy zdecydowali się go puścić i teraz przyglądali się z góry zwiniętemu ciału, jakby oceniali, czy dobrze wykonali powierzone im zadanie.

Ile czasu go bili? Pięć minut, kwadrans czy pół godziny?

— W przyszłości więcej pokory. Nie lubimy takich, co zadzierają nosa — powiedział jeden z nich. Jackowi było już wszystko jedno. Usłyszał szelest oddalających się kroków stłumionych przez zielony, jedwabisty dywan, na którym spoczywała jego głowa, i został sam.

Nie był pewien, jak długo leżał w cieniu nawy, z upływem czasu miłosiernie wydłużającego się i osłaniającego jego zbolące ciało swoim chłodem. Trawa była jak zimny kompres, więc przyłgął do niej rozbitym łukiem brwiowym, zobojętniały na ból i strach, który po odejściu napastników odczuwał jeszcze przez moment. Myśl rwała się, kiedy zapadał w półsen na kilka, może kilkanaście minut. Gdy był przytomny, próbował poskładać rozbity świat w sensowną całość, ale robił to na tyle nieporadnie, że obraz powstający w jego głowie wciąż bardziej przypominał kubistyczne wizje Picassa niż znaną mu rzeczywistość. Jak, u

licha, udało mu się wdepnąć w to szambo, zastanawiał się w chwilach największej jasności umysłu, ale nie potrafił udzielić żadnej rozsądnej odpowiedzi na to pytanie. Po jaką cholere wychodził z wykrywaczem w teren, trzeba było trzymać się od klasztoru z daleka i nie narażać miejscowym popaprańcom. Co jakiś czas opanowywał go lęk, że to, co się stało, może się powtórzyć, jeśli jego niedawny adwersarz ma zwyczaj długo chować urazę. Szlag by to trafił, pomyślał Jacek, gdy jego żołądek skurczył się boleśnie. Mimo to wydawał się większy niż kiedykolwiek, jakby spuchnięty. Architekt spróbował podeprzeć się na łokciu i unieść koszulkę, by obejrzeć obrażenia, ale tylko syknął i opadł z powrotem na trawę. Jeszcze chwilę poleżę, zdecydował, tak będzie lepiej.

Kiedy tak leżał, zaczepiony między snem i jawą, usłyszał narastający dźwięk kroków. Nie mógł dostrzec zbliżających się osób, zarówno z uwagi na pozycję, którą zajmował, jak i z powodu braku okularów wciąż leżących pod kościelnym murem, tam, gdzie je zostawił. Skurczył się tylko w sobie, jakby to mogło zagwarantować mu niewidzialność i uchronić przed powrotem tamtych trzech bandziorów, którzy na pierwszy rzut oka wyglądali zupełnie niegroźnie. Tak zastali go Ewa i Robert.

— Jacek, słyszysz mnie? — Ewa przypadła do niego przerażona widokiem zaschniętej krwi pokrywającej pół twarzy leżącego bez ruchu architekta. — Odezwij się albo otwórz oczy, jeśli rozumiesz, co mówię.

Jacek zdobył się na wysiłek i otworzył zdrowe oko. Rozpoznał Ewę po głosie, a kiedy na nią spojrział, zobaczył plamę rudych włosów, która utwierdziła go w przekonaniu, że jest w dobrych rękach.

— Możesz się podnieść? — pytał tymczasem Robert, próbując zorientować się, czy wszystkie kości Jacka są całe. — Co cię boli?

— Nie wiem — odparł pobity, nie mając pewności, czy to, co dobywa się z jego gardła, jest rzeczywiście jego głosem — chyba wszystko.

— Może powinniśmy wezwać pogotowie. I policję — Ewa popatrzyła na Roberta niepewnie. — Jak myślisz?

— Nie — zaprotestował Jacek, którego pomysł Ewy przypawił o kolejny paroksyzm strachu. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby jego

niefortunne hobby, przynoszące czasem niezły zysk, stało się powszechnie znane.

— Stary, kto cię tak urządził?

— Nikt. Sam jestem sobie winien — Jacek wytrzymał spojrzenie Roberta, a potem ze znużeniem zamknął oczy.

— Nie powiesz nam chyba, że się potknąłeś?

— Nie, nie powiem, ale reszta to moja sprawa. Dajcie spokój z pogotowiem. I z policją też.

— Dasz radę wstać?

Kiwnął głową bez przekonania, więc Ewa podłożyła mu ramię pod plecy, a z drugiej strony to samo zrobił Robert i wspólnymi siłami postawili Jacka na nogi. Zachwiał się i skrzywił z bólu, bo znowu dały o sobie znać stłuczone wnętrzności.

— Poczekajcie — powiedział z wysiłkiem, opanowując mdłości. — Moje okulary.

— Już mam — uspokoił go Robert, ostrożnie zakładając mu szkła, by nie urazić zmasakrowanego oka. — Nieźle się dorobiłeś. Pójdziemy na plebanię. To najbliżej. Tylko bez gadania — przywołał poszkodowanego do porządku, bo znowu próbował oponować. — Nie będę cię prowadził przez całą wieś w takim stanie. Ksiądz Andrzej się ucieszy, jak nas zobaczy.

Jacek zgodził się potulnie. Krok za krokiem, powoli zaczęli iść wzdłuż kościelnej nawy, a gdy wyłonili się z cienia i stanęli przed głównym wejściem, zobaczyli, jak drogą do klasztoru zbliża się obłok kurzu. Po chwili Robert rozpoznał w nim zielonego volkswagena.

Był to stary, co najmniej kilkunastoletni model, świetnie utrzymany, czego nie zdołała ukryć nawet gruba warstwa brudu pokrywająca blachę. Robert był jednak zdumiony, że jakikolwiek Niemiec chce jeździć czymś takim, zamiast postarać się o nowszy pojazd. Cóż, pomyślał, widać nie wszyscy są tak zamożni, jak można by przypuszczać. Ten przynajmniej nie musiał się zastanawiać, czy samochód poradzi sobie na gruntowej polnej drodze. Przemknął nią i zatrzymał się tuż obok archeologów, a towarzyszący mu pył spokojnie

opadał na ziemię, przyklejał się do ich twarzy i nieznośnie chrząścił w zębach.

Kierowca spojrział na nich przez boczną szybę, zatrzymał wzrok na Jacku i wyłączył silnik. Był przystojny i bardzo opalony. Półdługie jasne włosy i masywna sylwetka przywodziły na myśl Wikinga albo Skandynawa. Kiedy wysiadł, okazało się, że jest wysoki i barczysty. Musiał mieć przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

— Mówicie po niemiecku? — odezwał się i Robert przytaknął. — Co mu się stało? — zapytał Wiking, znowu nie mogąc oderwać wzroku od twarzy Jacka, który ledwie trzymał się na nogach.

— Drobne kłopoty — odpowiedział Robert, starając się tak dobierać słowa, by niczego nie wyjaśnić.

— Chyba potrzebuje pomocy? Podwieźć was gdzieś? — nieznajomy wydawał się być wcieleniem życzliwości i Robert, spojrzawszy na ślaniającego się architekta, uznał, że warto skorzystać z jego propozycji. Spacer w upale mógł tylko pogorszyć jego stan.

— Na plebanie, to trzysta metrów stąd — powiedział. — Będziemy wdzięczni, jak pan widzi, kolega ma problemy z koordynacją.

Ostrożnie posadził Jacka na tylnym siedzeniu i usiadł obok niego. Ewa zajęła miejsce obok kierowcy. Robert widział, że od czasu do czasu odwraca głowę i przygląda mu się z ukosa. Zupełnie jakby miała mu za złe, że się pojawił.

— Jesteście miejscowi? — zapytał znowu Wiking, napotyając w lusterku wstecznym spojrzenie Roberta.

— Nie, przyjechalśmy na kilka tygodni. Prowadzimy badania archeologiczne — przyznał niechętnie. — A pan turystycznie? — zrewanżował się pytaniem.

— Można to tak nazwać — odparł przybysz po chwili milczenia. Uśmiech we wstecznym lusterku był tylko odrobinę nieszczerzy i Robert nie był pewien, czy mu się nie przywidziało.

— Mój Boże, to znowu wy — powiedział z rezygnacją ksiądz Andrzej, kiedy w drzwiach wejściowych pojawiła się Ewa, a tuż za nią Robert, który prowadził jeszcze kogoś, kogo z powodu panującego w korytarzu

półmroku w pierwszej chwili nie rozpoznał. Na końcu orszaku postępował rosły mężczyzna, który najwyraźniej postanowił skorzystać z okazji i poznać miejscowego proboszcza. Robert, zajęty Jackiem, nie zdążył odwieść go od tego zamiaru i nieznajomy zwyczajnie wprosił się do środka...

— Mój Boże — powtórzył kapłan przerażony, gdy goście weszli dalej i ich twarze oświetliło przedwieczne słońce. — Co się stało?

— Nie wiemy. Nic nam nie chce powiedzieć. Może ksiądz coś z niego wyciągnie — powiedział z westchnieniem Robert, sadzając Jacka na fotelu i pozwalając, by głowa kolegi opadła na oparcie.

— Pogotowie? — spytał kapłan.

— Nie zgodził się. Wtedy, kiedy się jeszcze do nas odzywał, po tym jak go znaleźliśmy pod kościołem. Później zamilkł na amen — wyjaśniła Ewa. — Poza tym wysiłek go wyczerpał. Możemy u księdza doprowadzić go trochę do porządku?

— Proszę. Apteczka jest w łazience, w szafce nad umywalką. Ja zaraz mam nabożeństwo. Porozmawiamy, jak wrócę. Może on będzie już w lepszym stanie. A pan? — zwrócił się do wysokiego blondyna, którego twarz wydała mu się znajoma. — Czy myśmy się już nie spotkali? W czym mogę panu pomóc?

Obcy zaprzeczył gwałtownie, gdy Robert przetłumaczył mu słowa proboszcza.

— Od kilku dni krążę po okolicy, może ksiądz widział, jak przejeżdżałem. Dzisiaj podwoziłem tylko tych młodych ludzi. Proszę się mną nie kłopotać — zakończył i zaczął się wycofywać do drzwi.

— Odprowadzę go do furtki — zdecydowała Ewa i poszła za nim. Oboje zatrzymali się przy kołatce. Wszystko wskazywało na to, że niemiecki turysta potrafił rozpoznać zabytek nawet wtedy, gdy był on pozbawiony należytej oprawy. Chciał dotknąć zabytkowego przedmiotu, ale kobieta popatrzyła na niego ostrzegawczo, więc tylko się uśmiechnął i niezwykle zadowolony z siebie poszedł do samochodu.

Jacek nie stawiał oporu, kiedy ściągnęli z niego koszulkę i przez chwilę oniemiała patrzyli na czerwone obrzmiałe ślady uderzeń, które w

ciągu nadchodzących godzin miały zmienić kolor na fioletowy, zielony i żółty, niekoniecznie w tej właśnie kolejności. Ponieważ nie znaleźli lodu, Ewa zamoczyła ręcznik i włożyła go na kwadrans do zamrażalnika, łudząc się, że ten okład pomoże Jackowi zapomnieć o bólu i złagodzi opuchliznę. Później zajęła się jego twarzą, szukając pod krwawą skorupą dobrze znanych rysów. Tymczasem pobity siedział niemal zupełnie nieruchomo, z zamkniętymi oczami, poddając się jej zabiegom, które musiały być bolesne i nieprzyjemne. Prawe oko było podbite, a łuk brwiowy wyglądał tak, jakby wymagał interwencji chirurga, ale Ewa nie śmiała tego proponować. Rozcięta warga była mocno spuchnięta, ale powinna sama się zagoić. Natomiast wszystkie zęby ocalały, Jacek miał więc sporo szczęścia.

Wspólnie przeprowadzili go z fotela na kanapę, zmuszając, by się położył, i okrywając kocem, jakby otulali dziecko. Po cichu wycofali się na ganek, gdzie przysiedli na schodku, czekając na powrót proboszcza.

Pojawił się wkrótce, nieco zdyszany, bo spieszył się do nich, licząc się z tym, że mogą potrzebować jego pomocy albo rady.

— Jak poszkodowany? — zapytał, stając przed nimi i ocierając czoło ogromną chustką w kratę.

— Śpi. Gdyby to księdzu nie przeszkadzało, zostawilibyśmy go tu na noc. Tak chyba byłoby najlepiej.

— Oczywiście — zgodził się z nimi kapłan — będę mieć na niego oko. Mówiliście, że gdzie go zaleźliście?

— Pod kościołem — odparła Ewa.

— Żadnego miejsca nie uszanują... — mruknął proboszcz ze smutkiem.

— Ksiądz myśli, że to pobicie? — upewnił się Robert.

— A co innego?

— Powiedział, że sam jest sobie winien.

— Może i jest, ale co to za filozofia, która mówi, że trzeba dać się pobić byle chłystkowi w imię domniemanych win — zirytował się nagle gospodarz.

— Byle chłystek to by tu nie dał rady — sprostował Robert. — Gdyby ksiądz zobaczył ślady na jego rękach, to by ksiądz wiedział, że go trzymali, i to mocno.

— Porozmawiam z nim — obiecał kapłan — jeśli tylko nie będzie miał nic przeciwko temu.

— Obawiam się, że będzie — westchnęła Ewa. — Ale niech ksiądz spróbuje. Możemy mieć jeszcze do księdza pytanie?

— Proszę, kochani.

— Chodzi nam o jeden cytat z dziennika.

— Poza tym, że zachowujecie się jak miłosierni Samarytanie, wciąż tropicie tę samą zagadkę — uśmiechnął się proboszcz. — Czego właściwie szukacie? Może dziennik i te wszystkie wskazówki, które już odnaleźliście, prowadzą donikąd? Wejdzmy do środka — zaproponował. — Po tym wszystkim należy nam się przynajmniej herbata.

— *Soll der Schatten zehn Stufenfurdergehen oderzehn Stufen zuriickgeheni* — przeczytał Robert ze swojego notatnika przekład Ottona, starannie akcentując sylaby. — To znaczy: „Czy cień ma się posunąć o dziesięć stopni, czy też ma się cofnąć o dziesięć stopni?” — przełożył, posiłkując się swoimi notatkami. — Czy to się księdzu z czymś kojarzy? Otto dowiedział się, że to z Drugiej Księgi Królewskiej — popatrzył na kapłana bezradnie, licząc, że ten wypowie jakieś magiczne zaklęcie, po którym wszystko stanie się jasne. Najwyraźniej proboszcz znał stosowną formułę, bo jego twarz rozjaśnił uśmiech.

— To prawda — wyjaśnił — niestety nie pamiętam wersetu, ale zaraz zajrzemy do Biblii Tysiąclecia i znajdziemy. Może kontekst coś nam podpowie. To z historii uzdrowienia króla Ezechiasza. — Przeszedł do sypialni i wrócił z grubą książką w twardej bordowej oprawie. — Zobaczmy — otworzył ją w stosownym miejscu i zaczął szukać cytatu. — Rozdział 20, werset 9. Cofający się cień był znakiem, jaki dał Ezechiaszowi Jahwe. Ponieważ w ciągu dnia cień rzucały przez przedmioty staje się coraz dłuższy, a Jahwe sprawił, że stał się krótszy o dziesięć stopni.

— Dziesięć stopni czego? — chciała wiedzieć Ewa. Zabrała z rąk kapłana księgę i zaczęła czytać. — Schodów — odpowiedziała sobie sama na pytanie — oczywiście, że schodów. Ale jaki to ma związek z naszym klasztorem?

Robert, który swoim zwyczajem rozsiadł się wygodnie na podłodze i oparł o masywne biurko, zaczął głośno myśleć.

— Może w kościele są jakieś schody, na których należy szukać następnego elementu łamigłównki?

— Schody są — potwierdził kapłan — używa ich organista, żeby dostać się na chór. Były też schody wiodące na emporę, ale zostały rozebrane na początku XVIII wieku.

— No to niefajnie — westchnęła Ewa. — Jeśli już ich nie ma, to może zagadki nie da się rozwiązać.

— Nie ma ksiądz przypadkiem Biblii w innych wydaniach — zainteresował się nagle Robert. — Może warto porównać tłumaczenia?

— Po co? Przecież to jest zupełnie jednoznaczne? Schody to schody — Ewa była zdania, że Robert szuka dziury w całym, ale proboszcz przyszedł mu z pomocą.

— Oczywiście, że mam. — Podeszedł do regału stojącego za fotelem i sięgnął po kilka grubych tomów. — Bardzo proszę, poza Biblią Tysiąclecia mam jeszcze Pismo Święte w przekładzie Nowego Świata i dwa wydania Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, jedno z 1921, drugie z 1990 roku. A poza tym wydanie niemieckie. Było tu już, gdy się wprowadziłem — przypomniał sobie i znowu wyciągnął rękę ku jednej z wyższych półek. Zachwiał się przy tym niebezpiecznie, a książki, które trzymał w ręku, znalazły się na podłodze razem ze wspomnianym niemieckim przekładem. Ku zaskoczeniu całej trójki wypadły z niego poźółtkłe kartki o wytartych brzegach, pokryte nieznanym charakterem pisma.

— Wy też je widzicie? — upewnił się na wszelki wypadek Robert, stojąc nad nimi bez ruchu, jakby się bał, że ulega złudzeniu. Nie chciał, by znikły przy najlżejszym poruszeniu. Jednak spojrzął na twarze Ewy i proboszcza i przestał mieć wątpliwości. Pochylił się i zebrał kartki z

podłogi. Dla pewności przekartkował wszystkie wydania, ale nic więcej nie znalazł.

Pierwszy list znajdował się w nienaruszonej kopercie, na której po niemiecku napisano: „adresat nieznany”. Był nim Otto Kleist. Robert poczuł, że trzęsą mu się ręce, gdy przeczytał głośno jego nazwisko.

— Pozwoli ksiądz, że otworzę — upewnił się, nim zdobył się na odwagę i kuchennym nożem delikatnie podważył brzeg papieru. Niemiecki tekst przez kilka sekund skakał mu przed oczami. W końcu wiersze uspokoiły się na tyle, że Robert mógł przeczytać:

Kochany,

Czy wolno mi Cię jeszcze tak nazywać? Od twojego wyjazdu minęły dwa długie miesiące, a ja w tym czasie nie otrzymałam od Ciebie żadnej wiadomości. Niepokoję się i dlatego wysłałam list na Twój berliński adres, licząc na to, że ważne wydarzenia zatrzymały Cię w domu, nie pozwalając na powrót w nasze strony. Myślę o Tobie dzień i noc i pocieszam się, że przyjechałbyś, gdybyś tylko mógł. Z drugiej jednak strony wciąż brzmią mi w uszach Twoje słowa, które z każdym dniem wydają mi się coraz bardziej złowrogie: „Jeśli nie wrócę, to znaczy, że nie żyję”. Czy nie tak właśnie powiedziałeś? Wtedy nie potraktowałam tego poważnie. Było lato, a Ty stałeś obok i to wystarczało mi do szczęścia. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Chciałabym o tym z Tobą porozmawiać, ale wolałabym osobiście, nie za pośrednictwem kartki papieru. Wierzę, że wkrótce otrzymam Twoją odpowiedź. Nie będziesz mnie przecież bez potrzeby trzymał w niepewności, wiedząc o tym, jak bardzo się o Ciebie lękam. Twoja Maria

Drugi list napisany był inną ręką, litery były bardziej kanciaste i zamaszyste, jakby stawiała je niecierpliwa dłoń. Robert wziął głębszy oddech, nim zajrzał do tekstu.

— Może usiądziemy — zaproponował, bo wciąż stali obok regału, tam, gdzie zastało ich najnowsze odkrycie.

Mario,

Piszę Pani o swoich próbach nawiązania korespondencji z moim przyjacielem Ottonem Kleistem, z którym miałem przyjemność gościć u Państwa w letnich miesiącach. Proszę mi wierzyć, że Pani niepokój jest równy mojemu, jako że od wyjazdu z Koltitz nie widziałem się z nim ani nie słyszałem, by wrócił do Berlina. Nie pojawił się na uczelni z początkiem roku akademickiego, co musi dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę jego rzetelność i sumiennosc, a także zamiłowanie do pracy.

Ja również pamiętam jego niezwykłą nerwowosc podczas prac w klasztorze, zupełnie jakby się czegoś obawiał, chociaż nigdy nie mówił o tym wprost. Jego lęk nasilił się jeszcze po tym, jak spędził noc w krypcie, a w tym czasie ktoś przeszukał jego pokój. Zapytał mnie wtedy, czy to ja zamknąłem go w podziemiach. Byłem oburzony, że mnie o to posądza.

Dzisiaj mamy powody przypuszczać, że obawy Ottona były uzasadnione, a on zniknął dlatego, że sam tego chciał lub, może nie powinienem tego pisać, dlatego, że /etos mu w tym pomógł. Nie muszę Pani przekonywać, że ta druga wersja wydarzeń wydaje się znacznie bardziej prawdopodobna. Nie wiem, co Otto wiedział albo czym się zajmował, co mogłoby stać się przyczyną jego śmierci? W ostatnim okresie naszej znajomości był nadzwyczaj skryty.

Jedyne, co nam pozostaje, to nie tracić nadziei. Może nasz przyjaciel wyjechał i nie daje znaku życia? Obiecuję, że jeśli wróci do Berlina, natychmiast Panią o tym powiadomię. Mimo wszystko proszę być dobrej myśli.

Oddany Pani Thomas Neuman

Drugi list Thomasa do Marii utrzymany był w innym tonie, jakby piszący za wszelką cenę chciał ją natchnąć otuchą.

Droga Mario,

Nie wolno Pani tracić nadziei. Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale domyślałam się, że Ottona i Panią łączyła zażyłość, którą nazwać można najgłębszym i szczerym uczuciem. Proszę nie poddawać w wątpliwość intencji mojego przyjaciela. Zapewniam Panią, a znam Ottona naprawdę długo, że musiał mieć ważne powody, by usunąć się w cień na tak długo. Nie przesądzajmy o jego śmierci wyłącznie na podstawie jego milczenia. Błagam Panią o cierpliwość. Niechże mu Pani okaże więcej zaufania.

Pyta Pani, dlaczego nikt nie zajął się jego poszukiwaniem. Cóż mogę odpowiedzieć? Skoro nikt nie zgłosił zaginięcia, trudno było podejmować taką akcję z własnej inicjatywy. Kto zaprzeczy, że Otto miał prawo wyjechać w podróż, nie informując o tym nikogo z bliższych i dalszych znajomych? Gdyby miał rodzinę, być może łatwiej byłoby się czegokolwiek dowiedzieć.

Nie wierzę w Pani przypuszczenia, że Otto rozstał się z życiem, broniąc dostępu do, być może, nieistniejącej tajemnicy. Głupio umrzeć za własne mrzonki, nie uważa Pani?

Z wyrazami szacunku Thomas Neuman

Ostatni list skierowany był do pastora Koltitz Petera Herbsta, ojca Marii.

Szanowny Panie,

Niech mi wolno będzie wyrazić moje najgłębsze współczucie, jakie wywołała wiadomość o nagłej śmierci Pańskiej najstarszej córki Marii, którą miałem szczęście poznać ostatniego lata. Nie potrafię sobie wyobrazić ogromu poniesionej przez Pańską rodzinę straty. Jednocześnie pragnę podziękować za to, że mimo bólu znalazł Pan w sobie dość sił, by odpowiedzieć na mój list adresowany do Pańskiej córki.

Przykro mi, że o zażyłości Marii i Ottona dowiedział się Pan właśnie z naszej korespondencji, chciałbym jednak zapewnić, że mój

przyjaciół był człowiekiem uczciwym i godnym zaufania. Maria bardzo przeżywała jego zniknięcie i przypuszczała, że Otto zmarł w nieznanych okolicznościach. Jestem przekonany, że to domniemanie oraz naprawdę głębokie przywiązanie, jakim go darzyła, doprowadziło do tego, że targnęła się na swoje życie. Nie wiem, czy łatwiej pogodzić się ze śmiercią, znając jej przyczynę. Wierzę jednak, że czas złagodzi Pana rozpacz i napętni spokojem.

To wszystko, co mi wiadomo w tej sprawie. Zgodnie z Pana prośbą obiecuję więcej Państwa nie niepokoić.

Z poważaniem Thomas Neuman

Ewa spała. Położyła opalone ramiona na stole i oparła o nie lewy policzek. Pomiedzy opadającymi na twarz pasmami włosów, które uwolniły się spod gumki, Robert dostrzegł drgającą powiekę i zarys policzka, miękkiego i delikatnie zaokrąglonego jak u dziecka. Do jego uszu dotarło łagodne posapywanie.

Zajrzał do jej pokoju, by zapytać, jak długo jeszcze zamierza dzisiaj pracować, a urzeczony widokiem wszedł i usiadł naprzeciwko. Przed nim leżały wypełnione do połowy karty grobów, które Ewa uzupełniała o opisy szkieletów.

Siedział bez ruchu, bo nie chciał jej obudzić, i bezkarnie przyglądał się uśpionej kobiecie. W ciągu tych kilku dni, które minęły od jej przyjazdu, stali się sobie bardzo bliscy. Nie sądził, że to w ogóle możliwe. I nie chodziło tylko o zażyłość wynikającą z tego, że dużo czasu spędzali razem. Chociaż przypominała przyjaźń, jeszcze nią nie była. I może, pomyślał z nadzieją Robert, nigdy nie będzie. Chciał zapuścić korzenie, szukał dla siebie miejsca jak koczownik zmęczony dotychczasowym trybem życia. Wydawało mu się, że z Ewą to będzie łatwe. Każdej nocy ten sam lekki oddech na poduszce obok, spędzane razem soboty i niedziele, wspólne śniadania przy kuchennym stole, czasem śmiech, a czasem płacz dziecka, które byłoby podobne do nich obojga. To nie było przecież nierealne. Musiał tylko trochę pomóc szczęściu.

Zebrał się w sobie i spłoszona wyobraźnia przestała produkować słoneczne obrazy. Bez nich wszystko było znowu w lekko szarym odcieniu. Wszystko z wyjątkiem rudych włosów, które ciągle miał przed oczami. Wstał najciszej, jak umiał, i poszedł szukać Piotra. Miał do niego kilka pytań.

Znowu ze sobą rozmawiali, co prawda monosylabami i z pewnym przymusem, który pojawił się w ich wzajemnych kontaktach niedawno i natychmiast został dostrzeżony przez pozostałych archeologów. W ciągu ostatnich dni obaj dzielnie zachowywali pozory, a Robert zastanawiał się czasem, czy tylko on boleje nad tą dziwną formą, jaką przybrała ich przyjaźń. Mimo wszystko, westchnął, jeszcze próbowali się porozumieć, a dopóki próbowali, nie wszystko było stracone.

— Powiedz mi — zaczął, gdy odnalazł go w jego pokoju nad jakimś opasłym tomiskiem — dlaczego Kleist nie pisze ani słowa o schodach wiodących na chór? Rozmawialiśmy z księdzem Andrzejem i wiem, że te schody istnieją.

Zamiast odpowiedzieć, Piotr podsunął mu książkę, którą właśnie wertował, i wskazał na jedną z rycin. Był to rysunek wykonany na początku XVIII stulecia. Przedstawiał wnętrze kościoła w Kolicach w nieco odmienionej formie.

— To, co widzisz na rysunku — wyjaśnił Piotr — to empory, które rozebrano po 1721 roku, w ten sposób znikła także empora organowa. Prawdopodobnie w czasie kiedy Otto prowadził tu swoje badania, w kościele nie było ani empory, ani organów, ani — jak możesz się domyślić — schodów. Te, o których mówił ksiądz Andrzej, są stosunkowo nowe. Kościół ucierpiał w czasie wojny i kiedy go remontowano, przygotowano także miejsce pod organy, których nie było przez ponad 200 lat.

— To niedobrze — mruknął Robert. — Nie wiemy, gdzie szukać cholernych stopni razem z ich cholernym cieniem. Chyba że wejdziemy do krypty i tam coś znajdziemy.

— Życzę powodzenia — w głosie Piotra pobrzmiwała źle ukryta ironia. Robert skrzywił się z niesmakiem.

— Możesz mi powiedzieć, o co ci chodzi? — spytał dla porządku, ale szczerze wątpił w to, że Piotr mógłby mu cokolwiek wyjaśnić. Patrzyli na siebie dobrą chwilę. Piotr odezwał się pierwszy.

— Przyszło ci do głowy, że całe te poszukiwania mogą być po prostu jedną wielką bzdurą? Pogonią za marzeniem?

— Jakieś 1500 razy — odparł Robert i spojrzął na niego z powagą. — Ale w gruncie rzeczy całe życie to robimy, prawda? — dodał filozoficznie. — I osiągamy cel, jeśli tylko wystarczy nam wiary i wytrwałości.

— Tak myślisz? Zazdroszczę. To bardzo optymistyczne przekonanie, choć, moim zdaniem, niestety zupełnie mijające się z prawdą. W pierwszym momencie byłem gotowy przyznać wam rację. Dziennik podzielał także na moją wyobraźnię. Ale później zniknął, a tłumaczenie tekstu niczego nie wyjaśniło. Może pora zapomnieć o tej historii, skoro wygląda na to, że brak jej zakończenia.

— Słuchaj, nie wciskaj mi kitu — zdenerwował się Robert, słysząc ten mentorski ton, i uznał, że skoro Piotr nie daje się sprowokować, on będzie mówić na temat. — Czy tobie się wydaje, że ja nie wiem, dlaczego się tak ciskasz? Zapewniam cię, że jej nie poderwałem. Nie, żebym nie chciał, po prostu jak dotąd się nie udało. I powiem ci jeszcze, że niespecjalnie mnie obchodzi, co was kiedyś łączyło, bo dla niej nie ma to już znaczenia. I sądziła, że dla ciebie też nie. Więc daj mi święty spokój, a z Ewą porozmawiaj, bo ta sytuacja robi coraz trudniejsza do zniesienia.

— Widzę, że obstawiasz dwa etaty — odbił piłeczkę Piotr. — Odkąd to jesteś adwokatem własnym i pani Zakrzewskiej? Bardzo proszę, nie udzielaj mi rad, skoro ja się powstrzymuję od udzielania ich tobie. I sprawdź, czy nie ma cię przypadkiem z drugiej strony — wskazał brodą drzwi i udał, że z powrotem zagłębia się w lekturze.

— Jesteś aroganckim dupkiem — powiedział jeszcze Robert z dłonią na kłamce.

— Niewykluczone, że masz rację — odparł Piotr z flegmą godną księcia Walii — ale po pierwsze, to ty na mnie napadłeś, a po drugie, w końcu to ja się ze sobą najbardziej męczę.

Po kilku godzinach stania za barem pani Krystyna myślała już tylko o tym, żeby jak najszybciej zamknąć i resztę wieczoru spędzić w domu, na siedząco, najlepiej przed telewizorem. Archeolodzy tego dnia zjawili się tylko na obiedzie, na wieczorne piwo już nie przyszli, widocznie ważne sprawy zatrzymały ich w szkole. Pani Krystyna była im szczerze wdzięczna, bo nogi spuchły jej od upału i zupełnie nie chciały jej nosić. Przetarła ładę po raz ostatni i dla pewności wyjrzała przez okno, by sprawdzić, czy ktoś nie siedzi pod parasolem. A jakże, westchnęła, jednak się zjawili, co prawda tylko dwoje, ale to i tak oznaczało, że ona zamknąć baru nie może. Wyglądali jakoś inaczej niż zwykle, zastanowiła się, bardziej uroczyście i promiennie. Zwłaszcza chłopak z jasnymi, prawie białymi włosami. Pani Krystyna bardzo go lubiła, nie tylko dlatego, że codziennie wypijał kilka kufla piwa. Zawsze umiał powiedzieć miłe słowo i miał poczucie humoru. Wiedziała, że mówią do niego Siwy, ale sama go tak nie nazywała, mówiła po imieniu, bo kiedyś ją o to poprosił. Teraz zostawił przy stoliku drobną ciemnowłosą dziewczynę, chyba najładniejszą w gromadce studentów, i ruszył w kierunku wejścia.

— Dobry wieczór, pani Krystyno — przywitał się dwornie i uśmiechnął od ucha do ucha.

— Dobry wieczór, Marcin — odparła i sięgnęła po szkło, by nalać do niego piwa, ale chłopak powstrzymał ją odrobinę stropiony.

— Właściwie to dzisiaj napilibyśmy się dobrej kawy — popatrzył na nią prosząco. — Da się zorganizować? — zaskoczona kobieta przyglądała mu się przez kilka sekund, nim dotarła do niej treść zamówienia.

— Hm — zastanowiła się — jak dla ciebie, złociutki, może się i da. Co prawda nie mamy w cenniku, ale co tam, przyniosę neskę z domu.

— Szczerze mówiąc — powiedział Siwy, zniżając głos do konfidenckiego szeptu — o mnie mniejsza, to dla Doroty. Bo widzi pani, pani Krystyno, ona będzie kiedyś moją żoną.

— Ha, to gratuluję synku — pani Krystyna dostosowała się do rozmówcy i wydała z siebie sceniczny szept. To było lepsze niż plotka, to była wiadomość z pierwszej ręki. Należało ją uczcić kawą, nawet jeśli miałyby pochodzić z prywatnego źródła. Siwy porażony brzmieniem

wykrzyknika „ha”, który mógł pozbawić leciwą barmankę tchu, słysząc gratulacje, stropił się po raz drugi.

— Tylko proszę to zachować dla siebie — ostrzegł ją — bo Dorota jeszcze się nie zdecydowała.

— Ale jak to? — wyjąkała kobieta, czując, jak cenna informacja z minuty na minutę traci na wartości. Co z niej za radość, jeśli nie można nikomu powtórzyć, obruszyła się wewnętrznie. Archeolodzy nie trafiali do Kolic codziennie. Powinno się jak najlepiej wykorzystać ich pobyt. Znajomość plotek była jednoznaczna z byciem w centrum wydarzeń.

— O wszystkim dowie się pani pierwsza — powiedział Siwy śmiertelnie poważnie, widząc jej wzburzenie. — Ale proszę panią o cierpliwość i dyskrecję. To bardzo, naprawdę, bardzo ważne. — Cekał chwilę, aż pani Krystyna wróci z kawą ze swoich prywatnych apartamentów. Kiedy, wciąż z niedowierzaniem potrząsając głową, nałala wrzątku do kubków, Marcin skłonił się przed nią, jakby był mistrzem etykiety dyplomatycznej.

— Na koszt firmy -uprzedziła jego pytanie, więc uklonił się raz jeszcze, kładąc palec na ustach, a potem zręcznie manewrując tacą, poszedł do swojej przyszłej żony.

Dzień siódmy

Jacka obudziło pragnienie. Poruszył się niespokojnie na posłaniu, bo w pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Była noc. W pokoju panowały absolutne ciemności, co dodatkowo utrudniało orientację. Minęło więc kilka minut, nim odważył się usiąść i spuścić nogi z kanapy, a gdy to zrobił, musiał wstrzymać oddech. Od pasa w górę bolał go każdy mięsień, każde najdrobniejsze ścięgno i chyba każdy organ. Bolało go pod dotykiem i przy najdrobniejszym ruchu. Mimo to postanowił wstać. Gdzieś w tym obcym domu, w którym w końcu rozpoznał plebanię, powinna być kuchnia i łazienka.

Nie udało mu się dotrzeć do drzwi bezgłośnie. Jego ciało zanadto się temu sprzeciwiało. Potknął się o pierwszy mebel, który napotkał w ciemności, i upadł, wywracając przy tym jakieś krzesło. Jęknął. Niezbyt głośno, tak mu się przynajmniej wydawało, i znowu spróbował wstać, gdy pokój zalały nagle potoki światła. Odruchowo zamknął oczy.

Proboszcz pomógł mu złapać równowagę i niemal siłą posadził w fotelu.

— Czy może ksiądz to wyłączyć — poprosił go, mając na myśli żyrandol pod sufitem, więc duchowny zastąpił górne światło przytłumionym blaskiem lampy stojącej na stole.

— Wszystko w porządku? Dokąd się wybierałeś?

— Po wodę. I tabletkę przeciwbólową — wymamrotał Jacek niewyraźnie. Oddychanie i mówienie sprawiały mu identyczną trudność, a przepona bolała jak diabli. — Nie chciałem księdza budzić.

Z wdzięcznością przyjął szklankę i białą, podłużną pastylkę, którą natychmiast połknął, licząc na to, że skróci jego cierpienia.

— Nie wiem, czy to ci pomoże — powiedział ksiądz Andrzej i popatrzył na niego z troską. — Niestety nic innego nie mam. Jak się

czujesz?

— Do niczego.

— To może wróc do łóżka.

— Jeszcze chwilę posiedzę, może zacznie działać. Zmiana pozycji za dużo mnie kosztuje.

— Posiedzę z tobą — zdecydował proboszcz i poprawił się na krześle. Nie było mu zbyt wygodnie. Jego stare kości domagały się odpoczynku, ale on nie chciał zmarnować tej okazji. Nocą zwykle łatwiej nawiązać kontakt. Łatwiej też powiedzieć to, czego nigdy nie powiedziałyby się w dzień. I łatwiej tego wysłuchać. Nie był pewien, skąd o tym wie. Może nauczyła go tego jego kapłańska praktyka, może półmrok konfesjonału, a może nieformalne spowiedzi, których wysłuchiwał co roku w kancelarii, gdy zapadał wczesny zimowy zmierzch. Nie chodziło przecież o przesłuchanie, ale zrozumienie. Instynkt podpowiadał mu, że inicjatywę powinien zostawić Jackowi. Niech on zdecyduje, kiedy przerwać milczenie.

— Zawsze zamierzał ksiądz zostać księdzem? — zapytał nagle Jacek, gdy proboszcz był już prawie pewien, że usnął w fotelu.

— Nie zawsze — odparł. — Niewiele jest osób, które od początku wiedzą, co chcą robić w życiu.

— To dlatego tak się ciągle mylimy? Nie można by było jakoś inaczej tego urządzać?

— Urządzić czego, Jacku?

— Świata, przyszłości.

— Każdy urządza je po swojemu. Nie uważasz, że to duża przyjemność doświadczać aż takiej wolności?

Jacek popatrzył na proboszcza szeroko otwartym zdrowym okiem, to podbite ginęło pod spuchniętą powieką i przypominało szparkę, w której z rzadka błyskała jasna tęczęwka.

— Ksiądz to nazywa wolnością — powiedział z politowaniem w głosie — dobre sobie. Nie wydaje się księdzu, że kiedy się rodzimy, zastajemy tu, na ziemi określone status quo? Jakieś konkretne miejsce, jakąś

rodzinę o takim, a nie innym statusie majątkowym, rodzeństwo, czasem w nadmiarze, warunki, które wpływają na to, jacy jesteśmy i kim się stajemy? Zdaniem księdza jest tu jeszcze miejsce na wolność? Uważa ksiądz, że w życiu można się targować? Czy ta księdza wolność to właśnie oznacza?

— Być może — odparł kapłan spokojnie — choć ja bym pewnie użył innego czasownika.

Przyglądał się młodemu człowiekowi, zachodząc w głowę, z kim targował się tym razem i o co, że skończyło się to takimi obrażeniami ciała. — Ja bym powiedział — podjął po namyśle — że od życia dostaje się tyle, ile się wypracuje.

— Ksiądz w to wierzy?

— Czy wierzę? — zastanowił się. — Po prostu wiem.

— Jasne — zachnął się Jacek. Proboszcz nie mógł zrozumieć, dlaczego jest taki rozgoryczony. — Niech sobie ksiądz wyobrazi, że całe życie byłem biedny, bo urodziłem się w biednej rodzinie. I nigdy się nie zgodzę, że biedni mają te same możliwości, co bogaci, że rzecz polega tylko na pracy.

— Bieda nie zwalnia z dążenia do tego, by coś osiągnąć. Nie jest okolicznością łagodzącą.

— Nie zwalnia, mówi ksiądz. To ja księdzu powiem, co ona robi, ściąga człowieka w dół i trzyma tuż przy dnie, ręką ojca alkoholika albo kumpla, który na chwilę wyszedł z kryminału. To jest bieda, którą ja znam.

— Tylko takie przypadki przychodzą ci do głowy? — spytał ksiądz Andrzej poruszony tonem tej rozmowy. — A ty sam, zdolny student dwóch dość elitarnych kierunków?

— Gdzie bym był, gdybym na nie sam nie zarobił? — Jacek uśmiechnął się ironicznie. — Zresztą, co ksiądz może o mnie wiedzieć?

— Tyle, ile mi powiesz.

— Właśnie — na moment obaj zamilkli, tylko Jacek oddychał gwałtownie jak po długim i wyczerpującym biegu.

— Do kogo masz pretensje? — proboszcz spojrział łagodnie na pokancerowaną twarz siedzącego w fotelu mężczyzny. — Wiesz chociaż?

— Jeśli księdzu powiem, zachowa to ksiądz dla siebie? Przepraszam, że zapytałem, jasne, że tak — poprawił się niezręcznie, nie chcąc, by kapłan poczuł się dotknięty. — A może mi ksiądz obiecać, że spróbuje mnie zrozumieć? Tak naprawdę od lat nie mam z kim porozmawiać. Smutne, prawda? Pewnie za to też sam ponoszę winę.

Ksiądz Andrzej uspokoił go ruchem dłoni.

— Mów — powiedział po prostu. — Słucham.

I Jacek opowiedział. Dlaczego właśnie temu mężczyźnie, który teraz, w środku nocy nie miał na szyi nawet koloratki, za dnia przydającej powagi jego strojowi? Na to pytanie nawet nie starał się odpowiedzieć. Nie o to przecież chodziło. Skoro nie potrafił rozmawiać o tym z matką, ojca dawno przestał darzyć zaufaniem, a przyjaciół miał wyłącznie wśród takich, jak on sam, był wdzięczny losowi za tego księdza, który nie narzucał się ze swoją profesją i moralnością i był po jego stronie. Nawet jeśli nie oznaczało to poparcia, a zaledwie brak potępienia. Opowiadając, czuł się tak, jakby oddawał słuchaczowi część nieznośnego ciężaru, który niósł od tak dawna, że zdążył zapomnieć, jak lekko żyło mu się kiedyś. A przecież ta rozmowa niewiele mogła zmienić w jego życiu, myślał, jego rodzina wciąż potrzebowała finansowego wsparcia, on też musiał z czegoś żyć, a na regularną pracę zwyczajnie nie starczało już czasu. Poza tym, mówiąc zupełnie szczerze, nie umiałby się wyrzec dotychczasowych skłonności. Za daleko zabrnął, zbyt głęboko wszedł środowisko, by nie korzystać z nawiązanych kontaktów. Więc po co dzielił się z tym posiwiiałym człowiekiem swoimi rozterkami i lękiem? Nie był pewien. Może musiał to wszystko po prostu z siebie wyrzucić i korzystał z nadarzającej się okazji.

Tymczasem nie było to takie łatwe, jak sobie założył, bo gdy zamilkł, starszy mężczyzna bez koloratki, wybrany na powiernika, zadał mu właśnie to pytanie, którego on za wszelką cenę chciał uniknąć.

— Co zamierzasz teraz zrobić?

Patrząc na jego pomarszczoną twarz, Jacek zrozumiał, że nie może odpowiedzieć tak, jakby chciał. Nie może wzruszyć ramionami i rzucić od niechcienia: nic — bo to nie wystarczy do podsumowania jego wyczerpującego wywodu. Nie w obliczu cierpliwości, której nikt mu wcześniej nie okazał. I zainteresowania, o tak później godzinie tylko odrobinę przytłumionego zmęczeniem.

— Jeszcze nie wiem — powiedział szczerze, by wyprzedzić inne pytania. Tyle że innych pytań nie było i obaj zdawali sobie z tego sprawę.
— Nie mogę księdzu niczego obiecać.

W szkole panowała cisza. Minuty niedzielnego przedpołudnia sączyły się leniwie i Robert siedząc w słońcu nad niedopitą, zimną już kawą, zaczynał się nudzić. Nieprzyzwyczajony do bezczynności zastanawiał się, jak spędzić ten dzień wolny od pracy, by stał się miłym wspomnieniem podczas nadchodzącego tygodnia.

W furtce pojawił się Jacek w nieco staromodnych przeciw-słonecznych okularach z ogromnymi szklami, które założył na swoje, by cokolwiek widzieć. Wyglądał w nich jak wyjątkowo szczupła mucha i Robert na pewno by się roześmiał, gdyby nie wiedział, co kryją.

— Jak się czujesz? — zagadnął na powitanie, gdy Jacek dotarł do podnóża schodów.

— Beznadziejnie — przyznał — ale i tak dużo lepiej niż w nocy. Dziękuję za wczoraj — dodał i utknął niezręcznie. Właściwie powiedział już wszystko, ale miał nadzieję, że wypadnie to bardziej serdecznie. Nie był jednak przyzwyczajony do okazywania uczuć, nawet takich jak wdzięczność, którą rzeczywiście odczuwał. Żeby sobie pomóc, wyciągnął do Roberta rękę. Uścisk dłoni był bardziej wiarygodny niż słowa i lepiej oddawał jego stan ducha.

Robertowi, który odprowadził go spojrzeniem, gdy Jacek, nie zdejmując pożyczonych zapewne od księdza Andrzeja okularów, wszedł do ciemnego korytarza, przyszło do głowy, że to nie Piotr jest największą zagadką w ich grupie, ale ten drobny facet, który na ogół nie mówi zbyt wiele i nigdy o sobie. W zasadzie pracowali razem, a prawie się nie

znali. Czy powodem był brak czasu, czy brak chęci, Robert nie wiedział. Zajęty ściganiem marzenia o uczuciu, które mogłoby nadać kierunek jego przyszłości, wyjątkowo mało uwagi poświęcał pozostałym uczestnikom badań. Nawet Piotr, z którym łączyło go wiele wspólnych wspomnień i prowadzonych długo w noc rozmów, przestał być wyrzutem sumienia. Kiedy coraz cieńsza nić porozumienia została w końcu zerwana, Robert zdecydował, że będzie myślał wyłącznie o sobie.

Historia Ottona, którą poznali dzięki przypadkowemu odkryciu, niemal zaraz po lekturze dziennika przestała być dla niego zagadką wymagającą rozwikłania. Mimo wszystko miał zbyt dużo zdrowego rozsądku, by wierzyć, że w jakikolwiek sposób zbliżą się do prawdy, nie mając nowych tropów i źródeł informacji. Pozostała jednak najlepszym z możliwych pretekstów pozwalającym mu być blisko Ewy. Dlatego zamierzał jej pomagać. Powiedział jej prawdę. Nie szukał łatwych zdobyczy i powierzchownych sezonowych znajomości. Chciał czegoś więcej. Chciał wszystkiego i nie przerażała go pojemność tego słowa.

Jej głos wyrwał go z zamyślenia. Podniósł głowę i oślepiony wpatrywał się w ciemniejącą na tle nieba sylwetkę. Kiedy przysiadła obok niego, zapatrzył się na piegi, rozsypane na jej ciele. Były wszędzie. Na twarzy, szyi, dłoniach, nawet na kolanach. Miał nadzieję, że kiedyś będzie mógł ich dotknąć, tych wystawianych na słońce i tych rzadko odsłanianych, ale na pewno widocznych na zupełnie białej skórze. Niech się lak stanie, pomyślał żarliwie, jakby chciał zakląć los. Poczuł, że fizyczna bliskość wywołuje w nim dobrze znany niepokój, nad którym nie umiał zapanować. Pochłonięty obserwacją i temperowaniem własnych doznań w pierwszej chwili nie usłyszał pytania.

— Pójdiesz ze mną na cmentarz? — powtórzyła cierpliwie Ewa. Znowu pachniała jakimiś ziołami. Koszulka bez rękawów odsłaniała szczupłe, umięśnione ramiona.

— Wszędzie, gdzie zechcesz — odparł Robert bezwiednie, nie po raz pierwszy czując się jak bohater ze sztuk Szekspira. Ton jego głosu wprowadził Ewę w zakłopotanie.

— To chodź — poderwała się spłoszona, więc także się podniósł od razu gotowy do drogi. Zaciśnięte dłonie ukrył w kieszeniach spodni. Ten gest pomagał mu odzyskać dystans.

— Dlaczego tam? — zapytał, gdy zostawili za sobą szkolne ogrodzenie.

— Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy poszukać pozostałych postaci dramatu. Skoro znaleźliśmy Ottona, może znajdziemy i Marię. Jak myślisz?

Robert nie odpowiedział. Właściwie cel spaceru był mu zupełnie obojętny, dopóki mógł czuć jej zapach.

— Zastanawiałeś się, kto go zabił? — zagadnęła go Ewa po chwili.

— Nie. Zresztą, nie ma szans, byśmy się tego dowiedzieli.

— A potencjalni podejrzani?

— Zbyt wielu: Thomas, chociaż nie, jego listy do Marii brzmiały zbyt szczerze, Hans i każdy robotnik biorący udział w pracach remontowych. Jakie to ma teraz znaczenie, kiedy Otto jest jednym ze szkieletów?

— Dziwi mnie jedno. — Ewa zmarszczyła brwi. — Zabijanie go to była chyba jakaś pomyłka. Co morderca zamierzał osiągnąć? Martwy nie mógł już wyjawić żadnej tajemnicy. Żywy mógł jeszcze to i owo wyjaśnić, choć oboje wiemy, że sam nie wiedział zbyt wiele. Maria musiała wiele przejść. I była ze swoją rozpaczą zupełnie sama.

Robert wzruszył ramionami.

— Działa na ciebie romantyzm tej historii? To była dla niej bardzo niezręczna sytuacja. Jeśli Otto oficjalnie się nie oświadczył, mimo że z Marią łączyła go pewna zażyłość, a potem przestał bywać w jej domu, gdyby się do niej przyznała, byłaby skompromitowana.

— Co za czasy. Wychodzi na to, że była zbyt nowoczesna jak na rok 1884. Biedna dziewczyna — westchnęła Ewa i uśmiechnęła się do swoich myśli. — Mało o niej wiemy, ale może uda się znaleźć jej nagrobek. W końcu jak wiele Marii mogło się urodzić w tej wsi w 1862 roku?

— I umrzeć w 1884? Miejmy nadzieję, że tylko ona jedna.

Cmentarz znajdował się w drugiej części wsi, tam gdzie kiedyś stał niewielki kościół parafialny, w którym od XVI wieku odbywały się nabożeństwa protestanckie. Został zniszczony w czasie wojny, a chłopci rozebrali ściany aż do fundamentów. Cegła była wówczas cennym budulcem, a domy trzeba było z czegoś budować. Kiedy w latach 50. zdecydowano się na utworzenie w Kolicach parafii katolickiej, małego kościółka już nie odbudowano. Msze odprawiano w dawnym kościele klasztorным. Mury, które pozostawiono w spokoju dopiero wtedy, gdy nie miały więcej niż kilka centymetrów wysokości, zarosły chwastami i stały się zupełnie niewidoczne. Jednak cmentarz na niewielkim pagórku wciąż pełnił swoją funkcję i z czasem stał się bardziej rozległy. W dole, u podnóża wzniesienia płynęła rzeka i Ewie przyszło do głowy, że zmarłym musi być przyjemnie leżeć tu i słuchać jej cichego plusku.

Brama cmentarna była bardzo stara i skrzypiała przy najlżejszym dotknięciu. Skrzywili się oboje, kiedy Robert pociągnął za klamkę, która wyglądała tak, jakby miała zostać mu w dłoni.

— Ksiądz Andrzej mógłby coś z tym zrobić — mruknął, wycierając o spodnie rudą od rdzy dłoń. — Strasznie to wszystko zapuszczone.

Szli w milczeniu przed siebie. Główna, wysypana żwirem alejka urywała się nagle. Do najstarszej i jednocześnie najwyżej położonej części cmentarza prowadziła wąska, niemal niewidoczna ścieżka. Murowane grobowce w większości porosły chwastami. Tylko te najnowsze były zadbane, a wokół nich rosły bratki i niezapominajki. Wśród kwitnących kwiatów uwijały się pszczoły, lipcowe słońce odbijało się od ich połyskliwych, przezroczystych skrzydeł.

— Ale tu sennie — Ewa poczuła, że udziela jej się nastrój rozgrzanego do białości, otumanionego upałem letniego południa. — Napiłabym się dobrej mrożonej kawy — rozmarzyła się nagle. Robert popatrzył na nią z wyrzutem.

— Trzeba było o tym myśleć, zanim tu przyszliśmy — skarcił ją pogodnie. — Zresztą najbliższa mrożona kawa chyba w Szczecinie.

— Nie musiałeś tego mówić — powiedziała Ewa z westchnieniem i zaczęła się rozglądać. — Sęk w tym, że nasz cel jest gdzieś w tych

chaszczach — powiedziała, wskazując na największe zarośla, które porastały najstarsze groby. Pochyliła się i zaczęła opuszczać nogawki zawiniętych do kolan spodni.

Robert uznał, że nie może pozostać w tyle.

— Ty zostań — powstrzymał ją. — Obejrzyj nagrobki, które są w lepszym stanie, a ja wejdę w ten gąszcz. Tam na pewno są kleszcze, a ja mam więcej włosów na ciele, więc może ujdę z życiem. — Podniósł z ziemi sporą gałąź. Tak uzbrojony zanurzył się w wysokie trawy, rozgarniając je przed sobą.

Ewa została sama. Postanowiła pójść skrajem zarośli i obejść je dookoła. Niektóre groby wystawały ponad chwasty i można było swobodnie im się przyjrzeć.

Szła powoli, uważnie przypatrując się krzywym, wygładzonym przez czas i deszcze nagrobkom. Na niektórych można było odczytać imiona, a czasem nazwiska, rzadko którąś z dat. Hans, 1875, czytała, mijając kolejne płyty, Helmut Muller, Anna, 1913. Wzruszały ją imiona ludzi, których od dawna już nie było. Żyli w tym miejscu, kochali się, mieli dzieci, w końcu umierali. Nikt już o nich nie pamiętał z wyjątkiem przypadkowego przechodnia, który mijał na cmentarzu miejsce ich pochówku. Jak ona dzisiaj.

Jedną Marię znalazła nieco w głębi. Jej grób nie był zarośnięty trawą. Czyjaś dłoń starannie wypieliliła chwasty i posadziła obok krzak róży. Czerwone płatki przekwitających kwiatów opadały na niewielki murowany cokół, a na pionowo ustawionej płycie o pokruszonych ze starości brzegach widniał niewyraźny, miejscami zupełnie zatarty napis: Maria Herb ...,1862 —, Siegf.....t, 1857 -1920. Poniżej było jeszcze kilka słów po niemiecku. Zapisała je na kartce, którą miała w kieszeni. Skupiona na ostatnim elemencie nagrobnej inskrypcji nie myślała zupełnie o doniosłości swojego odkrycia. Dopiero po chwili zrozumiała, że pochowana tu kobieta może być tą, której szukają — niedoszłą żoną Ottona Kleista. Niepokoiła ją tylko druga pochowana w tym samym miejscu osoba. Tajemniczy mężczyzna, jak przypuszczała. Kim był? Bratem? Otto wspominał, że miała rodzeństwo, ale przecież nie

starsze, ojcem na pewno nie i raczej nie mężem. Czy w ciągu tych kilku miesięcy, które dzieliły wyjazd Ottona od jej śmierci, mogła wyjść za mąż? Wtedy nosiłaby inne nazwisko. To było wprawdzie nieczytelne, ale litery, które pozostały, pozwalały przypuszczać, że brzmi ono Herbst, a więc tak jak nazwisko pastora.

— Robert — zawołała w stronę krzaków — chodź już, chyba ją znalazłam.

Wyłonił się spocony i pogryziony przez owady. Drapał się intensywnie i kichał, jakby w ciągu kwadransa dopadł go katar sienny.

— Cholerne pyłki — powiedział przez nos i oczy zaszyły mu łzami — cholerne komary.

— Spójrz — zignorowała jego uwagi Ewa — mamy ją.

— Mamy też niejakiego Siegfrieda, czy jak mu tam, o którym dotąd nie było mowy w tej bajce — zauważył trzeźwo Robert, drapiąc się po policzku, poniżej prawego oka. Po chwili wykwitła na nim malinowa plama wielkości spodka. — Czy on jej nie dyskwalifikuje?

— Przestań się drapać — upomniała go Ewa. — Mogła wyjść za mąż, prawda? — przedstawiła mu swoją koncepcję.

— W dodatku za kuzyna? Mało prawdopodobne.

— No cóż — przyznała po namyśle. — Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Zastanawiam się, kto tak dba o otoczenie tego nagrobka. Powinniśmy zapytać proboszcza, on może coś wiedzieć.

— To na pewno jedyna Maria? Nie ma innej, która by lepiej pasowała? — Ta myśl nie dawała Robertowi spokoju. Niepokoił go brak liter w inskrypcji nagrobnej. Czerwona plama na jego policzku zmniejszyła się do rozmiaru kobiecych ust. Starał się nie myśleć o tym, że go swędzi, jednak mimo wysiłków w całej jego postaci wyczuwało się napięcie i zniecierpliwienie.

— Biorąc pod uwagę datę urodzenia, jedyna. Oczywiście część dat jest nieczytelna, podobnie jak część imion, więc możliwe, że się mylimy — niechętnie przyznała Ewa.

— Zaraz. Poczekaj. — Robert był bardziej sceptyczny. — Skoro już tu jesteśmy, sprawdźmy to dokładnie.

Był w połowie zdania, gdy powiał lekki wiatr i odsłonił jeszcze jeden nagrobek ukryty dotąd przed ich wzrokiem. Podszedł do niego i rozgarnął gałęzie.

— Od przybytku głowa nie boli — powiedział, sam nie wierząc w to, co widzi.

— Żartujesz?

— Niestety nie. Maria, nazwisko na H, ale nieczytelne, 1862, data śmierci zatarta.

— Cudownie — podsumowała Ewa — Maria Herb.. t i Maria H-jakaś tam. Co teraz?

— Nic. W końcu nie ma w tym nic niezwykłego. Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony, że są tylko dwie. Zagrajmy w marynarza — podsunęła Robert. — To zdaje się sposób dobry jak każdy inny, by w tej sytuacji zdecydować się na jedną z nich.

Postanowili jeszcze raz obejść najstarszą część cmentarza i byli mniej więcej w połowie drogi, gdy dobiegło ich z daleka skrzyknięcie furtki. Przystanęli, do połowy ukryci w wysokich trawach i z zainteresowaniem spojrzeli w kierunku cmentarnej bramy. Nie czekali długo. Wkrótce na ścieżce, między drzewami pojawiła się wysoka męska sylwetka, którą Robert natychmiast rozpoznał.

— To Wiking — powiedział do Ewy szeptem, po czym schylił się instynktownie, znikając za kępą zarośli i pociągając Ewę za sobą.

— Kto taki? — zapytała, zbyt zaskoczona, by stawiać opór.

— Ten niemiecki turysta. Co on tu robi?

— On też mógłby nas o to zapytać — zauważyła trzeźwo.

— Dlatego się chowamy — wyjaśnił jej Robert. — Nie ruszaj się, żeby nas nie zobaczył.

— Nie mam zamiaru — odparła, marszcząc brwi. — Nie powinno go tu być — dodała po chwili. — Znikajmy stąd.

— Poczekaj — Robert przytrzymał ją za rękę. — Nie chcesz się dowiedzieć, po co tu przyszedł?

— Obejrzeć nagrobki — wzruszyła ramionami Ewa. — Jego prawo. Lepiej, żeby nas tu nie zastał.

— Dlaczego?

— Nie podoba mi się — odpowiedziała wymijająco.

— No to przynajmniej w tym punkcie się zgadzamy — przyznał Robert i niemal na czworakach zaczął się oddalać w kierunku furtki. — Nie rozumiem dlaczego, przecież twarz ma przystojną i wydaje się przyjaźnie nastawiony — podsumował, kiedy byli już wystarczająco daleko, by się wyprostować bez obaw, że Wiking ich zauważy.

— No właśnie — westchnęła Ewa, a Robert popatrzył na nią z niepokojem.

Nocna rozmowa przez cały dzień nie dawała proboszczowi spokoju. Położył się po południu, by dojsć do siebie, ale jego pamięć wciąż odtwarzała słowa, które usłyszał w pograżonym w półmroku salonie: „Niczego nie mogę księdzu obiecać”. Znaczyło to mniej więcej tyle, co: nie może ksiądz niczego ode mnie wymagać — a takie postawienie sprawy trudno było mu zaakceptować. Bezsilność, którą odczuwał proboszcz, była równie uciążliwa jak ból głowy i zmęczenie z powodu nieprzespanej nocy. Jednak sen nie przychodził i dalsze oczekiwanie na ulubionej kanapie było zwyczajną stratą czasu. Podniósł się więc z ciężkim westchnieniem i wbrew swoim zwyczajom wyszedł do ogrodu. Tam zastali go Ewa z Robertem, gdy siedząc w miłym cieniu, bił się ze swoimi mrocznymi myślami. Zmartwienie widoczne na jego twarzy sprawiło, że wydał im się nagle jakby mniejszy, starszy, niż wskazywałaby na to metryka, i zupełnie bezbronny. Uśmiechnął się na powitanie bez zwykłej serdeczności i wskazał miejsce na wysłużonej ławce.

— Wszystko w porządku? — zapytała Ewa poruszona jego nietypowym zachowaniem, dalekim od znanej im obojgu jowialności. — Serce księdzu dokucza?

— Nie, nie — zaprzeczył pospiesznie i zbyt gorliwie, widząc jej niepokój. — Takie tam duszpasterskie rozterki.

— Możemy księdzu jakoś pomóc?

— Obawiam się, że nie, moja droga, ale miło, że o to pytasz. Z pewnymi problemami muszę się uporać sam — powiedział z rezygnacją proboszcz. — Tak zdecydowałem wiele lat temu. Tyle że w seminarium nikt nie mówił, że to będzie takie trudne. Powtarzające się błędy, winy, których ludzie nie chcą się wyrzec, spoczywający na mnie obowiązek dochowania tajemnicy. Poczuję się dzisiaj bardzo stary — wyznał nieoczekiwanie — stary i zmęczony. I, co najgorsze dla każdego kapłana, osamotniony w mojej walce. To smutne, bo to przecież walka o człowieka. No ale nie powinienem was zanudzać swoimi sprawami. Jakoś sobie z nimi poradzę — spojrzał na Ewę jasnymi oczami.

— Mimo wszystko nie wybrałby się ksiądz do lekarza? — zapytał Robert, podejrzewając, że nie najlepszy nastrój proboszcza jest jednak wynikiem jego kłopotów zdrowotnych. — Albo jeszcze lepiej: na emeryturę?

Kapłan sapnął z dezaprobatą i wykonał niecierpliwy gest dłonią, jakby Robert był złym duchem, którego należało czym prędzej odegnąć.

— Czy wyobrażacie mnie sobie w domu dla księży emerytów, jak błąkam się bez celu po ogrodzie albo siedzę w pokoju z założonymi rękami z braku lepszego zajęcia? — zapytał, patrząc to na Ewę, to na Roberta i szukając u nich zrozumienia. — Jestem człowiekiem czynu — uśmiechnął się pogodnie, ale zaraz przez jego twarz przemknął grymas bólu, bo zabolало go serce. — Tu jest mój dom, mój kościół i moi parafianie. Więc z łaski swojej oszczędźcie mi kazań, bo od nich ja tutaj jestem.

Słuchali go cierpliwie, chociaż mówił powoli i oddzielał zdania długimi pauzami, podczas których brał kilka głębszych oddechów. Dopiero teraz zauważyli jego bladość, która powoli zaczęła ustępować, a policzki zaróżowiły się i twarz wyglądała znacznie zdrowiej.

— To może chociaż lekarz — zaproponowała Ewa łagodnie. — Zrobiłby księdzu EKG, zapisał jakieś tabletki. Serce wróciłoby do normy.

Nie najlepiej ksiądz wygląda.

Proboszcz prychnął gniewnie.

— Wy, młodzi. Wydaje wam się, że pigułki są idealnym rozwiązaniem. Cierpisz na bezsenność — weź pigułkę, bóle głowy — weź pigułkę, męczą cię wyrzuty sumienia albo samotność — weź pigułkę. Jak sądzicie, ile pigułek może sobie zaaplikować człowiek, by osiągnąć szczęście, przedłużyć młodość lub życie? Starości nie ma co straszyć pigułkami. Trzeba przywyknąć i polubić.

— I ksiądz właśnie stara się polubić? — nie wytrzymał Robert. W jego głosie brzmiała przygana. — Jeśli ksiądz chce się jeszcze do czegoś przydać, powinien ksiądz dbać o zdrowie. Klasztor potrzebuje gospodarza.

— Dobrze już, dobrze — kapłan próbował go uspokoić. — Jeśli o to chodzi, masz rację. Przez moment wydawało mi się, że mam tu już niewiele do zrobienia.

Ewa poklepała go po pomarszczonej dłoni. Proboszcz wzruszył się, widząc w jej oczach troskę i chęć pomocy. Patrzyli na siebie pogodnie dłuższą chwilę i Ewie przypomniał się dziadek, który zmarł na serce, gdy miała jedenaście lat. On też był czerstwym starsuszkciem. Pamiętała jego siwą głowę i szerokie ramiona, na których ją nosił. I to, że podlewał ogródek w każdy letni wieczór po zachodzie słońca.

— Co was sprowadza? Znowu jakieś tajemnice dziennika?

Dziennika, który zniknął, by trafić w ręce Jacka, pomyślał kapłan z roztargnieniem, zastanawiając się, co teraz zrobi ten chłopak nie tylko z dziennikiem, ale i ze swoim życiem. Martwił się o niego bardziej, niż chciałby to przyznać. Z trudem oderwał się od swoich rozważań i skupił na słowach gości.

— Tym razem nie, a właściwie tak — przyznała Ewa. — Byliśmy na cmentarzu i szukaliśmy pamiątek przeszłości. Znaleźliśmy nagrobki dwóch kobiet, które mogłyby być Marią Herbst. Napisy są nieczytelne, dlatego nie możemy tego stwierdzić z całą pewnością. Ale jeden jest zarośnięty, a drugi ktoś regularnie odwiedza.

— Ja — odezwał się ksiądz Andrzej. — Kobieta, którą tam pochowano, nazywała się Maria Herbert.

— Skąd ksiądz wie ? — zapytał Robert zaskoczony tak wyczerpującymi informacjami.

— Była moją babką. To ja dbam o jej grób. Nie patrzcie tak na mnie, to w końcu nie zbrodnia. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie, rzecz raczej chwalebna. Nie wiedziałem, że interesujecie się moją babką.

— Właściwie bardziej interesuje nas ta druga. Herbert i Herbst — mruknął Robert pod nosem. — Dobrze, że przynajmniej to się wyjaśniło. A kim jest Siegfried, jeśli faktycznie tak miał na imię?

— Moim dziadkiem. Pobrali się, gdy ona miała 30 lat.

— Była ładna? — chciała wiedzieć Ewa.

— Podobno bardzo — przyznał kapłan, nieco zdezorientowany dziwnym zestawem pytań. Ale, zaraz — postanowił zapanować nad chaotycznym przebiegiem rozmowy. — Powiedzcie mi, kochani, do czego zmierzacie?

— Chcieliśmy się upewnić, który grób należy do córki pastora.

— Po co? — dopytywał się duchowny, patrząc na twarze gości z ciekawością.

— Nie jestem pewna — Ewa popatrzyła na proboszcza bezradnie. — Może spodziewaliśmy się jakiegoś wyjaśnienia. Wiem, że to głupie. Gdyby ksiądz okazał się wnukiem Ottona... — rozmarzyła się. — Niestety nic z tego, skoro to ta druga była księdza babką.

— Jesteście niepoprawni — zaoponował kapłan rozbawiony jej wizją.

— Miał ksiądz plan — odpowiedział mu Robert — a kołatka ciągle wisi na księdza drzwiach. Czy to nie powód, by zacząć mieć wątpliwości?

— Żeby je rozwiać, opowiem wam o mojej rodzinie — proboszcz zamyślił się, jakby zbierał rozproszone wspomnienia.

— No dobrze — zaczął. — Moja babka... nie była córką pastora i... powtórzę to jeszcze raz: po mężu nazywała się Herbert, a z domu Schinkel. Maria Schinkel.

— Jak to się stało, że ksiądz nie jest Niemcem?

— Robert, po kolei.

— Oczywiście, przepraszam — odezwał się Robert i wykonał gest, jakby miał zamiar zalepić sobie usta. — Już milczę. Jak grób.

— Tylko nie grób — mruknęła Ewa — grobów ci u nas dostatek.

— Dobrze — ksiądz Andrzej znowu musiał zebrać myśli. — Moja babka, z domu Schinkel, była podobno piękną kobietą. Za dziadka wyszła jednak dopiero w wieku 30 lat, dlaczego tak późno, nie wiem. Ślub odbył się tutaj, bo oboje mieszkali w tej samej wsi, w roku 1892. W dwa lata później przyszedł na świat mój ojciec, jedyne dziecko Marii i Siegfrieda Herbertów. Nadali mu imię Franz. Był bardzo zdolnym człowiekiem, dziadkowie byli majątni, chcieli, by zdobył wykształcenie, dlatego wysłali go na studia do Berlina. Został lekarzem i zamieszkał tam na stałe. Jego matka zmarła, gdy miał 22 lata, ojciec — cztery lata później. Nie miał do kogo wracać. Długo był samotny. Ożenił się dopiero w 1933 roku, z Polką, która studiowała w Niemczech. Poznał ją podobno przypadkiem na jakimś spotkaniu naukowym, gdy ona była jeszcze na studiach. Mimo dużej różnicy wieku pobrali się, a wkrótce po ślubie wyjechali do Warszawy. To nie były spokojne czasy dla berlińczyków. W Polsce w 1935 roku przyszedł na świat mój brat Julian, a w 1938 roku urodziłem się ja. Niezbyt szczęśliwie, zważywszy wydarzenia następnych lat. Ojca rozstrzelano w Palmirach, mimo że był Niemcem. Nie pamiętam go. My przetrwaliśmy wojnę na wsi, u krewnych matki. Tam było bezpieczniej. Mój brat zmarł na zapalenie płuc jeszcze w czasie wojny.

Kiedyś matka opowiedziała mi o tym, że ojciec pochodził z Pomorza Zachodniego, pokazała jakieś stare zdjęcie. To była najkrótsza historia rodzinna, jaką słyszałem w życiu. Nigdy nie byłem w Kolicach, dopóki nie przeniesiono mnie tu na parafię. Mam już swoje lata i biskup odniósł się przychylnie do mojej prośby. Dostałem pusty dom, w którym dotąd mieszkam. Wcześniej zajmował go mój poprzednik. Kołatka wisiała na drzwiach, kiedy przyjechałem. Na cmentarzu odszukałem grób dziadków, byłem zdziwiony, że jeszcze istnieje. Powinienem go odnowić,

ale ciągle brak mi na to środków. Innych krewnych nie udało mi się odnaleźć. Nikogo o nazwisku Schinkel. To wszystko. Jak widzicie, nie ma tu miejsca dla żadnego Kleista.

Przez długą chwilę w ogrodzie panowała cisza, w której słychać było jedynie pracowite brzęczenie pszczół. Pierwsza odezwała się Ewa. Przypomniała jej się kartka, którą zapisała na cmentarzu i schowała do kieszeni. Sięgnęła po nią i podała Robertowi.

— To było napisane na nagrobku Herbertów. Przepisałam na wszelki wypadek, choć to pewnie nie ma znaczenia. Poza tym nie wszystkie litery udało mi się rozpoznać.

— Rzeczywiście, kilka wyrazów wygląda dziwnie — potwierdził Robert, rzucając okiem — i jakaś nietypowa składnia, pewnie dlatego, że stara. Ale to z psalmu: „Choćbym też chodził w dolinie cienia śmierci, nie będę się bał złego, bo ty jesteś ze mną” — wzruszył ramionami. — Dość typowe na cmentarzu.

— „Choćbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo ty jesteś ze mną” — zacytował ksiądz Andrzej współczesny przekład. — Na tym drugim nagrobku nie było żadnego napisu?

— Trudno powiedzieć. Nie było widać liter. Zupełnie się zatarły. Nie sądzę, by dało się odczytać.

— Możecie chociaż spróbować — powiedział proboszcz. — Jest taki sposób. Wystarczy papier, woda i miotła. — Popatrzyli na niego z niedowierzaniem, więc pospieszył z wyjaśnieniem: — Kilka lat temu specjaliści odnawiali wybrane nagrobki na naszym cmentarzu. Podejrzałem jedną z ich metod. Chyba nic się nie stanie, jeśli dla dobra sprawy podpowiem wam, jak ją wykorzystać.

Piotr nie lubił niedziel. Od zawsze i właściwie bez powodu, chociaż w istocie może powodów było zbyt wiele, by tracić czas na ich wymienianie. Dla Ewy żaden z nich nie miał większego znaczenia, nawet wtedy, gdy planowali wspólną przyszłość. Teraz też nie zamierzała się nad nimi zastanawiać. Po prostu przypomniała sobie o tym i postanowiła do niego

zajrzeć ze względu na to, co ich kiedyś łączyło. Żeby ten wieczór był odrobinę lepszy od innych niedzielnych wieczorów. Mimo wszystko miała dla Piotra tyle sympatii co dla bliskiego znajomego. Żadnych głębszych uczuć, jedynie bezinteresowną życzliwość.

Od dnia przyjazdu, a właściwie od chwili, gdy okazało się, że spędza z Robertem znacznie więcej czasu niż z nim, Piotr zachowywał się nieznośnie. Ciągłe utarczki słowne i ironiczne uwagi działały na Ewę przygnębiająco. Współczuła mu, ale była zdania, że sam jest sobie winien. Ona już nie mogła pomóc. Nie chciała z nim nawet o tym rozmawiać, przekonana, że powiedziała już wszystko w stosownym czasie, a później powtórzyła, gdy zbyt natarczywie zaczął wspominać o przeszłości. Właściwie to wyjaśnienie powinno wystarczyć, by przestał się jej czepiać, a na innych wyładowywać swoją frustrację. Ale jemu chyba nie wystarczyło. Ewa pomyślała, że spróbuje z nim normalnie porozmawiać. O niczym, jeśli trzeba będzie, to o pogodzie.

— Co słyhać? — spytała, siadając przy stole naprzeciw niego, opierając łokcie na stole.

— Nic dobrego — odparł, unosząc wzrok znad klawiatury laptopa. Był zajęty. Jego zdaniem praca zawsze była najlepszym sposobem na wszelkie bolączki ducha. Ewie zrobiło się go żal. Dlatego, że wydawał się zły na cały świat. I dlatego, że był samotny.

— Nie powinienes tyle pracować — powiedziała, obserwując, jak jego palce sprawnie się poruszają, wystukując tekst.

— A co, według ciebie, powinienem robić?

— Wyjść z tej dziupli, przejść się, porozmawiać z kimś.

— Z tobą na przykład? — zapytał z przekąsem. — No to siedzimy tu sobie i rozmawiamy. Dlaczego w ogóle obchodzi cię, jak spędzam czas? Ja przestałem się interesować twoim planem zajęć.

— Piotrze — powiedziała Ewa spokojnie, chociaż jego ton powoli zaczynał jej działać na nerwy — powiedz mi, co ty właściwie wyrabiasz?

Popatrzył na nią spod ściągniętych brwi, czujnym chłodnym spojrzeniem. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jak przed pojedynkiem, przed zrobieniem dziesięciu przepisowych kroków, każdy

w swoją stronę. Brakło sekundantów, którzy próbowaliby ich pogodzić, dlatego Piotr sam podjął ten wysiłek, chcąc złagodzić wcześniejsze słowa.

— Co się stało z Płomykiem, Ewo? — zapytał łagodnie, niemal z czułością. Pod jej wpływem w pamięci Ewy odżyły wspomnienia. Opanowała się jednak i tylko wzruszyła ramionami.

— Zgasł — odparła lakonicznie. Zielone oczy zmatowiały i pojawił się w nich nowy, twardy wyraz.

— Dlaczego?

— Ciekawe, że to ty mnie o to pytasz — powiedziała spokojnie, jakby czytała prognozę pogody na najbliższe trzy dni, podczas gdy tuż pod skórą czuła wzbierający głuchy gniew. Co go to wszystko obchodzi, do cholery? Jakim prawem o to pyta?

— Wszystko zrobiłem nie tak — pokręcił głową Piotr.

— Wszystko nie — zaprzeczyła zjadliwie Ewa. — Właściwie wszystko było w porządku, dopóki nie pojawiła się ta druga. Tuż przed naszym ślubem.

— Możemy o tym nie mówić? — rzucił przez stół Piotr tonem luźnej propozycji.

— Nie chcesz o tym mówić? — powtórzyła jego słowa. — Przecież sam zacząłeś, ja nie kazałam ci składać samokrytyki.

— Ewa — jego głos zabrzmiał prosząco — skąd w tobie tyle nienawiści?

Zastanowiła się.

— To nie jest nienawiść — odezwała się w końcu. — Przykro mi to mówić, ale nie budzisz we mnie aż tak intensywnych emocji.

Przyjął to po męsku.

— Więc o co chodzi?

— O wściekłość, mój drogi, o wściekłość, która przez te wszystkie lata nie znalazła ujścia. Nigdy nie mogłam ci tego wykrzyczeć w twarz. Załatwiłeś sprawę po mistrzowsku, w białych rękawiczkach. Te twoje oszczędne wyjaśnienia. „Wybacz, ale zakochałem się. Nie chcę cię ranić”

— przedrzeźniała jego sposób mówienia. — „Przy Beacie zrozumiałem, że nie możemy być razem. To dla twojego dobra”. Banał za banałem. I na końcu jej głos w słuchawce. Nie przerywaj mi, powtórzę jeszcze raz, chociaż mam wrażenie, że to zabrzmiało jak zdarta płyta. Ale widać tobie jest ciągle mało. Nie przyszedłem tu po to, by robić ci wymówki, bo dla mnie ta historia już dawno przebrzmiała. Chciałam pogadać, tak po prostu, w końcu po tym wszystkim trudno uznać, że jesteśmy sobie obcy, a prawie ze sobą nie rozmawiamy. I trzymałabym moją wściekłość na wodzy, gdybyś mi tutaj nie wyjeżdżał ze swoją skruchą i pokutą. Rozgrzeszenia nie będzie, bo nie zasłużyłeś. I nie myśl o mnie w kategorii kobieta. Ten etap mamy już za sobą. Teraz tylko razem pracujemy.

— Zrobiłaś się bardzo wymowna — zauważył Piotr trzeźwo, gdy zamilkła na dobre.

— Zależy od sytuacji — odcięła się.

— A dasz się czasem zaprosić na piwo?

— Po to żebyśmy się dalej kłócili nad kuflem i zapewniali rozrywkę całej wsi?

— To lepsze od telenoweli. Wiesz, że w wakacje idą same powtórki — uśmiechnął się Piotr pod nosem. — Wytrzymałem z nią pół roku — dodał, chociaż Ewa nie oczekiwała już żadnych wyjaśnień.

— I tak długo — zauważyła, jakby chciała się nad nim jeszcze trochę poznęcać. — Ładne, bezmózgie stworzenie. Dlaczego w takim razie nie odzywałeś się przez te wszystkie lata?

— A przyjełabyś mnie z powrotem?

— Nie — odparła zgodnie z prawdą — A chciałeś wrócić?

— Jak cholera — popatrzył na nią przeciągle.

— To dlatego mnie tu ściągnąłeś?

— Nie. Byłem przekonany, że mi przeszło. Teraz już nie jestem pewien.

— I co będzie? — Ewa patrzyła na niego badawczo.

— Dam sobie radę. Skoro seks z rudą kobietą nie wchodzi w grę, obejdę się smakiem — próbował zbagatelizować swoje słowa.

— To lubię — podsumowała Ewa — jak zwykle dzielny, nieugięty i twardy jak skała.

— Obiecay mi tylko jedno. — Piotr nieoczekiwanie zmienił nastrój na sentymentalny. Ewa zmarszczyła nos z niezadowoleniem.

— Co takiego?

— Możesz mniej czasu spędzać z Robertem?

— Nie widzę powodu.

— Ze względu na mnie. To mnie irytuje. Poza tym on jest studentem.

Ewa rzuciła mu spojrzenie Królowej Śniegu.

— Na szczęście nie moim — głos miała równie zimny jak wzrok. — Więc ten fakt nie ma żadnego znaczenia.

— Podoba ci się — upewnił się Piotr.

— Tego nie powiedziałam.

— Nie musiałaś. — Patrzył na nią smutnym wzrokiem pokonanego, który wie, że w gruncie rzeczy sam jest powodem własnej porażki. — Naprawdę dobrze cię znam.

— To moja sprawa — podkreśliła Ewa, zbierając się do wyjścia. — Zostaw i mnie, i jego w spokoju.

— Jak sobie życzysz. Ciekawe, że Robert nie tak dawno powiedział mi dokładnie to samo — powiedział w ślad za nią, kiedy już nie mogła go usłyszeć.

Idąc ciemną ulicą, między domami, w których o tej porze świeciły się nieliczne okna, Ewa zgrzytała zębami. Rozmowa nieco jej ulżyła, ale wciąż miała wrażenie, że nie powiedziała Piotrowi wszystkiego. Dupek, nazwała go w myślach, arogancki, egoistyczny cymbał. Powinna być wdzięczna tej czarnej dziewczoi, że pojawiając się, uchroniła ją przed popełnieniem największego życiowego błędu. Mimo upływu lat Ewa ciągle nie mogła zrozumieć, co Piotr w niej widział. Trzeba było go zapytać, powiedziała do siebie na głos, ciekawe, co też by odpowiedział. Uśmiechnęła się nie bez

złośliwości i kopnęła kapsel leżący na drodze. Potoczył się kilka metrów i upadł, jak zawsze ząbkami do góry. Z kapslami jest jak z kanapkami, przyszła jej do głowy myśl pozbawiona większego sensu, zawsze upadają ząbkami do góry, a kanapki masłem do dołu. Czy ktoś już wróżył z kapsla? Kopnęła go jeszcze raz. Ząbki do dołu — deszcz, pomyślała szybko, śledząc jego tor. Upadł tradycyjnie, ząbkami do góry. Zgadza się, na jutro zapowiadali trzydziestostopniowe upały w całym kraju. Czy nasza Maria od Ottona pomoże nam rozwiązać zagadkę? Nie — odpowiedział kapsel, który przez moment nie mógł się zdecydować, ale w końcu upadł znowu ząbkami do góry. Czy powinnam dać Piotrowi drugą szansę? Nie — kapsel tym razem nie miał kłopotów z podjęciem decyzji. Ewa poczuła, że w pełni się z nim zgadza. Czy znajdziemy to, czego szukał Otto, odważyła się zapytać. Wstrzymała oddech, bo kapsel balansował nieskończenie długą chwilę na krawędzi, po czym niespodziewanie upadł ząbkami w dół, zdradzając swoją tożsamość. Nie do wiary. Zabawa wciągnęła Ewę bez reszty. Czy Robert... zaczęła się zastanawiać nad tym, jak sformułować pytanie, gdy usłyszała tuż obok jego głos. Widać pani Krystyna zamknęła bar i wysłała archeologów spać.

Robert zatrzymał się przy Ewie, podczas gdy pozostali minęli ich i poszli w kierunku szkoły, dyskutując o czymś z ożywieniem. Patrzył na nią z nieszczęśliwą miną, zazdrosny o czas, który spędziła z Piotrem. Nie dlatego, że rozmowa mogła zmienić ich wzajemne stosunki. Wyjaśnienie było o wiele prostsze. Każdą minutę, którą poświęcała komu innemu, odczuwał jak osobistą stratę. Bardzo niewygodne uczucie, uznał, gdy już je zdefiniował, i zupełnie niemęskie. Powinien na widok jej rudych włosów uciec tam, gdzie by go nie znalazła, i nigdy, przenigdy nie dać się wyciągnąć na wspólne oglądanie klasztoru. Teraz na ucieczkę było już za późno. Pozostało mu zaakceptować układ sił i wierzyć w szczęśliwe zakończenie. Jak w filmie, pomyślał jeszcze, i to z gatunku tych, których w życiu nie obejrzałby z własnej woli.

Ewa udawała, że pochłania ją oddalająca się wymiana zdań. Uparcie unikała spojrzenia pociemniałych od nocy oczu stojącego przed nią mężczyzny. Tymczasem obiektów, na których mogła skupić wzrok, było

coraz mniej. Studenci znikli z pola widzenia. Zaczarowany kapsel, któremu nie zdążyła zadać ostatniego pytania, leżał pod jej stopami i szyderczo błyskał, jakby pokazywał zęby w uśmiechu. Zgasło światło w jednym z okien i Ewa przestała go widzieć. Serce biło jej nierówno, jakby nieznany muzyk wygrywał na nim *Marsz turecki*. Miała ochotę je przytrzymać, żeby zwolniło bieg, bo nie nadażała za nim z oddechem. Czuła, że za chwilę stanie się coś nieodwracalnego, czemu nie będzie umiała się oprzeć.

— Ewa — powiedział cicho Robert. Zrobił krok i objął ją mocno, opierając brodę o jej czoło. Zatrzepotała jak ptak i znieruchomiała, czując, jak ogarniają spokój. Przeszłość stopiła się z mrokiem i przestała straszyć swoimi upiorami.

— Muszę ci coś powiedzieć — zaczęła, ale ją powstrzymał.

— Nie musisz. Nie teraz.

Całowali się zachłannie, stojąc na środku drogi, za jedynych świadków mając żywopłoty i cierpiące na bezsenność psy. Szukali się miękkimi wargami z zapalczywością nastolatków, którzy robią to po raz pierwszy w życiu, nagle pogodzeni ze sobą, zjednoczeni tym samym pragnieniem. Włosy Ewy zaplątały się Robertowi między palce jak gałązki bluszczu. Ich zapach był tak intensywny, że czuł go na języku i miał wrażenie, że zanurza dłonie w jego gładką, połyskliwą głębię. Oboje zagubili się we wzajemnej bliskości, a noc mijała ich, stąpając cicho i patrząc przychylnie na porozumienie, które zawierali w najcichszej godzinie doby.

Dzień ósmy

Wszystko wskazywało na to, że Piotr zamierza zamienić ten dzień w koszmar. Nie wiadomo dlaczego, zrobił pobudkę już o szóstej rano, krzycząc, że z powodu upału zaczną pracę godzinę wcześniej niż zwykle i godzinę wcześniej skończą.

— Akurat — mruknął Siwy przez opary snu, znając szefa jak zły szeląg. — Będziemy pracować do oporu.

— Przecież jest opóźnienie. Tak wczoraj powiedział, kiedy ty byłeś zajęty tkaniem swego szczęścia — powtórzył mu Wódz wczorajszy komentarz Piotra.

Siwy udał, że śpi, by nie wdawać się w rozmowę. Wyczuwał, że przyjaciel chciałby zagadnąć go o Dorotę, a o niej nie zamierzał rozmawiać.

— Nie udawaj, Siwy, wiem, że nie śpisz — mruknął Wódz i przekreślił się z gracją na dmuchanym materacu.

Przeraźliwy dźwięk, ni to skrzypienie ni trzask, jaki rozległ się, gdy poruszył swe ogromne ciało, obudził Roberta, który wrócił późno, półprzytomny ze szczęścia i długo nie mógł zasnąć, a gdy zapadł w sen, śnił o Ewie — Tytanii, z listowiem we włosach, w jakiejś miękkiej, niemal przezroczystej szacie. Westchnął, otwierając oczy i obraz rozsypał się jak domek z kart. Zapatrzył się w ścianę tęnym lunatycznym wzrokiem. Kadry ze snu wracały do niego uparcie jak odbita piłeczka pingpongowa. Miękką linią piersi, krzywizna bioder. Westchnął po raz drugi. Wódz znowu zaskrzypiał i popatrzył na niego zaniepokojony.

— Dobrze się czujesz?

— Uhm — mruknął Robert, unikając jego wzroku.

— Boli cię coś? — troskliwość Wodza zaczynała wymykać się spod kontroli.

— Nie. Nie męczę, Wodzu.

— Aha. Dobra — odparł Wódz wcale nieuspokojony. — Tylko pytałem.

— Czy możecie podnieść wreszcie zwłoki i zacząć przygotowywać się do wyjścia? — do pokoju znowu wtargnął Piotr. — Czy ja dożyję dnia, w którym wstaniecie po pierwszej pobudce?

— Nie sądzę — odparł Tomek w zadumie, nie zmieniając pozycji horyzontalnej ani o centymetr i wytrwale eksponując swój chudy tors przywodzący na myśl charta afgańskiego.

— Tomek — indyczył się Piotr — za piętnaście minut macie być po śniadaniu.

— Dobra, dobra, zrób mi kawę, kochanie — wymamrotał Jacek, po czym wystawił głowę spod śpiwora i zobaczył wpatrzonych w siebie oczu kolegów, a w nich wyraz niemej uciechy.

— Coś przeoczyłem? — zapytał rozspanym głosem. Przez dwa dni siniaki na twarzy nieco przybladły i zmieniły kolor na fioletowy, a rozcięty łuk brwiowy zaczynał się zablizniać. Mimo to koledzy za każdym razem na nowo przyzwyczajali się do tego widoku.

— Nie, kochanie. — Marcel nie mógł się opanować. — Zaraz podam kawę.

— Że jak? — nie zrozumiał Jacek.

Piotr machnął ręką i wycofał się z pokoju, przeklinając studentów w duchu za ich niefrasobliwość i cały ten cyrk, w którym musiał co rano uczestniczyć.

— Lepiej wstańmy — zaopiniował Marcel rozsądnie. — Inaczej gotów nam uprzyjemnić życie do końca wykopalisk. A tego byśmy nie chcieli.

— Nie, raczej nie — potwierdzili zgodnie.

— To co z tą kawą? — chciał wiedzieć Jacek. — Będzie czy nie?

— Wstań, kochanie, to sam sobie zrobisz — zaproponował mu Wódz, podnosząc się z materaca. Koledzy nie mogli się zorientować, czy towarzyszącym tej czynności dźwiękom winien jest materac czy trzeszczące w stawach kości Wodza.

Dzień dłużył się jak rzadko kiedy. Słońce prażyło niemiłosiernie i w narastającym upale sień kościoła wydawała się wszystkim oazą cienia i chłodu. Chronili się w niej na zmianę, robiąc sobie dziesięciminutowe przerwy. Robert wykorzystał moment nieuwagi Piotra i poszedł do kościoła zaraz za Ewą. Tam zapędził ją pod samą ścianę, a gdy przyłgnęła plecami do jej zimnej powierzchni, zaczął całować, nie zwracając uwagi na jej protesty.

— Wariuję za tobą — mówił między pocałunkami, przyciskając ją mocniej do siebie — szaleję. Śniłaś mi się. Od takich snów człowiek może dostać pomieszania zmysłów.

— Nie przesadzasz? — odepchnęła go lekko.

— Nie — zajrzał jej w oczy. — Mówię samą prawdę.

— Sza — uciszyła go. — Nic nie mów. Tak będzie lepiej. — Przytuliła się do niego ufnie, całym ciałem i stali tak przez chwilę, która mogła trwać kilka sekund, a może kilka minut i trwałaby zapewne dłużej, gdyby Ewa o czymś sobie nie przypomniała. Wsunęła dłoń do przepastnej kieszeni krótkich spodni i pobrzękując, wyjęła stamtąd komplet kluczy, który dostała od proboszcza tego dnia, gdy przetrząsali szafę w kancelarii parafialnej.

— Nie oddałaś? — zapytał Robert zaskoczony, a ona potrząsnęła głową, bo rozbawiła ją jego zgorszona mina.

— Przecież ma drugi komplet.

— Cudownie — mruknął pod nosem.

— Wejdziemy? — Ewa wskazała głową przeszklone drzwi wiodące do nawy, o tej porze dnia z pewnością zamknięte na klucz.

— Po co? — spytał Robert, bo nie podobała mu się perspektywa zmiany pozycji związana z koniecznością wypuszczenia Ewy z objęć.

— Zapomnieliśmy o krypcie. Nie chcesz zobaczyć, co jest w środku?

— Z opisu Ottona wynika, że nic szczególnego.

— Nie szkodzi — nie rezygnowała Ewa. — Nawet jeśli to prawda, ile krypt oglądałeś w życiu na własne oczy?

Ten argument go przekonał. Wyrzwał na zewnątrz, by sprawdzić, czy nikt się nie zbliża, a w tym czasie Ewa odnalazła właściwy klucz. Szybko wślizgnęli się do środka i zamknęli za sobą drzwi.

— Nie mamy latarki — zorientował się Robert, kiedy Ewa klęcząc na posadzce, zaczęła dotykać każdej płyty z osobna, szukając wejścia do podziemi.

— Weź świecę, z tych które zapala się na intencję przy bocznym ołtarzu. I zapal od razu, na pewno jakaś się świeci. Wróc zaraz, bo sama nie dam rady jej podnieść — dodała, mając na myśli jedną z płyt, o bardziej wytartych brzegach.

Płyta była dość ciężka, ale w końcu drgnęła, kiedy ją podważył, i przesunęła się z głośnym, nieprzyjemnym zgrzytem. Robert wyprostował się i stanął obok Ewy. Przez chwilę oboje patrzyli w głąb czarnego otworu, w którym widać było kilka kamiennych stopni wiodących w ciemność.

— Nie boisz się pajaków ani szcurków, ani innych dziwnych stworzeń, na przykład nietoperzy? — upewnił się Robert przed zejściem w dół.

— A widziałeś kiedyś nietoperza pod ziemią?

— Cóż — zaczął niepewnie — nigdy nie byłem w żadnej innej krypcie, jeśli o to ci chodzi.

— Robercie — Ewa energicznie zrobiła krok i stanęła na pierwszym schodku — wkurzasz mnie. Nie boję się zwierząt. Żadnych — podkreśliła. — W porządku? Nie boję się też ciemności, przestrzeni, wysokości i nie mam klaustrofobii. Czy to cię uspokaja? Z łaski swojej trzymaj tę świecę wyżej i chodź. Albo nie, lepiej ja ją wezmę.

Powietrze w korytarzu było lepkie i tak gęste, że dałoby się kroić na kawałki. Unosił się w nim wszechobecny zapach kurzu i pleśni.

— Prawdziwe szczęście — mruknął Robert na tyle głośno, by Ewa go usłyszała — że jestem w towarzystwie tak odważnej kobiety. I w dodatku pięknej. I zgrabnej — dodał, przyglądając się z upodobaniem jej smukłej sylwetce. — Inaczej dawno bym spanikował w tak pięknych okolicznościach przyrody.

— I niepowtarzalnych — dobiegł go z mroku głos Ewy, która należała do wąskiej grupy kinomanów lubiących polskie filmy. — Zamknij się, dobrze? I patrz pod nogi, bo jak na mnie wpadniesz, oboje zabijemy się, spadając ze schodów. I w dodatku podpalimy kościół.

— To tylko dziesięć stopni, moja droga, tylko dziesięć — Robert przystanął i przyjrzał się powierzchni schodów, licząc na to, że coś zauważy. Były wytarte, miejscami wyszczerbione i popękane. Pajęczyny, o których pisał Otto, dało się zauważyć wszędzie, w załomach ścian i schodów, między stopniami, przy suficie. Przebiegały po nich zaskoczone blaskiem płomienia, nad wyraz okazałe, ośmionogie potwory.

— To naprawdę pająki? — wzdrygnął się Robert z obrzydzeniem, rozgniatając butem jakiegoś samobójcę, który opuścił pajęczynę i na oślep rzucił się do ucieczki. — Czym one się żywią, sterydami? Ohyd! — Przez kilka długich chwil badał każdy stopień z osobna. — Żadnych skrytek, przesuwanych ścian, dźwigni, przycisków i tym podobnych — zameldował czekającej na wynik jego oględzin Ewie. — Właściwie sam nie wiem, czego się spodziewałem.

— Spójrz na to od drugiej strony. Nie ma też pojawiających się znikąd pił tarczowych, olbrzymich kamiennych kul, które mogłyby nas przygnieść, i zapadających się płyt w posadzce. I może nikt nie będzie chciał nas spalić żywym ogniem...

— Bardzo śmieszne.

Ruszyli powoli wąskim korytarzem, starając się nie zaczepiać głowami o zwisające jak girlandy pajęczne nici. Było chłodno, a jednak mimo to już po chwili oboje poczuli, że są spoceni. Wentylacja, pomyślał Robert, skąd mieliby wiedzieć, że coś takiego w ogóle istnieje. Minęli miejsce, gdzie korytarz lekko skręcał i po chwili znaleźli się u celu. Uderzył ich spokój tego miejsca i absolutna cisza, w której słychać było tylko ich oddechy.

— Czuję się jakoś nieswojo — przyznała się Ewa szeptem, nagle się zatrzymując i patrząc na majaczące niewyraźnie w tańczącym świetle świecy płyty sarkofagów. — W końcu to cmentarz.

Robert wszedł między kamienne skrzynie na szybki rekonesans. Z każdą sekundą wydawał się coraz bardziej zdezorientowany.

— Cmentarz jak cmentarz — powiedział w końcu, patrząc na Ewę bezradnie. — Śpią snem wiecznym i nic nam raczej nie powiedzą. Chodź, zobacz.

Posłuchała go i zbliżyła się do pierwszego sarkofagu. Prosta kamienna bryła bez żadnych znaków czy liter. Przesunęła dłonią po chłodnej, chropawej powierzchni i zrozumiała, że pierwsze wrażenie było mylące.

— Coś jest na niej napisane, ale litery są bardzo wytarte. Nie odczytamy tego, na pewno nie w tym świetle. Myślisz, że moglibyśmy je otworzyć? — spojrzała na Roberta pytająco.

— Nie wydaje mi się, bo i po co. Poza tym musielibyśmy mieć pozwolenie. Żaden konserwator nie uwierzy w to, że tutaj też ma iść centralne ogrzewanie. Krypta jest nienaruszona, nie ma powodu zakłócać spokoju zmarłych.

— Szkoda — powiedziała Ewa do siebie, gładząc wieko kolejnej skrzyni. — Są takie tajemnicze. A jeśli w nich znajduje się jakaś wskazówka?

— Jaka? Tu jest kompletnie ciemno. Nie ma mowy o żadnym cieniu poza naszym własnym.

— Ale przecież schodów było dziesięć?

— I co z tego? Może to jakaś ulubiona liczba cystersów. To nie powinno być tak zagmatwane — westchnął zniechęcony. — W tych sarkofagach na pewno leżą znamienite osoby.

— Opaci?

— Nie wiem. Cysterskie kapituły generalne, obowiązkowe dla wszystkich opatów i zwoływane co roku 14 września, w dniu Podwyższenia Krzyża Świętego, kilkakrotnie zakazywały chowania opatów w obrębie kościoła. To miejsce zarezerwowane było dla panującego i biskupów, ale często zakaz pozostawał zakazem tylko na papierze. Dlatego może pochowano tu opatów, a może znaczniejsze osobistości, które cieszyły szacunkiem, jeśli nie czcią, zwłaszcza te

bardziej świątobliwe — zastanowił się, nim podjął wątek. — Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby wykorzystać miejsca ich pochówków w jakichś podejrzanych szaradach. Zmarłym należał się spokój, który starano się im zapewnić. Od tamtej pory nic się nie zmieniło i podobnie my robimy dzisiaj. Poza tym dotychczasowe wskazówki znajdowały się w miejscach łatwo dostępnych, właściwie wcale nie były ukryte. To bardzo sprytne, bo dzięki swej pozornej jawności mogły zostać zbagatelizowane przez przypadkowego odkrywcę. Niewykluczone, że były przeznaczone dla konkretnej osoby, także należącej do zakonu cystersów.

— I dla niej ukryto plan w filarze? — w głosie Ewy Robert usłyszał powątpiewanie.

— Plan z Lehnin ukryty w tutejszym kościele mógł być wskazówką. W końcu wszystkie kościoły cysterskie były do siebie podobne — co za różnica Lehnin czy Kollitz, skoro tylko ten plan zakonnicy mieli pod ręką. W rzeczywistości liczył się mur zaznaczony grubszą kreską.

— Tak myślisz? Nie bardzo rozumiem, po co tyle zachodu — nie wytrzymała Ewa, która dotąd słuchała wywodu Roberta w milczeniu.

— Ja też nie — zgodził się z nią. — Ale wiek XVI był dla cystersów na tym obszarze bardzo trudny. Wiele klasztorów przestało istnieć, a ten właśnie do nich należał. Może te dwie sprawy — kasata i biblijne cytaty mają ze sobą związek? Oczywiście zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że idąc śladem Ottona, zeszlismy na manowce, a tajemnicę sobie wymyśliliśmy, ulegając jego sugestiom. Może warto zacząć przyzwyczajając się do myśli, że to już koniec historii. Otto niczego nie znalazł, a później go zamordowano. Nie znajdziemy kartki z wyjaśnieniem, czego szukał w walącym się klasztorze i kto jest mordercą: „Droży poszukiwacze, zabił mnie ten i ten n-tego lipca, a może sierpnia Anno Domini 1884. Jako powód podał, co następuje. Łączę wyrazy szacunku. Otto K.” Zamiast tego mamy kilka bardziej skomplikowanych tekstów, ale one nam nie wystarczą.

Popatrzył na nią łagodnie. W nikłym świetle płomienia jej skóra była złota, a włosy zyskały ciemny, miedziany odcień. Ja już osiągnąłem swój

cel, miał ochotę jej powiedzieć, i dopóki będę z tobą, nie obchodzą mnie żadne zagadki tego świata, ani te czekające na rozwikłanie, ani te będące jedynie wytworem bujnej wyobraźni. Musisz się z tym pogodzić.

Nie zrobił tego jednak. Pogłaskał Ewę po twarzy i odebrał jej świecę.

— Wracajmy na górę — powiedział tylko i poszedł przodem.

Z kościoła wyszli osobno, Ewa ruszyła okrężną drogą wokół budowli, wąską smugą cienia przy północnej ścianie. Robert poszedł prosto, wzdłuż wykopu. Nerwowo zerkał przy tym na zegarek. Nie było ich ponad godzinę. Na szczęście chyba nikt tego nie zauważył, zorientował się, widząc, że prace trwają w najlepsze. Już z daleka słychać było Piotra, który wyrzucał z siebie słowa donośnym głosem:

— Co tam masz, Siwy, czemu się z tym tak guzdrzesz? Ile czasu można odsłaniać klatkę piersiową?

Robert uznał, że przyjaciel, bo wciąż tak o nim myślał, mimo że wydarzenia ostatnich dni zaważyły na ich kontaktach, robi się coraz bardziej nieprzyjemny. Nie przypuszczał, że może być aż tak apodyktyczny.

— Czasem długo — odparował Siwy — jeśli chce się to zrobić naprawdę dobrze. Jak masz ochotę zobaczyć, to się tu pofatyguj, a nie krzycz z drugiego końca wykopu.

W jego głosie Robert usłyszał nutę, która kazała mu przyspieszyć. Zupełnie jakby Siwy chciał powiedzieć: czegoś takiego jeszcze nie widzieliście. To samo dotarło chyba do Piotra, bo znalazł się przy Siwym szybciej niż Robert.

— O cholera — odezwał się Piotr z podziwem — piękna. Naprawdę przepiękna. — Stał tak dłuższą chwilę oczarowany widokiem, aż Siwy zaniepokojony jego milczeniem odwrócił się, by zobaczyć wyraz jego twarzy.

W niewielkiej jamie grobowej spoczywał szkielet dziecka, zapewne kilkuletniego, ocenił Robert, gdy już stanął obok Piotra i zajrzał Siwemu przez ramię, ale to z całą pewnością musiałaby ocenić Ewa. Kości były w

złym stanie, najlepiej prezentowała się czaszka i kości długie nóg. Prawdopodobnie była to dziewczynka, biorąc pod uwagę to, co miała na sobie, musiała być córką jednego z bogatszych mieszkańców wsi. Na jej szyi i między drobnymi jak u ptaka, tylko częściowo zachowanymi żebrami widniał błyszczący w słońcu naszyjnik, złożony z kilku, jeśli nie kilkunastu sznurów paciorków. Większość z nich wykonano z błękitnego szkła, a przechodzące przez nie światło sprawiało, że wydawały się przezroczyste jak lzy. Robert nie wiedział, ile ich było, może pięćdziesiąt, a może sto, nawet nie próbował liczyć. Nanizane na nitkę pyszniły się na wątlej dziecięcej piersi jak królewska kolia. Między nimi złożyły się kuleczki o ciepłej barwie palonego miodu i średnicy nie przekraczającej pięciu milimetrów. Wyglądały na zrobione z bursztynu. Tych było znacznie więcej, na pewno powyżej setki, pomyślał Robert, kontemplując znalezisko. Oprócz błękitnych i złotych błysków zdarzały się jeszcze ciemnofioletowe — paciorki o wrzecionowatym kształcie, zapewne także szklane. Wśród barwnych paciorków, jakby ich było mało, błyszczały metalicznie niewielkie wisioriki w kształcie ozdobnych krzyżyków.

— W życiu nie widziałem czegoś takiego — powiedział Robert wpatrzony w małą postać częściowo ukrytą jeszcze pod cienką warstwą piasku.

Siwy i Piotr z trudem oderwali wzrok od szkieletu i popatrzyli na siebie. Miny mieli nietęgą, Piotr zafrasowany rzucił okiem na zegarek. Wskazywał godzinę piętnastą. Zgodnie z poranną obietnicą powinien kazać zebrać sprzęt i zarządzić powrót do szkoły. Kilka godzin więcej na tej pozbawionej cienia pustyni groziło zbiorowym udarem. Zaklął szpetnie.

— Dlaczego takie znaleziska zawsze trafiają nam się pod koniec dnia pracy? — zapytał retorycznie.

Była to prawda. To samo przechodzili na wszystkich wykopaliskach, w których zdarzyło im się brać udział. Najciekawsze obiekty, najlepiej wyposażone groby, nietypowe pochówki wymagające bardziej szczegółowej dokumentacji zawsze pojawiały się na powierzchni dobrze

po południu, często były widoczne tylko na profilach lub w narożnikach i ich przebadanie wymagało poszerzenia wykopu. Nierzadko zdarzały się sytuacje skrajne, gdy odkrywali je w ostatniej chwili, na dzień przed wyjazdem. Wówczas decyzja, czy poszerzyć wykop, czy tylko nanieść obiekt na rysunek, opisać i zostawić do następnego sezonu, była bardzo trudna. Zdarzało się to bez przerwy, nie wiedzieli, czemu właściwie ciągle tak ich to dziwi. Grób Ottona też zobaczyli na profilu, a to dziecko? Powinni się cieszyć, że trafiło im się w połowie badań.

— Nie denerwuj się — odezwał się do Piotra Robert — bo wygląda to tak, jakbyś nie znał realiów. Pierwszy raz ci się zdarzy, że wyjmiesz obiekt następnego dnia? Co za problem?

— A jeśli jutro tu przyjdziemy i ona już nie będzie miała tego na szyi?

— Nie przesadzaj. Tutejsi ludzie są uczciwi, a proboszcz cieszy się ogromnym poważaniem. Kto by kradł pod kościołem? Prędzej by się wystraszył, że go dosięgnie boska sprawiedliwość.

— To fakt — wtrącił się Siwy — jak kości trochę podeschną, przykryje się folią i przysypie luźnym piaskiem, żeby jej nie było widać i laik się nie zorientuje. A księdzu Andrzejowi się powie, żeby zerknął po wieczornej mszy, czy wszystko w porządku.

— Może macie rację. — Piotr w zamyśleniu tarł zarośnięty podbródek. Przez poranne zamieszanie i pobudkę, którą musiał powtarzać kilka razy, nie zdążył się ogolić. — Martwi mnie jeszcze ten gość z wykrywaczem. Ale jeśli do tej pory nie dał znaku życia, może przeniósł się w inną okolicę. Siwy, oczyść ją jak najlepiej. Masz na to pół godziny, a potem zabezpiecz, tak jak mówiłeś. — Siwy kiwnął głową. — Zanim Siwy ją przykryje — zwrócił się do Roberta — zrób kilka zdjęć całego szkieletu, koniecznie ze skalą.

Robert skrzywił się, Piotr miał zwyczaj przypominać o sprawach oczywistych. Wszystkie pochówki były fotografowane ze skalą, numerem, skrótem nazwy stanowiska i strzałką wskazującą północ.

— Zrób też kilka zbliżeń głowy. Jeśli coś się stanie do jutra, będziemy mieli przynajmniej część dokumentacji. Gdzie jest Dorota?

Siwy wskazał podbródkiem kościelny przedsionek. W tej samej chwili Dorota wyłoniła się zza rogu, jakby miała ukryte zdolności telepatyczne.

— Dorotka — zawołał Siwy — chodź do nas. Potrzebujemy twoich sprawnych rąk.

Przyspieszyła kroku, a kiedy się z nimi zrównała, spojrzała na Piotra pytająco. Później przeniosła wzrok na Marcina i w jej oczach na chwilę pojawiła się czułość. Piotr patrzył zdumiony, bo nigdy wcześniej jej tam nie widział. Robert uśmiechnął się do niego, mrugnął porozumiewawczo i poszedł przygotować sprzęt fotograficzny.

— Posłuchaj — zwrócił się do Doroty Piotr, gdy już otrząsnął się ze zdumienia. — Przerysuj sobie szybko plan jamy na drugą kartkę. Jak Siwy skończy z grubsza odsłaniać szkielet, wrysujesz na plan kilka najważniejszych punktów, zarys czaszki, obojczyki, końce kości długich, rozstaw miednicy. Dzisiaj nie damy rady jej wyciągnąć, a gdyby do jutra ktoś ją zniszczył, będziemy mieć przynajmniej kilka punktów pomiarowych i zdjęcia Roberta. To wystarczy, żeby odtworzyć usytuowanie całego szkieletu. Masz mało czasu, więc zrób to szybko.

— Czyli jak zwykle — powiedziała Dorota, patrząc na niego kpiąco czekoladowymi oczami. — Powtarzasz mi to za każdym razem.

— Być może — skapitulował Piotr i oddalił się na zachód, by uniknąć dyskusji.

— Zostaw mnie samego na dwadzieścia minut — zażądał Siwy, patrząc na cień, jaki rzęsy Doroty rzucały na złotobrazowe policzki. — Zawolałam cię. W przeciwnym razie nic nie zrobię, bo cały czas będę na ciebie patrzył.

— Jak chcesz — zgodziła się potulnie. Od tego wieczoru, gdy Marcin będąc w stanie wskazującym na spożycie, odbył z nią pamiętną rozmowę, nie umiała rozstrzygnąć, jakie uczucia w niej budzi. Lubiła z nim przebywać, od kilku dni spędzali razem więcej czasu. Siwy był błyskotliwy, zabawny, ujmujący, jeśli chciał, a przede wszystkim bardzo zakochany. Dorota łapała się na tym, że coraz częściej mu się przygląda, że podoba jej się jego myślące czoło, jasne szczere spojrzenie. Doszła do

wniosku, że ma ładne usta i dłonie pianisty. Na razie jednak poprzestawała na tych spostrzeżeniach i nie szukała dla nich wytłumaczenia. W końcu już raz uległa fascynacji, która okazała się pomyłką. Pomyślała z niesmakiem o tej historii i przypomniały jej się oczy Roberta poddańczo wpatrzone w panią antropolog. Ciągłe nie potrafiła jej polubić. Z Siwym było zupełnie inaczej. Jeżeli coś miało z tego być, lepiej było zostawić wypadki ich naturalnemu biegowi. W głębi duszy czuła, że dotyka szczęścia opuszkami palców. Jeszcze się bała nabrać go w dłonie, ale wiedziała, że kiedyś się odważy. Przewidywanie bliskości tej chwili sprawiało, że czuła się lekka i miała wrażenie, że zamiast stąpać, unosi się kilka metrów nad ziemią. Stan ten przypominał czekanie na niezwykle prezent, który się miało z całą pewnością dostać. Dorota uśmiechała się do siebie bezwiednie, nie widząc przed sobą nic i nikogo.

Ewa była blisko północnego ramienia transeptu, kiedy pojawił się przed nią Wiking. Ubrany nienagannie w beżową koszulę safari z krótkim rękawem i o ton ciemniejsze spodnie sięgające kolan wydawał się uosobieniem swoistej wakacyjnej elegancji i Ewa nie mogła tego nie docenić. Zawsze przywiązywał nadmierną wagę do stroju. Dzięki temu czuł się pewniej i robił duże wrażenie na kobietach.

— Proszę, proszę — powiedział teraz nienaganą polszczyzną, w której nie pobrzmiwał nawet ślad niemieckiego akcentu. — Nie informowałeś mnie o swoim nowym przyjacielu. A może to przelotna znajomość? — zapytał, mrużąc oko i uśmiechając się kpiąco. — Wczoraj w nocy nie wyglądała na przelotną.

— Nie twoja sprawa. Ta miejscowość jest zbyt mała dla nas dwojga — odparła Ewa, starając się go ominąć, ale przytrzymał ją za rękę. Uścisk był mocny, prawie bolesny.

— Nie, dopóki jesteś moją żoną. — Mężczyzna zacisnął palce i Ewa przestała się wyrywać. Nie chciała się nabawić siniaków.

— Byłą żoną — uściśliła chłodno, starając się ukryć odrazę. Nie chciała, by jej dotykał. I nie chciała mieć z nim nic wspólnego. — W dodatku od początku wiedzieliśmy, że to była pomyłka.

— Rozprawa jeszcze się nie zakończyła — przypomniał jej ze złośliwą satysfakcją.

— To kwestia czasu — rozejrzała się niespokojnie, ale żaden z archeologów nie miał czasu, by zapuścić się w półmrok panujący po tej stronie kościoła. Nie było świadka ich rozmowy. Nie było też osoby, która mogła pomóc w jej zakończeniu.

— Robimy wspólnie interesy — przypomniał jej. — Tak mi się przynajmniej wydawało. Ale ty chyba zmieniłaś zdanie.

— Miałaś czekać w Szczecinie, aż dam ci znać.

— Problem w tym, że nie zamierzałaś tego zrobić. Dlaczego wyłączyłaś telefon?

— Chciałam sobie zrobić wakacje. Możesz mi powiedzieć, po co przyjechałaś?

— Zakończyć sprawę, którą wspólnie zaczęliśmy.

— Wszystko zepsujesz, Tomasz — rzuciła, próbując się uwolnić. Jednak on wciąż ją trzymał i Ewa pomyślała, że na zawsze zapamięta jego skłonność do stosowania przemocy. Do demonstrowania swojej siły i pokazywania, że to on powinien mieć ostatnie słowo. To była bardzo prosta filozofia życiowa. Prawo dżungli.

— Co zepsuję? — Spojrzał na nią ostro. — Twój dobrze zapowiadający się romans? Widzę, że znalazłaś sobie nowego współnika. Mam pozwolić, byście obydwójcie mnie okpili?

— Jego w to nie mieszaj.

— Nie mieszać, mówisz. Dobrze — zgodził się nieoczekiwanie Tomasz. Na jego opalonym czole pojawiła się pionowa zmarszczka, a żuchwa stała się wyraźniej sza i bardziej kanciasta, gdy zacisnął zęby. — Oddaj mi te klucze — zażądał nagle.

— Jakie klucze? — Ewa próbowała grać na zwłokę, ale mężczyzna podsłuchał dość, by upierać się przy swoim.

— Te, których nie oddałaś proboszczowi. Nie próbuj się wykręcać. Słyszałem, co mówił twój kochaś.

— Nie mam kluczy — odparta zgodnie z prawdą i na jej twarzy odmalowała się ulga. — Zostały w kieszeni Roberta, po tym jak zamknęliśmy kościół. Zatrzymałeś niewłaściwą osobę.

Tomasz zrozumiał, że mówi prawdę. Co się odwlecze, to nie uciecze, pomyślał, miał dużo czasu. I był bardzo cierpliwy.

— Postaraj się je zdobyć. Bardzo by mi się przydały.

— Nie widzę powodu, dlaczego miałabym to robić. Zostaw mnie w spokoju — odparła Ewa twardo i znowu zaczęła się szamotać. Te wysiłki były jednak bezowocne. Tomasz trzymał mocno jej obie ręce. Drugą ręką uniósł jej podbródek do góry i zmusił, by na niego popatrzyła.

— Odkąd to spokój jest twoim żywiołem? — zapytał szyderczo. — Nie szarp się, nie chcę ci zrobić krzywdy, tylko wymienić się informacjami. Tak jak uzgodniliśmy. Proponuję ci transakcję, kochanie. Klucze za dopuszczenie do spółki. I puszczam w niepamięć twoje niepokojące tygodniowe milczenie.

— Nie wierzę ci.

— Twoja strata. Ale przyznaj, że do tej pory byłem wobec ciebie uczciwy.

— Na swój sposób. — Ewa uśmiechnęła się z przymusem.

— Dość specyficznie pojmujesz uczciwość...

— Ale nigdy ci niczego nie brakowało, prawda?

— Może poza szczerością.

— Nie używajmy słów z wyższej półki — zaproponował łagodnie.

— Uczciwość to też słowo z wyższej półki — wytknęła mu.

— Puść mnie, bo zacznę krzyżeć — prychnęła gniewnie, ale Tomasz tylko popatrzył na monumentalną bryłę kościoła i nic nie powiedział. Jej groźba nie zrobiła na nim wrażenia.

— Krzycz — powiedział w końcu. — Może przybiegnie tu twój rycerz. Chętnie skuję mu buziuchnę. W dodatku jako mąż będę miał do tego prawo. Zdziwi się, jak się dowie.

Ewa zamilkła. Nie czuła strachu, tylko wstręt. Uczucie tak samo nieprzyjemne, ale łatwiejsze do opanowania. Tomasz był od czasu do

czasu złodziejem, przemytnikiem, nielegalnie handlował dziełami sztuki i potrafił nie tylko łamać, ale i obchodzić prawo na wiele sposobów. Nauczył ją kochać ryzyko i cenić wolność. Twierdził, że tylko mając na uwadze te dwie wartości i właściwy do nich stosunek, można zagwarantować sobie bezkarność. Miał kilka zalet i wiele wad. Czasem używał siły. Zdarzało się, że także wobec niej. Na szczęście, o ile w tej sytuacji było to odpowiednie słowo, nigdy nie tracił nad sobą kontroli. I nie zabijał. Była pewna. Podobnie jak tego, że od dawna powinien siedzieć. Ona też. Za współudział.

— Więc jak będzie? — chciał wiedzieć Tomasz, przyglądając się jej ponurej minie.

— Myślisz, że czego szukasz? — zapytała, ale on tylko wzruszył ramionami.

— A ty? — zrewanżował się.

— Dobrze. Ostatni raz — odparła w końcu Ewa, której przypomniało się, jak często zdobywała dla niego różne informacje, książki, które go interesowały, i trudno dostępne dokumenty. Jej kontakty zawodowe bardzo się wówczas przydawały. — Daj mi trochę czasu. — Z dwojga złego wolała sama mu je przynieść, niż pozwolić, by zdobywał klucze na własną rękę. Kto wie, jak obszedłby się z Robertem albo, co gorsza, z proboszczem. W ten sposób miała szansę trzymać rękę na pulsie. I pozostawać w centrum wydarzeń, podpowiedziało Ewie sumienie, które uciszyła z wprawą nabytą w przeszłości, kiedy jeszcze dzieliła z Tomaszem życie, łóżko i budżet. Bycie w centrum oznaczało dostęp do dodatkowych informacji.

Na razie odsunęła od siebie zagrożenie, zostawiając za sobą rosną sylwetkę byłego męża, do diabła z sądem, który był skłonny w nieskończoność przedłużać tę farsę, zamiast zakończyć ją i oszczędzić jej wstydu. A wszystko to dla dobra małżonków, którzy powinni mieć pewność, że już nie chcą mieć ze sobą nic wspólnego.

Wracali powoli, znużeni gorącem, zakurzeni, z kolanami i rękami pokrytymi po łokcie szarym pyłem. Powietrze stało, gęste jak dobrze

ścięta galareta i z każdym krokiem coraz trudniej było w nim brnąć do przodu. Czapki i chustki przylepiły im się do głów, więc nikt nie zaryzykował zdjęcia nakrycia głowy. Kosmyki włosów sterczały spod nich na wszystkie strony. W tym stanie myśleli tylko o dwóch rzeczach: zimnym piwie i chłodnym prysznicu. Następna na liście marzeń była drzemka, ale w tej kwestii mógł się wypowiedzieć tylko Piotr. Mając w pamięci to, jak pomiatał nimi przez cały dzień, woleli na razie nie poruszać tego tematu.

Im bliżej byli baru, tym szybciej szli. Tempo, które na początku przypominało żółwie, teraz zwiększyło się znacznie, a peleton rozciągnął się na kilkadziesiąt metrów. Ciągnęli do przodu jak wytrwałe psy gończe, przekonane, że zwierzyna jest tuż tuż.

Pierwszy wpadł do baru Siwy, który co prawda ostatnimi czasy istotnie ograniczył picie, niemniej nie mógłby sobie odmówić złotego napoju w takiej chwili.

— Pani Krystyno, dwa browarki, bez pianki — zaordynował prawie do rymu i zerknął na kartę przy ladzie, na której wymienione były dania dnia. — I zupę jarzynową, dwie zupy — poprawił się i zrobił miejsce rozpychającemu się Wodzowi.

— Chodź. — Pociągnął za łokieć Dorotę, która właśnie chciała wejść do środka. — Zamówilem już. Siądźmy pod parasolem.

Poszła za nim posłusznie, nie pytając nawet, co będą jedli. Oboje przypięli się do kufli z piwem, jakby od tego, jak szybko je wypiją, zależało ich życie. I w pewnym sensie tak było, po blisko dziewięciu godzinach na słońcu czuli się wyschnięci na wiór. Po chwili dosiadły się do nich Magda i Agata. Przez pierwsze pięć minut wszyscy czworo pochłaniali piwo w zupełnym milczeniu. Wkrótce w kufkach pokazało się dno, a na stole za sprawą pani Krystyny pojawiły się dymiące talerze, które opróżnili równie szybko jak kufle. Ciekawe, że mimo upału byli tacy głodni, jakby nie jedli tydzień. Zaczęli się do siebie odzywać dopiero po obiedzie, przy drugim piwie. Parasole rzucały miły cień. Gorzki trunek łagodnie chłodził od środka i łechtał podniebienie.

Zaczynało się popołudnie i był to dobry początek. Lubili jego smak, kolor i zapach na skórze.

Na cmentarz wyruszyli zaraz po obiedzie, nim Piotr zdążył ogłosić plan pracy na najbliższe godziny, wyposażeni w wiadro, małą szczotkę do zamiatania z miękkiego naturalnego włosia i w zakupiony po drodze w sklepie papier śniadaniowy. Ksiądz Andrzej mógł się mylić, ale jego instrukcje wydawały się bardzo szczegółowe. Spieszyli się, chcąc wyprzedzić czas i falę gorącego powietrza wiszącą nad asfaltem, która czepiała się ich kostek i kolan.

Cmentarz był zupełnie pusty. Kamienne płyty i krzyże falowały w słońcu, jakby były pustynnym mirażem. Zatrzymali się przy hydrancie i nabrali do wiadra wody. Mieli ochotę włożyć pod kran głowy, ale poprzestali tylko na ochlapaniu twarzy. Oboje pożałowali, że nie zdążyli wziąć prysznicza. W końcu spoceni dotarli do zarośli, z których wychylił się na powitanie nagrobek drugiej Marii, o zniszczonej, jakby zmiętej powierzchni. Ewa przyglądała mu się długą chwilę, starając się ocenić, czy uda im się dotrzeć do prawdy. Potem wzięła pierwszy arkusz papieru, przyłożyła go do płyty i popatrzyła wyczekująco na Roberta, jakby czekała na potwierdzenie, że zrobiła to zgodnie z zaleceniem.

— Chodź tutaj z tym wiadrem — ponagliła go. — Zaraz, jak to miało być? — przypominała sobie słowa proboszcza. — Zanurz szczotkę w wodzie i uderzaj nią w papier prostopadle do powierzchni, ja będę trzymać. Nie, nie tak, prostopadle — poprawiła go, bo zaczął tak prowadzić szczotkę, jakby zamiatał niewidzialne śmieci. — No właśnie.

Na papierze, który z każdym ruchem Roberta coraz bardziej nasiąkał wodą, zarysowała się wyraźnie faktura kamienia. Patrzyli na to zjawisko w niemym zdumieniu. Ewa sięgnęła po następną kartkę papieru i przyłożyła ją tuż poniżej pierwszej.

— A niech mnie — mruknęła z podziwem. — Proboszcz miał rację. A ja myślałam, że to niemożliwe. Daj więcej wody — poprosiła, przykładając trzeci arkusz. W zetknięciu z gorącym kamieniem mokry papier natychmiast parował i zaczynał się odklejać. Robert przyspieszył

i po chwili cała powierzchnia nagrobka była już pokryta jego mokrą warstwą.

W tym musi być magia, myśleli, patrząc na skończone dzieło. Papier nabrał nagle porowatej faktury kamienia, ujawniając wszystkie jego niedoskonałości, pęknięcia, ubytki i rysy. Potwierdził także tożsamość pochowanej pod nim kobiety. Robert otrząsnął się pierwszy. Uznał, że ktoś musi przerwać panującą nad grobem ciszę.

— Maria Herbst, 1862-1884 — przeczytał i przetłumaczył od razu napis widniejący pod datą urodzin i śmierci: — „Niech Bóg ci wybaczy”.

— Jak to wybaczy? — oburzyła się Ewa. — Co to za napis na nagrobku? Gdzie się podziało „Niech spoczywa w pokoju” albo „Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie”?

— Widocznie postanowili być oryginalni.

— No cóż, nie mogli napisać wprost o jej winie, a wygląda na to, że bardzo chcieli — westchnęła Ewa, choć nie bardzo rozumiała, dlaczego dla tych, którzy ją chowali, było to takie ważne. Śmierć była faktem i pozostawała nim bez względu na przyczynę.

— Dziwne, że samobójczynię pochowano tak po prostu na cmentarzu, między dobrymi chrześcijanami — wyraził wątpliwość Robert.

— W końcu miała ojca pastora... Pochował ją, jak należało, ale dodał napis, który był zrozumiały tylko dla rodziny.

Maria Herbst, córka pastora odebrała sobie życie po zniknięciu Ottona.

Obiecał jej, że wróci, a ona mu uwierzyła. Po pewnym czasie jej nadzieja zamieniła się w pewność, że czeka na kogoś, kogo nie ma już między żywymi.

— A jeśli zaszła w ciążę? W końcu w liście do Ottona wspomniała, że chce z nim porozmawiać — rozważała na głos Ewa.

— Nie musiała — zaproponował trzeźwo Robert.

— Ale jest duże prawdopodobieństwo. Gdyby ze sobą nie spali, miałyby jeszcze szansę wyjść za mąż, a tak... Już nikt by jej nie chciał,

niestety. A poza tym co z miłością? No i być wytykaną palcami przez całą wieś? Nic dziwnego, że nie wytrzymała.

— I stąd napis „Niech Bóg ci wybaczy”? To brzmi tak, jakby pastor chciał napisać: „Niech On to zrobi, bo ja nie mogę”.

— Może masz rację — zgodziła się. — W końcu była jego oczkiem w głowie. Musiał to bardzo przeżyć.

Patrzyli na siebie bez uśmiechu, nagle znużeni, jakby wspomnienie tamtej dawnej, niepotrzebnej śmierci położyło się cieniem na ich zdrowym, młodym życiu i nie dało się przepłoszyć nawet smugom światła, które, przenikając przez korony cmentarnych lip, łagodnie oświetlały ich czoła, powieki i dłonie.

Wieczór zastał Jacka siedzącego samotnie na szkolnym boisku. Jakoś nie miał dzisiaj ochoty uczestniczyć w życiu towarzyskim ekspedycji, zresztą dość ubogim, przyznał w duchu, widząc oddalających się kolegów. Jak zwykle piwo, jedno, dwa, może trzy, jak zwykle drobne kłótnie, żarciki i utarczki, nic, co mogłoby zachęcić do spędzenia z nimi najbliższych godzin. Od sobotnich wydarzeń czuł się w ich towarzystwie dziwnie nieswojo. Może miało to związek z wyglądem jego twarzy i pytaniami, na które nie chciał odpowiedzieć, a może po rozmowie z proboszczem zaczęły mu doskwierać wyrzuty sumienia. A co to takiego, zakpił z siebie, starając się przegonić szare myśli, niewygodne jak zbyt ciasne buty. I dlaczego miałyby mnie dopaść właśnie teraz. Niepotrzebnie wdawałem się w tamtą rozmowę, uznał, bo po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich dwóch dni wrócił do niego obraz siwej głowy kapłana i jego serdecznych, mądrych oczu. I znowu usłyszał pytanie, przed którym bezskutecznie uciekał: „Co zamierzasz teraz zrobić?”. Skąd miał to wiedzieć? Naprawdę nie chciało mu się nic zmieniać, czy tak trudno było to zrozumieć? Jego mała stabilizacja zahaczała o czarny rynek i kilka artykułów kodeksu karnego, ale przecież nikomu z tego powodu nie działa się krzywda. Jego matka miała co włożyć do garnka w drugiej połowie miesiąca, a on... co z tego miał poza źródłem dochodu? Dobrą zabawę, dreszczyk emocji za każdym razem, gdy wykrywacz przesuwany tuż przy ziemi zdradzał

obecność znaleziska, przyjaźń kilku osób, które nauczyły go tego i owego? Miałby z tego zrezygnować? Dlatego że jakiś ksiądz okazał mu zrozumienie czy dlatego że oberwał od miejscowych? Nie pierwszy raz. W dzieciństwie często obrywał i równie często odwzajemniał się tym samym.

Tutaj nie mógł. Minęło tyle czasu. Poza tym było ich trzech.

W drzwiach pojawił się Robert i Jacek pchnięty nagłym impulsem, nad którym nie umiał w porę zapanować, poderwał się z ławki i ruszył w jego stronę.

— Możemy porozmawiać? — zapytał, zaskoczony własną propozycją.

— Koniecznie teraz? — Robert zamierzał wyjść, ale cofnął się posłusznie i pozwolił, by Jacek poprowadził go do pustej sali i zamknął za nim drzwi na klucz.

— Żeby nam nikt nie przeszkodził — wyjaśnił, widząc, że Robert jest coraz bardziej zdziwiony jego zachowaniem.

Podszedł do swojego plecaka, rozsznurował go i spod ubrań wyciągnął niewielkie zawiniątko. Podał je Robertowi, zadając sobie w duchu pytanie, dlaczego to robi, bo sam dobrze nie rozumiał własnego postępowania. Ksiądz Andrzej, którego twarz znowu stanęła mu przed oczami, pokiwał głową z aprobatą.

— No bierz — powiedział Jacek, bo Robert patrzył na dziennik w niemym zdumieniu, niezdolny do jakiegokolwiek gestu.

— Skąd to masz? — zapytał w końcu, obracając brulion w palcach.

— Nie ukradłem, jeśli o to ci chodzi — odparł Jacek wprost. Przynajmniej w tej kwestii nie mijał się z prawdą. To mu poprawiło samopoczucie. — Odkupiłem od złodzieja.

— Jak to, odkupiłeś? — Nie rozumiał Robert. — Odkupiłeś, zamiast odebrać, złapać za rękę?

Jacek popatrzył na niego ze znużeniem. Nie umiałby mu tego wyjaśnić. Ani nikomu z tej grupy. Mówili różnymi językami.

— Zostawmy to — powiedział tylko. — Jeśli możesz powstrzymać się od pytań, będę wdzięczny. Zrób z niego użytek. Przekaż jakiemuś muzeum, porzuc w magazynie razem z innymi zabytkami. — Robertowi

wydało się, że usłyszał w jego głosie lekki sarkazm. — Albo oddaj księdzu Andrzejowi, może powinien zostać tu, gdzie go znaleźliście. Moim zdaniem tak by było najlepiej.

— A co mam powiedzieć reszcie?

— Nie wiem, wszystko jedno, że udało mi się go odzyskać czy cokolwiek innego. Wolałbym nie składać szczegółowych wyjaśnień. To chyba uczciwy układ — dodał poważnie i przekręcił klucz w zamku. — Zwracam ci wolność — powiedział jeszcze i wyszedł, pozostawiając Roberta z dziennikiem w dłoni w gęstniejącej szarości nadchodzącej nocy.

Dzień dziewiąty

— Na szczęście jest cała i zdrowa — odetchnął Piotr z ulgą, gdy Siwy zdjął czarną folię z maleńkiego szkieletu.

Grób był nienaruszony. Koszmarne sny, jakie nękały kierownika ekspedycji przez całą noc, miały swoje źródło w podświadomym lęku przed lokalnymi rabusiami. Piotr poczuł dreszcz na plecach, gdy przypomniał sobie twarz jednego z nich, nabrzmiałą, siną, ze zniekształconym nosem i złowieszczym spojrzeniem spod opadających powiek. Dużymi brudnymi dłońmi o odrażających paznokciach mężczyzna rozbierał różnobarwną kolię na części pierwsze, zdejmował jeden po drugim błyszczące paciorki i chował do dziurawych kieszeni. Piotr widział, jak wysypują się i błyskając po raz ostatni, znikają pod ziemią, wdeptane w nią przez ogromne buciory tamtego. Nie, krzyknął Piotr, zostaw ją, zostaw je, nie mógł się zdecydować, który zaimek ma dla niego większe znaczenie i wtedy, jak to się zwykle dzieje, obudził się zlany zimnym potem. Tymczasem ta mała, grób numer 53, była bezpieczna, niepotrzebnie się obawiał. Kolia połyskiwała w promieniach słońca, drobne kości podeschły i nie wyglądały już, jakby się miały rozpaść w palcach.

— Siwy, chłopie — powiedział Piotr niemal czule, tak bardzo mu ulżyło — przygotuj tę małą do zdjęć, zrobimy je jeszcze raz, korzystając z porannego światła. Jest pochmurno, słońce nie będzie nam przeszkadzać. Oczyść ją na tyle, na ile się da, żeby dobrze było widać żebra i kości miednicy. Rozumiem, że na drobne kości dłoni i stóp nie mamy co liczyć?

— Rozłożyły się — przyznał Siwy.

— Trudno. Robert robi zdjęcia, teraz już nie na szybko i w każdym możliwym ujęciu, a potem z Dorotą zajmiecie się rysunkami: całego

szkieletu i popiersia — czaszka plus klatka piersiowa w skali 1:1. Wrysujcie każdy paciorek z osobna. A jak będziecie je wyciągać, każdy wkładajcie do osobnej torebki i nadawajcie numer. I niech Dorota numeruje je też na rysunku.

— Jasne — mruknął Marcin z przekąsem — będziemy to robić do końca następnego tygodnia.

— Niestety, mój drogi, muszę cię rozczarować, ale to nie wchodzi w grę. Więc spróbujcie się z nią uporać do szesnastej.

— Nie masz czarodziejskiej różdżki albo pierścienia, albo diabli wiedzą czego jeszcze? — Nie dawał za wygraną Siwy, licząc, że wytarguje choćby dodatkowy kwadrans.

— Żadnych magicznych akcesoriów. Wykonać — odparł Piotr i oddalił się godnie.

— Jasne — powtórzył Siwy i zabrał się do pracy. Dłonie miał delikatne, lecz zdecydowane jak chirurg, a ze szkieletem obchodził się jak z żywym stworzeniem. Pieczołowicie odsłaniał każdy jego element i urzeczony wpatrywał się w coraz lepiej widoczne zarysy małej postaci, którą wydzierał ziemi, jakby chciał ją zbudzić z kilkusetletniego snu. Książniczko, myślał dotykając kruchych żeber, co za szczęście, że się nam trafiłaś.

Pracował ponad godzinę z zegarmistrzowską precyzją w każdym ruchu, co chwilę usuwając luźny piasek, który wydlubował spomiędzy kości. Co jakiś czas wycierał czoło dołem koszuli. Znowu było bardzo gorąco. Słońce z trudem przebijało się przez wiszące nisko chmury o barwie gołębih skrzydeł. Siwy z niepokojem spoglądał w niebo. Chmury ciemniały i ogromniały z każdą minutą, z popielatych zrobiły się stalowe, później brudno-sine od nagromadzonej w nich wody.

— Nie masz szczęścia, książniczko — powiedział półgłosem w kierunku dziecięcej czaszki. Rozejrzał się wokół i odszukał wzrokiem ekspedycyjnego fotografa.

— Robert! — krzyknął — weź aparat i chodź. Jeśli teraz nie zrobisz jej zdjęć, ryzykujemy, że podczas deszczu rozplynie się i zniknie. Nie ma sensu czekać.

Robert rzucił okiem na chmury i przyznał mu rację. Trzeba było się spieszyć. Nisko nad jego głową przeleciał pierwszy chłodniejszy podmuch. Zarośla przy drodze wiodącej do klasztoru poddały mu się posłusznie, bijąc pokłony do samej ziemi. Zobaczył, że koledzy zaczęli już przykrywać kawałkami folii inne groby, z których nie zdążyli wyjąć kości. Marcel zdemontował niwelator i niósł go w kierunku kościoła, by nie zamókł w czasie deszczu. Dorota zgarnęła przybory do rysowania i szła w ich stronę wielkimi krokami, zupełnie jakby miała siedmiomilowe buty.

— Skończyłeś? — wołała już z daleka. Miała nadzieję, że uda jej się nanieść na wczorajszy rysunek choć drobną część ozdób, nim zacznie padać.

— Na dobrą sprawę jeszcze nie zacząłem — rozczarował ją Robert. Układał właśnie w jamie grobowej tabliczkę z numerem grobu i nazwą stanowiska tuż obok strzałki oznaczającej północ. Gdy wszystkie elementy były na swoich miejscach, sięgnął po aparat. — Mało światła — mruknął z niezadowoleniem — ale przynajmniej wszystkie partie zdjęcia będą tak samo doświetlone. Wahał się przez chwilę, nim wybrał przesłonę. Robił zdjęcia w skupieniu. W ciszy, która zapanowała nad wykopem, słychać było tylko trzask pracującej migawki.

— Nie zapomnij o zbliżeniach — przypomniał mu Siwy, widząc, że Robert się spieszy.

— Nie zapomnę — odezwał się zza aparatu i przekręcił pierścień, zmieniając ogniskową. Pochylił się nad pochówkiem i w obiektywie zobaczył z całą wyrazistością wielobarwny naszyjnik. Pomyślał, że za życia to dziecko na pewno nie uniosłoby go na wątlej szyi. Ci, którzy je chowali kilka wieków temu, musieli je bardzo kochać.

— Jest twoja — zwrócił się w końcu do Doroty, która przez cały czas niecierpliwie tupała mu nad głową, stojąc na profilu. Marcin uniósł ją lekko i postawił na dole.

— Pomogę ci — powiedział, rozglądając się za taśmą mierniczą i drewnianymi metrówkami.

Zostali sami. Wykop na chwilę opustoszał. Archeolodzy znosili cały sprzęt do przedsionka kościoła. Dorota, nie zważając na wzmagający się wiatr i grzmoty, które rozlegały się coraz bliżej, pracowała szybko, nanosząc na rysunek punkty, których współrzędne podawał jej Marcin. Kuliła się tylko, gdy niebo przecinały szybkie jak myśl błyskawice. Rysowała jeden z metalowych krzyżyków, gdy na kartkę spadły pierwsze krople wielkości grochu.

— Rysunek mi zamoknie — powiedziała z troską, bo ołówek zaczął się ślizgać po wilgotnym papierze, zostawiając gdzieś brzydkie wgłębienia.

— Nie stwarzaj sztucznych problemów — odezwał się Siwy, doskonale imitując głos Piotra i przytaczając jedno z jego ulubionych powiedzeń. Rzuciła mu kpiący półuśmiech. — Masz jakąś kurtkę od deszczu? — zapytał.

— Chyba żartujesz. Rano nie wyglądało, jakby miało padać.

— Fakt — zgodził się. — Odłóż to na chwilę na bok, kartką do ziemi. Piasek jest jeszcze suchy. I pomóż mi ją przykryć, jak lunie, nie będzie co zbierać.

Rzucił się w kierunku folii, którą zdjął rano, i położył obok grobu, przyciskając kamieniem, żeby nie pofrunęła z wiatrem. Dorota złapała za jej dwa końce. Walcząc z kurzem, który unosił się w powietrzu i wciskał do oczu i ust, ułożyli folię na szkielecie i przysypali ziemią brzegi.

Burza najwyraźniej czekała, aż skończą. Dopiero teraz deszcz zgęstniał i smagał ich bezlitośnie po plecach, gdy biegli w kierunku kościoła, by się w nim schronić. Dorota przytuliła do siebie blok rysunkowy, który przypięty do niewielkiej deski ocalał, a mokre miał tylko brzegi. Gdy wpadli między kolegów stojących w przedsionku, z nieba na ziemię lały się już potoki wody, a błyskawice i grzmoty rywalizowały ze sobą o palmę pierwszeństwa, jakby się chciały ścigać wbrew wszelkim prawom natury i zdrowego rozsądku.

Kiedy zaczęło padać, Robert i Ewa pobiegli w stronę kościoła razem ze wszystkimi. Jednak mijając narożnik Robert nie skręcił w prawo, lecz

w lewo i pociągnął Ewę za sobą. Wpadli zdyszani pod dach domu konwersów i patrzyli, jak zamyka się za nimi ściana wody. Robert spojrzął na Ewę wyczekująco. Zrozumieli się bez słów.

— Masz przy sobie te klucze od księdza Andrzeja? — spytała, a on pokiwał głową. Wsunął dłoń do kieszeni i wyjął cały pęk. Chwilę mocował się z zamkiem.

— Odsuń się, ja spróbuję — poleciła. Włosy opadły jej na czoło i utrudniały widzenie. W końcu wsunęła klucz do dziurki i przekręciła dwa razy. Metal szczęknął cichutko i ustąpił. Mogli wejść do środka.

Zamknęli drzwi za sobą i oparli się o nie od wewnątrz. Pęk kluczy wylądował w kieszeni Ewy. Nie było to takie trudne i niedomyślający się niczego Robert uznał jej gest za zupełnie zrozumiały i naturalny. W końcu nosiła je przy sobie cały poprzedni tydzień. Twarz kobiety spochmurniała, gdy poczuła ciężar metalowej obręczy, ale mężczyzna tego nie zauważył. W półmroku patrzył to na powleczone pajęczyną ściany, to na Ewę, bo ciekawość walczyła w nim ze znacznie silniejszym uczuciem.

— Jeśli teraz zaczniesz mnie całować — powiedziała mu, mocniej wtulając się w drewniane drzwi i mimo to czując oddech Roberta we włosach — znowu nie zwiedzimy wnętrza.

— To co — odparł przekornie. — Przecież nam nie ucieknie. Tu przynajmniej jesteśmy sami — dodał bez związku, wpatrując się z bliska w jej tęczówki. — Gdybym był malarzem...

— Którym nie jesteś — zauważyła trzeźwo Ewa, żeby sprowadzić go na ziemię. Ta uwaga nie mogła jednak konkurować z jego stanem ducha.

— Nie przerywaj mi teraz — mruknął jej do ucha. — Więc gdybym był malarzem i mógł cię namalować... — oderwał się od niej na chwilę i łącząc kciuki i palce wskazujące obu dłoni w prostokąt, wyciągnął je przed siebie, by sprawdzić, jak Ewa się w nim komponuje — ...gdybym umiał cię namalować z tymi twoimi włosami, oczami i ciałem godnym wszystkich królowych piękności tego świata, nazwałbym ten obraz „Secesja”.

— Dlaczego, panie malarzu? — Czowała się niezręcznie w podwójnej roli, bo zamiast słuchać Roberta, zastanawiała się już, gdzie i kiedy spotka się z Tomaszem i czy wyciągnie od niego to, czego się dowiedział.

— Bo taka właśnie jesteś. Jak kobiety na witrażach Muchy. Wiotka i ruda. — Przytulił ją znowu, a ona bez powodzenia próbowała się uwolnić.

— I starsza od ciebie — dodała, jakby to był koronny argument równoważący te wszystkie słowa, które właśnie padły pod jej adresem.

— Niewiele starsza — uściślił. — Ile właściwie?

— Właściwie cztery lata — uśmiechnęła się, widząc jego zaskoczenie. Nie sądził, że aż tyle.

— To nie ma żadnego znaczenia — uspokoił ją.

— Puść mnie natychmiast — powiedziała, widząc, że nie zrobi tego z własnej woli. — Musimy się rozjeździć.

Robert się zastanawiał.

— No dobrze — poruszył się niechętnie. — Rozejrzyjmy się, skoro nalegasz, ale gdyby to ode mnie zależało... — nie dokończył, bo Ewa wysunęła się z jego objęć i chcąc nie chcąc, musiał pójść za nią, jeśli zamierzał jej towarzyszyć.

To była bardzo niezwykła biblioteka. Proboszcz nie usunął z niej książek, jakby nie wierzył w to, że budynek rzeczywiście może ulec zawaleniu. Regały zajmowały cały parter, stojąc na baczność w rzędach przy malowanych na biało ścianach. Tylko żebra sklepienia i wykończenia okien pozostawiono z nietynkowanej cegły. Cztery filary dzieliły wnętrze na dwie części. Ewa szła jednym, Robert drugim traktem. Przyglądali się ścianom, książkom i płytom pod stopami, bo nagle przypomniało im się ostrzeżenie księdza Andrzeja, żeby byli ostrożni.

— To było kiedyś cellarium, magazyn konwentu, gdy w Kolicach byli jeszcze mnisi — odezwał się Robert, gdy zeszli się na chwilę przy trzecim filarze. Stało tu stare zniszczone biurko i coś, co od biedy można było uznać za katalog — niewielka skrzynka wypełniona postrzępionymi fiszkami.

— A w XIX wieku składowano tutaj kartofle? — przypomniało się Ewie. — Co za pomysł.

— Zgadza się. Na pierwszym piętrze był refektarz konwersów, a na drugim dormitorium, sypialnia.

Ewa rozejrzała się niespokojnie.

— Na piętrze? Gdzie w takim razie są schody?

— Gdzieś tu muszą być. Poczekaj, dokąd idziesz? Poszukamy razem — powstrzymał ją Robert, bo zawróciła ku wejściu i przyspieszyła kroku.

Posłuchała go. Obeszli cellarium do końca, ale na schody nie trafili. Dopiero wtedy skierowali się do drzwi wejściowych. Klatka schodowa znajdowała się na prawo od nich, ukryta za załomem muru. Nic dziwnego, że wchodząc, jej nie zauważyli.

— Popatrzmy, co my tu mamy... — powiedziała Ewa, spoglądając do góry, jakby miała zamiar zdobywać szczyt. Stała u podnóża schodów i przyglądała się im, jakby chciała wzrokiem przeświecić każdy stopień z osobna. Wyglądały zwyczajnie. Kilkanaście ceglanych schodków o rudobrunatnej wysłużonej powierzchni.

— Po co? To nie ma sensu — zaoponował Robert. — To dom konwersów, skrzydło klasztoru zupełnie pozbawione znaczenia. Konwersi byli jak służba, jak najemnicy zatrudnieni do prac w klasztornych posiadłościach. Nie byli mnichami, nawet podczas nabożeństw w kościele siedzieli w wydzielonych ławkach, daleko od ołtarza.

— Co nam szkodzi sprawdzić — Ewa nie zamierzała ustąpić.

Rzeczywiście, pomyślał Robert, co nam szkodzi. Poszedł za nią, pewny, że tracą czas. Nie chciał jej robić przykrości.

— Idę na górę — Ewa już stawiała stopę na pierwszym stopniu.

— Myślisz, że to bezpieczne? — Robert miał ochotę ją powstrzymać.
— Proboszcz nie byłby zachwycony.

— Co z tobą? — Patrzyła na niego pytająco. Wzruszył ramionami.

— Po prostu nie wierzę, że w tym budynku cokolwiek znajdziemy. Ale oczywiście pójdę z tobą, żeby cię mieć na oku.

Burza oddaliła się w kierunku Szczecina, ale wciąż mocno padało. Deszcz dotykał szyb, stukał w dach, tłumił wszelkie inne dźwięki, które mogłyby dotrzeć do ich uszu z zewnątrz. Robert miał wrażenie, że tkwią zamknięci w kapsule czasu, poza rzeczywistością i przestrzenią, sam na sam z cichymi, niezbyt przyjaznymi murami. Oba piętra wyglądały jak nawy opuszczonych kościołów, z wolna popadających w ruinę. Nie było w nich nic poza kurzem. Popękane ściany sprawiały wrażenie pomarszczonych. W wielu miejscach tynk odpadł i chrząścił pod butami, gdy ostrożnie stawiali kroki. Powinni pogodzić się z tym, że niczego nie znajdują, myślał, patrząc na idącą przed nim Ewę. Cała ta historia musiała narodzić się w wyobraźni kilku zaangażowanych w nią osób, Hermanna, Ottona i ich dwojga. Nic dziwnego, że czuli się teraz zagubieni i bezradni.

— Ewa — dotknął łagodnie jej ramienia — tutaj nic nie ma. Wracajmy na dół. — Widział, że nie chce się z tym pogodzić, nie chce przyznać się do klęski.

— Dobrze — powiedziała w końcu. — To faktycznie nie ma sensu.

Wziął ją za rękę, którą pocieszająco uściśnął. Schodzili powoli, ramię przy ramieniu. Na podeście pierwszego piętra w oczy zająrzało im słońce wpadające przez wschodnie okno na wysokim parterze. Zamieniło schody przed nimi w korytarz światła.

— Już po burzy — odezwał się Robert, mrużąc oczy. Ewa na moment zapomniała o rozczarowaniu i dla zabawy zaczęła liczyć stopnie.

— Dziewiętnaście — powiedziała na samym dole. Odwróciła się i jeszcze raz popatrzyła do góry. Drobiny kurzu unosiły się swobodnie w powietrzu i wirowały w smugach blasku, tworząc nad ich głowami gigantyczny efekt Tyndala. Na twarzy Ewy zagościł szczery zachwyty. Wyciągnęła do Roberta obie dłonie. — Szkoda, że nie masz aparatu — zawołała. — Byłoby takie ładne zdjęcie.

Padalo jeszcze, gdy Dorota zdecydowała się wystawić krótko ostrzyżoną głowę na zewnątrz. Szare niebo pękło i w wąskiej szczelinie zamigotał nagle świeży lipcowy błękit. Burza wyładowywała swoją złość już gdzieś

na zachodzie i dalekie grzmoty brzmiały jak pomrukiwanie trzymanego na kolanach kota.

— Zaraz wyjdzie słońce — rzuciła w kierunku ciemnej nawy. — Chodź, Marcin, wracajmy do pracy, straciliśmy blisko godzinę.

— Poczekaj jeszcze, niech całkiem przestanie padać.

— A co, jeśli burza wróci? Wcale się nie ochłodziło. Jest tak samo parno, jak było rano — podniosła z ziemi torbę z przyborami do rysowania i już była gotowa.

Piotr wyrósł przed nią niespodziewanie i wyczarował dużą zieloną pelerynę z kapturem.

— Załóż ją — poradził. — Jak nasuniesz kaptur na oczy, będzie osłaniał także część rysunku.

Posłusznie owinęła się sztywnym materiałem, który sięgał jej niemal do kostek. Siwy wyszedł za nią i ruszył slalomem, jakby za wszelką cenę chciał ominąć pojedyncze spadające z góry krople. W słońcu, które ogarnęło ziemię ciepłym uśmiechem, wyglądały jak rozrzucone szczodrą ręką jubilera kilkukaratowe brylanty.

Po raz drugi tego dnia odślonili szkielet dziewczynki, sprawnie umieścili w jego pobliżu kilka gwoździ, których współrzędne nanieśli na rysunek, a potem przysiedli nad grobem obok siebie, skupieni na żmudnych pomiarach, filigranowa Dorota tonąca w zielonej pelerynie i wysoki chłopak o słomianych włosach. Odzywali się do siebie półsłówkami, by nie tracić czasu. Mieli dużo do zrobienia, a niespokojne minuty biegły szybko, mijały ich i oddalały się jeszcze szybciej, by znaleźć wytchnienie w sobie tylko znanym miejscu. Było ich coraz mniej.

Siwy z wyciągniętą przed siebie calówką mówił tylko: pięć centymetrów na zachód albo: siedem na wschód, paciorek pierwszy od lewej, trzy centymetry na północ od poprzedniego, i myślał w tym czasie, że oto dostąpił łaski przebywania z aniołem. Zdawał sobie sprawę, że nie było to właściwe określenie, anioły zwykle miały złote włosy i błękitne oczy. To drobne uchybienie zupełnie jednak Siwemu nie przeszkadzało. Mógłby tkwić tutaj całe lata, rozmawiając z Dorotą za

pomocą liczb i przedziwnych zaszyfrowanych informacji, bo całą prawdę o niej i o sobie przekazywał jej w każdym spojrzeniu. Odpowiadała mu tak samo, coraz składowiej, śmieiej, bardziej otwarcie. Jeszcze nie chciał jej wierzyć, bał się, ostrożnie zadawał pytania. Jej oczy były ufne, prawdomówne i Siwy aż wstrzymał oddech, bo zrozumiał nagle, że oto szczęście rozpięło nad nimi swój parasol. Nie był pewien, komu powinien za to podziękować. Cichy dialog trwał. Czekoladowe tęczówki obiecywały miłość, wierność i troskę. Siwy zobaczył w nich gotowość na przyjęcie uroczych dzieci, które razem mieli kochać i obdarzać czułością. Matka natura błogosławiła im, znacząc ich głowy drobnymi kropelkami deszczowej wody.

Z zapatrzenia wyrwał ich głos Roberta, który biegł do nich z aparatem w dłoni, krzycząc nieprzytomnie i wskazując ręką coś, czego nie mogli zobaczyć, bo było wysoko w górze. Spojrzeli w niebo i musieli uśmiechnąć się do siebie, do swoich myśli i niewypowiedzianych planów. Robert kucnął daleko przed nimi i zrobił zdjęcie, na którym siedmiobarwna tęcza obejmowała ich czule swoimi ramionami. Ich pierwszą „małżeńską” fotografię.

Prace przy grobie księżniczki, jak go nazwali, choć wiedzieli, że księżniczką nie była, trwały do wieczora. Kiedy każdy paciorek otrzymał swój numer, okazało się, że jest ich 437: 98 błękitnych, 59 fioletowych i 280 z bursztynu. Wisiorów naliczyli 10.

Przerywali pracę kilka razy, bo burza kołowała jak drapieznik nad ich głowami, przekomarzała się ze słońcem, zrzuciła na świat welony wody, groziła błyskawicami. Pokornie znosili jej niestałość, przeklinając półgłosem, by nie usłyszała, przykrywając i odkrywając dziecięce szczątki, licząc barwne kulki nanizane na nić, która w wielu miejscach dawno przestała istnieć. Odetchnęli, gdy ostatni paciorek zniknął w przynależnej mu torebce strunowej ze stosowną metryczką, wypisaną w pośpiechu wprawną dłonią uważnego buchaltera.

Około szóstej Ewa wyjęła z jamy grobowej ostatnie elementy wątego szkieletu. Delikatnie, z uwagą, jakby miała do czynienia z prawdziwym skarbem, włożyła je do papierowej torby, którą podsunął jej Robert.

Koniec dnia pracy, odetchnęła, można było się zbierać. Wstała z trudem, bo od długiego klęczenia ścierpły jej nogi. Teraz czuła, jak wzdłuż naczyń krwionośnych biegają tysiące nieznośnych, niewidzialnych mrówek.

— Zmęczona? — zapytał ją Robert.

— Głodna.

— Pójdziemy do baru — obiecał. — A potem? — zastanowił się.

— Pójdziemy na spacer, nad rzekę. Pobędziemy razem bez konieczności robienia czegokolwiek. Po prostu — wzruszyła ramionami.

— Wyobrażasz to sobie?

— Szczerze mówiąc, nie bardzo — uśmiechnął się do wizji, którą przed nim roztoczyła — ale brzmi kusząco.

— No widzisz. Może się przy okazji czegoś o sobie dowiemy.

— Tak jak oni? — Robert wskazał oczami Dorotę i Siwego, którzy stali kilkanaście metrów od nich i tym razem rozmawiali naprawdę, z ożywieniem gestykułując.

— Dlaczego nie? — zmęczenie sprawiło, że Ewa wpadła w nastrój refleksyjny. Gdzieś się podziała jej żywiołowość i zaraźliwy optymizm. — Nie zazdrościsz im?

— Czego? Przecież mam ciebie — odpowiedział, przyglądając jej się uważnie. Zawahała się, nim odpowiedziała.

— Czy ja wiem? Cichego porozumienia, z którego nie do końca zdają sobie sprawę, symetrii, przynależności.

— Żeby się tylko nie przeoczyli — wyraził obawę Robert.

— Żartujesz — powiedziała z przekonaniem wróżki, która czyta ze znaków. — Widziałeś tęczę i to, jak na siebie patrzyli? Siwy nie wypuścił jej z rąk.

— Chciałabyś tak? — Robert dotknął przelotnie jej długich palców. — Możesz wierzyć lub nie, ale my też mamy swoją tęczę. Zaczyna się tutaj — wskazał wycinek ziemi między ich stopami — a kończy daleko stąd, w miejscu, gdzie człowiek dociera wtedy, gdy ma już siwe skronie. Zabiorę cię tam ze sobą.

— Niedobrze — uśmiechnęła się Ewa, żeby ukryć wzruszenie. — Czas uciekać. Ty naprawdę jesteś romantykiem.

Nie uciekła jednak i poszli razem nad rzekę, tak jak chciała. Zmierzch przenikał ziemię jak dolany do wody atrament. Smugami kładł się na rzece i wśród przybrzeżnych zarośli, oswajał je ze sobą i z nocą, którą wyprzedzał zaledwie o kilka kroków. Było bardzo cicho. Burza wciąż unosiła się w powietrzu, jakby przez cały dzień nie mogła znaleźć sobie miejsca, a teraz bała się, że braknie jej czasu i na tę noc pozostanie bezdomna. Poznawali ją po zapachu i szeleście liści. Nagrzana ziemia parowała, okrywając ich stopy i dłonie lekką mgiełką wilgoci.

Włosy Ewy po deszczu kręciły się mocniej, lubiły wodę, pod jej wpływem ożywały. Wiły się niespokojnie wokół twarzy, zaglądały w oczy i uciekały, gdy chciała odegnać je dłonią. Od tych włosów wszystko się zaczęło. Deszcz, który spadł nagle, był gęsty i bardzo ciepły. Jego drobne krople płynęły z nieba cicho i cierpliwie, spokojnie spadały na dwie przytulone do siebie głowy, na rzęsy i wargi, by tam zakończyć krótki żywot. Wkrótce nie tylko włosy, ale także ciała i nawet dusze Ewy i Roberta nasiąkły deszczem. Były jak on gładkie i łagodne, równie łatwo zmieniały kształt pod dotykiem, łączyły się ze sobą chętnie jak spływające po szybie strugi. I nie było w tym nic nadzwyczajnego. To już zdarzało się wcześniej i ludziom, i kroplom wody.

Napięcie wyczuwalne tego dnia w powietrzu miało związek nie tylko z burzą kołującą niespokojnie nad Kolicami. Piotr czuł je w sobie, tuż pod skórą, a że nie znał jego źródła, próbował poradzić sobie z nim po swojemu. Kiedy usiadł w swoim pokoju nad papierami, trochę się uspokoił. Pograżony w pracy zapomniał o trawiącym go, trudnym do nazwania niepokoju.

Za oknem delikatnie mżyło, słaby wiatr, który nie mógł rozegnać chmur, wpadał do sali przez uchylony lufcik i zamiatał kurz na podłodze pokrytej rozsychającym się parkietem.

Cicho zaszeleściła koperta leżąca na parapecie i Piotr czujnie uniósł głowę. Nie lubił nieporządku w dokumentach, nie chciał, by byle

podmuchał z sobą najdrobniejszą choćby część dokumentacji.

Koperta była mała, biała i nieco pognieciona. Spadło na nią kilka kropel deszczu, które, nim wyschły, odcisnęły na papierze wklęsłe ślady. Piotr nie wiedział, skąd się wzięła na parapacie. Nie była zaklejona ani zaadresowana. Wiedziony ciekawością zajrzał do środka i wyjął z niej złożoną kartkę papieru.

Kiedy do sali zajrzał Jacek, Piotr pomyślał, że architekt ma ukryte telepatyczne zdolności. Szkoda tylko, że objawiały się one w tak niesprzyjających okolicznościach.

– Wejść – zaprosił go do środka.

– Ja tylko na chwilę – zastrzegł się natychmiast, ale Piotr nie pozostawił mu czasu na dokończenie zdania.

– Muszę cię o coś spytać. Usiądź. – Naprawdę nie wiedział, od czego zacząć. To było trudniejsze, niż mu się zdawało. Przez chwilę obracał kartkę w dłoniach, nim zdecydował się położyć ją przed Jackiem w taki sposób, by ten od razu mógł przeczytać tekst. Charakter pisma był niedbały, pionowe elementy liter wydawały się nieproporcjonalnie długie, a okrągłe dziwnie nieforemne. Piotr cierpliwie czekał, aż siedzący przed nim mężczyzna oswoi się z treścią listu. – Masz mi coś do powiedzenia? – zapytał w końcu, gdy Jacek spojrział na niego zza okularów. Podbite oko sprawiało, że miał w sobie coś z upiora w operze. Był spokojny, jakby podjął właśnie jakąś decyzję.

– Mogę się tylko przyznać – potwierdził z rezygnacją. – Ten donos albo anonim, jakkolwiek go nazwiesz, choć wydaje mi się, że znam autora, to... prawda.

Piotr przyglądał mu się z niedowierzaniem, bo spodziewał się zaprzeczeń, dowodów uczciwości, zapewnień, w które był skłonny uwierzyć bez zastrzeżeń. Nie znali się od wczoraj, a on zanadto cenił tego człowieka, by nie spytać go wprost, ot tak, dla porządku. Przypuszczenie, które jeszcze przed pięcioma minutami wydawało mu się absurdalne, teraz nagle zostało potwierdzone. Nie mieściło mu się to w głowie.

— Nie patrz tak na mnie — powiedział Jacek — takie rzeczy się zdarzają. Nikogo nie zabiłem.

— Nie zabiłeś — powtórzył Piotr głucho, bo czuł się tak, jakby go odarto ze złudzeń. Ludzie nie byli tacy, jak sobie wyobrażał, a ci, którym był gotów wierzyć, okazywali się niegodni zaufania. Dał się oszukać i właśnie to zrozumiał, a to nigdy nie jest przyjemne.

— Jak długo — zaczął i przerwał, bo nagle zaschło mu w gardle — jak długo się tym zajmujesz?

— To bez znaczenia, ale odpowiem ci, bo nie ma sensu tego ukrywać, może siedem, może sześć lat, na poważnie od początku studiów.

— Ale dlaczego, nie rozumiem?

— Z wielu powodów. Bo to ciekawsze niż grzebanie w ziemi tradycyjnymi metodami, bo szybko przynosi efekt. Bo można na tym zyskać. — Nie dodał, dlaczego są mu potrzebne pieniądze, nie wspomniał ani o biedzie, ani o matce, która nigdy nie zapytała go o pochodzenie tych paru groszy, które wciskał jej co miesiąc do ręki. Może z powodu dumy, a może nie chciał stosować wobec siebie żadnych okoliczności łagodzących. Dlatego też Piotr, słuchając rzeczowych wyjaśnień, uznał go za cynicznego sukinsyna.

— Spakuj się i wyjedź. Jak najszybciej — powiedział, patrząc na Jacka z obrzydzeniem.

— Się robi, szefie — Jacek wstał z krzesła. — Nie wezwiesz policji? Nie każesz mnie przesłuchać ani zamknąć?

— Nie złapałem cię za rękę. I nie mam ochoty się w tym babrać. Wyświadczysz nam przysługę, jeśli po prostu znikniesz. Nie sądzę, by cokolwiek mogło cię odwieść od uprawiania tego procederu.

— Nie znasz mnie — zaoponował Jacek, jakby nagle postanowił się bronić, jednak na to było już chyba za późno.

— Nie znam — przyznał Piotr — ale myślałem, że jest inaczej, i to jest właśnie moje największe rozczarowanie.

Dzień dziesiąty

Był wczesny poranek, gdy Jacek zajrzał na plebanię. Wymknął się ze szkoły, gdy inni jeszcze spali, by uniknąć wyjaśnień i pożegnań. Jak tchórz, myślał, idąc przez wieś do jedynej osoby, z którą potrafił szczerze rozmawiać.

Proboszcz siedział właśnie nad poranną kawą, bardzo słabą, ze względu na jego ciągłe skoki ciśnienia. Przeglądał jakąś książkę, którą odłożył, widząc gościa w drzwiach salonu.

— Przyszedłem się pożegnać — powiedział Jacek, zrzucając plecak na podłogę i siadając obok gospodarza. — Muszę wyjechać.

— Musisz? — ksiądz Andrzej uniósł brwi i wpatrzył się w jego twarz, która wciąż nosiła ślady niedawnego zatargu. Chłopak miał w sobie dzisiaj więcej pokory, nie był już tak zbuntowany jak ostatnio. Może coś do niego dotarło. Kapłan dałby wiele, żeby tak właśnie było, ale nie zamierzał nakłaniać go do zwierzeń.

— Parafianin księdza uznał za stosowne poinformować Piotra, czym się zajmuję. Przyznałem się. Dlatego wyjeżdżam.

— Gratuluję odwagi.

— To nie odwaga — prychnął Jacek — raczej rezygnacja. Zrobiłem błąd, że wychyliłem się z wykrywaczem ze szkoły i dałem się zauważyć. Jak długo mogłem za to płacić? Jak długo miałem się bać, że ktoś jeszcze się dowie? Teraz sytuacja jest jasna, a mnie ulżyło.

— Tylko dlatego czujesz ulgę? — proboszcz przyglądał mu się wyczekująco.

— Jakiej odpowiedzi ksiądz ode mnie oczekuje? Owszem, poczułem się uczciwy, przez chwilę, jeśli o to chodzi, ale to nie znaczy, że będę uczciwy, prawda? Może dla mnie jest już za późno?

— Nigdy nie jest za późno, Jacku, dla nikogo, postaraj się o tym pamiętać. W gruncie rzeczy jesteś uczciwszy, niż ci się wydaje, i stąd biorą się wszystkie twoje rozterki. Niewygodnie ci we własnej skórze.

— Wolałbym, żeby ksiądz nie był aż tak przekonany o mojej prostolinijności. Proszę porozmawiać z Piotrem, on ma nieco inny pogląd na tę sprawę — powiedział Jacek szyderczo.

— Lubię być wierny własnym poglądom — wszedł mu w słowo proboszcz. — Nic się nie stanie, jeśli czasem o tym pomyślisz.

— Zadanie na drogę? — uśmiechnął się architekt.

— To zależy od ciebie.

— Zawsze ksiądz to robi grzesznikom?

— Tylko wtedy, gdy oczekują mojej akceptacji, a to jedyne, czego muszę im odmówić. Ciebie też nie mogę pogłaskać po głowie.

— Proszę na siebie uważać i ograniczyć kawę. — Jacek podniósł z podłogi plecak. — Na mnie już czas.

Proboszcz odprowadził go na schody. Podali sobie ręce i stali tak dłuższą chwilę, czując, że dobrze się rozumieją, chociaż właściwie dzieli ich wszystko: wiek, doświadczenie, sposób życia i system wartości. Odchodząc, Jacek jeszcze się obejrzał.

— Mógłbym ją sprzedać za niezłe pieniądze — powiedział, patrząc na wiszącą za plecami proboszcza kołatkę.

— Nie jest na sprzedaż — odparł kapłan. — I nie należy do mnie. To jest jej miejsce. Tu ją zastałem i tu zostawię.

— Ale gdyby potrzebował ksiądz pieniędzy, proszę pamiętać.

— Przestań myśleć jak kupiec. Zacznij myśleć jak człowiek. — Ksiądz Andrzej nie był pewien, czy Jacek usłyszał, bo był już przy furtce.

— Dziękuję — dobiegło go jeszcze z drogi. Uniósł dłoń w geście pożegnania i stał tak, czekając, aż Jacek zupełnie zniknie mu z oczu. Pomyślał, że więcej się nie spotkają. Nie było mu przez to lżej, tylko jeszcze bardziej smutno, bo zdał sobie nagle sprawę ze spoczywającej na jego barkach odpowiedzialności, która miała swoją wagę i nie miała końca. Odpowiedzialności za drugiego człowieka.

Ewy nigdzie nie było. Robert zajął do jej pokoju, ale materac, na którym spała, był pusty i starannie przykryty śpiworem. Tuż nad nim wisiała jakaś kartka, więc wszedł do środka, bo stojąc w progu, nie potrafił odczytać liter. Ach, to tylko ten cytat, westchnął w duchu, rozpoznając początek zdania, łamigłówka na bezsenne noce, w której cień na nieistniejących schodach przesuwiał się wbrew wszelkim prawom natury. Nie do rozwikłania zwłaszcza dla kogoś takiego, jak on, kto nie miał kłopotów z zasypianiem.

Zamierzał się wycofać, gdy jakiś obraz, niewyraźne wspomnienie bez znaczenia, kazało mu się zatrzymać. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Czemu dopiero teraz przyszło mu to do głowy? Nic straconego, uspokoił się natychmiast. Myśl kielkowała w przyspieszonym tempie i wypuszczała świeże, zielone pędy. Musiał sprawdzić, czy jego przypuszczenia mają sens. Ale do tego przydałaby mu się Ewa. Spojrzał na zegarek. Wskazywał szóstą trzydzieści. Wiedział, że lubi wcześniej wstawać, ale tym razem go zaskoczyła. Postanowił jej poszukać. Koniecznie chciał się z nią podzielić swoim domysłem.

Idąc do klasztoru, pod którym spodziewał się znaleźć, zajął do proboszcza. Zastukał ostrożnie do drzwi wejściowych, zdziwiony, że są zamknięte i czekał dość długo na dźwięk kroków księdza Andrzeja po drugiej stronie. Zaproszony do salonu usiadł na tym samym krześle, które niewiele wcześniej zajmował Jacek, i położył na blacie dziennik Ottona Kleista.

— Nam się już nie przyda — powiedział. — Za mało danych, zbyt dużo niewiadomych. Brakuje elementów układanki, jakby ktoś celowo je pogubił.

— Minęło dużo czasu.

— Niestety — przyznał Robert niechętnie.

— Przykro mi.

— Chcielibyśmy, żeby został pod księdza opieką.

— Byłem przekonany, że zniknął — odparł proboszcz, przyglądając się w zadumie zniszczonej okładce. Robert spojrzał na niego zaskoczony,

zastanawiając się, skąd o tym wie.

— Jacek jakoś go odzyskał, swoimi sposobami — wyjaśnił wymijająco. — To jego pomysł, żeby dać go księdzu. A Piotr się z tym zgodził. Jest częścią klasztoru, całym rozdziałem jego historii. Dlatego nie powinniśmy go wywozić. Niech go ksiądz zatrzyma.

— Jacek, mówisz? Ten chłopak potrafi zaskakiwać. — W oczach kapłana pojawiły się jaśniejsze błyski, jakby w jednej chwili odmłodził o kilka lat. Wyprostował się i popatrzył na Roberta z uśmiechem.

— Kiedy wstałem, zobaczyłem, że nie ma jego rzeczy. I miałem wrażenie, że widzę go w autobusie, który mnie minął, gdy do księdza szedłem — powiedział archeolog, patrząc na proboszcza z namysłem.

— Cieszę się — odparł bez związku kapłan, wciąż myśląc o swoim pierwszym gościu. Dokąd pojechał? Do Warszawy? Albo do matki, do niewielkiego rodzinnego miasta, którego nazwy nigdy mu nie zdradził. Gdziekolwiek był w tej chwili, proboszcz już nie mógł mu podziękować. Może to i lepiej, czasem słowa są zbędne, uznał w duchu i poczuł, jak ogarnia go spokój.

Im bliżej miał do klasztoru, tym bardziej się niepokoił. Zbliżała się siódma. Słońce było już wysoko, ale chłód bijący od ziemi nadawał powietrzu przyjemną lekkość. Robert odetchnął głęboko, to jednak nie pomogło. Wciąż czuł w piersiach trudny do wyjaśnienia ucisk. Ewa nigdy nie znikwała bez słowa. Wydłużył krok, kierując się do drzwi domu konwersów. Był niemal pewien, że tam ją znajdzie. W końcu miała klucze. Może tak jak on przyszła szukać rozwiązania zagadki. Czyżby znowu zaczął wierzyć w jej istnienie? Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, że zaraz ją zobaczy. Rudą, rozczochraną i żądną odkryć za wszelką cenę. Gdy dotknął klamki, drzwi ustąpiły, a on znalazł się w miękkim jak gaza półmroku sieni.

Robert, który rozstał się z Ewą poprzedniego dnia około północy pod drzwiami jej pokoju, byłby zdziwiony, gdyby wiedział, że tej nocy w ogóle się nie kładła. Poczekała, aż odgłosy na szkolnym korytarzu zupełnie ucichną, i na palcach wymknęła się z budynku. W czarnym

swetrze i ciemnych spodniach była niemal niezauważalna. Czasem zdradzało ją światło rzadkich na szczęście we wsi i na ogół popsutych latarni. Te nieliczne, które jeszcze się paliły, omijała szerokim łukiem, mając nadzieję, że o drugiej w nocy mieszkańcy Kolic śpią snem sprawiedliwych.

Dłonie miała chłodne, a po plecach przebiegały jej dreszcze, chociaż noc była ciepła. Starła się jednak panować nad emocjami. Tomasz powinien widzieć, że jest spokojna i rzeczowa. Był trudnym przeciwnikiem i często posługiwał się półprawdami. Była pewna, że postara się przed nią ukryć przynajmniej część tego, czego się dowiedział. Tymczasem ona chciała wydobyć z niego wszystko. A co potem, zadała sobie pytanie, kiedy już mi powie? Jak go powstrzymam? Ponieważ nie знаła odpowiedzi, postanowiła poczekać na rozwój wydarzeń.

Przy dawnej klasztornej bramie żarzył się ognek papierosa. Tomasz nie lubił się spóźniać, na spotkania stawiał się nawet kilka minut przed czasem. Nic nie mogło wpłynąć na zmianę jego przyzwyczajień.

— Zapalisz? — przywitał Ewę, podsuwając jej otwartą paczkę. Oparła się pokusie, czując, że w tej chwili za papierosa oddałaby wszystkie oddechy, jakie jej pozostały do końca życia.

— Rzuciłam — powiedziała stanowczo, odsuwając jego dłoń. — Nie traćmy czasu. Co masz dla mnie?

— A ty? — odparł po swoim, pytaniem, zaglądając jej w oczy. Papieros błysnął, gdy rozciągnął usta w uśmiechu i Ewie przypomniały się inne noce. Te, które spędzali razem, i te, podczas których znikał nie wiadomo gdzie, pozostawiając jej za każdym razem uśmiech, taki jak ten.

Cofnęła się przezornie o kilka kroków, by wyzwolić się spod jego wpływu. Nie zamierzała ulegać sentymentom. To był tylko interes. Ich ostatnia wymiana handlowa. Przepustka do przyszłości bez niewygodnych wspomnień. Nie chciała, by ktokolwiek się dowiedział, czym się kiedyś zajmowała. Ktokolwiek czy Robert, przemknęło jej przez głowę. Wsunęła dłoń do kieszeni i pokazała mężczyźnie wiązkę kluczy.

— Grzeczna dziewczynka — mruknął Tomasz i nagłym gestem rzucił niedopałek pod nogi, po czym rozgniół go butem na miazgę. Metodycznie, można by powiedzieć, niemal zajadle. Ewie zrobiło się zimno.

— Wejźdźmy do środka — zaproponował jej mąż, choć brzmiało to raczej jak rozkaz.

— Najpierw fakty — ośmieliła się mu przeciwstawić. — Mówiłeś o wymianie.

Skrzywił się, widząc jej upór, ale był gotów wypełnić obietnicę. Współudział Ewy gwarantował jej milczenie, a na tym najbardziej mu zależało. To, co zamierzał, miało szansę powodzenia i lepiej byłoby, gdyby jego planów nie udaremniła histeryczka, która nagle postanowiła przestrzegać prawa.

— Jeśli ktoś się o tym dowie — zaczął na wszelki wypadek, ale Ewa była gotowa przysiąc na wszystko, byle tylko zdobyć nowe informacje. I pozostać w cieniu.

— Będę cicho — powiedziała. — Po tych kilku latach nie powinienś wątpić w moją dyskrecję.

— Ludzie się zmieniają. — Tomasz popatrzył na nią badawczo. — Jeśli mi zaszkodziś, pamiętaj, że ja mogę zaszkodzić tobie.

Niechętnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął z niej złożoną kartkę. W jego drugiej dłoni błysnęła małeńka latarka. Snop światła skierował na papier, a ten podał Ewie.

— Może jednak wejdziemy, tu jesteśmy zbyt widoczni. Przeczytasz w środku. Za chwilę. Na razie chodź ze mną do samochodu, pomożesz mi zabrać kilka rzeczy.

Zaparkował po drugiej stronie klasztornych zabudowań, za kępą zarośli. Dzięki temu samochód był niewidoczny zarówno dla mieszkańców wsi, jak i osób kręcących się pod kościołem. Dotarcie do niego po ciemku nie było ani łatwe, ani przyjemne. Na szczęście pole, przez które musieli przejść, okazało się świeżo skoszoną łąką. Jedynym problemem były więc nierówności terenu, na których można było skrócić nogę. Minęło pół godziny, nim udało im się wrócić, z reflek-

torem, skrzynką z narzędziami i jeszcze jakimiś metalowymi przyrządami zawiniętymi w grubą tkaninę, która tłumiała ich szcęk.

Ewa drżącymi dłońmi otworzyła drzwi i po chwili byli w środku, ona i mężczyzna, z którym jeszcze kilkanaście godzin temu nie chciała mieć nic wspólnego. Jak to się stało, pomyślała, że znowu ładuję się w kłopoty. I to za sprawą tego samego człowieka co zawsze? Przypomniał jej się Robert i jego niedawne słowa o starości i tęczy. Nie była pewna, czy pociągają spokojna przyszłość u boku mężczyzny, który marzy o małej stabilizacji. Bała się nudy i przyzwyczajenia. Obejrzała się niespokojnie na Tomasza, który właśnie włączył reflektor i osłaniał jego lampę czerwonym filtrem, jaki stosuje się w ciemni fotograficznej.

— Przeczytaj kartkę, którą ci dałem — polecił jej. — Powinno ci się udać w tym świetle.

Posłuchała go. Pismo Ottona rozpoznała od razu. List adresowany był do profesora Alberta Kohla, uniwersytet w Berlinie. U góry widniała data: lipiec 1884 roku. Tym razem już nie musiała udawać, że nie zna niemieckiego.

Szanowny Panie Profesorze,

Przez wzgląd na pamięć Hermanna Staffa i wieloletnią przyjaźń, jaką go Pan darzył i która w części, w co wierzę, stała się także moim udziałem, proszę Pana o dyskrecję i powierzam Mu kilka informacji, licząc na to, że w ten sposób przetrwają na wypadek mojej śmierci.

Jest blisko Stettin w miejscowości Koltitz stary cysterski klasztor, który polecam Pańskiej uwadze. Mury jeszcze stoją, ale z każdym rokiem ich stan się pogarsza i trudno przewidzieć, jak długo jeszcze będą cieszyć ludzkie oko.

Hermann przed śmiercią przekazał mi plan opactwa, który wzbudził moje zainteresowanie i skłonił do poszukiwań. Czego szukałem, dotąd nie wiem, ale jestem przekonany, że w klasztorze mnisi ukryli to, co w ich mniemaniu było najcenniejsze, by nie wpadło w ręce wyznawców też Lutra.

Gdybym zginął, zaklinam Pana, Profesorze, niech Pan jedzie do Kolitz i od córki pastora Marii Herbst odbierze plan i brulion z moimi zapiskami. Potem niech Pan spróbuje dostać się do domu konwersów, najlepiej w słoneczny dzień, rano, a później po południu. Niech Pan odnajdzie schody i przyjrzy się, w jaki sposób oświetla je wpadające przez okna światło słoneczne. Może ono podpowie Panu, gdzie szukać. Skąd o tym wiem? To też wyjaśni Panu Maria i pewien cytat, który znajdzie Pan w moim dzienniku. Niech jej Pan pokaże ten list, żeby nie miała wątpliwości, że przyjeżdża Pan z mojego polecenia.

Proszę mi wierzyć, gdybym nie miał wątpliwości, że przeżyję najbliższe dni, nigdy bym Pana nie fatygował. Ale wiem, że ta zagadka wymaga rozwiązania i nie mogę pozwolić, by przepadła wraz ze mną. Znam też Pana zamiłowanie do tropienia tajemnic historii. Mam nadzieję, że jeśli mnie się nie uda, uda się Panu.

Szczerze oddany Otto Kleist

— Jak zamierzasz *znaleźć* cokolwiek po ciemku? — spytała Tomasz, przebiegając wzrokiem linijki, raz, drugi i trzeci, jakby spodziewała się znaleźć w liście coś więcej ponadto, co w nim napisano.

— Nie mam wyboru. Prace twoich przyjaciół skutecznie blokują dostęp do tego miejsca przez większą część dnia. A potem zaczyna się tu kręcić proboszcz. Pomyślałem, że tylko z twoją pomocą mi się uda.

— Skąd ta pewność?

— Intuicja — uśmiechnął się Tomasz i puścił do niej oko. Udała, że tego nie zauważyła. W gruncie rzeczy nie czuła się jeszcze współniczką w pełnym tego słowa znaczeniu. Wciąż wydawało jej się, że zdąży się wycofać w dogodnej chwili, nie tracąc kontroli nad sytuacją. Nie mogła się zdecydować, czy chce dalej brnąć w tę historię ze swoim byłym mężem, czy jest tu tylko po to, by mu w porę przeszkodzić. Tomasz mówił dalej, nie zwracając uwagi na jej zamyślenie.

— Tak długo czekałem w Szczecinie na twój telefon, że w końcu przyszło mi do głowy, że mogłaś coś znaleźć, coś, czym nie chcesz się ze mną dzielić. Wyprowadź mnie z błędu, jeśli się mylę.

Ewa milczała, zastanawiając się, jak zaprzeczyć. I czy zaprzeczać, teraz, gdy jest tak blisko celu.

— A więc się nie myślę — mężczyzna uznał, że jej milczenie jest dowodem trafności jego przypuszczeń. — Oczywiście wiesz, o jakim cytacie mowa, mam rację? Ewa — ponaglił ją, bo wciąż się nie odzywała. — Nie interesuje mnie jego źródło. Czas ucieka, jeśli chcemy we dwoje coś osiągnąć, poskładajmy do kupy to, co wiemy, i postarajmy się zrobić z tego użytek.

I Ewa powiedziała. Czowała się przy tym tak, jakby nie panowała nad słowami. Jakby po kilku wiekach w tym właśnie miejscu słowa miały być wypowiedziane, a jej usta służyły wyłącznie do wypuszczenia ich w świat. Nie była w stanie ich powstrzymać. Uwolnione brzmiały w powietrzu długą chwilę, nim Tomasz zrozumiał sens całego zdania.

— Gdzie są te schody? — zapytał, patrząc na nią tak, jakby otworzyła przed nim bramy Sezamu.

— Za rogiem — pokazała Ewa. Z reflektorem w dłoni poszła przodem, pokazując mężczyźnie drogę. — Stopni jest dziewiętnaście — dodała, stając u ich podnóża. — To niestety wszystko, co wiem.

Robert bezgłośnie zanurzył się w miękką szarość. Sandały na sportowej gumowej podeszwie nie wydały żadnego dźwięku w zetknięciu z kamienną posadzką. Zajrzał do biblioteki, ale widząc, że jest pusta, zawrócił i postanowił sprawdzić, czy Ewy nie ma na górze.

— Ewa! — zawołał, gdy znalazł się znowu przy drzwiach wejściowych. Skierował się ku schodom. — Ewa, jesteś tu?

Odpowiedziało mu echo. Przebiegł piętra, ale nim wspiął się na najwyższą kondygnację, wiedział już, że budynek jest pusty. Jeszcze raz zatrzymał się przy schodach. Wróciło poranne olśnienie, ale teraz Robert nie miał czasu porównywać swoich przypuszczeń z rzeczywistością. Przyprowadzę tu Ewę, zdecydował, wspólnie się nad tym zastanowimy.

Dlaczego te drzwi są otwarte, przeszło mu jeszcze przez myśl na odchodnym. Kto zapomniał je zamknąć? Może ksiądz Andrzej, odpowiedział sobie półgłosem i ta myśl go uspokoiła.

— Coś się stało?

— Nie. Dlaczego pytasz?

Był wieczór, szaropopielaty z lekkim odcieniem fioletu. Ewa sprawiała wrażenie przygaszonej. Może winne było światło, a może zmęczenie. Przez cały dzień wydawała się niedostępna i dopiero teraz Robertowi udało się usiąść obok niej na schodach szkoły.

— Szukałem cię całe rano, ale nie znalazłem. Potem, w ciągu dnia omijałaś mnie wzrokiem, jakbym nie istniał. Wczoraj zrobiłem coś nie tak?

Potrząsnęła rudymi lokami.

— Po prostu miałam ochotę побыć sam na sam z moimi myślami. To nie twoja wina. To ja... chyba zanadto się pospieszyłam.

— Wczoraj nie miałaś takich rozterek. — Robert nie zamierzał ukrywać rozgoryczenia. Wspomnienie wieczoru wciąż przyprawiało go o zawrót głowy. Pachniało mokrymi ziołami jak jej włosy. — Co się zmieniło?

— Nie wiem, Robert — powiedziała bezradnie, wpatrując się w betonowy stopień, na którym oparła stopy.

Jak mam ci to wyjaśnić, myślała, skoro wszystko tak bardzo się pogmatwało. Jeśli wciąż będę cię oszukiwać i tak nie będziesz chciał ze mną później rozmawiać. Jeśli powiem, że wszystko między nami skończone, oboje będziemy tego żałować. Choć wydaje mi się to uczciwszym rozwiązaniem. O ile mam prawo jeszcze używać tego słowa.

Wydawało jej się, że Robert powiedział coś ważnego, a ona nie usłyszała, pochłonięta niewesołymi rozważaniami. Spojrzała na niego nieprzytomnie. Był wściekły, ale Ewa wiedziała, że za wściekłością kryje się smutek.

— Przepraszam, zamyśliłam się. Co mówiłeś? — zapytała najłagodniej, jak umiała. Robert uśmiechnął się nieprzyjemnie, z politowaniem, jakby rozśmieszyły go własne oczekiwania.

— Pytałem, czy to cię kręci?

— Co takiego? — Nie rozumiała. Umknęło jej poprzednie zdanie, którego nie powtórzył.

— To, jak zaliczasz facetów? Jak okręcasz ich sobie wokół palca? Po jakim czasie zwykle ci się nudzi?

— Jesteś niesprawiedliwy.

— Czyżby? — zadrwił Robert. Zbladł pod opalenizną i by nie stracić panowania nad sobą, stał nad nią pochylony, kurczowo zaciskając pięści ukryte w kieszeniach spodni.

— Czujesz się zaliczony?

— A mogę czuć się inaczej? Jak wypadłem na tle innych? Odpowiedz mi, do cholery.

— Ciszej. — Ewa ukryła twarz w dłoniach, odgradzając się od jego zarzutów, jego wykrzywionej twarzy i oczu, który przypominały dwie kreski. Nie chciała go takim pamiętać.

— Często się tak zabawiasz? — indagował dalej Robert, a jego gniew potęgował z każdym wypowiedzianym słowem. — Ze mną łatwo ci poszło. Sam się pchałem w ręce. Jak idiota. Więc jaki byłem? — rozpędził się znowu. — Będzie co wspominać?

Ewa wstała i popatrzyła na niego. Przeciągle. W jej oczach pojawił się zimny błysk, w którym Robert rozpoznał pogardę. Nim się odwróciła, zdążył zrozumieć, że przesadził.

— Nie jestem kurwą — powiedziała Ewa dobitnie, odmierzając sylaby doskonale rzeczowym głosem. — Mówię to na wypadek, gdybyś miał wątpliwości. Z kurwą byś się przecież nie przespał? Mam rację?

Zostawiła go na schodach z głupią miną i gniewem, który powoli zmieniał się w złość na samego siebie. Coś się stało. Coś złego. A on nie rozumiał, jak do tego doszło. I przypuszczał, że tylko on na tym straci.

Dzień jedenasty

Zjawił się pod jej drzwiami wcześniej rano, tak samo jak poprzedniego dnia, choć tym razem długo się wahał, nim odważył się zapukać. Właściwie stał tam kilka minut, zbierając się na odwagę. Kiedy wszedł, zorientował się od razu, że ją obudził. Leżała na materacu i przyglądała mu się bez słowa mocno podkrążonymi oczami. Wyglądała, jakby wcale nie spała tej nocy. Jej zmęczenie bardzo rzucało się w oczy.

— Czego chcesz? — spytała nieprzyjaźnie po długiej chwili ciszy.

— Potrzebuję kluczy księdza Andrzeja.

— Oddałam mu — skłamała, nie spuszczając z Roberta wzroku. — Czas zapomnieć o zagadkach i wrócić do realnego świata.

Zaskoczyła go. Nie spodziewał się po niej takiej zmiany. Rozejrzał się po pokoju. Kartka znad materaca, która jeszcze wczoraj wisiała na ścianie, znikła. W pomieszczeniu panował idealny porządek, tylko na krześle wisiał czarny golf i ciemne spodnie, w których Robert nigdy Ewy nie widział. Miały przybrudzone nogawki. Popatrzył na nie z namysłem, ale nic nie powiedział.

— Słuchaj, przepraszam cię. Gdybym mógł cofnąć to, co wczoraj powiedziałem...

Nie odezwała się. Tylko w zielonych, zaczerwienionych od bezsenności oczach pojawił się znany już Robertowi błysk, który nie wróżył nic dobrego.

— Wyjdź — usłyszał w końcu. Przyjął polecenie z ulgą. Audiencja zakończona. Pozostało mu zapomnieć, że kiedykolwiek się o nią ubiegał.

Najgorszy do zniesienia był wstyd. Za to, co powiedział i jak to powiedział, a także za to, co powiedziała Ewa, nim on zdążył pomyśleć to samo. Wcześniej czy później musiało mu to przyjść do głowy, nie był

tylko pewien słów, które złożyłyby się na tę myśl. Czuł się oszukany, a mimo to winny. Zachował się bardzo po męsku, mógł sobie pogratulować zdanego testu na wysoki poziom testosteronu.

Co ona takiego powiedziała, że wpadł w szal? Że się zastanawia? Tylko tyle? Skoro znają się od niespełna dwóch tygodni, a dzięki wzajemnemu przyciąganiu dotarli do granicy intymności, za którą było już tylko wspólne być lub nie być, może warto było zadać sobie pytanie, co począć z łączącym ich uczuciem? Jeśli o uczuciu można było w ogóle mówić. W tej kwestii Robertowi wypadało ręczyć wyłącznie za siebie. Choć po wczorajszej wymianie zdań czuł, że i na to jest już za późno.

Patrzyła na niego jak na wroga albo nie patrzyła w ogóle, kiedy mijali się podczas pracy i na szkolnym korytarzu. Odprowadzał ją spojrzeniem, mając w pamięci jej wiotkość, piegi w zagłębieniu między piersiami i miękką wypukłość brzucha. Nie radził sobie z obrazami pozostającymi w sprzeczności z bladą, zaciętą twarzą, z której znikła dawna promiennosc. Chciał jej pomóc, tak jak chciał pomóc sobie, ale nie znał sposobu. Do dyspozycji miał tylko słowa, ale one okazały się zawodne, bo zbyt łatwo uwalniały się spod jego wpływu.

Gdyby to było możliwe, najchętniej zmieniłaby kilka ostatnich lat swojego życia. Nie wychodziłaby za Tomasza, nie ułatwiała mu jego nielegalnych interesów, nie dostarczała dokumentów i nie umawiała na konsultacje z autorytetami zdolnymi wypowiedzieć się na temat przedmiotów czy też całych grup zabytków, które go interesowały. Nie brałaby udziału w nocnych awanturach, w wyniku których dokładnie zapakowane pudła z nieznaną zawartością lądowały na pokładach statków wychodzących ze szczecińskiego portu. Zwykle miały podwójne dno. Tomasz nie lubił niepotrzebnie ryzykować. Przemyczał tylko drobiazgi. Na tyle cenne jednak, by gra warta była świeczki. Uważał się za sprytnego. I nie wpadł ani razu. Wśród jej znajomych cieszył się nieposzlakowaną opinią. Potrafił być czarujący, dowcipny, błyskotliwy. Tylko w domu wychodziła na jaw jego prawdziwa natura. Wybuchowość, która znajdowała ujście w drobnych codziennych sprzeczkach, arogancka pewność siebie, okresowa

skłonność do alkoholu, gdy Tomasz nie umiał poradzić sobie ze stresem. I do kontrolowanej przemocy, która miała służyć rozbudzeniu zmysłów i mocniej związać ich ze sobą. Na Ewę podziałała dokładnie odwrotnie. Wyprowadziła się przed rokiem do starego mieszkania po dziadkach. Poczuli się bezpieczni i wolni. Tylko czasem brakowało jej nocnych eskapad podnoszących poziom adrenaliny.

Tomasz wpadł na pomysł, by przyjechać do Kolic, przed kilkoma miesiącami. Zaczął grzebać w archiwach. Znalazł niewiele, ale rysunki starego klasztoru podziałały na jego wyobraźnię. Pojechał do Berlina. Tropiąc w bibliotekach notatki o pracach remontowych prowadzonych w Kowitz w XIX wieku, trafił na Ottona Kleista, a w wybranych dziennikach z tego czasu na informacje o jego tajemniczym zaginięciu. Wtedy zadzwonił do Ewy. Telefon Piotra, który odebrała miesiąc później, należał do tych nieprawdopodobnych zdarzeń, jakie często mają miejsce, gdy się o nie nie zabiega. Zgodziła się przyjechać. Z ciekawości. Dlatego że znowu znęcała ją przygoda. Ostatni rok upłynął jej na pracy. Zdążyła zapomnieć, że Tomasz umie być nieprzyjemny.

Przypadkowe odnalezienie dziennika oraz miejsca pochówku Ottona utwierdziły ją w przekonaniu, że Tomasz miał rację, angażując się w tę sprawę. Znowu czuła się w swoim żywiole. Robert był tylko dodatkiem do przygody. Maskotką, która czasem okazywała się przydatna. Później wszystko się skomplikowało. Kiedy dokładnie? Nie była pewna. Może tamtej nocy, gdy powiedział, że są do siebie podobni. A może dopiero wówczas, gdy stanął zbyt blisko, a ona pozwoliła, by ją pocałował. Nie bawiła się nim. Nie bardziej niż własnym pragnieniem. Prawdopodobnie była mu winna wyjaśnienie. Odwlekała je w czasie, licząc na cud. Tomasz jej groził, ciekawość pchała do przodu, widok Roberta budził bardzo konkretną tęsknotę.

Dzień czternasty

Piotr poznał w życiu dość kobiet, by wiedzieć, że poszukiwanie tej jednej nie musi zakończyć się sukcesem. Przez moment miał wrażenie, że jest nią Ewa, ale wówczas popełnił błąd i okazało się, że wszystkie plany, które wspólnie snuli, nigdy nie doczekają się realizacji. Od tamtej pory każda znajomość była podobna do poprzedniej. Z kobietami bywał dłużej lub krócej, czasem myślał o tym, by się ożenić, choć tylko Ewa usłyszała z jego ust taką deklarację.

Nie bał się samotności, bo oznaczała niezależność, a w jego zawodzie niezależność była gwarancją sukcesu. Praca w terenie przez kilka miesięcy w roku musiała wiązać się z nieobecnością w domu, z koczowniczym trybem życia, uczuciem tęsknoty, które pojawiała się zawsze w kwietniu, gdy ziemia rozmarzała i zaczynała pachnieć nowym życiem. To tęsknota gnała go zawsze w pole wczesną wiosną. To przez nią wracał do Warszawy w październiku albo w listopadzie, zziębnięty i zmęczony, ale zawsze pewien, że nie pomylił się w wyborze życiowej drogi. Przynajmniej w tej jednej kwestii się nie pomylił. W zimowe, samotne noce śniły mu się wydarte ziemi skarby, profile wykopów w ciepłych brunatnych kolorach, zapachy wilgotnych warstw, w których był deszcz, czas i historia. Czuł je jeszcze długo po przebudzeniu.

Czy w takim życiu było miejsce dla kobiety? Nie jakiegokolwiek, ale własnej, na stałe, partnerki, narzeczonej, żony? Która wytrzymałaby półroczną nieobecność, zainteresowanie wyrażane wyłącznie przez telefon, opowieści o kościach spoczywających w grobach od stuleci, o tysiącach ceramicznych fragmentów, w które zamieniły się naczynia i urny z prochami? Która powiedziała by coś więcej ponad to, że grzebie w śmieciach? Dlaczego nie znajdziesz żadnego skarbu, Piotrze,

prawdziwego skarbu? Ciągłe tylko te garnki i garnki. Zupełnie jakby bez końca rodziła je ziemia.

Ewa też chciała szukać skarbów, goniła za tajemniczym Sezamem, który nigdy nie istniał poza światem baśni, marzeń i snów. Nie mógł jej tego wybaczyć. Była archeologiem, kimś takim jak on, powinna go rozumieć. Powinna wiedzieć, że skarbem jest wszystko, co kryje ziemia, wszystko, co niesie ze sobą informację o minionym życiu. Prawdziwe skarby zdarzały się bardzo rzadko i zawsze odnajdywali je niewłaściwi ludzie, amatorzy, którzy sprzedawali je potem za grosze na pchlich targach. Jak Jacek. Chociaż on zdawał się wierzyć w to, co robi, i nie był amatorem. Wiedział, gdzie szukać. Tak czy owak Piotr znał mnóstwo takich przypadków w powojennej i późniejszej historii Polski.

Od pewnego czasu był więc sam. Próbował dowiedzieć się, czego oczekuje od życia i od siebie. Przyzwyczajenia wyznaczały rytm jego życia. Żył pracą, którą lubił. To było dobre. Nie szukał żony, choć chciałby ją mieć, żeby nie wracać zimą do pustego mieszkania. Egoistyczne podejście? Może. Nie szukał jej jednak, żeby nie zostawiać jej samej na słoneczną i ciepłą część roku, żeby nie martwić się, że ma zbyt małą pensję i nie może zapewnić jej wszystkiego. Wszystko to bardzo pojemne słowo. Piotr bał się, że zbyt pojemne.

Nie był, lecz bywał szczęśliwy. Pracowitość i rzetelność przysporzyły mu zleceniodawców. Lubiał, gdy studenci chodzili jak w zegarku, a plan wykopu był odczyszczony jak posadzka sali balowej. Dziennik wykopalisk zawsze pękał w szwach od informacji i nie było w nim żadnej luki, do której ktokolwiek mógłby się przyczepić. Prowadził uporządkowane życie i dużo wymagał od innych, ale znacznie więcej od siebie. Nie był spontaniczny. Trudno. Nie wszyscy mogą być tacy sami. Spontaniczność to grzech, za który płaci się wcześniej czy później. Piotr już zapłacił. Raz w życiu zachował się spontanicznie i dlatego rozstał się z Ewą. To się, niestety, zdarza. Szkoda tylko, że jemu także. Niepotrzebnie robił jej awantury, gdy przyjechała. W końcu sam ją tu ściągnął, powinien lepiej panować nad swoimi emocjami. Kiedy ją znowu zobaczył, zaczął żałować przeszłości. Było im razem dobrze.

Rozumieli się. Do czasu. Już nie miał do niej pretensji, uzasadnionych czy nie, bez różnicy. Do siebie też nie.

Agata właściwie nic nie zrobiła. Nie ścigała go spojrzeniem, nie kusiła uśmiechem. Długie nogi okrywała płóciennymi spodniami nawet w największe upały. Fanatycznie unikała słońca. Spod czarnej grzywki patrzyła na niego bardzo ciemnymi oczami bez cienia kokieterii. Cere miała jak jedwab, mleczną, z dodatkiem kawy na szyi i policzkach. Tam, gdzie dosięgły jej słoneczne promienie. Koło ust robiły jej się dołeczki, gdy się uśmiechała. Piotr zauważył ją zupełnie niedawno. To znaczy wiedział, że jest obok, rozmawiał z nią, wydawał polecenia, patrzył, gdy je wykonywała, sprawdzał, czy nie popełnia błędów. Ale mimo to jej nie widział. Aż do dzisiaj.

Przysiadła obok niego na ławce przed szkołą. Było niedzielne przedpołudnie, dla niego najtrudniejsze godziny w tygodniu. Niedzielę zawsze z kimś się spędza. Na wykopaliskach jest po prostu dniem wolnym od pracy. Dniem, w którym śpi się dłużej, nie pracuje fizycznie, bardziej tęskni za zostawioną gdzieś dziewczyną, jeśli się ją ma, można wypić kilka piw więcej.

— Wszystko w porządku? — zapytała Agata, przyglądając się Piotrowi bardzo uważnie, tak jak nikt już dawno na niego nie patrzył.

— Tak. Dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Siedzisz tak jakoś na uboczu. Wyglądasz jak chory pies. Pomyślałam, że pytam.

— Dziękuję, że pytasz. — Uśmiechnął się lekko.

— Idziemy do baru. Chodź — zaproponowała, nie spuszczać z niego wzroku.

Naprawdę się martwiła. Widział to bardzo wyraźnie.

— Po piwie wpadam w melancholię — odparł. — Zostanę i popracuję.

— Potrzebujesz pomocy? — Pokręcił przecząco głową. W dużych ciemnych oczach zobaczył wahanie. — Jak chcesz. — Wstała i ruszyła do furtki.

Patrzył za nią jak zaczarowany. Poruszała się z gracją. Płócienne spodnie lekko opasywały ją w talii i spływały w dół szerokimi fałdami w kolorze dojrzałych kłosów. Odwróciła się przy furtce i zobaczyła, że odprowadzał ją spojrzeniem. W uśmiechu, który mu posłała, odnalazł swoją przyszłość, cierpliwą, dobrą, pogodną przyszłość u boku odpowiedniej kobiety. I właśnie wtedy się w niej zakochał.

Tym razem dom konwersów był zamknięty na cztery spusty. Robert dla pewności jeszcze raz nacisnął klamkę, ale zamek tylko szcęknął metalicznie, gdy mocno pociągnął drzwi do siebie. Nie ustąpiły. Stał niezdecydowany, patrząc na nie ze zmarszczonym czołem, wciąż mając w pamięci tamten dzień, w którym razem z Ewą pokonywali zalane słońcem schody. Teraz, kiedy ze sobą nie rozmawiali, chciał sam się przekonać, czy niepokojący obraz pomoże mu w rozwiązaniu zagadki. A może chodziło o to, by z powrotem wciągnąć Ewę do gry? Przebłagać? Znęcić perspektywą nowego odkrycia?

Tak zastał go ksiądz Andrzej, który odprawivszy popołudniową mszę, a później spędzivszy w kościele jeszcze jakiś czas, wyszedł w końcu na słońce, mrużąc odwykłe od światła oczy. Wyglądał lepiej niż ostatnio i lepiej się czuł, może dlatego, że zrobiło się nieco chłodniej. Robert ucieszył się, że go widzi.

— Nie ma to jak spotkać właściwą osobę, we właściwym miejscu i czasie — powiedział na powitanie. Zabrzmiało to trochę enigmatycznie, ale kapłan przyzwyczał się już do niespodziewanych wizyt, zwierzeń i próśb.

— Co tym razem mogę dla ciebie zrobić, Robercie? — zapytał wprost, patrząc na młodego mężczyznę z niemal niedostrzegalną kpiną w oczach. Robert jej nie zauważył, zaabsorbowany własnymi rozważaniami.

— Nie chciałem tak prosto z mostu — spłoszył się — ale skoro ksiądz od razu przechodzi do rzeczy... mógłbym pożyczyć klucze do domu konwersów? — wskazał głową zamknięte drzwi. Muszę coś sprawdzić, bo nie daje mi to spokoju.

— Z tym będzie problem — kapłan tarł w zamyśleniu gładko ogolony policzek. — Gdzieś zapodziałem zapasowy komplet i zostałem przy jednym. Wolałbym się z nim nie rozstawać.

Robert z trudem ukrył zaskoczenie, niedowierzanie i zawód, bo tak chyba należało nazwać to ostatnie uczucie, które sprawiło, że świat nagle poszarzał i rozpadł się na kawałki. Nie było co zbierać. Ewa go okłamała. Nieważne, dlaczego to zrobiła, sam fakt był już wystarczająco bolesny i trudny do zaakceptowania.

— Dobrze się czujesz? — w głosie księdza Andrzeja zabrzmiała troska. Robert machinalnie skinął głową. Zdecydował, że później o tym pomyśli. Jak ochłonie. Teraz musi się dostać do środka. Już nie z panią antropolog, która najwyraźniej wykluczyła go ze spółki, ale sam.

— Gdzie jest Ewa? — zapytał kapłan, jakby czytał w jego myślach.

— Nie mogła przyjść. Coś ją zatrzymało — odparł Robert szybko. Zbyt szybko, by miała to być prawda. Ksiądz Andrzej powstrzymał się jednak od komentarzy. Miał dość zmartwień, by przejmować się jeszcze sprzeczkami zakochanych. Przejdzie im, pomyślał, chociaż wyraz twarzy Roberta nie uprawniał do tak optymistycznych prognoz.

— Czy mimo to pożyczysz mi ksiądz te klucze? Dosłownie na moment — archeolog wrócił do tematu. — Możemy wejść razem. Sam ksiądz otworzy, a potem zamknie — dodał na wszelki wypadek, gdyby proboszcz zamierzał oponować. — Co ksiądz na to? — Wpatrzył się w duchownego z nadzieją. — To naprawdę ważne.

— Skoro ważne, to wejdźmy — westchnął proboszcz, wyciągając klucze z przepastnej kieszeni spodni.

Ewa już dawno przestała liczyć upływające minuty, kwadransy i godziny. Przyszła rano, przed nabożeństwem, które proboszcz odprawiał o dziesiątej. Było jeszcze na tyle wcześnie, że na drodze do klasztoru nie spotkała nikogo. Do budynku udało jej się wejść niepostrzeżenie i gdy tylko zamknęła za sobą ciężkie drzwi, pomyślała, że Tomasz byłby z niej zadowolony. To był jego pomysł, żeby dokładnie obejrzała schody za dnia.

Jego pojawienie się w pobliżu kościoła mogło budzić podejrzenia. Po spędzonych w Kolicach dwóch tygodniach Ewa była kimś stąd i jej obecność w tym miejscu nie była niczym nadzwyczajnym.

Czas mijał i słońce coraz śmieiej znaczyło mury swoim blaskiem. W jego świetle cysterska łamigłówka nie wydawała się już nie do rozwiązania, a kilkugodzinna obserwacja wędrówki słonecznych promieni po schodach domu konwersów, która miała wszystko wyjaśnić, od samego początku sprawiała Ewie przyjemność. Miała wrażenie, że każda minuta przybliży ją do celu. Radość oczekiwania mąciła jednie myśl, że dotrze do niego razem z Tomaszem. Ostatni raz, powtarzała sobie w momentach zwątpienia, w zamian za jego milczenie i święty spokój, który chciała sobie w ten sposób zapewnić.

Rano było tu chłodno, szaro i cicho. Ewa przeszła przez dawne cellarium niemal na palcach, żeby nie budzić duchów. Tu było więcej światła. Słońce wpadało przez otwory okienne, którym przed wiekami kapryśny architekt nadał formę romańską od wewnątrz, a gotycką z zewnątrz. Ewę zachwyciło jego niezdecydowanie. Postanowiła poczekać, aż słońce na dobre rozgości się na schodach. Z książką, którą na chybił trafił wyciągnęła z zakurzonego szeregu woluminów, przysiadła na stopniu w sieni i zatoneła w lekturze. Trafiła na żywot świętej Małgorzaty Węgierskiej. Co jakiś czas unosiła rudą głowę znad tekstu i bacznie spoglądała na szczyt schodów, o tej porze ukryty w cieniu. Blask królował u jej stóp, pełzał po stopniu, na którym siedziała, i powoli wspinał się do góry. Ewie przypomniła się pierwsza wizyta w domu konwersów. Dalekie wspomnienie burzy i oczu Roberta, który nie odstępował jej wtedy na krok, wywołało na jej twarzy gorzki uśmiech. Sama była sobie winna. Wróciła do lektury. Wolała już opisy umartwień młodej męczennicy niż rozpamiętywanie własnych błędów. Zresztą książkę napisał chyba jakiś znawca tematu, bo bardziej przypominała naukową rozprawę, w dodatku niezłe napisaną, niż dzieło hagiograficzne. Wyższy stopień wbijał jej się w plecy, więc zmieniła pozycję. Gdy znowu spojrzała w górę, zorientowała się, że straciła poczucie czasu.

Musiało być już dobrze po południu i Ewa zaczęła się zastanawiać, czy nie przysnęła nad książką. Biorąc pod uwagę nocne eskapady, którym oddawała się ostatnio z mniejszym lub większym upodobaniem, nie było to niemożliwe. Widok, który miała przed sobą, na chwilę zaparł jej dech w piersiach. Słońce właśnie przygotowywało się do sjesty. Przeciągało się leniwie, znacząc stopnie swoim blaskiem, układało się na nich niczym złoty ślubny kobierzec. Przenikało do wnętrza przez zachodnie okno i oświetlało górną połowę schodów. W dolnej królował popielaty półmrok. Ewa przypatrywała się tej zabawie promieni ze zmarszczonym czołem. Myślała o liście Tomasza, którego własne, niedoskonałe tłumaczenie miała w kieszeni spodni. I o zagadkowym cytacie, w którym niepokorny cień przeczył teorii heliocentrycznej i zachowywał się według własnego widzimisię. Przyszło jej do głowy, że skoro stopni jest dziewiętnaście, a słońce w ciągu dnia zatrzymuje się na każdym z nich, rano wybierając niższe, a po południu wyższe partie schodów, być może któryś stopień oświetla przez cały dzień. A skoro w cytacie cień przesuwają się o dziesięć stopni, właśnie dziesiąty stopień należałoby dokładniej obejrzeć. Nie była pewna, czy ten skomplikowany wywód ma cokolwiek wspólnego z logiką. Nauki ścisłe nigdy nie były jej mocną stroną. Postanowiła sprawdzić. Postawiła stopę na następnym stopniu i znieruchomiała, słysząc chrobot klucza w zamku.

Dwaj mężczyźni stanęli u podnóża schodów. To, co zobaczyli, przeszło ich najśmielsze oczekiwania. Roberta znowu zaczął prześladować jakiś obraz, a może wrażenie, ważne, lecz nieuchwytnie, ukryte głęboko w jego głowie, w najodleglejszym zakamarku pamięci. Wiedział, że ma coś wspólnego z Ewą i zabolowało go to. A później przypomniał sobie jej smukłą postać, gdy pokonywała rozświetlone stopnie kilka dni temu. Opalenizna na jej nogach wydawała się złota, a głowa tonęła w cieniu. Miedziane włosy nabrały nagle głębszego kasztanowego odcienia. Spojrzał pod nogi, które spowijał półmrok i kurz, a potem znowu do góry. Coś mu nie grało. Wyobraził sobie, że ma w dłoniach aparat fotograficzny i zrozumiał, że światło wpada do środka przez okna z drugiej strony. Jego umysł

oszołomiony widokiem pracował na zwolnionych obrotach. Dziesięć stopni, dziesięć z dziewiętnastu, pomyślał i ruszył do góry. Proboszcz został na dole. Nie chciał się wspinać. Jego serce reagowało na wysiłek niekontrolowaną zmianą tętna.

— Robert, czego ty właściwie szukasz? — zawołał za archeologiem półgłosem i przyczajona na półpiętrze Ewa drgnęła. Przez moment miała ochotę się ujawnić, ale w porę zdała sobie sprawę, że przecież nie mają sobie z Robertem już nic do powiedzenia, i została na miejscu. Było jej nieznośnie żal. Siebie. Jego. Tego, co się wydarzyło i co mogło się wydarzyć, gdyby nie Tomasz, przeszłość i tych kilka niepotrzebnych słów, wypowiedzianych zbyt pochopnie w chwili złości.

— Nie jestem pewien — dobiegła ją z dołu odpowiedź. — Czy cień ma się posunąć o dziesięć stopni, czy też ma się cofnąć o dziesięć stopni? — zacytował Robert z pamięci. — Czy posunie się, czy cofnie, musi zahaczyć o dziesiąty stopień. Jak ksiądz sądzi? Muszę go dokładnie obejrzeć.

Ewa zakłęta w duchu. Można było to i tak rozumieć. To było znacznie prostsze rozumowanie. Robert zaczął mieć nad nią przewagę.

Równo poukładane rzędy czerwonych cegieł tkwiły na swoich miejscach połączone szarą zaprawą, która przez wieki opierała się zakusom czasu. Dziesiąty stopień był taki sam jak wszystkie. Nie było w nim nic niezwykłego. Ani mniej ani bardziej zużyty. Kucnął na nim, obejrzał starannie jego wytartą powierzchnię, szukając znaku, ale go nie znalazł. Bezsukutecznie badał spoiny między cegłami. Uparcie patrzył pod nogi, bojąc się, że coś przeoczy. Klasztor milczał uparcie. Bronił się przed nim jak przed intruzem i był bliski zwycięstwa.

Ewa słysząc zbliżające się kroki, wycofała się jeszcze wyżej.

Z podestu pierwszego piętra, na którym kiedyś konwersi spotykali się przy wspólnym stole w ogromnej sklepionej jadalni, Robert spojrzął w dół. Światło padające zza jego pleców rzuciło mu pod stopy jego własny cień. Patrzył na niego zrezygnowany.

— Tam nic nie ma — zawołał z dołu proboszcz, który już nie stał, ale siedział na stopniu jeszcze kwadrans temu zajmowanym przez Ewę.

Rozbolały go nogi i zrobiło mu się duszno. — Przecież przez tyle lat na pewno bym zauważył — dorzucił po chwili.

Robert pokręcił głową na znak, że nie zamierza się poddać. Przysiadł na najwyższym schodku i zaczął się przyglądać rysom na ścianach. Nie było ich tutaj zbyt wiele. Właściwie niepokój mogła budzić tylko jedna i archeolog był niemal pewien, że nie było jej jeszcze tamtego dnia, gdy zwiedzał dom konwersów razem z Ewą. Zsunął się po schodach niżej i oparł o ścianę, by lepiej widzieć pęknięcie.

Biegło raz pionowo, raz ukośnie, miało poszarpane brzegi, kilka razy zmieniało kierunek. Jego koniec zmierzał ku środkowi schodów, jakby i on chciał wskazać uspiony pośród innych dziesiąty stopień. Tynk w tym miejscu pękł na dużej przestrzeni i rozszedł się na boki jak rozpięta na piersiach biała koszula, ukazując w szerokiej na półtora centymetra szczelinie rudy fragment muru. Widoczna między ceglami spoina była szersza i bardziej zniszczona. Tuż nad powierzchnią dziesiątego schodka Robert zauważył jej znaczny, bo kilkucentymetrowy ubytek. Jedna z cegieł wydawała się obluzowana, a zaprawa kruszyła się pod dotykiem i wypadała spod palców na ziemię.

Ksiądz Andrzej, widząc zainteresowanie młodego mężczyzny, podniósł się z wysiłkiem i pokonał tych kilka stopni, które go od niego dzieliły. Zaintrygowany pochylił się nad nim i wpatrywał z natężeniem w drobne ruchy jego dłoni badających powierzchnię ściany.

— Czy ma ksiądz przy sobie jakiś nóż? — zapytał Robert.

— Ja? — zdumiał się kapłan. — Skądże znowu!

— Przepraszam — zreflektował się archeolog — to było rzeczywiście głupie pytanie. — Gorączkowo zaczął przeglądać kieszenie.

Ewa przysłuchująca się z góry tej wymianie zdań zorientowała się, że Robert coś znalazł. Nie wiedziała tylko co. Wyrzucała sobie teraz, że siedziała na schodach tak długo, a mimo to nic nie przykuło jej uwagi. Za późno przyszedł jej do głowy ten dziesiąty stopień. Dlaczego nie zdążyła go obejrzyć? Czuła, że jej serce bije jak szalone. Przyłożyła dłoń do klatki piersiowej i próbowała je powstrzymać, ale na próżno. Coraz szybciej i wyżej unosiło się nad ziemią na skrzydłach marzeń. Zupełnie

jakby to ona była na dole, tam gdzie Robert, o krok od rozwiązania zagadki. Co znalazł i gdzie? W kółko zadawała sobie to pytanie.

— Zdaje się, że jedyny, który miałem, wykończyłem poprzednim razem — dobiegły ją znowu słowa Roberta. Nie mogła zobaczyć, że trzyma w dłoni nóż z otwartym, ułamanym blisko nasady ostrzem, ale wiedziała, że właśnie ten przedmiot ma na myśli. — Trudno, może to wystarczy — zawyrokował i pewnie wsunął metalowy kikut w szczelinę po spoinie.

Ksiądz Andrzej nie oponował. Usłyszeli zgrzyt stali o powierzchnię cegieł, a później szcęk, który zwykle towarzyszy zetknięciu dwóch metalowych przedmiotów. Popatrzyli na siebie niespokojnie. Pod warstwą cegieł tkwiło coś, czego się zupełnie nie spodziewali.

— Wyjmijmy ją — zaproponował proboszczowi Robert, wskazując na obluzowaną cegłę, która prowokacyjnie wystawała z lica ściany na kilka milimetrów. Usunięcie resztek zaprawy było kwestią kilku minut, nie wymagało siły ani szczególnych umiejętności.

— Wydaje mi się, że nie powinniśmy tego robić — zaczął ostrożnie kapłan. — To stary budynek, może się zawalić. Tę ścianę trzeba najpierw zabezpieczyć.

— To co? Chce ksiądz dzwonić do konserwatora? Będziemy czekać na jakiegoś specjalistę ze Szczecina? Jak długo?

Ksiądz Andrzej uśmiechnął się ze znużeniem.

— To nic nie da — powiedział, wzruszając ramionami — przynajmniej nie na tym etapie.

— Jak to? — nie rozumiał Robert.

— Co mu powiemy? Że w ścianie jest metalowe niewiadomo co? Szczeciński konserwator jest głuchy na moje apele. Nie chce nawet przysłać rzeczoznawcy, który oceniłby stan murów. A ja się martwię, że kiedyś budynek zawali mi się na głowę. Mnie albo naszej bibliotekarce. Dlatego zamknąłem bibliotekę. Sądzisz, że tym razem konserwator zareaguje?

— Jest aż tak źle?

— Niestety — ze smutkiem pokiwał głową ksiądz. — Ściany pękają, sam widzisz.

Miał już za sobą okres wściekłości i buntu. Zrobił wszystko, by fragmenty zabudowań klasztornych przetrwały w obecnym kształcie następne dziesięciolecia. Nie miał jednak sojuszników, a sam nie mógł wygrać tej bitwy. Z największym trudem akceptował własną bezsilność. Był bardzo zmęczony pracą, samotnością i chorobą, a przede wszystkim toczoną w pojedynkę walką. Spojrzał do góry na popękany sufit, od którego dużymi płatami odpadał tynk, odsłaniając czerwone łaty starych cegieł. Od tego też bolało go serce. Przecież sam nie mógł go podparać jak jakiś mitologiczny Atlas.

— To jak? — przerwał jego niewesołe rozważania Robert.

— Masz rację — skapitulował nagle proboszcz. — Dowiedzmy się czegoś więcej. Do roboty.

— Jest ksiądz pewien? Mam dłużyć? — Miody mężczyzna był nieco zdezorientowany tą niespodziewaną zmianą nastawienia. Zaczął mieć wątpliwości. W oczach kapłana załśnił cień uśmiechu.

— Dłub — powiedział. — W końcu to tylko jedna cegła. Może dzięki niej kogoś tu wreszcie ściągniemy.

— I wtedy ksiądz da mu popalić — dopowiedział Robert z satysfakcją.

— Być może, Robercie — odparł odrobinę spłoszony proboszcz. — Ale to już zostaw mnie, bardzo cię proszę.

Przysiadł na stopniu za jego plecami i czekał, podczas gdy archeolog starał się delikatnie usunąć resztę spoiny i wyłuskać cegłę ze ściany. Trwało to dobrą chwilę. W ciemnym otworze zamajaczyła połyskliwa powierzchnia, którą ostukał nożem. Bez wątplenia była metalowa. Musiałby odkuć znacznie większy fragment ściany, by przekonać się, do czego służy i jak wygląda przedmiot tkwiący w murze. Zaczęło do niego docierać, że bez telefonu do Szczecina się nie obejdzie. Na jego znak proboszcz pochylił się i zajrzał w niewielką lukę.

— Nie wiem, co to jest — przyznał bezradnie, gdy kapłan wrócił do poprzedniej pozycji.

— To co, dzwoniemy? — ksiądz Andrzej wyglądał na zdecydowanego.
— Dzisiaj niedziela. I tak musimy poczekać do jutra.

— Powiem Piotrowi, chyba powinien wiedzieć.

— Byłoby najlepiej, gdyby to on porozumiał się z konserwatorem — zgodził się z nim proboszcz. — Bo mnie może już nie chceć słuchać. Zanadto dałem mu się we znaki.

Robert skinął głową i zaczął zgarniać na kupkę wydłubane ze ściany drobne grudki zaprawy.

— Zrobiłem trochę bałaganu — wyjaśnił, widząc pytający wzrok kapłana. Próbował włożyć wyjętą cegłę na miejsce, ale nie mógł sobie z nią poradzić.

— Nie szkodzi. Zostaw tak jak jest.

Nie posłuchał, a cegła dała się w końcu wepchnąć w otwór w murze. Wprawdzie wystawała z niego na dobre pół centymetra, ale Robert miał nadzieję, że Ewa tego nie zauważy. Przecież nie będzie wiedziała, gdzie szukać, pocieszał się przekonany, że zatrzymała dla siebie drugi komplet kluczy po to, by myszkować po klasztorze na własną rękę.

Kroki na dole ucichły i dźwięk zamykanych drzwi odbił się echem od ścian i sklepień. Dla pewności Ewa odczekała jeszcze dziesięć minut, bojąc się, że mężczyźni mogą wrócić. W końcu uspokojona opuściła kryjówkę i powoli zeszła po schodach, zatrzymując się na dziesiątym stopniu. Szukała śladów, które pozostawił Robert. Obluzowaną cegłę dostrzegła niemal od razu. Nie miała jej czym podważyć. Palce nie radziły sobie z uchwyceniem ledwo wystającej części. Po kilku minutach wyjęła ją jednak, drapiąc kostki rozdygotanych nagle dłoni o chropawą powierzchnię muru. Wytarta poranione ręce w nogawki spodni i zajrzała w otwór.

Nie wiedziała, co robić. Sama nie była w stanie rozebrać ściany, by przekonać się, co kryje pierwsza warstwa cegieł.

Do Roberta nie mogła się zwrócić. Nie po tym, jak ją potraktował, i nie po tym, jak go okłamała. Nie chciała się teraz przyznać, że ukryta w domu konwersów była świadkiem jego odkrycia. Męczyła ją myśl, że gdyby nie Tomasz, dokonaliby go wspólnie. Przez chwilę zastanawiała

się, czy nie mogłaby tego przed nim ukryć. Ostatecznie oboje wiedzieli o sobie dość, by trzymać się w szachu. A Robert? Może powinna spróbować wszystko mu wyjaśnić? Nie była pewna, czy ma na to ochotę i czy on zrozumie. Przeczucie podpowiadało jej, że nie. Z Tomaszem sprawa była prosta. Wymiana informacji za prawo do udziału w przedsięwzięciu. Może jeszcze jakaś część zysku. Ewa odsuwała od siebie myśl, że być może przyczyni się do zagrabienia mienia narodowego. Przedmiot ukryty w ścianie mógł być bezcenny. Lub bezwartościowy. Tylko kto i po co szukałby wówczas dla niego kryjówki.

Musieliby rozebrać mur w nocy, nim archeolodzy zdążą powiadomić stosowną instytucję. A co potem? Postawią ścianę na nowo, Tomasz zniknie, a ona będzie udawać, że o niczym nie wie? Dość naiwne założenie. Może on wpadnie na jedno ze swoich słynnych idealnych rozwiązań. Mimo wszystko jej były mąż z pewnością potraktuje ją lepiej niż Robert. Niech to będzie rodzaj zemsty, zdecydowała. Wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i wybrała numer. Nim usłyszała głos po drugiej stronie, pomyślała jeszcze, że to osobliwa zemsta, która w równym stopniu dotyka jej samej.

Dzień piętnasty

Było już dobrze po północy, a Robert wciąż nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok na twardej, zbyt wąskiej nagle karimacie. Irytowało go miarowe pochrapywanie kolegów i tykanie zegarka. Wsunął go pod ubranie i przy okazji spojrzął na cyferblat. Fosforyzujące wskazówki pokazywały pierwszą trzydzieści. Jedna godzina mniej, jedna więcej, co za różnica, pomyślał znużony gonitwą myśli i bezsennością. Chciał zapomnieć o tym, że zaufał niewłaściwej osobie. To boleło. Wcześniejsza kłótnia nie mogła tego zmienić. Taki drobiazg, pomyślał — klucze, kto by przypuszczał, że mogą mieć aż takie znaczenie. Zmarszczył brwi i zacisnął powieki, by poradzić sobie z uczuciem żalu.

Po drugiej stronie korytarza skrzypnęły drzwi. Niespodziewany dźwięk wyrwał Roberta z odrętwienia. Usłyszał lekkie kroki i cichy chrobot klucza w drzwiach wejściowych. Później wszystko ucichło.

— Nie mogłam wcześniej — powiedziała Ewa, wyłaniając się z ciemności. — Czekałam, aż pójdą spać. Nie chciałam, by ktokolwiek mnie widział.

— Twój kochaś? — zapytał Tomasz, odrywając się na chwilę od pracy. — Jego też udało ci się uniknąć?

— Nie nazywaj go tak. — Ewa gniewnie zmarszczyła brwi. Nie widziała go wyraźnie. Schody oświetlał niewielki reflektor dający przytłumione pomarańczowe światło. Przyszło jej do głowy, że mężczyzna przed wyjazdem odwiedził chyba sklep fotograficzny. Tylko tam można było kupić barwne filtry. — Co ty możesz wiedzieć o naszych wzajemnych kontaktach?

— Więcej, niż ci się zdaje — w głosie męża usłyszała szyderstwo. — Bez obaw. Nie jestem zazdrosny — dodał, rytmicznie pukając w ścianę. Ewa nie była pewna, czy przy tak nikłym świetle widzi coś więcej poza

własnymi palcami. Zbliżyła się i uklękła na wyższym stopniu. Z góry spoglądała na pochyloną głowę Tomasza i na mur, w którym ciemniał powiększający się z każdą minutą otwór. Oboje wiedzieli, że mają bardzo mało czasu.

Cegły ułożone były regularnie, tak że tworzyły wątek wendyjski: w murze na przemian widoczne były dwa dłuższe boki, jeden krótszy. Porządek ten powtarzał się na całej powierzchni ściany. Tomasz zaczął kuć tuż przy otworze i posuwał się ku górze, uważając, by nie uszkodzić cegieł, bardziej niż było to konieczne. Spoina, która przy obluzowanej cegle kruszyła się i dawała łatwo usunąć, tutaj była znacznie twardsza. Gdy już udało się ją naruszyć, należało podtrzymać cegłę, żeby nie spadła na schody i nie rozbiła się. Wymagało to dużej zręczności. Tomasz mógł wprowadzić kuć od góry, ale nie wiedział, na jakiej wysokości zacząć, a wcześniejsze opukanie ściany nic nie dało. Różnice w dźwięku były tak nieznaczne, że trudno byłoby przypisywać im jakies znaczenie.

— Co zrobimy potem? — spytała Ewa niespokojnie, gdy mężczyzna zrobił sobie przerwę.

— To znaczy kiedy? — Tomasz nerwowo przeglądał kieszenie. Chciało mu się palić. Przypomniawszy sobie, że papierosy zostawił w samochodzie, i zrezygnowany wrócił do pracy.

— Kiedy już to wyciągniemy.

— Zapakujemy do samochodu i odjedziemy. — Mąż wzruszył ramionami.

— My?

— Zamierzasz zostać? Proszę bardzo. Nie będę ci utrudniał.

— Przecież wiesz, że nie mogę. Będę pierwszą podejrzaną. Robert nie jest durniem. Wystarczy, że porozmawia z proboszczem i zorientuje się, że nie oddałam mu kluczy.

— To wymyśl coś — odparł Tomasz, nie odwracając głowy. Ewa zaczynała rozumieć, że jest mu doskonale obojętne, co się z nią stanie. Był kryty. Jego nikt nie skojarzy z dziurą w murze i jak zwykle wyjdzie z opresji obronną ręką. Zwyczajnie zniknie bez śladu. Dopiero teraz

przyjrzała mu się uważniej i zobaczyła, że pracuje w gumowych rękawiczkach. Specjalnie jej to nie zdziwiło. Pomyślała, że jest idiotką.

Tymczasem stos cegieł u jej stóp rósł powoli, ale niezmiennie. Otwór miał już osiemdziesiąt centymetrów szerokości i czterdzieści wysokości. Powierzchnia, do której docierał Tomasz, była gładka, chłodna i znacznie ciemniejsza od otaczających ją cegieł. Ciemnobrązowa. Brunatna. Może czarna.

— Jest — powiedział nagle mężczyzna, nieruchomiejąc z cegłą w dłoniach. Ewa przysunęła bliżej reflektor.

Zobaczyła brzeg niszy, w której stała duża metalowa skrzynia. Wyglądała na wykonaną z brązu. Gdy Tomasz usunął cegłę z drugiej strony, okazało się, że skrzynia ma równy metr szerokości. Cegła nad dziesiątym stopniem, którą Robert usunął kilka godzin temu, znajdowała się blisko lewego dolnego narożnika niszy. Należało odkuć jeszcze rząd cegieł na dole i kilka rzędów na górze, by móc wyjąć skrzynię ze skrytki.

Ewa patrzyła na skrzynię zdumiona. Takie rzeczy się przecież nie zdarzały.

Uklękała, jakby chciała się modlić do ciężkiego przedmiotu, ale tylko delikatnie pogłaskała jego twardą, zimną gładkość. Ogarnęło ją wzruszenie i poczuła, że oczy jej wilgotnieją. Wytarła je szybko wierzchem dłoni, by Tomasz nie zauważył.

— Myślałem, że jesteś amatorką, ale widzę, że cię nie doceniłem — rozległ się nagle głos za ich plecami. Oboje podskoczyli nerwowo. — Wygląda na to, że dobrze się przygotowałeś. — Robert stał u podnóża schodów i patrzył wyzywająco to na nią, to na Tomasza. W popielatej plamie twarzy błyskały tylko białka jego oczu. — Potrafisz się ustawić — mówił dalej, nie czekając, aż któreś z nich się odezwie. Ewa nie próbowała mu nawet wyjaśniać, że jest odwrotnie, niż myśli, że tym razem to nie ona gra pierwsze skrzypce. — Co on tu robi? — usłyszała pytanie. Zastanawiała się, co odpowiedzieć, gdy wyręczył ją Tomasz.

— Też mógłbym o to spytać — odparł drwiąco. — Jak pan tu wszedł? I dlaczego ma pan pretensje do mojej żony?

Co za szuja. Ewa zamknęła oczy. Ciemność miłosiernie ukryła jej rumieniec. Cisza, która zapadła po słowach Tomasza, trwała całą wieczność. Robert nie odzywał się bardzo długo, a może Ewie tak się tylko wydawało.

— Szczęśliwie proboszcz miał jeszcze jeden komplet kluczy — powiedział w końcu powoli, jakby z trudem dobierał słowa i to pozwoliło jej złapać oddech. Popatrzyła w dół, ale nie była w stanie dostrzec wyrazu jego twarzy. Może to i lepiej, uznała w duchu. Bała się, że zobaczy na niej pogardę. Milczała. Wydawało jej się, że w tej sytuacji nie ma nic do powiedzenia. Za to Tomasz czuł się jak ryba w wodzie. Gdyby nie знаła go tak dobrze, nie usłyszałaby w jego głosie tego szczególnego tonu zdradzającego napięcie.

— Nie odpowiedział pan na moje drugie pytanie? — powiedział zaczepnie.

— Nie widzę powodu, by opowiadać się przestępcy — Robert próbował odzyskać spokój, ale rewelacja Tomasza zupełnie wyprowadziła go z równowagi.

— Proszę, proszę — Wiking próbował bagatelizować jego słowa. — Niezły z ciebie harcerz. — Niespodziewanie przeszedł na ty. — Co teraz? Zakujesz nas w kajdanki?

W zasadzie miał rację. Robert zdał sobie sprawę, że nie wziął ze sobą nawet telefonu komórkowego. Kiedy wyjrzał przez okno szkoły i zobaczył, jak sylwetka Ewy wtapia się w mrok, myślał tylko o tym, by szybko wciągnąć spodnie. Potem zabawił kilkanaście minut na plebanii. Proboszcz obudził się szybko, a widząc Roberta w proggu, okazał umiarkowane zdziwienie. Niestety długo trzeba było go prosić o drugi komplet kluczy. Pokrętne wyjaśnienia składane o drugiej nad ranem nie trafiały mu do przekonania. Archeolog nie wspomniał o tym, że zamierza patrzeć Ewie na ręce. Na to było jeszcze za wcześnie. Poza tym zwyczajnie nie mógł. Później była już tylko samotna wędrówka do klasztoru.

Z duszą na ramieniu wchodził do domu konwersów. Starał się zachowywać bezszelestnie, ale stare drzwi zaskrzypiały ostrzegawczo,

gdy przestąpił próg. Znieruchomiał i wstrzymał oddech. Zaraz jednak zorientował się, że może zapomnieć o ostrożności. Dźwięki uderzeń skutecznie zagłuszały jakiegokolwiek inne odgłosy.

I tak oto stał teraz naprzeciw tych dwojga i czuł się jak głupek. Nie spodziewał się, że zostanie Ewę w towarzystwie. Sam nie mógł nic zrobić. I oni zdawali sobie z tego sprawę.

— Wydawało mi się, że jesteś uczciwa — wypowiedział ostatnią myśl, jaka przyszła mu do głowy. Kobieta poruszyła się niespokojnie, ale wciąż się nie odzywała. — Dlaczego? — zaryzykował pytanie.

Nie umiała albo nie chciała odpowiedzieć. Zaczęła się jednak nad tym zastanawiać i doszła do wniosku, że to bardziej złożone, niż Robert mógłby przypuszczać. Najpierw powodowała ją tylko ciekawość, później chęć ukrycia przed nim niechlubnej przeszłości i swojego związku z Tomaszem. Niestety jej mąż nie zamierzał trzymać języka za zębami. Trzeci powód obecności w tym miejscu można było wyrazić słowami: „oskarżenie o współudział”, które w ustach Tomasza brzmiały bardzo przekonująco. I groźnie. Dlatego się przestraszyła. Nie miała pojęcia, jaką karę przewiduje dla niej polskie prawo, i żałowała, że nigdy tego nie sprawdziła. Wiedziałyby przynajmniej, ile straci, jeśli zdobędzie się na szczerość. Albo gdy zdobędzie się na nią Tomasz. Jego zachowanie nie budziło wątpliwości. Chyba zawsze był lojalny wyłącznie względem siebie. Jak mogła uwierzyć, że tym razem będzie inaczej?

Tomasz znudzony przedłużającym się milczeniem znowu zaczął kuć w ścianie. Noc kurczyła się niebezpiecznie, a on postanowił, że skończy to, co zaczął.

— Wybacz — powiedział dwornie do Roberta — ale czas nagli.

Uśmiechnął się beczelnie, ale tego archeolog nie mógł widzieć. Wystarczył jednak pełen poczucia wyższości ton głosu. Szerokie plecy odcinały się jaśniejszą plamą od ceglanego muru. Robert nie znosił arogancji. Poczuł, że ogarnia go wściekłość, która musi znaleźć ujście. Ruszył na schody, wtargnął między ścianę a mężczyznę, złapał go za koszulę i poderwał do góry. Zaskoczyła go własna siła. Najwyraźniej zaatakowanego również. Ewa krzyknęła. Rozległ się trzask rozrywanego

materiału i Tomasz opadł na schody, a Robertowi pozostał w zaciśniętej pięści jedynie strzęp kołnierzyka. Przyglądał mu się bezmyślnie odrobinę za długo. Tymczasem Wiking pozbierał się i otrząsnął z oszołomienia wywołanego napaścią. Nim Robert zdążył zrobić unik, poczuł mocne uderzenie w szczękę i zaraz potem w żołądek. Zgiął się wpół, ale utrzymał równowagę. Z wysiłkiem pochylił się niżej i złapał przeciwnika za nogi, tuż pod kolanami. Pociągnął i mężczyzna upadł, przygniatając go swoim ciężarem. Sturlali się po schodach. Powoli, jak na zwolnionym filmie, po dwa, trzy stopnie, mocując się ze sobą i okładając pięściami. Ewa na próżno starała się ich rozdzielić. Krzyczała więc, bo nic innego nie przyszło jej do głowy, ale jej głos nie robił na walczących żadnego wrażenia. Jedną ręką trzymała Roberta za kieszeń spodni, a drugą złapała rękaw koszuli męża. W jego dłoni zobaczyła nóż. Ostrze błysnęło pomarańczowo w świetle reflektora, gdy zamierzył się do ciosu. Przeszkodziła mu ramieniem. Nóż wszedł w nie jak w masło. Głęboko. Jęknęła i ten dźwięk na chwilę ich otrzeźwił. Tomasz popatrzył na kobietę niespokojnie i w tym momencie Robert z całej siły uderzył go w twarz. Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu jak piłka, uderzyła w jeden ze stopni i znieruchomiła.

Archeolog dotknął tętnicy na szyi. Pulsowała, więc odetchnął z ulgą. Wiking stracił przytomność.

Ewa z trudem opierała się o ścianę. Rękaw cienkiego swetra lepił się do skóry. Między palce splotła się strużka krwi, która w nikłym świetle wydawała się czarna jak smoła.

— Usiądź. — Robert oderwał niespokojny wzrok od nieprzytomnego mężczyzny i zmusił ją, by zajęła wygodniejszą pozycję. — Poczekaj chwilę.

Zakrwawionym nożem, który po ciosie wypadł Tomaszowi z ręki, naciął rękawy swojej flanelowej koszuli i oderwał je sprawnie i szybko. Jednym związał leżącemu nadgarstki, wykręcając ręce do tyłu, drugim kostki. Dopiero wtedy odetchnął i ukląkł przy kobiecie.

— Masz telefon? Zadzwoń po pogotowie. I na policję, niech go zabiorą — powiedział.

Chciała oponować, ale nie miała siły. Rzeczywistość wymykała jej się spod kontroli, ramię drętwiało, krew powoli krzepła na ubraniu, zamieniając miękką dzianinę w skorupę, boleśnie ocierającą się o ranę. Poddała się i skinęła głową. Niech to się skończy raz na zawsze, pomyślała z ulgą. Patrzyła na mężczyznę spod na wpół przymkniętych powiek, bo wciąż nie miała odwagi spojrzeć mu w twarz. Za mało o niej wiedział. Żałowała, że nie zdążyła sama mu powiedzieć, ale cieszyła się, że jest obok. Poczuała się bezpieczna, tylko myśl rwała się jak pajęczka nić na wietrze.

— Ewa, nie mdlej — usłyszała jeszcze jego pełen troski i niepokoju głos, nim otuliły ją ciemność i cisza.

Ocknęła się, gdy dwóch sanitariuszy wsuwało nosze do karetki. Gdy zniknęli z pola widzenia, w otwartych drzwiach ambulansu pojawiła się wysoka postać Roberta. Pochylił się nad nią i uspokajająco ucisnął dłoń zdrowej ręki.

— Pojedziesz do Szczecina, do szpitala. Tam zapewnią ci opiekę. — W szarym świetle budzącego się dnia jego oczy wydawały się niemal czarne. Może to z niewyspania, pomyślała Ewa, patrząc na pociemniałe ze zmęczenia powieki mężczyzny.

— Tomasz? — spytała. Zaskoczył ją własny słaby szept. Twarz Roberta nagle znalazła się jeszcze bliżej. Tuż przy jej głowie.

— Nie martw się. Został zatrzymany do wyjaśnienia sprawy, a wiele wskazuje na to, że na dłużej.

— A co ze mną? — spojrzała na niego bezradnie. Zadrżały jej wargi i Robertowi wydało się nagle, że rozmawia z dziewczynką, a nie z dorosłą, na co dzień przebojową i pewną siebie kobietą. Nie znał jej takiej. Przestraszonej, zależnej od innych. Od niego. Przyszło mu do głowy, że mógłby się przyzwyczaić.

— Jesteś czysta. Powiedziałem, że działałaś w porozumieniu z nami. Że chcieliśmy przyłapać Tomasza na gorącym uczynku.

— Piotr to kupił? — upewniła się.

— Jeszcze nie, ale myślę, że da się przekonać.

Milczała przez chwilę.

— Nie musiałeś tego robić — powiedziała w końcu bardzo poważnie.

— Nie musiałaś zasłaniać mnie ramieniem.

— To wdzięczność? — zapytała zaczepnie, ale Robert nie chciał się wdawać w żadne gierki, choćby tylko słowne. Poza tym nie miał nic do ukrycia.

— Wiesz, że nie.

Nie odpowiedziała. Znowu minęło kilka sekund, długich jak wieczność. W ciszy przedświt słychać było jedynie ich dwa oddechy i Robert miał wrażenie, że Ewa zasnęła, wyczerpana nocnymi wydarzeniami. Pogłaskał ją po głowie i chciał odejść, ale przytrzymała go za rękę.

— Boję się — usłyszał.

— Niepotrzebnie.

— Nie spytasz, dlaczego zgodziłam się mu pomóc?

— Nie spytam.

— On będzie próbował mnie w to wciągnąć. Widzisz — dodała z wysiłkiem, umykając spojrzeniem w bok — są jeszcze stare sprawy, o których nie wiesz.

— W równym stopniu dotyczą was obojga. Dlatego nie sądzę, by się rozgadał. Twój mąż nie wygląda na idiotę — słowo mąż zabrzmiało nieco ironicznie, chociaż Robert nie zamierzał być złośliwy.

Ewa przymknęła oczy. Jak długo będzie się to jeszcze za nią ciągnąć?

— Wkrótce były mąż — wyjaśniła ze znużeniem. — Chciałam ci powiedzieć, tamtej nocy, kiedy...

— Jeszcze zdążysz — przerwał jej. — Będziemy mieli dużo czasu. — Było w tych słowach uspokojenie, nieśmiałe pragnienie porozumienia i bardzo dużo nadziei.

Do karetki wskoczył jeden z sanitariuszy. Wyrażnie się spieszył.

— Muszę pana przeprosić — zwrócił się do Roberta. — Zabieramy panią.

— Niech pan nam da jeszcze pół minuty.

— Ale nie więcej. — Sanitariusz odwrócił się na chwilę. Robert pochylił się i dotknął wargami czoła kobiety. Było gładkie i chłodne. Słabo widoczne piegi tworzyły na nim wzór nie do odtworzenia, jak z obrazów Kandinsky'ego. Uśmiechnął się do tej myśli.

— Przepraszam i dziękuję — powiedział bardzo cicho, mając nadzieję, że to wystarczy, by zmasać dawne grzechy.

— Wciąż nikt nie odbiera. Nie uwierzę, że wszyscy są na urlopie — powiedział Piotr i zrezygnowany odłożył słuchawkę. Siedzieli z księdzem Andrzejem na plebanii i od godziny bezskutecznie próbowali się dodzwonić do szczecińskiego oddziału Państwowej Służby Ochrony Zabytków. Zdążyli już przetrwać poranne rewelacje Roberta, chociaż obu mocno zaniepokoił pobyt Ewy w szpitalu i konieczność wytłumaczenia konserwatorowi wojewódzkiemu, jaką rolę w nocnej awanturze oboje odegrali. Robert usłyszał już od Piotra kilka cierpkich słów o odpowiedzialności. Kapłan, słuchając jego suchej relacji, tylko kiwał głową. Udobruchał się nieco, gdy Robert położył na stole dwa komplety kluczy. Wpadły w niepowołane ręce, więc odebrałem, wyjaśnił wymijająco. Proboszcz nie zadawał pytań.

— Wolałbym otworzyć ją w obecności kogoś ze Szczecina — powtórzył Piotr po raz nie wiadomo który tego przedpołudnia.

Skrzynia, którą obejrzeliby zaraz po porannej mszy, tkwiła w ścianie, urągając jego zdroworozsądkowym teoriom, że skarbów od dawna już nie ma. Właściwie Piotr cieszył się z udziału Wikinga w całej sprawie, bo znacznie przyspieszył on rozwój wydarzeń. Sam niewiele mógł zrobić. Po pierwsze ze względu na stan budynku. Po drugie dlatego, że miał pozwolenie na badania wyłącznie w obrębie pasa ziemi biegnącego wzdłuż korpusu nawowego, tam gdzie w przyszłości miały iść rury centralnego ogrzewania. Po trzecie z powodu braku doświadczenia. Zabytkowa architektura nie była jego specjalnością. Wziął słuchawkę do ręki i zaczął wystukiwać numer, którego zdążył się już nauczyć na pamięć.

— Spróbuję jeszcze raz.

Tym razem ktoś zgłosił się po drugiej stronie i Piotr trochę się rozchmurzył, słysząc kobiecy głos.

— Dzień dobry pani — przywitał się. — Moje nazwisko Piotr Kondratowicz. Prowadzę badania archeologiczne w Kolicach. Chciałbym rozmawiać z konserwatorem... To dość pilne... Nie, bardzo pilne — poprawił się, usiłując przekonać urzędniczkę, że nie dzwoni bez powodu. — Nie, nie chcę niczego przekazywać, wolałbym rozmawiać osobiście z konserwatorem... Dziękuję — odetchnął, kiedy w końcu usłyszał, że zostanie przełączony. Co za kobieta, wzniósł oczy do sufitu, by wyrazić swoją dezaprobatę dla jej gorliwej chęci uchronienia szefa przed jakimkolwiek kontaktem z interesantami.

— Słucham — usłyszał w słuchawce męski zniecierpliwiony głos. Nie zachęcał do szczegółowych wynurzeń. Piotr postanowił mówić zwięźle i konkretnie. Opisał znalezisko, zrelacjonował wydarzenia, wspominając o policji i ujęciu sprawy. Po drugiej stronie kabła panowała cisza.

— Halo? — przerwał zaniepokojony.

— Słucham pana — głos nie był już tak nieprzyjemny jak na początku. Piotr mógłby przysiąc, że usłyszał w nim nawet cień zainteresowania. — Widzę, że proboszcz ma w was prawdziwych przyjaciół.

— Nie rozumiem — odezwał się Piotr. — Chyba nie sądzi pan, że wymyślił się tę historię. To tylko szczęśliwy zbieg okoliczności.

— Szczęśliwy? No cóż, na to wygląda. Pora chyba zająć się tym klasztorem. Mówi pan, skrzynia? — rozmówca chwilę się zastanawiał. — Będę za jakieś dwie godziny.

Oszołomiony Piotr usłyszał powtarzający się krótki sygnał i dopiero ten dźwięk przywrócił go do rzeczywistości. — Przyjedzie — powiedział, widząc wyczekującą minę kapłana. — Jeszcze dzisiaj.

— Najwyższy czas — szepnął wzruszony proboszcz i osuszył zwilgotniałe oczy rogiem śnieżnobiałej chusteczki, którą wyjął z kieszeni sutanny.

Konserwator zastał archeologów przy pracy. Uwijali się w długim wykopie, starając się jak najlepiej wykorzystać każdą minutę. Liczba grobów zamiast maleć, rosła z każdym dniem. Nadzieje na szybki powrót do domu gasły. Piotr powiedział im rano, że prawdopodobnie będą musieli zostać kilka dni dłużej. Zrobił to z uśmiechem na ustach, a oni nie mogli zrozumieć, dlaczego jest taki zadowolony. Teraz wszyscy bez wyjątku przyglądali się przybyszowi.

Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną i Piotr nie mógł oprzeć się wrażeniu, że powinien być raczej ochroniarzem albo bokserem wagi ciężkiej. Kiedy wysiadł z zakurzonego samochodu, załśniła w słońcu gładko ogolona głowa osadzona na potężnym karku. Mógł mieć czterdzieści, może czterdzieści pięć lat. Trzydniowy, zadbane zarost czynił z niego może nie przystojnego, ale z pewnością interesującego mężczyznę. Poruszał się zdecydowanym, sprężystym krokiem znamionującym człowieka rzeczowego, który zawsze się spieszy i dba o właściwą organizację czasu pracy. Zbliżył się do wykopu.

— Wysokiński. — Podał Piotrowi rękę, której uścisk był krótki i mocny. Gwizdnął przez zęby, widząc owoc pracy archeologów, wystające spod ziemi zarysy co najmniej kilkunastu nowych obiektów i gdzieś tam bielejące w słońcu czaszki.

— Nie narzekacie na brak zajęć, co? — Mrugnął do Piotra porozumiewawczo.

Piotr nie odpowiedział. Dla niego było jasne, że muszą poradzić sobie sami z nadzwyczajną liczbą znalezisk, nawet jeśli miałby tkwić w Kolicach przez kolejny miesiąc. Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie. Przedłużenie wykopalisk o więcej niż kilka dni było w zasadzie niemożliwe. Wszyscy mieli jakieś plany na nadchodzące tygodnie.

— Pokażcie mi to wasze znalezisko — przerwał jego rozmyślenia gość.

— Zaraz będzie tu proboszcz. On ma klucze od domu konwersów. — Piotr wskazał budynek ręką. — Skrzynia jest za tymi drzwiami.

— Duża?

— Jak to skrzynia — odparł archeolog enigmatycznie. — Sam pan zobaczy.

Konserwator pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

Brązowa skrzynia miała metr szerokości, siedemdziesiąt centymetrów wysokości i, jak się później okazało, pół metra głębokości. Tkwiła w ścianie ciasno otulona murem i mężczyźni musieli dobrze się namęczyć, by drgnęła i dała się wysunąć z niszy chociaż na kilka centymetrów. Nie miała żadnych uchwytów i trudno było utrzymać jej brzegi w dłoniach. Była ciężka, więc bali się, że wymknie im się z rąk i zsunie ze schodów. Ułożyli na stopniach dwie długie i dość grube deski, by temu zapobiec i gdy udało im się wyjąć skrzynię ze ściany, postawili ją z wysiłkiem na tej prowizorycznej pochylni. Wydawało się, że jest bezpieczna, ale na wszelki wypadek ciągle ją trzymali.

— Co teraz? — sapnął Wódz i otarł spocone czoło płócienną czapką, którą natychmiast z powrotem założył. Wśród kolegów to on był najsilniejszy, a mimo to ze zmęczenia drżały mu ręce.

— Pozwólmy, by zsunęła się na dół — zaproponował Wysokiński, który podtrzymywał skrzynię od dołu. — Tylko delikatnie. Trzy, cztery — zakomenderował i na cztery wszyscy zwolnili uścisk. Skrzynia lekko się przesunęła. Jej ruchowi towarzyszył dobiegający ze środka brzęk i dźwięki przesuwających się przedmiotów.

— Ostrożnie — wystraszył się proboszcz — żebyście jej nie zniszczyli.

Ostrożniej już się jednak nie dało. Skrzynia sunęła w dół bardzo powoli, z delikatnym zgrzytem pokonywała każdy centymetr, a w końcu, po dobrym kwadransie, majestatycznie spoczęła na posadzce u stóp schodów. Otoczyli ją ze wszystkich stron. Robert zrobił kilka zdjęć. Piotr milczał ze ściągniętymi brwiami, zastanawiając się, co znajdują w środku. Za nim w ciasnym korytarzu tłoczyli się pozostali studenci.

Skrzynia była masywna, wykonana przez rzemieślnika, który doskonale opanował swoją sztukę. Na wieku widniał herb, w którym obaj z Robertem rozpoznali herb opactwa macierzystego w Clairvaux.

Ten sam widniał na kołatce opisanej w dzienniku Kleista i wiszącej na drzwiach plebanii: przedzielona na pół tarcza z podwójnym meandrem po jednej i ukośnym pasem wypełnionym szachownicą po drugiej stronie. Cystersi mogli zamówić skrzynię u obcego brązownika albo powierzyć jej wykonanie warsztatowi znajdującemu się w obrębie ich posiadłości. Byli znani z wyrobów szewskich i sukienniczych, z garbarstwa, siodlarstwa i kowalstwa. Mieli własne browary, winiarnie i cegielnie. Dlaczego nie mieliby trudnić się także obróbką metali?

— Otworzymy? — zaproponował w końcu Piotr, bo cisza, która zapadła w korytarzu, przypominała milczenie nad trumną.

Proboszcz popatrzył na konserwatora. Czekał na jego decyzję.

— Otwórzmy — powiedział Wysokiński. — Tylko jak?

Zamek znajdował się z przodu. Sądząc po wielkości dziurki od klucza, musiał być dość masywny i trzymał mocno. Próbowali podnieść wieko, ale ani drgnęło, a nie chcieli go wyłamywać.

— Czy ktoś umie posługiwać się wytrychem? — rzucił w przestrzeń pytanie Tomek.

— A czy ktoś ma wytrych? — zakpiła z niego Magda, która wpatrywała się jak urzeczona w metalowy skarb.

— Tak tylko pytałem. — Wzruszył ramionami Tomek. — To chyba trzeba będzie zawołać ślusarza.

— Może nie mieszkamy w to miejscowych. — Piotr wolał być ostrożny. Widział już w życiu różne rzeczy. Zabytki ginące w tajemniczych okolicznościach również.

— Może wykorzystamy klucze, które mamy — odezwał się Robert — do kościoła, do domu konwersów. Wszystkie wyglądają niestety bardzo współcześnie, ale może któryś się nada. Mamy jeszcze ten klucz, który znaleźliśmy w grobie Ottona... — przypomniał sobie i zamilkł na chwilę, bo dotarło do niego, że on też wykonany był z brązu.

— Jest w szkole. — Piotr był skłonny przyznać Robertowi rację. Nie dlatego, że nagle uwierzył w szczęśliwe zakończenie tej historii. W gruncie rzeczy nie mieli nic do stracenia, poza czasem. A ten należało

odmierzać z aptekarską precyzją. Kto jak kto, ale on najlepiej zdawał sobie z tego sprawę. — Tomek? Skoczysz?

— Podwoję pana, samochodem będzie szybciej. — Wysokiński z trudem oderwał wzrok od klasztornego skarbu. Wyszli razem w słoneczne popołudnie.

Choć wydawało się to nieprawdopodobne, klucz znaleziony przy szczątkach Kleista dał się łatwo wsunąć do zamka. Niemiecki historyk nosił go przy sobie przez kilkanaście dni poprzedzających jego śmierć. Los zakpił z niego okrutnie, darowując mu więcej niż wskazówkę tylko po to, by w chwilę później pozbawić go życia.

Tomek przekręcił klucz dwukrotnie, czując, że w gardle ma sucho, a jego wilgotne dłonie ślizgają się na metalowej główce. Rozległy się dwa kliknięcia i wieko delikatnie odskoczyło. Odwrócił się do kolegów i przesunął wzrokiem po ich twarzach.

— Powinna to zrobić Ewa — powiedział. — Ale skoro jej nie ma... to może ty, Robert. W końcu wy to zaczęliście.

Robert podszedł do skrzyni i ujął wieko w obie dłonie. Nie należało do lekkich. Wziął głęboki oddech i ostrożnie, z namaszczeniem, jakby brał udział w tajemnym obrzędzie, uniósł je do góry. Zebrani odnieśli wrażenie, że w korytarzu pojaśniało. Było to jednak złudzenie. Światło wpadające przez zachodnie okno, dotąd rozproszone ponad ich głowami, spłynęło z góry i odbiło się miękko od błyszczącej powierzchni spoczywających w skrzyni i wykonanych w większości ze złota przedmiotów liturgicznych. Musiało być ich blisko dwadzieścia. Puszki na hostię, kielichy mszalne, pateny i kadzielnice, lichtarze i krzyże procesyjne zdobione szlachetnymi kamieniami leżały obok siebie na pięknym ornacie wyszywanym złotą nicią. Na samym wierzchu, obok niemal metrowej gotyckiej monstrancji i relikwiarza, którego nie powstydziliby się nawet mistrz Cellini, pyszniła się haftowana perłami zasłona na tabernakulum.

W 1534 roku w klasztorze, nie licząc opata, przebywało 12 braci, 11 konwersów i 14 osób pełniących obowiązki służby.

24 sierpnia tego roku w Kamieniu Pomorskim zapadły wstępne decyzje zmierzające do uznania ruchu reformacyjnego na Pomorzu Zachodnim. W grudniu, w dniu świętej Łucji na sejmie zwołanym w Trzebiatowie radcy książęcy przedstawili projekt reformy kościoła przygotowany w porozumieniu z teologami luterańskimi. Ówczesny biskup Erazm von Manteuffel na znak protestu opuścił obrady. Poparli go prałaci, szlachta i mieszczenie.

Mimo ostrego sprzeciwu duchownych katolickich już na początku 1535 roku ukazał się dokument zatytułowany „Ordynacja Kościelna”, który miał być konstytucją nowego kościoła. Na jednej z pierwszych stron zapisano, że uchwalili ją wspólnie książęta pomorscy Barnim i Filip. Brakło jednak informacji, że zrobili to wbrew woli sejmu.

Żaden opat cysterski nie uznał prawomocności dokumentu, w którym jego autorzy domagali się sekularyzacji dóbr zakonnych, ale niestety żaden też nie mógł zapobiec kasatom, które rozpoczęły się jesienią 1535 roku.

W tym czasie kondycja moralna zakonników pozostawiała wiele do życzenia. Mnisi łamali regułę, grzeszyli nieposłuszeństwem. W Kolicach opat Walenty Ludovici zaczął stosować wobec nich metody represyjne, by zwiększyć dyscyplinę. Jego starania nie odniosły spodziewanego efektu.

Książęta zapewnili braci zakonnych, że jeśli przyjmą nauki Marcina Lutra, będą mogli pozostać w klasztorach. Pod jednym warunkiem: mieli zrezygnować z katolickich praktyk kościelnych. Ta propozycja podzieliła mnichów na dwa obozy.

Ci, dla których była nie do przyjęcia, odeszli. Inni, jak ostatni opat z Kolic Bartłomiej Schobbe, osiedli w darowanych im majątkach, by w nich mieszkać do końca życia. Wielu przeszło na luteranizm.

Sekularyzacja dóbr klasztornych przebiegała w kilku etapach. Zaczynano od wizytacji lub umowy z opatem, który miał obowiązek przekazać wizytującym sprzęt liturgiczny i całe wyposażenie o znacznej wartości. Zdarzało się, że mnisi nie wpuszczali wizytatorów za klasztorne mury. W Kolicach bracia zakonnicy, którzy pozostali wierni

nauce katolickiej, zebrali najpiękniejsze i najbardziej wartościowe przedmioty liturgiczne i zamknęli je w brązowej skrzyni. Ukryli ją dobrze, licząc na to, że duch reformacji osłabnie, a oni wrócą kiedyś do swojego klasztoru. Nie udało im się i dlatego skarb czekał na odnalezienie nie kilka, a kilkaset lat.

— Tak właśnie musiało to w ogólnych zarysach wyglądać — dodał Piotr na zakończenie swojej opowieści snutej na potrzeby lokalnej prasy i kilku nie tylko regionalnych stacji telewizyjnych. Pod klasztorem zaroilo się od samochodów na warszawskich numerach rejestracyjnych i dziennikarzy z mikrofonami.

Był późny wieczór. Skrzynia, której zawartość została sfotografowana bardzo dokładnie przez blisko tuzin fotoreporterów, spoczywała u stóp mówiącego jak danina ofiarowana nieznanemu królowi. Konserwator, który stał obok Piotra, nie spuszczał jej z oka. Widać było, że niechętnie godzi się na to całe zamieszanie, a dziennikarzy, z niedowierzaniem oglądających każdy przedmiot z osobna, posłałby najchętniej na antypody tylko dlatego, że żadne inne miejsce na ziemi nie wydawało mu się równie odległe. Piotr doskonale wyczuwał i podzielał jego nastrój. Jako zawodowiec zwykł traktować wszystkie znaleziska z tą samą pieczołowitością. Gdyby miał wyróżniać którekolwiek z nich, nawet tak spektakularne, musiałby zmienić zawód. Nagle wydał się sobie śmieszny z tymi niemodnymi zasadami, które wyśmiałyby co drugi archeolog w jego wieku. Zwyczajnie robił swoje i robił to dobrze, także wtedy, gdy wypełnianie codziennych obowiązków oznaczało pracę do późna i nie do końca przespane noce, a przy tym pachniało monotonią. Ewa by tego nie zrozumiała, pomyślał, Jacek też nie, Robert, zastanowił się, może Robert. Chociaż i jego nie był już pewien. A ci tutaj, popatrzył z niechęcią na tłoczących się nad skrzynią dziennikarzy, im nawet nie próbował tłumaczyć, że na co dzień nie znajduje złota. Nigdy by nie uwierzyli, że to lśniące u ich stóp w ostatnich tego dnia promieniach słońca jest wyjątkiem, zwykłym przeoczeniem przeszłości.

Epilog

Deszcz w ciągu kilku minut zmienił się w ulewę i gdy Kleist, ślizgając się po mokrej ścieżce, dotarł w końcu do drzwi kościoła, był zupełnie przemoknięty i trząśnięty z zimna. Z ciemnych kręconych włosów, które przylepiły się mu do czoła, spływały po twarzy strużki wody i utrudniały widzenie. Wsunął dłoń do kieszeni i namacał klucz, którym otworzył drzwi. Uśmiechnął się w duchu na wspomnienie dnia, w którym odkryto jego brak. Trzeba było jechać aż do Stettin, do zarządcy klasztoru, który miał zapasowy.

Wewnątrz kościoła panowały zupełne ciemności, a w powietrzu unosił się zapach gruzu i mokrego tynku. Mężczyzna wszedł do środka i starannie przekręcił klucz w zamku, po czym wsunął go z powrotem do kieszeni spodni. Dla pewności poruszył klamką. Drzwi były zamknięte. Nareszcie poczuł się bezpieczny. Deszcz bębnił uspokajająco o nowy dach i szyby ostrołukowych okien. Otto, który poczuł nagle, jak bardzo jest zmęczony, dotarł po omacku do najbliższego filara i oparł się o niego plecami. Chłód kamienia przeniknął przez jego mokrą koszulę, więc ściągnął ją przez głowę, nie rozpinając, i rzucił na posadzkę. Sięgnął do torby i odnalazł w niej jakieś inne, prawie suche okrycie. Zrobiło mu się cieplej. Zdrzemnąłbym się, pomyślał, w tych ciemnościach i tak niczego nie znajdę.

Ruszył do prezbiterium. Szedł pewnie, wydawało mu się, że pamięta, jak długa jest nawa, a mimo to potknął się na stopniach chóru. Zetknięcie z ziemią było nieoczekiwane i bardzo bolesne. Otto oparł się o schodek i próbował stanąć na nogi, ale uniemożliwił mu to ból gdzieś poniżej prawego kolana. Usiadł i jęknął, przeklinając własną nieuwagę. Stłuczona goleń utrudniała ruchy, ale chyba nie była złamana. Od ołtarza dzieliło go zaledwie kilkanaście metrów. Pokonał tę odległość,

podpierając się na dłoniach i ciągnąc za sobą tułów, dopóki nie poczuł za plecami pokrytego płaskorzeźbą antepedium. Podwinął nogawkę spodni i ostrożnie dotknął obolałego miejsca. Oględziny nie wypadły pomyślnie, łydka była spuchnięta i bardzo ciepła. Niedobrze, mruknął Otto, miejmy nadzieję, że to nic poważnego.

Nie wiedział, jak długo siedzi w ciemności i ciszy. Ból w nodze nieco zelżał. Burza przesunęła się na zachód, deszcz, sądząc po dźwiękach dobiegających z zewnątrz, stał się mniej intensywny, w końcu ustał zupełnie. Kleist przysnął znużony, głowa opadła mu na piersi. Nie usłyszał cichego szczerku zamka ani skrzypnięcia drzwi, które uchyliły się, wpuszczając do środka wąską smugę światła. Wypogodziło się i blask księżycy sączył się do kościoła, wydobywając z mroku symetryczne rzędy filarów.

Dwóch mężczyzn wsunęło się cicho do wnętrza. Jeden z nich, wysoki i dobrze zbudowany, pochylił się i podniósł z ziemi ciągle wilgotną koszulę. Trzymając ją w dłoni, popatrzył na swojego towarzysza znacząco i jego przystojną twarz wykrzywił nieprzyjemny uśmiech. Drugi mężczyzna, niższy, pękaty i znacznie starszy, energicznie pokiwał głową, eksponując przy tym niewielką, ale regularną łysinę. A co, nie mówiłem, posłał wysokiemu spojrzenie triumfatora. Obaj niespiesznie zaczęli iść w kierunku apsydy, rozglądając się uważnie na boki.

Dźwięk ich kroków odbił się od wysokiego sklepienia i obudził śpiącego przy ołtarzu mężczyznę. Otto powoli wracał do rzeczywistości. Jeszcze nie otworzył oczu, w półśnie widział przed sobą dziewczęcą postać Marii, w letniej białej sukience, z jasnymi włosami upiętymi w kok, z loczkami nad jasnym gładkim czołem. Uśmiechnął się do niej i wyciągnął ręce, a ona zaczęła biec. Była już bardzo blisko, gdy ból kazał Kleistowi rozbudzić się na dobre. To jeden z mężczyzn, ten wysoki, kopnął go w zranioną nogę. Pochylał się nad nim i szczyrzył zęby w złośliwym uśmiechu. Światło księżycy nadawało jego twarzy niezdrowy, siny kolor.

Otto niespokojnie przyjrzał się twarzom, które niespodziewanie pojawiły się w polu widzenia. Powoli docierało do niego, gdzie jest.

Nawa kościoła w Koltitz tonęła w upiornym perłowoszarzym blasku.

— Popatrz, Hans — zwrócił się wyższy mężczyzna do swojego pękatego kolegi — kogo my tu mamy. Przecież to nasz kolega Otto Kleist. W życiu bym się nie spodziewał takiego spotkania. Pan specjalista od średniowiecznych murów znowu tutaj. Czy nie miał pan nocować u szanownej cioci?

Otto z wysiłkiem przełknął ślinę. Bolała, opuchnięta łydka z trudem mieściła się w nogawce spodni. Gorączka utrudniała ocenę sytuacji.

— Musiałem wrócić, bo... — zastanawiał się rozpaczliwie nad wyjaśnieniem, w które tamci mogli uwierzyć — okazało się, że coś tutaj zostawiłem. Musiało mi wypaść podczas pakowania. Chciałem przeczekać burzę i poszukać, jak się rozwidni. — Nie wypadło to zbyt przekonująco, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

— Co ty powiesz? Coś takiego? Zanadto przywiązujesz się do rzeczy — wykazał się empatią przystojniak. — A klucz do kościoła? Czyżby był pod wycieraczką? — zapytał szyderczo.

— Ciekawe... że mnie o to pytacie. A sami przeniknęliście... przez mury, co? — wyjąkał Otto z trudem, czując, jak ogarnia go nowa fala gorączki i jak traci kontrolę nad tym, co mówi. Ironiczny uśmiech, który miał towarzyszyć słowom, zmienił się w grymas bólu.

— Zabawne, nie uważasz, Hans? — zwrócił się znowu do kolegi wysoki. — I wiesz, co myślę? Że nasz drogi Otto stara się coś przed nami ukryć.

Zamierzył się i uderzył siedzącego w twarz. Płaśnięcie otwartej dłoni o policzki zabrzmiało w kościele jak wystrzał.

— Spokojnie, Wili — powiedział strofującym tonem gruby — biedak trochę się stawia, ale to nie powód, by tak się z nim obchodzić.

Przyjrzał się krytycznie skulonej na stopniach ołtarza postaci. Prawa noga wyraźnie do niej nie pasowała; sztywno wyprostowana sprawiała wrażenie, jakby należała do zupełnie innego ciała. Hans postukał poniżej kolana i Otto krzyknął z bólu.

— Aha. — Pokiwał głową ze współczuciem, które nagle rozplynęło się w ponurym uśmiechu.

Otto zamrugał oczami, przyglądając się niespokojnie nalanej twarzy człowieka, który do dzisiejszego poranka wydawał mu się wcieleniem dobroci i życzliwości. Tymczasem Hans wędrował palcami po chorej nodze, nie przestając się uśmiechać.

— Mam wrażenie, że nasz drogi Otto ma trochę racji, mówiąc, że o czymś zapomniał — powiedział w końcu i popatrzył Kleistowi w szkliste oczy. Jego przymilny głos działał na rannego usypiająco. — Na szczęście ma nas. A my mamy lepszą pamięć. Dobrze mieć takich przyjaciół, prawda, Otto? Gdzie jest plan? — zapytał nagle zupełnie innym tonem.

Zabrzmiało to jak groźba. Zapytany przymknął powieki i zagryzł wargi, gdy Hans zacisnął palce na opuchniętej nodze.

— Nie wiem, o czym mówisz — wychrypiał z trudem, zupełnie jakby dłoń oprawcy zaciskała się na jego gardle.

— Nie wiesz? — zdumiał się grubas. — To może Wili wyjaśni ci, o jaki plan chodzi? On ma więcej cierpliwości ode mnie. Ja muszę się oszczędzać, nie wolno mi się denerwować. Serce, rozumiesz... — Z miną błazna popukał się w klatkę piersiową.

Wysoki zamierzył się po raz drugi i uderzył Kleista w drugi policzek.

— Gdy kto uderzy cię w lewy policzek, nadstaw mu prawy — zacytował Hans i roześmiał się ubawiony własnym dowcipem. — Więc gdzie jest ten plan, przyjacielu? — ponowił pytanie, ale nie doczekał się odpowiedzi. Młody historyk miał dość biblijnych cytatów, przymknął oczy i czekał na trzecie uderzenie.

— Dobrze — powiedział Hans znużonym głosem. — Wydaje mi się, że masz nas za idiotów. Postaram się wyjaśnić ci, jak bardzo się mylisz. Widzisz, jestem wystarczająco stary, by wiedzieć, w jaki sposób plan trafił w ręce Hermanna Staffa.

Na dźwięk tego nazwiska Kleist gwałtownie poderwał głowę do góry i spojrział na Hansa zaskoczony.

— A widzisz, bratku — ucieszył się grubas. — Teraz będziesz z nami rozmawiał? Długo czekałem, by tu wrócić. Zbyt długo. Dlatego... nie wywiniesz się. Wiem, że Hermann dał plan tobie. Oddaj go, a osobiście odstawię cię do lekarza i zapakuję w pociąg do Berlina. A potem

zapomnimy o całej sprawie i o tym, że kiedykolwiek tu byłś. Co ty na to?

Otto z trudem potrząsnął głową.

— Nic nie wiem o żadnym planie — powtórzył z uporem. Zniecierpliwiony Wilhelm wyszarpnął mu worek spod pleców i zaczął wyrzucać z niego nieliczne części garderoby i osobiste drobiazgi. Bardzo szybko dotarł do dna, nie znalazłszy niczego, co mogłoby na dłużej przykuć jego uwagę. Hans przyglądał się tym poszukiwaniom z pobłażliwym uśmiechem.

— Daj spokój, Wili. Drogi Kleist jest za sprytny, by nosić go ze sobą. Ukrył go gdzieś i to bardzo skutecznie. Ale przecież kolegom pokaże gdzie, prawda? — popatrzył na siedzącego wyczekująco. W kościele przez kilka długich chwil panowała niezmacona żadnym hałasem, złowróźbna cisza.

Co mi zrobia, jeśli nie będę chciał im powiedzieć, zaczął się zastanawiać Otto, ale ból przyćmił jego myśli. Głowę miał ciężką i coraz bardziej chciało mu się pić. Lekarz, przypomniał sobie, ktoś mówił o lekarzu. Popatrzył nieprzytomnie na pochylonych nad nim mężczyzn. Zafalowali zgodnie, a razem z nimi zafalowały filary i nawa zatrzęsała się jakby od tłumionego śmiechu.

— Pomóż mu wstać, Wili — polecił koledze pękaty i Otto poczuł, jak jakaś siła podrywa go z ziemi. Obraz zakołysał się mocniej. Wysoki trzymał go mocno za koszulę na piersiach i usiłował odciągnąć od ołtarza. Zachwiali się obaj.

— Stój — ryknął osiłek, puszczając go i z trudem łapiąc równowagę. Kleist posłuchał i próbował pewniej stanąć na nogach. Ból nie do zniesienia pozbawił go jednak oparcia i Otto, krzycząc przeraźliwie, upadł, uderzając głową o stopnie ołtarza.

Pękaty popatrzył na wysokiego z wyrzutem, a potem przyjrzał się nieruchomej postaci. Twarz leżącego białała na ciemnej kamiennej posadzce, a półotwarte usta wykrzywiał grymas bólu, który wyglądał jak namalowany na woskowej masce. Hans zdjęty nagłym niepokojem przykucnął nad Kleistem i dotknął jego szyi, a później uniósł do góry

jego głowę i z przerażeniem ją upuścił. Stuknęła głucho przy ponownym zetknięciu z podłogą. Ręka, którą podniósł do oczu, była ciemna od krwi. Palce lepiły się nieprzyjemnie, więc odruchowo chciał wytrzeć je w połę marynarki. Powstrzymał się jednak i dostrzegłszy jasną plamę wilgotnej koszuli Kleista, podniósł ją i z obrzydzeniem otarł dłoń, zostawiając na białej tkaninie cienkie, długie smugi.

Jego strach zniknął i w oczach zapłonął gniew.

— Ty kretynie — syknął — skończony durniu. Był nam potrzebny. A teraz zamiast planu mamy na głowie trupa. Co się tak gapisz! Rusz się, do cholery, musimy coś zrobić z ciałem, zanim się rozwidni.

Copyright © Katarzyna Długosz-Rygiel 2008

Projekt okładki: XAUDIO

Okładka wykorzystana z audiobooka

Konwersja na podstawie wydania papierowego

Ekspedycja Koltitz, wyd. I, 21.10.2008

skan i konwersja do epub

eLJot